

NIECI ŻYJE POLSKA

HURT!

tom 2



Pilipiuk Szrejter Bochiński Urbanowicz Schmidtke
Kochański Kułakowska Rzymowski Wiśniewski Piekara

Niech żyje Polska

Hura!

Tom 2



fabryka słów

Data wydania: 2007

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

Andrzej Pilipiuk [1974]

Andrzej Pilipiuk Bunt szewców

Artur Szrejter [1971]

Artur Szrejter Shamballah

Południowy Tybet, 17 września 1939 roku

Tybet, 11 i 12 września 1939 roku

Tybet, 15 i 12 września 1939 roku

Warszawa, początek 1938 roku

Tybet, 9 września 1939 roku

Tybet, 10 września 1939 roku

Zamek Wewelsburg, Westfalia, 1938 rok

Tybet, 13 września 1939 roku

Tybet, 16 września 1939 roku

Damaszek, druga połowa 1938 roku

Tybet, 16 września 1939 roku

Tybet, 10 września 1939 roku

Damaszek, 1938 rok

Tybet, 10 września 1939 roku

Tybet, 10 września 1939 roku

Tybet, 10 września 1939 roku

Tybet, 15 września 1939 roku

Mongolia, 1806 rok

Tybet, 16 września 1939 roku

Tybet, 14 września 1939 roku

Tybet, 16 września 1939 roku

Tybet, 16 września 1939 roku

Tybet, 17 i 16 września 1939 roku

Tybet, 17 września 1939 roku

Warszawa, okopy świętej Pragi, 4 listopada 1794 roku

Tomasz Bochiński [1959]

Tomasz Bochiński Cudowny wynalazek pana Bella

Katarzyna Anna Urbanowicz [1942]

Katarzyna Anna Urbanowicz Utulić zło

Piotr Schmidtke [1983]

Piotr Schmidtke Prawa Ręka Marzenia

Krzysztof Kochański [1958]

Krzysztof Kochański Centuriańskie bomby

Joanna Kułakowska [1975]

Joanna Kułakowska Goście z pokoju obok

Jerzy Rzymowski [1975]

Jerzy Rzymowski Lustro dla niewidzialnego człowieka

Łukasz M. Wiśniewski [1974]

Łukasz M. Wiśniewski Poganiacz Osłów

Jacek Piekara [1965]

Jacek Piekara Jak ja was [...] nienawidzę

Rafał Aleksander Ziemkiewicz [1964]

Jest fantazja w narodzie

25 lat Klubu Tfurcuf – krótki przewodnik

Projekt okładki: Dominik Broniek

Ilustracje: Grzegorz i Krzysztof Domaradzcy

Wydawca: Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN: 978-83-60505-21-2

*Innemu dane zostało zwyciężyć,
Więc cześć zwycięstwu.
Mnie dane było lekkością zaciężyć Polskiemu męstwu.*

*A ja myślałem, że tę lekkość ptaszą, Skrzydło żurawi, Na postrach wrogom w czystą zbroję naszą
Husarz oprawi.*

*Palec na ustach, a cóż komu na tem, Indziej to widzą, Tu słuszna milczeń, zobaczym za światem,
Kogo zawstydzą.*

*Do zobaczenia, rycerze, poeci, Mędrce, prorocy; Do zobaczenia! Przelatujmy, dzieci, Jak gwiazdy
w nocy.*

***Teofil Lenartowicz
Do* [Cypriana Norwida]***

ANDRZEJ PILIPIUK [1974]

Debiutował w 1996 roku opowiadaniem *Hiena* („Fenix”).

W ciągu ostatnich pięciu lat wydał sześć powieści: *Kuzynki*, *Księżniczka*, *Dziedziczki* (tworzą trylogię), *Ucieczka*, *Obce ścieżki* (cykl *Norweski dziennik*), *Operacja Dzień Wskreszenia* oraz zbiory opowiadań: *Kroniki Jakuba Wędrowycza*, *Czarownik Iwanow*, *Weźmiesz czarno kure...*, *Zagadka Kuby Rozpruwacza*, *Wieszać każdy może*, *2586 kroków*. Jest współautorem podręcznika do WOS dla gimnazjum pt. *Blżej świata*. Dorywczo zajmował się publicystyką popularnonaukową.

Dziesięciokrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza Zajdla. Otrzymał ją raz, za opowiadanie *Kuzynki* (2002). Dwukrotnie nominowany do Śląfy.

W Czechach wydano cztery tomy jego opowiadań o Jakubie Wędrowyczu i powieść *Kuzynki*, a pojedyncze opowiadania ukazywały się po czesku, litewsku i rosyjsku.

Jedyny w fandomie poszukiwacz meteorytów.

Andrzej Pilipiuk

Bunt szewców

Nadchodzi wczesny jesienny zmierzch. Zapalam gałązkę bukszpanu. Kreślę okrąg wokół siebie, oczyszczając przestrzeń, w której będę pracował. Zataczam drugi, mniejszy, by wypalić zło mogące przeszkadzać mi w pracy. Zataczam trzeci, by oczyścić narzędzia. Palcem zanurzonym w winie rysuję trójkąt na swoim czole. Zamykam się dla świata, otwieram dla czynu. Czas przestaje istnieć. Rzeczywistość zewnętrzna traci z tą chwilą jakiegokolwiek znaczenie. Mogę odłożyć pracę wówczas, gdy para butów zostanie zakończona. Tylko bezpośrednie zagrożenie życia daje mi prawo, by wstać z zydlu. Mój dziadek był prawdziwym twardym szewcem. Przerwał pracę dopiero, gdy roztrzaskali mu głowę.



Wizja pojawiła się jak zwykle gdzieś na pograniczu jawy i maligny, w chwili gdy człowiek sam nie wie, czy śpi, czy czuwa. Fresia, moje miasto, znowu tam wróciłem. Tyle razy widziałem je w snach, tyle nocy spędziłem, błąkając się zaułkami wzdłuż zabitych dechami witryn sklepików i warsztatów, patrząc na pokryte liszajami niegdyś piękne kamieniczki. Czemu musiałem przeżywać to raz jeszcze? Dlaczego nigdy nie zdarzyło mi się śnić o czasach, gdy jeszcze kwitło?

Wstawał świt, między kamieniczkami snuły się języki mokrej, szarej mgły. Biegłem wąskim zaułkiem w towarzystwie kilku czeladników. Pędziliśmy po kocich łbach na złamanie karku prosto w stronę zatoki. Nad dzielnicą portową snuły się dymy.

Z daleka dochodził tupot podkutych buciorów. Gonili nas? Tam, w dole, słyhać było huk pojedynczych wystrzałów. Wpadliśmy w bramę. Kolejny zaułek, tym razem trawersem zбочa, wyprowadził nas na mały

skwerek. Pod cokołem czekała druga, podobna grupka. Na nasz widok chwycili samopały oparte o postument.

Spojrzałem na pomnik. Piaskowcowa statua poszarzała, tu i ówdzie widać było na niej ślady uszkodzeń spowodowanych przez odłamki lub zabłąkane kule. Jednak twarz mężczyzny nawet pod warstwą brudu pozostała taka jak dawniej. Nieco dzika i drapieżna, o ostrych rysach i hardym spojrzeniu. Twarz odkrywcy, podróżnika, kondotiera gotowego rzucić swoje życie na szalę.

Niewielką mosiężną tabliczkę pokrywały wykwity śniedzi. Napis był częściowo zatarty, ale nie musiałem czytać, by wiedzieć, czyją postać przedstawia. Ake Gevein.

Pocisk uderzył w cholewę kamiennego buta i wyłupawszy kawał, gwizdnął rykoszetem tuż koło mojego policzka... Ocknąłem się, krzyżąc, zlany potem. Długo leżałem rozdygotany. Jaki dziś dzień? Sobota...



Giełda na warszawskim Kole to specyficzne miejsce. Handluje się tu antykami. A ściślej mówiąc: rupieciami, wśród których czasem trafiają się prawdziwe antyki. Dziewięćdziesiąt procent oferowanego „towaru” to zwykły szmelc wygrzebany na strychach lub w piwnicach. Jeśli ktoś potrzebuje wieszaka sprzed pięćdziesięciu lat, przedwojennej książki o okładce zjedzonej przez wilgoć czy zardzewiałej kotwicy – jest to dla niego idealne miejsce. Na kramach, kramikach i gazetach leżących na ziemi może zaopatrzyć się w lalki z pourywanymi głowami, tabliczki znamionowe przedwojennych silników, zardzewiałe hełmy, skorodowane karabiny wygrzebane z okopów, kafle piecowe, zarówno całe, jak i poobtłukiwane, oraz pogięte platerowane sztuce. Na składanych stolikach zaśniedziałe klamry wojskowych pasów sąsiadują z

tandetnymi porcelanowymi figurkami.

Ale jeśli ktoś zapraśnie parać się na przykład kowalstwem, to w kilka miesięcy jest w stanie skompletować sobie zestaw młotów, cęgów i szczypec, a przy odrobinie szczęścia może i kowadło mu się trafi...

Z ogromnego stosu rozmaitego szmelcu podniosłem jeden przedmiot. Gładka bukowa rękojeść pociemniała. Jej powierzchnię wytrawił pot i wypolerowała szorstka skóra rzemieślnika. Narzędzie idealnie ułożyło się w mojej dłoni. Popatrzyłem na ostrze. Bardzo stary model. Szarą stal znaczyły gęsto szaroczarne plamki typowe dla żelaza, które bardzo długo leżało nieużywane w szufladzie. Krawędź tnąca była w jednym miejscu minimalnie wyszczerbiona. Popełniłem błąd, sięgając od razu po upatrzony przedmiot. Najpierw trzeba było przejrzeć kilkanaście innych i powybrzydzać, by uspić czujność sprzedawcy. Co się stało, to się nie odstanie, można jednak spróbować zmniejszyć szkody. Czyli udawać głupiego, bazarowe cwaniaczki z reguły na to się nabierają.

– Ile za to dłutko? – zapytałem.

– Dwie dychy – wychrypiął kaprawy typ pilnujący stoiska.

Mam zły akcent. Znam polski już biegle, ale ciągle można wychwycić, że nie jestem stąd. Z wyglądem też nie najlepiej. Mam trochę większe oczy, odrobinę przyplaszczony nos, wydatne kości policzkowe, skórę o ton lub dwa ciemniejszą niż tubylcy. Gdy ktoś pyta, mówię, że pochodzę z Peru. Polacy lubią Indian.

Otaksowałem go długim spojrzeniem. Przekrwione, lekko zmrużone oczy, pot pokrywający nabrzmiąłą twarz, dwudniowy zarost. Wczorajsze pijaństwo i dzisiejszy kac wypisane na gębie.

– Dam trzy złote. Na piwo wystarczy.

Odruchowo oblizał wyschnięte wargi. Wizja kufla pełnego chłodnego i pianistego eliksiru życia musiała wyrzucić na nim dogłębne wrażenie.

– Dawaj piątkę i jest twoje – burknął.

Podąłem mu monetę i ruszyłem dalej. Dopiero oddalivszy się na

bezpieczną odległość, obejrzałem dokładniej mój łup. Dłutko? Dobre sobie, wycinak do dziurek. Na innym stoisku wypatrzyłem drewniane formy do butów. Rozmiar czterdzieści dwa? Takich mi brakowało...

– Ile za to? – zagadnąłem.

– Trzydzieści. – Sprzedawca nawet nie podniósł wzroku. – To bukowe prawidła do butów.

– Straszliwie schetane – zauważyłem, patrząc na dziesiątki dziurek po gwoździach.

– To ile dasz?

– Dychę.

– Toż jak za darmo – obraził się. – Normalnie po stówaku chodzą.

Dobre prawidła faktycznie powinny kosztować dużo więcej, ale facet wiedział, że to, co sprzedaje, prawidłami nie jest... Tylko że ciemniak nie potrafił zidentyfikować przedmiotu. Dobra, cwaniaczku, kantować to my, ale nie nas.

– Piętnaście?

Z udawanym oburzeniem wzniósł oczy ku niebu. Ja już wiedziałem, że się zgodzi.

Opuszczałem giełdę z miłym poczuciem dobrze wykorzystanego czasu i sensownego wydania pieniędzy. Udało mi się zdobyć jeszcze dwa szydła. Mają minimum sto lat. Kosztowały grosze... Dziś wieczorem przyjdzie czas pracy. Zapalę gałązkę bukszpanu, oczyszczę zakupione narzędzia. Po latach bezczynności obudzą się. Sprawię, że znowu ożyją pod moimi palcami...



Piknik rycerski na Bródnie urządzono pośrodku parku. Szedłem szybkim krokiem, mijając kolorowe namioty, mężczyzn w błyszczących

zbrojach, dziewczyny w średniowiecznych sukniach. Na wydzielonych liniami polach miłośnicy żywej historii okładali się z zapalem mieczami, gdzie indziej gapie za parę złotych walili z łuków do tarczy. Niektóre bractwa wystawiły kramiki, na których można było kupić elementy pancerza, drewniane kubki, krawę, rzemienie, wisiorki. Cóż, jakoś trzeba zarobić na swoje hobby... Nad stawem huknęła głucho replika bombardy.

Minął mnie chłopak niosący kuszę. To było dwa i pół roku temu. Przyniosłem dwadzieścia par najprostszych skórzanych łapci. Sprzedałem wszystkie w ciągu godziny i zebrałem zamówienia na drugie tyle. Tamtego dnia zrozumiałem, że uda mi się przetrwać w tym kraju. Tamtego dnia zrozumiałem też, że mam powód, by wracać do mojego świata. Zobaczyłem kusze. Nasza cywilizacja była widocznie zbyt pokojowa. Przeskoczyliśmy ten etap, od łuków przeszliśmy od razu do samopałów. A przecież arbalet to broń idealna. Poręczna, o niezwykle prostej konstrukcji, niezawodna, szybkostrzelna i o fantastycznym zasięgu. Wielokrotnie lepsza niż łuk. Idealna, by po wyposażeniu bełtów w ładunki fosforowo-magnezowe skutecznie razić sterowce stanowiące główną siłę uderzeniową wojsk republiki. Idealna do naszych celów także dlatego, że stalowe łuczyska wykuje bez problemu każdy wiejski kowal.

Stanąłem u wejścia do sporego namiotu. Wewnątrz siedziało paru wojów, przeważnie nieco starszych ode mnie.

- Czym możemy służyć? - uśmiechnął się brodaty.
- Szukam Ulfa - wyjaśniłem.
- Proszę się rozgościć, będzie za pięć minut. - Wykonał zachęcający gest.

Siadłem na skraju ławy. Rycerze wrócili do swoich „rycerskich” zajęć. Jeden studiował branżową gazetę, drugi sączył piwo z drewnianego kubka, trzeci stukał w klawisze laptopa. Brodaty nabijał jakąś straszliwą armatę.

- To replika króciicy z końca XVI wieku - wyjaśnił, widząc moje zainteresowanie. - Z zamkiem wyposażonym w koło krzesadłowe.

- Niezły kaliber - wyraziłem podziw.

- Sam toczyłem lufę - pochwalił się. - Chodź, gruchniemy sobie - zaproponował.

Stanęliśmy przed namiotem. Wręczył mi broń. Ciężkie cholerstwo, ze trzy kilo jak obszył. Czymś takim się tu kiedyś zabijano? Ciekawe, co by powiedział na wieść, że w naszym świecie nadal jest to podstawa uzbrojenia.

- Mogę? - Skierowałem lufę do góry.

- Jasne.

Pociągnąłem spust. Zaiskrzyło pięknie, ale strzał nie padł.

- Zamki kołowe są trochę zawodne - mruknął rycerz tonem usprawiedliwienia.

Wiem o tym. W zaułkach Fresii używaliśmy przeważnie broni skałkowej. Jest lepsza... A w każdym razie mniej zawodna.

Podsypał więcej prochu na panewkę, naciągnął i podał mi ponownie.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęcił.

Tym razem się udało. Rąbnęło jak z niewypału, płonące resztki pakuł na chwilę rozbłysły w powietrzu, głuchy huk przetoczył się nad parkiem. Mój przykład okazał się zaraźliwy, bowiem w ciągu następnej minuty w różnych miejscach gruchnęło jeszcze kilka samopałów.

- Jest i Ulf. - Wskazał mi przeciskającego się pomiędzy tłumem rycerza.

- To pan zamawiał ciżmy? - Uśmiechnąłem się.

- To ty podpisujesz się nickiem „Szewc”? Chwała Internetowi - mruknął.

- Przymierzy pan? - wolę szybko przechodzić do rzeczy, ograniczać kontakt do niezbędnego minimum.

Weszliśmy do namiotu. Wyjąłem z plecaka parę butów. Obejrzał je

uważnie, a potem usiadł na ławie i ściągnąwszy swoje kamaszki, przymierzył.

– Niezłe. – Przeszedł się kilka kroków. – Naprawdę dobre. Sam je zrobiłeś?

– I ze dwadzieścia innych par wydeptujących tu trawę...

– Hmm, no tak – powiedział trochę bez sensu. – Tu jest należność. – Odliczył umówioną sumę.

Patrzył na mnie dziwnie, jakby badawczo.

– Coś nie tak? – Poczułem ukłucie niepokoju.

– Nie potrafię cię zaklasyfikować – mruknął. – Jestem antropologiem – dodał tytułem wyjaśnienia. – Skąd pochodzisz?

Mam niemal stuprocentową pewność, że pytanie jest zupełnie szczere. Jednak instynkt zaszczutego zwierzęcia nakazuje mi zwiększyć ostrożność. Zresztą gdybym powiedział prawdę, nie uwierzyłby przecież...

– Z Peru, ale mój dziadek był Ormianinem.

Nie przekonałem go chyba. Nadal świdrował mnie spojrzeniem. Trza się jakoś inteligentnie ulotnić. Udałem, że poczułem wibracje, i wyciągnąłem z kieszeni telefon komórkowy.

– Halo? – Przyłożyłem aparat do ucha. – Tak, już załatwiłem, będę za trzy minuty.

Schowałem urządzenie do kieszeni.

– Pora na mnie – wstałem.

– No tak. – Też wstał i ścisnął mi dłoń. – Gdybyś miał chwilę, wpadnij do nas, do instytutu. – Podał mi wizytówkę. – Chciałbym zrobić dokładne pomiary twojej czaszki.

– Spróbuję wygospodarować trochę czasu.

Zmyłem się.

Maszerując przez pole turniejowe, kilkakrotnie obejrzałem się, sprawdzając, czy nikt za mną nie idzie. Była to chyba zbyt uczynna

ostrożność, ale nigdy nic nie wiadomo. Ostatnio widziałem ich szpiega ponad cztery miesiące temu. Wiedzą, że tu jestem, więc mogą być pewien, że umrę, gdy tylko zdołają mnie odnaleźć.



Mała ni to piwniczka, ni to suterena na tyłach popadającej w ruinę przedwojennej willi co dnia wita mnie znajomym zapachem, mieszaniną woni wosku, świeżej skóry, kleju i starego żelaza. Wślizgnąłem się do mojego królestwa. Laptopa umieściłem na stoliku koło drzwi, uruchomiłem, zalogowałem się, sprawdziłem pocztę. Osiemdziesiąt procent klientów kontaktuje się ze mną bezpośrednio przez Sieć, na Allegro idą tylko te mniej udane egzemplarze. No i proszę, cztery kolejne zamówienia. Miło patrzeć, jak interes się rozkręca.

A jednak czuję niesmak. Trudno to wytłumaczyć komuś, kto całe życie obcował z wytworami techniki. Nauczyłem się używać komputera, kontaktuję się z klientami przez telefon. Elektryczność czy silnik spalinowy nie budzą mojego zdziwienia, a jedynie odrazę. Żyjąc wśród ludzi, musiałem przyjąć ludzkie reguły. Ale nie rozumiem ich.

Ziemska cywilizacja dokonała dziwnego skrętu, coś przetrąciło jej kręgosłup. Nie potrafili zatrzymać postępu i teraz technika pożera świat. Nie dostrzegają nawet, jak bardzo zmieniła się ich mentalność. Nie umieją już żyć bez ułatwień. Zmiękli, zdegenerowali się, wyrodzili. Nie są w stanie cieszyć się pracą, wysiłkiem, bólem zmęczenia. Płaczą, że nie mają pracy, a jednocześnie od setek lat konstruuja coraz wymyślniejsze maszyny, by się od tej pracy uwolnić.

Wolne chwile też sobie zatruwają gapieniem się w telewizję albo czytaniem. Nie mając własnych kłopotów, przejmują się zmyślnymi problemami innych. Pamiętam głęboki szok, który przeżyłem, gdy

zorientowałem się, że historie wypełniające miliony ich książek są prawie bez wyjątku wyssane z palca. Zarazem też zrozumiałem, dlaczego nasi mędracy nazwali ten świat „Ziemią Kłamców”.

Gaszę światło. Moje oczy przywykły do ciepłego blasku świecy lub lampy oliwnej. Elektryczność jest zła do pracy. Za ostra, rozprasza. Rozświetla wszystkie zakamarki warsztatu. Wydobywa zbyt wiele szczegółów otoczenia, utrudnia skupienie. Wreszcie niweczy cudowną grę cieni na ścianach.

Zapalam gałązkę bukszpanu. Wyrównuję oddech, uspokajam bicie serca. Dotykam palcami powierzchni czerwonego wina, potem skóry na czole. Jestem szewcem, jak mój ojciec, dziadek, pradziadek i inni przodkowie w długiej linii pokoleń. Pamięć mego rodu sięga siedmiu stuleci wstecz. Sto pięćdziesiąt lat temu mój przodek Inge Marv przybył w towarzystwie Ake Geveina do doliny rzeki Id i założył warsztat na zboczu Góry Słonych Źródeł. Dziś jego krew płynie w żyłach wszystkich szewców miasta.

Rozwijam pakunek z narzędziami. Cztery noże do skór przywiozłem przed ośmiu laty, uciekając z mojego świata. Resztę kupiłem tu, w Warszawie. Metal zachowuje w sobie kształt tego, co ciął. Nim przystąpię do nowego zadania, trzeba tę pamięć zatrzeć. Unoszę nóż z brązu i przesuwam go nad płomieniem świecy. Jestem gotów.



Najtrudniejsze są początki pobytu w obcym kraju. Mnie było podwójnie ciężko. Nie znałem języka, nie znałem miejscowych zwyczajów, nie miałem żadnego punktu zaczepienia. Brakowało mi odporności, banalna dla ludzi grypa prawie mnie zabiła. W dodatku przeszedłem bramę wczesną wiosną, po lasach leżał jeszcze śnieg,

nocowanie pod gołym niebem stało się koszmarem. Popełniłem dziesiątki błędów, z których każdy mógł kosztować mnie życie. Najpoważniejszym był wybór tego akurat świata...

Okazał się tak niepokojąco podobny do mojego. Nawet religia jest podobna, tylko zaszli dalej na swojej drodze ku czarnej mgłę. Ich Odkupiciel już przybył, lecz zamiast dobrowolnie poświęcić się i umrzeć za grzechy tego ludu, został zamordowany przez ich siepaczy. Tego, że żyją w czasie apokalipsy, a każdy dzień to próba charakterów, starają się nie dostrzegać. Tak wiele elementów przywodzi na myśl to, z czym walczyliśmy. Tu też na parterach domów widać dziesiątki zabitych na głucho wejść do sklepów i warsztatów. Ziemię na dobre zainfekowały wirusy filozofii i demokracji. Ten świat przypomina jako żywo krainę naszych wrogów.

Najgorsze rozczarowanie przeżyłem, gdy okazało się, że tutaj buty robi się w fabrykach, i przez wiele tygodni byłem przekonany, że czeladnik szewca nie ma żadnych szans na pracę w zawodzie.

Krok po kroku poznawałem reguły rządzące tym dziwnym krajem. Człowiek bez dokumentów tu nie istnieje. Nawet jeśli ma się dokumenty, pełna legalizacja jest potwornie trudna. By jako tako funkcjonować, trzeba mieć nie tylko kąt do mieszkania, ale i adres zameldowania. Nie można nazywać się Amiwelechus Marv, bo to podejrzane. Do jesieni poznałem język na tyle, by móc udawać cudzoziemca...

Gdy człowiek przebywa gdzieś nielegalnie, a w dodatku ma powody przypuszczać, że grozi mu pościg, może zastosować dwie taktyki. Często zmieniać mieszkania i w ten sposób zacierać za sobą ślady albo siedzieć jak mysz pod miotłą w jednym miejscu, ograniczając do minimum liczbę kontaktów z autochtonami. W pierwszym przypadku rośnie liczba znajomości, co grozi wpadnięciem na agenta wroga. W drugim można zostać namierzonym i powolutku rozpracowanym. I tak źle, i tak niedobrze. Wybrałem sposób drugi. Na uniwersytecie znalazłem

ogłoszenie o kwaterze dla studenta. Potem wystarczyło konsekwentnie takowego udawać.



Naciągnąłem lekko zwilżoną giemzę na formę. Przybiłem krawędź małymi gwoździkami. Lewy but, teraz prawy... Trzeba dokupić skóry, tej najgrubszej, wołowej, na podeszwy. Dwoina też by się przydała. Praca skończona. To, co robiłem przed chwilą, to przygotowania do kolejnego dnia. Kawałkiem bibuły przecieram czoło. Zapalam papier, potem zdmuchuję świecę. Czas znowu może ruszyć. Nie wiem, ile godzin spędziłem na zydlu, i nie ma to żadnego znaczenia. Teraźniejszość jest teraz, wtedy byłem poza nią. Sprawdzam telefon komórkowy. Próbowano się do mnie dodzwonić jedenaście razy. Na zewnątrz jest jasno. Czy to już kolejny dzień? Niewykluczone.

Gdy robiłem sobie śniadanie, komórka zapikała ponownie. Spojrzałem na wyświetlacz. Marta. Odebrałem.

– Mogę wpaść? – zapytała.

– Jasne – odparłem i przerwałem połączenie.

Szkoda czasu na pogaduszki. Podawanie swojego adresu to głupota, ale z drugiej strony gdybym nie prowadził żadnego życia towarzyskiego, wyglądałoby to podejrzanie. Właścicielka willi, w której wynajmuję kwaterę, jest niekiedy paskudnie wścibska.

Zamówienie już gotowe, ale warto przetrzeć cholewki jeszcze raz szmatką, by dobrze nawoskowana kasztanowobrzazowa skóra nabrała odpowiednio głębokiego połysku.

Marta pojawiła się równo dwadzieścia sekund po tym, jak skończyłem polerować.

– Witaj. Widzę, że są – ucieszyła się.

– Przymierz – zażądałem.

Siadła na krześle i zsunąwszy adidas, naciągnęła trzewiki. Haczykiem dociągnęła dziurki.

– Nie cisną? – zaniepokoiłem się.

– Nie.

– Wskocz na stół – poleciłem.

– Mam się przedtem rozebrać? – Błysnęła zębami w uśmiechu. – Czy wystarczy, że zatańczę?

Faktycznie, jednym susem wskoczyła na blat i przez chwilę stepowała w rytm niesłyszalnej muzyki.

– I jak teraz oceniasz?

– Jak na obstalunek zrobione – pochwaliła. – Hm... W zasadzie to na obstalunek – zadumała się.

– Ze dwa sezony powinny wytrzymać.

Zeskoczyła z gracją.

– Jesteś świetnym szewcem. – Pocałowała mnie w policzek.

Co mi po pochwałach „rycerzy”. Uznanie z ust dziewczyny tańczącej w zespole ludowym to dopiero konkret. Odliczyła szybko należność i podała mi zwitek banknotów. Schowałem je do kieszeni.

– Napijesz się herbaty?

– Z przyjemnością.

Rozsiadła się wygodnie i wyciągnąwszy nogi, kontemplowała lśnienie czubków. Nastawiłem czajnik.

– Znowu jesteś blady i masz podkrążone oczy – zauważyła. – Bezsensowność cię męczy, czy może siedzisz do późna nad zamówieniami?

– I to, i to. – Nie mogę powiedzieć jej prawdy.

Zamiast herbaty niby to przez roztargnienie zaparzę yerba mate. Skoro udaję Indianina, trzeba grać konsekwentnie. Jeszcze ciastka upieczone wedle brazylijskiej receptury.

– Co to za miejsce?

Zagryzłem wargi, zauważając, co obraca w dłoniach. Pocztówka. Musiałem przez nieuwagę zostawić ją na wierzchu. Szlag. Żeby tylko nie odwróciła. Za późno.

– O! – mruknęła, widząc krzaczki naszego alfabetu. – Co to za pismo?

– Nie mam pojęcia. Spodobał mi się ten obrazek i tyle. Łebek, od którego ją kupiłem, mówił, że to z Etiopii.

– Aha. Ciekawe, jakie to miasto, wygląda bardzo sympatycznie...

Ma rację. Fresia, nawet zniszczona przez rządy republiki, jest piękna. Zatoka morska wcina się głęboko w granitowy masyw, na brzegach fiordu i zboczach gór tarasowo leżą dzielnice. Najniżej umieszczono oczywiście portowe doki, nad nimi w połowie wysokości rozlokowały się wille rozmaitych notabli, a wyżej, tam gdzie mocno dokuczają wiatry, żyją rzemieślnicy. A właściwie żyli, w czasach gdy Fresia uznawała władzę króla Kasaora...

– W Etiopii nie ma morza – głos dziewczyny wyrwał mnie z zamyślenia.

Zagryzłem wargi.

– A jezioro Tana? – podsunąłem.

– Zabierzemy się za to naukowo – powiedziała wreszcie. – Naszkicujmy schematyczny plan miasta. – Na kartce z notatnika narysowała owal zatoki. – Na zdjęciu mamy wczesny poranek...

– Dlaczego tak sądzisz? – Z trudem opanowałem irytację połączoną z paniką.

– Bo na ulicach nie ma jeszcze nikogo, a cienie są długie. Gdzie wschodzi słońce? – Zaznaczyła. – Masz atlas geograficzny?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, wypatrzyła go na półce. Przekartkowała szybko i otworzyła na końcu, na schematach przedstawiających nachylenie osi planety w różnych porach roku.

– Roślinność jest tam jakby trochę egzotyczna... Coś jak na pocztówkach z Ameryki Południowej – mruknęła. – Drzewa inne niż u

nas, ale nie ma palm... Trzeba by wziąć tablice nawigacyjne. – Westchnęła. – No to jedziemy. Zatoka wychodzi prawie dokładnie na południe. Etiopia nie pasuje. Nad jeziorem Tana nie ma większych ośrodków miejskich. Pasowałyby nam raczej Dagestan, Bułgaria, wschodnie wybrzeża Krymu, wschodnie wybrzeże półwyspów Apenińskiego i Iberyjskiego, Sycylia, Sardynia, Korsyka, Malta, Cypr, Baleary...

– Nad morzem Kaspijskim używają cyrylicy – mruknąłem. – No i na Krymie.

– Nie zapominaj o Bułgarii. Tam też piszą bukwami. Hm... Gruzja i Armenia posiadają takie fikuśne alfabety, ale nie mają dostępu do morza. Abchazja odpada, bo wybrzeże od zachodu. Zdecydowanie nie jest to Europa. Pomyślmy jeszcze inaczej. To spore miasto. Ważny ośrodek handlowy, tyle że na zatoce widać głównie żaglowce. Domy wyglądają jak średniowieczne. Bogate kamienne odrzwia, portale, rzeźby, framugi okien. Zatoka tej wielkości... Hm... Może to ujście rzeki? Już wiem – Dżibuti!

– Gdzie to jest?

– Nad Morzem Czerwonym. Nie, odpada, tam przecież gadają po arabsku. Może Cejlon albo Birma? Oni mają takie śmieszne pismo. Erytrea też chyba pasuje... Zresztą nieważne. – Odłożyła kartonik. – Co robisz jutro?

– Jestem zajęty – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Szkoda, myślałam, że dasz się wyciągnąć do kina.

– Może w kolejny weekend? – zaproponowałem.

– Yhym... – Zaczęła się zbierać.

Znamy się od ponad roku. Raz nałgałem jej, że jestem gejem, innym razem, że mam w Boliwii narzeczoną, ale, niestety, nie uwierzyła. Ciągle robi sobie pewne nadzieje. Jest miła i sądzę, że nadawałaby się na towarzyszkę mojego życia, ale zbyt wiele nas dzieli. Wyznajemy różne

religie. Należymy do różnych gatunków. Jak wszystkie rasy humanoidalne uprawiamy oczywiście seks, ale dziewczyna ma szczęście, że nie widziała mnie nago. Egzotyczne rysy twarzy to nie wszystko. Są i pewne inne różnice, nazwijmy to, anatomiczne... I co mam jej powiedzieć? Że lubię ją, bo trochę przypomina mi Dafię?



Kusza to wspaniała broń. Zgromadziłem osiem sztuk. W wolnych chwilach lubię sobie postrzelać w piwnicy lub w zagajnikach wśród wałów kolejowych. Ćwiczę i badam możliwości. Czuję, że za jej pomocą można całkowicie zmienić historię. Poprzednia epoka odejdzie w niebyt. Narodzi się nowa. Jednym celnym ciosem wytrącimy republice z rąk najpotężniejszą broń i zmusimy jej żołdaków do powrotu za morze. Jednak aby wykorzystać zdobytą w tym świecie wiedzę, muszę najpierw wrócić do swojego. Przejście przez bramę jest proste. Można tego dokonać w pojedynkę. Ale tylko w jedną stronę. Aby wrócić, rytuał musi odprawić siedmiu przedstawicieli naszego ludu. Po dwu latach wzajemnych poszukiwań zdołaliśmy ustalić, że w tym świecie jest nas sześcioro. Żyjemy nadzieją.

Wyjmuję z torby laptopa. Spośród wszelkich ziemskich urządzeń elektronika napawa mnie szczególną niechęcią. Czuję, że ta cywilizacja właśnie tym wynalazkiem ostatecznie podpisała na siebie wyrok śmierci i otworzyła śluzy, przez które wypłynie fala zagłady. Już wcześniej tandeta ich wyrobów sprawiała, że żyli pośród gór śmieci. Internet pozwolił wprowadzić ten śmietnik bezpośrednio do ich domów, serc i umysłów. Klawisze parzą mnie w palce, jakby zostały posmarowane trupim sadłem. Skalaliśmy się, żyjąc tutaj...

Adresy w zakładce prowadzą mnie do największych targów

odpadków tego świata. Wchodzę na Allegro. Przeglądam je po kolei. Wpisuję „Etiopia”. Trzydzieści dziewięć trafień. Monety, znaczki pocztowe, książki, amulety... Pudło. Godłem naszego państwa jest birru – zwierzę podobne do lwa, trzymające sztandar. Można je na pierwszy rzut oka wziąć za symbol tego afrykańskiego cesarstwa. Liczę po cichu, że ktoś z naszych przyciśnięty nędzą sprzeda jakiś przedmiot. Jak do tej pory nadzieja ta spaliła na panewce. Wpisuję w wyszukiwarce słowo „Wenecja”: sto siedemdziesiąt siedem przedmiotów. Lew świętego Marka wygląda inaczej, ale ludzie nie grzeszą bystrością. Jeszcze „Mołdawia”, na ich butelkach z winem też widnieje coś takiego. Nic. Pora sprawdzić broń białą. Przeglądam wystawione szable, miecze i katany bez większego entuzjazmu. I nagle. Jest. Wpatruję się kompletnie zbaraniały w zdjęcie przedmiotu opisanego jako „fantastycznie wielki majcher dla rycerza”.

Otwieram stronę z aukcją, powiększam. Nie ma mowy o pomyłce. To tippla – broń osobista używana przez oficerów naszego królestwa. Z ludzkiego arsenału najbardziej przypomina ją indonezyjski klewang, ale sprzedawca nie był aż tak oblatany, by o tym wiedzieć. Wystukuję polecenie: „Inne przedmioty użytkownika”. Włosy stają mi na głowie. Na drugiej aukcji: „talar gruziński(?), kopia”. Ta moneta to afta, rozmiarami przypomina ludzkiego talara... A zatem to nie przypadek. Albo sprzedaje to ktoś z naszych, albo sprzedawca zetknął się w jakiś sposób z przedstawicielem mojego ludu.

Sprawdzam jego poprzednie aukcje. Koła od wozu, maglownica, zdezelowany kołowrotek, stare żelazko na węgiel drzewny... Nic ciekawego, po prostu trochę szmelcu, jaki na wsiach poniewiera się po szopach, a który miastowi lubią wieszać na ścianach. Sprzedający wszedł w posiadanie naszych przedmiotów niedawno. Oba są w opcji „kup teraz”. Prowokacja? Kto wie. Aukcja została wystawiona dopiero co, kilka godzin temu. Jeśli to nie jest pułapka, trzeba działać natychmiast.

Z opisu wynika, że mieszka w Wólce Ostrowskiej. Gdzie to jest? Nie tak daleko, sto dwadzieścia kilometrów na północ od Warszawy. Dokonuję zakupu i wysyłam maila z propozycją osobistego spotkania celem odebrania wylicytowanych przedmiotów. Teraz wystarczy obmyślić strategię i cierpliwie czekać na odpowiedź.



Od zatoki powiał wiatr. Słońce niebawem wzejdzie, już teraz lekko zaróżowiło zasnute dymami niebo. Połamana podłoga zaskrzypiała mi pod nogami. Ostrożnie przesunąłem doniczkę z uschniętymi kwiatami stojącą na parapecie. Nabiłem oba samopały. W zasięgu ręki położyłem łuk z poroża świętego wawako. Oni zawsze chodzą trójkami.

Odległe kroki podkutych buciorów... I oto są. Trzy potężnie zbudowane, dobrze odżywione byki o tępych gębach. Idą zaułkiem czujnie, strzelając oczami na boki. Jeden dźwiga na plecach worek. Widać udała się bydlakom rewizja w dolnym mieście. Ale na kwaterę już łupu nie doniosą...

Mógłbym przepuścić ich i strzelać w plecy. Lecz wojna, którą tocymy, to nie tylko eliminowanie wrogów, to także próba naszego honoru. A prawdziwe złoto sprawdza się w ogniu.

Kula waży kilkadziesiąt gramów. Czarny proch nadaje jej naprawdę potężną energię kinetyczną. Trafiony żołnierz runął ciężko na plecy. Jego towarzysze, zamiast paść na ziemię i poszukać kryjówki, rozglądali się, szukając miejsca, z którego padł strzał. Kiepsko u was z wyszkoleniem, chłopaki. Syknął proch na panewce. Celowałem w pierś drugiego łajdaka, jednak dostał między oczy. Kula nie przebiła kości, ale uderzenie było na tyle mocne, by chrupnął łamany kark. Trzeci mnie zauważył, jednym ruchem uniósł samopał.

Dwanaście, może piętnaście kroków odległości. Zdąży strzelić. Nim sięgnę po łuk, jego broń wypluje kule z obu luf. To już koniec.

Błysk szabli. Głowa żołdaka toczy się po ulicy, z przeciętej szyi strzela gejzer krwi. Chłopak, może czternastoletni, ubrany w za dużą dla niego bluzę czeladnika, salutuje mi, z niedbałym wdziękiem unosząc zakrwawioną klingę swojej broni. Wschodzące słońce wyłociło ją na chwilę...

Jesteśmy ludźmi króla. Naszą siłą jest niewiara w możliwość przetrwania republiki. Naszą siłą jest wierność tradycji sięgającej tysiąca pokoleń. Naszą siłą jest świadomość, że oni próbowali podbić nas nieskończoną ilość razy. Naszą siłą są zapisy w kronikach. Ich władza na ziemiach królestwa zawsze, wcześniej czy później, kończyła się w ogniu rojalistycznego powstania.

A jednak coś uległo zmianie. Po tamtej stronie morza musiało dojść do straszliwej katastrofy. Nigdy nie próbowali podbić naszych ziem na stałe. Nigdy nie dokonywali na taką skalę eksterminacji ludności cywilnej. Do tej pory chodziło im wyłącznie o zdobycie łupów. Zajmowali wybrzeże, w najgorszym razie wdzierali się na równiny. Nigdy dotąd nie zmusili króla do ucieczki na pustynie za górami. Ich najazdy nigdy dotąd nie przekształciły się w wojnę totalną. Nigdy wcześniej nie próbowali zmienić naszego światopoglądu na republikański. I nigdy nie byli też na tyle zdesperowani, by w walce z nami sięgnąć po urządzenia techniczne podpatrzone w Ziemi Kłamców.

Do tej pory mieszczan do powstania wiedli zawsze arystokraci. Tym razem wymordowano ich do nogi i rzemieślnicy musieli radzić sobie z wrogiem sami.



Ocknąłem się tuż przed piątą rano. Wyciągnąłem rower z komórki. Dociskając równo pedały, przemknąłem przez miasto, aż zatrzymałem się przy budce transformatorowej na obrzeżach Woli. Trzy lata temu, gdy trafiłem do tego miasta, stała opuszczona, strasząc pustymi framugami. Odpowiednie drzwi znalazłem na śmietniku, pociągnięte ciemnoniebieską farbą dobrze udają metalowe. Pomalowałem na biało sparszywiały tynk. Wreszcie zawiesiłem w odpowiednim miejscu tabliczkę odczepioną ze słupa wysokiego napięcia. Kamuflaż jest prawie idealny. W każdym razie przez trzy lata nikt się nie włamał. Przez dłuższą chwilę, obserwowałem budkę i jej otoczenie. Cisza i spokój... Oczywiście gdzieś na drzewie może wisieć minikamera wycelowana w wejście. Wewnątrz mogli umieścić alarm, jednak szósty zmysł podpowiadał mi, że nikt nie natrafił na to miejsce.

Otworzyłem patentowy zamek. Kawałek wierzbowego listka tkwił między skrzydłem a ościeżnicą, dokładnie w miejscu, gdzie go umieściłem. Zaczepiłem klamkę linką i cofnąwszy się dobre piętnaście kroków, pociągnąłem. Jeśli zdołali mnie namierzyć, drzwi będą zaminowane. To najprostszy sposób eliminacji. Sznurek spełnił swoje zadanie. Skrzydło uchyliło się ze zgrzytem zawiasów. Nic się nie stało. Można wejść.

Z pierwotnego wyposażenia została tylko jedna szafa, niegdyś kryjąca jakieś elektryczne urządzenia. Sześć śrub mocuje jej tylną ściankę. Staram się nie trzymać w domu nic, co w razie rewizji mogłoby zdradzić moje pochodzenie. Skrytka wykuta w ścianie była głęboka na jedną cegłę, akurat w sam raz na moje potrzeby.

Zauważyłem to w ostatniej chwili. Łebek jednej śruby znajdował się w innej pozycji, niż go zostawiłem. Odbezpieczyłem rewolwer i wyszedłem na zewnątrz, trzymając broń lufą do ziemi. Pusto. Zatrzasnąłem drzwi, przekręciłem klucz. Wskoczyłem na rower i popedałowałem alejką. Dwadzieścia metrów, trzydzieści... Fala uderzeniowa rąbnęła mnie w tej

odległości miękko, jak wielka poducha. Przekoziółkowałem przez kierownicę, kątem oka spostrzegłem, jak mknący w powietrzu kawał betonu ścina drzewko rosnące przy alejce.

Leżę. Nasza medycyna uczy, że po urazie należy przez chwilę zachować bezruch, by zbadać swoje ciało umysłem – analizując docierający do mózgu ból. Natychmiastowe próby poderwania się z ziemi, obmacywanie kończyn i temu podobne nerwowe ruchy przynoszą poważne szkody psychiczne i opóźniają powrót do zdrowia.

Poza tym, jeśli ktoś mnie obserwuje, lepiej udawać zabitego. Przymykam oczy, szepczę modlitwę. Dotykam czoła w geście przywołania pamięci przodków. Żyję. Tylko się potłukłem. Musiałem przerwać obwód, kiedy wszedłem. Mina założona była tak, by eksplodować w chwili, gdy będę się męczył ze śrubami. Rower, o dziwo, też jest cały, wskakuję więc na siodło. Trzeba oddalić się, zanim huk wybuchu ściągnie na miejsce ciekawskich oraz tubylcze służby.

Rzucam okiem na wyświetlacz telefonu. Marta próbowała się do mnie dodzwonić. Nie poddaje się. Żal mi jej. Nie mogła gorzej ulokować swoich uczuć. Nasze światy dzieli połowa wszechświata...



Obchodzenie naszych świąt to skomplikowany problem. W świecie, do którego trafiliśmy, wszystko jest inne. Doba trwa ponad cztery czory krócej. Planeta obiega swoją gwiazdę w zawrotnym tempie, podczas kiedy u nas rok trwa ponad tysiąc ziemskich dni. Do tego nasz kalendarz dawno uniezależnił się od czegoś tak trywialnego jak pory roku czy zjawiska astronomiczne. To wymusza kolejne skomplikowane obliczenia.

Kluczę, sprawdzam, czy nikt mnie nie śledzi. Przymykam dziwną, pokrętną trasą, mknę przez śmierdzące moczem bramy, przecinam

podwórka dziewiętnastowiecznych czynszówek. Zbliżam się ostrożnie do wyznaczonego punktu.

Jeśli wszystko dobrze wyliczyliśmy, dziś o 11.47 przypada moment, gdy w naszym świecie wschodzące słońce wyznacza Dzień Odejścia Stad. Straciłem mój strój obrzędowy, ale w kwaterze głównej powinien być jeden zapasowy.

Przy ulicy w umówionym miejscu stał fiacik. Miał podniesioną maskę, zapalone światła awaryjne, a kawałek za nim stał trójkąt ostrzegawczy. Siadłem z tyłu, Timker i Agrejmis wskoczyli do samochodu i bez zbędnych słów ruszyli, włączając się sprawnie w sznur pojazdów przetaczających się ulicą. Trzeba wyłączyć komórkę i wyjąć z niej baterię. Może być na podsłuchu...

Gdzieś za Wilanowem zjechaliśmy w lewo, w stronę Wisły. Dłuższą chwilę kluczyliśmy po polnych drogach pomiędzy zagajnikami, aż wreszcie zatrzymaliśmy się koło zapuszczonego gospodarstwa przylegającego prawie do wału przeciwpowodziowego. Nie zdążyliśmy zapukać, gdy drzwi domu otworzyły się gościnnie. Asper jak zwykle nie dał się zaskoczyć.

Wchodzimy do niewielkiego saloniku. Na kominku płonie ogień, ściany wyłożono kamieniem. Wokół okrągłego stolika stoi kilka krzesel, każde z innej parafii. W kącie śpiewa para w samowarze, na koronkowej serwecie patera z kromkami i miska z oliwą do maczania chleba. Staję przed ścianą. Gdy ja ratowałem życie, uciekając z jednym zawiniątkiem w garści, Ana i Tavi postarały się, by zabrać na tułaczkę wszystko, co niezbędne. Portret króla Kasaora, haftowane na amili godło królestwa, wycięty w kamieniu symbol gotowości w oczekiwaniu...

Stoję przed nim z kornie pochyloną głową. Unoszę dłonie, by wykonać znak przyjęcia. Przez chwilę czuję się jak w ojczyźnie, jakbym nigdy nie opuszczał rodzinnej Fresii.



Pamiętam tamten dzień przed laty, jakby to było wczoraj. Nadchodził świt. Za pół czori miałem zdać wartę. W zaułkach panował spokój. Żołnierze siedzieli w koszarach, guerille zapadły w swoich kryjówkach, nieliczni mieszkańcy, którzy pozostali w mieście, z pewnością jeszcze spali. Było na tyle jasno, że nawet z tej odległości widziałem, jak stryczki na szubienicach w Forcie Krakena kołyszą się w leniwych podmuchach wiatru. Nie wiem, co sprawiło, że oderwałem wzrok od portu, by spojrzeć przez lunetę na morze. Rząd ciemnych plamek zdawał się wisieć tuż nad horyzontem. Sterowce. Dwadzieścia, może trzydzieści sztuk. Pędzone lekkim wiatrem, wykorzystujące maksymalnie połowę mocy silników, szły w szyku bojowym, kierując się prosto na Fresię... A zatem przegraliśmy. Nasze powstanie po dwudziestu dniach i opanowaniu większej części górnego miasta właśnie upadło. Dalszy opór jest niemożliwy. Dwa, może trzy tysiące żołnierzy gwardii republikańskiej wykurzy nas jak szczury z nor.

Obudziłem moich podkomendnych. Zrozumieli od razu. W milczeniu patrzyli, jak rozwiązuje szarfę zdobiącą moje czoło. Poprowadziłem ich ku kłesce. Oficer królewskiej armii w takim przypadku miał tylko dwa honorowe wyjścia: samobójstwo lub poddanie się próbie przejścia przez bramę. Nie byłem mianowanym przez króla oficerem, ale przyjąwszy na siebie godność dowódcy oddziału, przypieczętowałem swój los. Odpowiedzialność jest częścią wolności. Moi towarzysze odejdą na wschód, odszukają w wioskach swoich krewnych, rozplyną się w morzu uchodźców. Będą żyć w strachu przed zdemaskowaniem, ale wśród swoich. Ja muszę odejść do innego świata. Jeśli przeżyję tę próbę, będę uznany za oczyszczony z win. To trudna próba. Jak dotąd wrócił może co setny...



Budzę się ze wspomnień. Nikomu nie mówiłem o tym, co wygrzebałem w Sieci. Nie chcę budzić złudnych nadziei. Rozczarowanie byłoby zbyt bolesne. Do wsi pojedę z Asperem. Póki nie uda się sprawdzić śladu, lepiej przyjmować, że jest nas jedynie sześcioro. To oznacza, iż nie mamy jak wrócić. Teoretycznie Ana lub Tavi mogłyby urodzić dzieci, potem wystarczy poczekać kilkanaście lat, aż potomstwo dorośnie na tyle, by wtajemniczyć je w rytuał bramy. Niestety, pomysł ten napotyka na jedną poważną przeszkodę. Obie były kapłankami bogini Seletu. Złożyły śluby czystości. Gdy ukończyły dwadzieścia lat, ich posługa się skończyła. W naszym świecie w święto Koniunkcji uroczyście spalono by ich kontrakty. Ale utknęły tutaj... No i mamy pat, bo śluby może zdjąć tylko kapłan wyższego stopnia.

Składamy pokłony tylko w cztery strony świata. Strona piąta jest przeklęta – droga przez morze prowadzi do republiki... Mamy problem z wyznaczeniem kierunków, w tym świecie nie ma gwiazdozbiorów, które pomogłyby to określić. Tubylcy posługują się dziwną siatką współrzędnych, jakby nie byli w stanie pojąć, że idealnym odwzorowaniem kartograficznym jest pentagonalne. Widziałem ich mapy. Są bez sensu. Jak w siatkę mającą tylko cztery boki wrysować znak przyjscia czy sylwetkę człowieka?!

Na pięciu tyczkach wbitych w trawnik za domem powiewają wstęgi. W tym dniu na tarasie głównej świątyni Fresii wznoszono pięć słupów, a pięć kapłanek rzucało w powietrze jesienne kwiaty. Zrywający się wiatr wyznaczał kierunek wędrówki stad trawożernych gyff. Jeśli powiał w stronę Suchych Gór, wiedzieliśmy, że zwierzęta idą na szybką śmierć. Wśród skał i słonych jezior nie znajdowały dość wody i pożywienia, by przetrwać. Wysokie granie sprawiały, że nie mogąc przebyć pasma,

podczas pierwszych mrozów ginęły w dolinach, znacząc stoki tysiącami bielejących kości. Gdy nadchodziły śniegi, myśliwi przywozili na targi całe pęki skór padlinożerców. Szyliśmy z nich ciepłe delie i narzuty pomagające znieść nocne chłody. Kiedy wiatr powiał w kierunku morza, pędziliśmy zwierzęta na mielizny i zabijaliśmy, aż wody zatoki zabarwiały się na czerwono od ich krwi. Węgorze takiej zimy były tłuste i nieruchawe, a my, jedząc je, tyliśmy; gruba na dwa palce warstwa sadła sprawiała, że nie czuliśmy powiewów lodowatego wichru. Jeśli wiatr powiał ku równinom, stada odchodziły. Wtedy czekała nas chłodna i głodna zima. Zwierzęta pożerane były przez drapieżniki dalekich krain, a to nie dawało nam żadnych korzyści...

Kończymy rytuał serią tańców figuralnych odzwierciedlających odmienności losu. Potem, leżąc, stykamy się palcami szeroko rozstawionych stóp. Symbolizujemy larwy trawożerców oczekujące wiosny w głębinach ziemi...



Zaraz za domem Aspera wznosi się stary, nieco zniwelowany wał przeciwpowodziowy. Przeszliśmy ledwo widoczną ścieżką i znaleźliśmy się po drugiej stronie.

Szyny pochodzące z kolejki wąskotorowej biegły przez zagajnik olszyn i kończyły się w wodach starorzecza. Na sporej platformie spoczywał statek. W pierwszej chwili wydać się mógł wielki jak galera bojowa, ale miał nie więcej niż piętnaście metrów długości. Burty znaczyły kostropate linie spawów i nitowań. Część blach pociągnięto już błękitnym lakierem. W innych miejscach ciągle świeciła goła stal.

Koło Gdańska w trzciniowisku nad Wisłą leżał przez wiele lat wrak kutra patrolowego. Drewniane poszycie oczywiście diabli wzięli, to

znaczy deski jeszcze się trzymały, ale palcem można było dziury wiercić. Pojechaliśmy tam, porznęliśmy piłami, zdemontowaliśmy metalowy szkielet i przewieźliśmy na raty tutaj. A potem, cóż, kupiliśmy kilkadziesiąt arkuszy stalowej blachy, spawarkę i zabraliśmy się do pracy. Za kilka tygodni kadłub będzie gotów. Wtedy sprzedamy to komuś, komu marzą się dalekie podróże. Jeśli uwzględnimy koszty własne, przebicie będzie co najmniej pięciokrotne. Będzie z czego żyć przez długie miesiące. Im dłużej tu przebywam, tym bardziej przekonuję się, że w tym kraju pieniądze leżą na ulicy...

Patrzę na statek, czując ogarniającą mnie niechęć. Jest tak bardzo obcy. Tutejszy. Choć w znacznej części odbudowany naszymi rękami, stanowi nieodrodny wytwór ludzkiej techniki. Skalaliśmy dłonie i serca, spawając te burty. Czujemy, jak dzień po dniu na naszych duszach pozostaje coraz grubszy osad. Używamy spawarek, pistoletów natryskowych, nitownic. Technika nas kusi, uwodzi, demoralizuje...

Statek z metalu. Będąc nad morzem, widziałem tankowce, drobnicowce, masowce. Pomysł, żeby budować okręty z żelaza, wydaje mi się kuriozalny. Zwłaszcza w kraju, którego czterdzieści procent powierzchni pokrywają lasy. Równie dziwne pomysły ludzie mają na napędzanie tych kolosów. Trzymają pod kluczem osiemdziesiąt tysięcy kryminalistów, drugie tyle chodzi po ulicach. Mimo to władzom nie przyjdzie do głowy zagonić bandziorów na galery i przykuć do wiosł.



Byliśmy niemal u celu, gdy przyszedł SMS od Marty. Ma mnie dosyć. Żal zmieszał się z ulgą. Wysiedliśmy z pekaesu. Spojrzałem na zegarek. Za półtorej godziny mamy powrotny. Wiatę przystanku ustawiono na pagórku. Wieś rozłożyła się wzdłuż szosy odchodzącej w lewo od

głównej drogi. Kilkanaście chałup, pochylone płoty, stada kur, przekrzywione stoliki, na których rankami stawia się kanki z ciepłym jeszcze mlekiem, żeby wóz z mleczarni mógł je pozabierać. Prawie jak u nas na prowincji. Tylko zwierzęta i roślinność trochę inne. Jest i nasz człowiek.

Sprzedawca miał może piętnaście lat. Widząc, że przyjechałem z obstawą, trochę jakby się spłoszył. Przywitałem się, wyciągnąłem portfel. To go uspokoiło.

– Tak to wygląda. – Z dumą rozwinął gazetę.

Wystarczył nam jeden rzut oka.

– Faktycznie tippla – mruknął Asper w dahs.

– W porządku towar? – Chłopak, słysząc słowa w obcym języku, znowu się zaniepokoił.

– Tak – uspokoiłem go. – A moneta?

Wyłowił z kieszeni aftę. Lekko wytarta, opatrzona datą sprzed dwudziestu tefii.

– Może i fals, ale dwie dychy wart, co nie? – zagadnął przymilnie.

– Fals ewidentny, ale może być. – Odliczyłem mu trzy setki za broń i jeszcze dwadzieścia złotych za monetę.

Biedny frajer. Afty bite są z irydu. Iryd tu, na Ziemi Kłamców, jest pięciokrotnie droższy od złota. Teraz pora pogadać na poważnie. Wyjąłem z kieszeni dwustuzłotowy banknot. Piękny, nowiutki, szeleszczący, prosto z banku. Żółtobrazowy nadruk, hologram, żaden rożek nie jest zagięty...

– Yyyy... – Łebek popatrzył na papierek z dziwnym błyskiem w oku. – Co mogę dla was jeszcze zrobić?

Dzieciak nie ma pojęcia, że jeden z wariantów zakładał tortury. Tylko po co brać go na męki, skoro tak ochoczo gotów jest współpracować? Dobrze to rozegrałem. W tej zasyfionej dziurze nieczęsto trafiają się takie nominały.

- Mój kumpel też jest Gruzinem. Zaciekawilo go, skąd te dwa przedmioty mogły się tu wziąć.

Kłamstwa w tym świecie przychodzą nam jakby naturalnie... Brzydzą się sobą, ale przecież prawdy nie mogą powiedzieć.

Nasz kontrahent zamyślił się na chwilę. Czyli słusznie podejrzewaliśmy, że źródło pochodzenia tych dwu drobiazgów nie jest do końca czyste.

- Zapewnimy pełną dyskrecję. Jesteśmy po prostu ciekawi... - nacisnąłem delikatnie.

- Znalazłem w takiej opuszczonej chałupie - wyjaśnił. - Niedaleko stąd.

- Pokaż. - Wręczyłem mu papierek.

Ruszyliśmy. Dom leżał za wsią, na stoku wzgórza. Od razu zorientowałem się, że jest od dawna opuszczony. Zatrzymałem się na chwilę przed rozchwierutaną bramą. U celu jakby na moment odeszła mnie odwaga. Pułapka? Nigdy nie można tego do końca wykluczyć, ale czuję, że nie ma żadnego ryzyka. Nie tym razem. Uchyłona furtka opadła, wrosła w ziemię. Namacałem w torbie kolta.

- Kto tu dawniej mieszkał? - zapytałem.

- Takie dwie dziewczyny, jedna starsza, a druga tak ze dwanaście lat. Jakies dwa lata temu wzięły i znikły. Zresztą nielegalnie tu siedziały - wyjaśnił. - Ale sympatyczne takie, robotne, ludzie je chętnie najmowali do roboty w polu.

Wejście do domu umieszczono od podwórza. Wysoka trawa, popękana podmurówka. Dawno nikogo tu nie było. Zapukałem na wszelki wypadek do drzwi. Odpowiedziała głucha cisza. Bezwiednie sięgnąłem dłonią i namacałem klucz leżący na framudze.

Przekręciłem go w zamku. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Łebek i Asper zostali na zewnątrz. W sieni powitał mnie kwaśny zapach stęchlizny. Wkroczyłem do kuchni. Stary piec, stół przykryty ceratą, kilka

garnków... W węglarce położyłem gazety sprzed dwu lat. Pchnąłem drzwi do pokoju. Szafa, łóżko z resztkami pościeli. Na ścianie jaśniejszy ślad po krzyżu albo symbolu przyjscia. Ktoś go odczepił i zabrał. Żadnych papierów, żadnych zdjęć, książek, nic... Poczułem rozczarowanie.

Za kuchnią była mała spiżarka. Obejrzałem puste półki i dziurę prowadzącą na strych. Drabiny nie było. Podskoczyłem, złapałem się krawędzi, podciągnąłem. Jakies pudła, graty... Tak nie zdołałem się wywindować. Trzeba znaleźć drabinę.

Wyszedłem na podwórze. Gdzieś z daleka wiatr niósł zapach świeżo zaoranej ziemi i wypalanych ściernisk. Chyba zanosilo się na deszcz. Zajrzałem do kurnika, potem do obory. Wszędzie pusto... Czyli nie ma bata. Podstawiłem pod dziurę spróchniały stół, na nim ustawiłem rozeschnięte krzesło. Stabilność piramidy oceniłem jako zadowalającą. Strych był ciemny, nieco światła padało przez okienko na końcu. Na szczęście przewidziałem to, w kieszeni miałem latarkę. Zabrałem się za bebeszenie kartonów. Tektura po latach stania na wilgotnym strychu rozłaziła się w palcach. Jakies stare ubrania, słoiki z przetworami, klatka na kanarka... Znowu nic.

- Vyhet - zakląłem.

Ale łebek nie kłamał. Tuż przy klapie leżał pleciony sznurek, pendent od tefii. Dzieciak musiał przegapić go po ciemku.

Wyszedłem przed chatę. Asper, stojąc na warcie, oglądał w zadumie zakupioną broń. Rękojeść dobrze leży w dłoni. Ciemnobrązowe drewno z drzewa wisielców łączone ze srebrzonym brązem. Pochwa pokryta kompletnie sparciałą skórą wawako, okuta na końcu trzewikiem. Dwie zaśniedziałe ryfki z brązu. Asper wysunął powoli głównię. Wychodziła z pewnym oporem, oleje stężały i przywarła do drewnianej wyściółki. Wzór jaśniejszych i ciemniejszych rombów nie pozostawiał wątpliwości. Broń wykuto z brązu berylowego. Przyjaciel obrócił szablę na drugą stronę, a ja omal nie krzyknąłem. Wzdłuż krawędzi wygrawerowano, czy

raczej wytrawiono, napis w naszym języku: *Dafii w dniach buntu szewców*. Zamykam oczy, pozwalam, by wspomnienia wzięły górę...



Sterowiec nadlatywał znad portu. Wyglądał jak ogromny wieloryb, który wbrew prawom fizyki wzniósł się w przestworza. Wielki szary balon, wypełniony tysiącami avi sześciennych wodoru, poniżej gondola z trzema pokładami bojowymi. Po bokach dwa silniki na sprężone powietrze, z tyłu ster. Patrzyliśmy na maszynę wroga z bezsilną wściekłością. Kule z samopałów czy strzały z łuków tylko z największym trudem były w stanie przebić powłokę. Wewnątrz znajdowało się osiem mniejszych balonów. Trzeba by kilkuset bezpośrednich trafień, aby ubytek gazu zmusił załogę do odwrotu.

Gondola pokryta skórą initero sama przypominała wielkie, włochate bydlę pasożytujące na cielsku lewiatana. Gdy dochodziło do walki, załoga, mogąca liczyć nawet setkę uzbrojonych bydlaków, strzelała przez wąskie rozcięcia. Gruba warstwa futra dobrze zabezpieczała ich przed naszymi kulami i strzałami.

Balon natrafił na ciepły prąd powietrzny, za chwilę znajdziemy się w zasięgu ognia. Moi towarzysze spokojnie szukali sobie osłon. Zasypiemy drani gradem strzał, może kilku uda nam się trafić. Liczyłem, że zdołamy pociskami hakownic uszkodzić któryś z silników, zanim maszyna wzniesie się wyżej. Jeśli nas minie, załoga z pewnością zbombarduje te pozycje, a wtedy zginiemy...

Nagły tupot przerwał moje rozmyślenia. Na pomoc przybył nam oddział Dafii, operujący najczęściej w wyższych partiach doliny. Dziewczyna wyciągnęła z plecaka grube stalowe sprężyny odcięte z jakiegoś tapczanu.

– Dziś damy im popalić – mruknęła. – Wiązać!

Dwaj chłopcy z jej oddziału błyskawicznie przymotali rzemieniami końce stalowych spirali do pni uschłych drzewek.

– Proca? – zdziwiłem się.

– Bojowa wyrzutnia ładunków zapalających – sprostowała z godnością.

Jej towarzysze faktycznie naszykowali kilka butelek z oliwą. Dafia naciągnęła potężne sprężyny. Umieściła flaszkę w uchwycie, ktoś podbiegł z pochodnią w dłoni i przypalił lont. Musieli ćwiczyć to wiele razy, byli idealnie zgrani. Zewnętrzna powłoka sterowców jest azbestowa. Próbowaliśmy wielokrotnie atakować je przy użyciu strzał owiniętych w płonące pakuły. Bez skutku. Poza tym zawsze trzymali się w bezpiecznej dla siebie odległości.

Pierwszy pocisk, ciągnąc za sobą smugę dymu, pomknął w przepaść.

– W celu! – krzyknęła dziewczynka, może ośmioletnia, stojąca przy barierce. – Pięć stopni w lewo.

Nawet nie zauważyłem, kiedy przygotowali drugi strzał. Podbiegłem do krawędzi. Kolejna butla roztrzaskała się, znacząc powłokę balonu ognistą smugą. Przez chwilę byłem prawie pewien, że pożar nic mu nie zrobi, ale w tym momencie spostrzegłem, jak tkanina pęka, wyrzucając z wnętrza obłok płonącego gazu.

– Drugi! Dwadzieścia stopni w prawo – zawołała mała. – Dużo niżej.

Rzeczywiście, od strony cytadeli pędził w naszą stronę kolejny sterowiec. Łopaty wirników pracowały na najwyższych obrotach, nawet bez lunety dostrzegałem sterczące z gondoli lufy. Flaszka pomknęła w przestrzeń, ale tym razem nie trafiła.

– Za blisko.

– Robię, co mogę. – Dafia naciągnęła mocniej sprężyny.

– W celu!

Pierwsza jednostka powoli zamieniała się w kłęb ognia. Załoga

usiłowała posadzić śmiertelnie ranną maszynę na ziemi, jednak uderzyli o dachy budynków dolnej dzielnicy z taką siłą, że zadziały zapalniki co najmniej kilku bomb zgromadzonych na pokładzie. Drugi sterowiec, widząc los poprzednika, natychmiast zawrócił. Patrzyłem na trawiący go ogień, zastanawiając się, czy zdołają opanować pożar. Nie zdołali, wśród płomieni błysnął na chwilę bambusowy szkielet wewnętrzny i kręgosłup balonu trzasnął jak wykałaczką. Dafia stanęła koło mnie, przez chwilę napawała się swoim zwycięstwem.

Taką właśnie ją zapamiętałem. Wystarczy, że przymknę oczy, i zaraz pojawia się ten obraz. Brzydka dziewczyna, o krótkich, ciemnych i krzywo ostrzyżonych włosach, ubrana w spłowiałą płócienną koszulę z naszywką czeladniczki introligatora, patrząca bez zmrużenia oczu na śmierć dwu setek żołnierzy wroga ginących właśnie z jej ręki...



Stoję na spróchniałym progu chaty. Asper milczy, chyba myśli o tym samym co ja. Dafia i jej młodsza siostra mieszkały w tej wiosce dwa lata temu. Coś je spłoszyło, coś sprawiło, że musiały uciekać. Ale są tutaj, w tym świecie. Wystarczy je odnaleźć i będziemy wolni.

– Jak sądzisz, zostawiły trop? – pytam.

– Jeśli wiedziały, dokąd się udają... Ty znałeś je lepiej. Masz pomysł, gdzie szukać wskazówki?

Kiwam głową. Koło przystanku stoi statua jakiegoś ludzkiego świętego wykuta w piaskowcu. Wokoło ułożono kawałek bruku z niedużych kamieni. W czasie naszego buntu pomnik Ake Geveina stanowił skrzynkę kontaktową. Nasza kultura lubi operować analogiami, które ludziom nie przyszłyby do głowy.

Wśród szarych granitowych otoczków pod „świętym” spoczywał

jeden szaroczarny, bazaltowy. Podniosłem go i schowałem do kieszeni. Dopiero w pekaesie odwróciłem na drugą stronę. Tak jak sądziłem, diamentowym rysikiem wyskrobano napis w naszym alfabecie: *Światło łagodnie wędruje po falach czarnego bezkresu.*

Nie jest to dokładna wskazówka, ale powinna wystarczyć. Przy odrobinie szczęścia odnajdziemy dziewczyny. Będzie nas ośmioro, w tym siedmioro w wieku pozwalającym otworzyć bramę.

Podzieleni na małe grupki, forsownym marszem ruszymy ku Fresii. W każdej wsi dołączą do nas ochotnicy. Wiejscy kowale wedle naszych instrukcji przygotowują kusze. Oddziały króla zejną z gór i razem pójdziemy w stronę wybrzeża. W wypchanych plecakach przydźwigamy kilkaset kilogramów magnezu, fosforu i termitu. Wierzymy, że w walce, która nas czeka, przechylią szalę zwycięstwa na naszą stronę. Republika chce wojny totalnej, no to będzie ją miała.

Teraz, gdy pojawiła się realna szansa powrotu, zamiast radości czuję strach. Nie mogę otrząsnąć się z dojmującego przeczucia rychłej zagłady. Ale umrę w walce. A jeśli przeżyję? Gdzieś tam, opodal pomnika budowniczego-poety, czeka na mnie dom i warsztat z widokiem na zatokę. Po kamiennych ścianach pną się pędy dzikiej róży. Po latach okupacji, nędzy, prześladowań i cierpień wśród mieszkańców Fresii z pewnością znajdą się ludzie, którzy będą pilnie potrzebowali nowych butów.



Nadchodzi wczesny jesienny zmierzch. Zapalam gałązkę bukszpanu, by zakreślić nią potrójny krąg...

ARTUR SZREJTER [1971]

Debiutował opowiadaniem *Wieszcz* w 1991 roku („Fenix”).

Wydał książkę popularnonaukową *Mitologia germańska*. W Internecie opublikował grę RPG „Świat Almohadów”.

Jeden raz był nominowany do Nagrody imienia Janusza Zajdla.

Jego opowiadania były tłumaczone na czeski i słowacki.

Autor opowiadań, artykułów o tematyce fantastycznej i popularnonaukowej, redaktor kilku pism i redakcji wydawniczych w różny sposób związanych z fantastyką.

Obecnie zawodowo zajmuje się redagowaniem komiksów i książek (przede wszystkim SF i fantasy).

Artur Szrejter

Shamballah

POŁUDNIOWY TYBET, 17 WRZEŚNIA 1939 ROKU

W promieniach ostrego słońca pysk lodowego giganta, zżerającego cały stok góry, skrzył się tak przeraźliwie, że bez przyciemnianych okularów nie dawało się wytrzymać.

Gdzie tylko sięgnąć wzrokiem, wszystko pokrywał biały płaszcz. Twardy, zbity lód, zapewne pamiętający czasy najdalszych przodków dalajlamów. Lekki wiatr przynosił drobiny śnieżne zwiewane z pobliskiego szczytu.

Mężczyzna zdjął przeciwsłoneczne okulary. Biel. Wszędzie biel. Nie, jednak nie wszędzie. Zamknął oczy. Nawet z opuszczonymi powiekami potrafił odtworzyć w umyśle całą scenę. W samym środku śnieżnej pościeli leży człowiek, ciemny punkt na białym całunie. A wokół niego czerwień, coraz więcej czerwieni.

W końcu zdobył się na odwagę. Podszedł do ciała, wyciągając wielki nóż.

Z wprawą myśliwego odciął trupowi głowę. Druga plama czerwieni rosła szybciej od poprzedniej.

Starannie, z dziwną u tak potężnie zbudowanego mężczyzny delikatnością, zawinął głowę w lnianą chustę, a potem wsadził do torby. Trochę niewprawnie zaciągał rzemienie – brak dwóch palców u lewej ręki dawał mu się we znaki.

– I Danny prowadził Peachy’ego przez góry i bezdroża, jakby wiodąc go za rękę. A Peachy cały czas niósł głowę Danny’ego – wymruczał, choć wcale nie był pewien, czy tak właśnie w wykonaniu Kiplinga brzmiały te zdania. A może tylko je sobie wymyślił?

Pomaszerował z boczem. Nie spoglądał za siebie, bo miał wrażenie, że tuż za nim postępowała czerwona fala, od której gasły skrzące się białą turnie. Byle dalej, byle na zachód. Ku Kahristanowi. Cały czas niósł w

torbie głowę, choć rozumiał bezsens tego posunięcia. Wciąż pamiętał słowa wypowiedziane przed wieloma laty przez hrabiego Jana: *Monsieur, vous ne pouvez sauver que vous-mème...* Ń condition de savoir comment.

*

S.W.

„Przeszłość i przyszłość rasy aryjskiej”

Z rozdziału „Archeologia w służbie wielkiego narodu”

[...] Już omawialiśmy okraszone niezwykłymi znaleziskami wykopaliska wielkich niemieckich archeologów w Troi, Mykenach, Babilonie, Egipcie i na Kaukazie. Wszystkie one dowiodły, że wszędzie tam przechowały się wyraźne, ale jakże wstydliwie przemilczane przez naukowców francuskich i angielskich ślady Ariów, pozostałe po ich ogromnej praojczyźnie Atlantydzie.

Teraz pora przejść do zakrojonych z prawdziwie narodowosocjalistycznym rozmachem wypraw naszych rodaków do Ameryki Południowej. Opisem trudnej, ale owocnej wyprawy do dżungli brazylijskiej zajmiemy się później. W pierwszej kolejności wypada omówić osiągnięcia naszego poczytnego pisarza powieści przygodowych Edmunda Kissa, który za namową samego Reichsführera SS Heinricha Himmlera zajął się wyjaśnianiem tajemnic andyjskich. W tym momencie warto zauważyć, jak wiele dobrego dla nauki może uczynić zachęta światłej osoby piastującej wysokie państwowe stanowisko!

W trakcie długotrwałych badań geologicznych i archeologicznych Edmund Kiss stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że cywilizacja w starożytności kwitnąca nad jeziorem Titicaca – dotąd niewprawnie badana przez „naukowców” amerykańskich – jest o wiele starsza, niż do tej pory zakładano! Powstała przynajmniej czternaście tysięcy lat temu i stanowiła jedno z centrów, z których promieniowała kultura aryjska.

Jednoznaczne ustalenia Kissa nie mogą podlegać krytyce i stanowią kolejny argument na istnienie w odległej przeszłości jednego kontynentu Ariów, zajmującego połowę znanego dziś świata – Atlantydy. [...]

TYBET, 11 I 12 WRZEŚNIA 1939 ROKU

– *Scheiße!* Tam ktoś leży! – krzyknął Siegfried, wskazując ciemny kształt na smutnoszarym piargu.

Obaj przerzucili sztucery przez plecy i zaczęli się wspinać.

Człowiek był nieprzytomny. Ubranie miał poszarpane, a ręce i gołe stopy – lodowate, być może nawet odmrożone. Z twarzy płatami schodził poczerniały naskórek.

– Żyje – mruknął Ernst. – To nie Tybetańczyk, tylko biały! Trzeba go zanieść do obozu. Siegfriedzie, sprowadź dwóch ludzi i jaka z noszami!

Kiedy młodszy towarzysz pobiegł w dół zbocza, Ernst sprawdził kieszenie i torby nieprzytomnego. Nie znalazł żadnych dokumentów, jedynie wystawione w Damaszku, Teheranie i Bombaju listy przewozowe na okaziciela. Uprawniały do wywożenia z azjatyckich terenów podległych Francji, Koronie Brytyjskiej oraz z Królestwa Iranu wszelkich znalezisk historycznych. Byle kto nie dostawał takich papierów.

Szpieg czy bogaty podróżnik, myśliwy albo poszukiwacz przygód? A może naukowiec – jak oni? Ale nie, już dawno minęły czasy samotnych peregrynacji dla dobra wiedzy. Teraz organizowało się wieloosobowe i świetnie wyekwipowane wyprawy – jak ich wyprawa.

Wychwycił spojrzenie rannego.

– Kim jesteś? – wychrypiął tamten po angielsku.

– Masz, pij. – Ernst przytknął mu do ust manierkę. – Nazywam się Ernst Schäfer, jestem oficerem naukowym... choć teraz to bez znaczenia. Niedługo zjawią się moi ludzie i przewieziemy cię do obozu.

– Niemiec?... Oficer?...

– Tak, ale teraz i to też chyba nie ma znaczenia? – powtórzył Ernst, mrużąc oczy.

– Nie... chyba nie...

Zemdlał.

I właśnie wtedy Ernst dojrzał coś, co przeoczył wcześniej, choć znajdowało się dosłownie pod ręką – zawieszona na szyi nieznanego. Schafer nie mógł uwierzyć własnym oczom. A jednak... Metalowy wisiołek z wizerunkiem labiryntu. Znaku wędrówki bez końca, znaku zatracenia się w śmierci i wiecznego odradzania. Znaku mitycznego Shamballah.

Od razu zdecydował, że warto pozostać w tym miejscu kilka następnych dni.

*

– Kilka dni? – zdziwił się Bruno Beger, antropolog wyprawy, kiedy nazajutrz dowiedział się o decyzji Ernsta. – Przecież dostaliśmy rozkaz pilnego powrotu do Berlina. Wojna już trwa. A misję w Tybecie wypełniliśmy – zebraliśmy dowody na pokrewieństwo Tybetańczyków z dawnymi Ariami, uzyskaliśmy audiencję u samego dalajlamy, dostaliśmy od niego list do Führera...

– Nie do końca ją wypełniliśmy, sam wiesz najlepiej. Nie zdołaliśmy sprawdzić, czy w Lhasie tkwi jedno ze źródeł mocy życiowej świata, a Himmlerowi bardzo na tym zależało. Parę dni nie robi nam różnicy, a ten biały człowiek potrzebuje pomocy. Nie zostawię go Tybetańczykom, ich leki zabiłyby go szybciej niż odmrożenia – odrzekł Ernst.

Beger wzruszył ramionami i odparł z pogardliwym uśmiechem: – Lepiej od razu powiedz, że znów chcesz spróbować upolować yeti. Pobliskie góry są ponoć szczególnie często nawiedzane przez te włochacze – roześmiał się nieszczercze. – Przynajmniej tak twierdzą tubylcy.

– Tak, wreszcie chcę upolować tego włochacza – spokojnie przytaknął Schafer. Miał zamiar coś upolować, ale tym razem wcale nie yeti.

TYBET, 15 I 12 WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Czy ty jesteś głupi, czy... – Beger nie zdążył skończyć, bo Schafer chwycił go za ramię i odciągnął kilka kroków od obozu. Żeby móc patrzeć Brunonowi w oczy, Ernst musiał zadzierać głowę do góry. Jednak był tak silny i pewny siebie, że Beger, nawet zarozumiały Beger, czuł respekt przed szefem wyprawy.

– Posłuchaj, wyskrobku z tajnych laboratoriów tego krojotrupa Hintza! To moja wyprawa. Ja tu rządę. Mam dość twojego mieszania się w nie swoje sprawy. Skoro mówię, że musimy zostać tu kolejne kilka dni, to musimy. Jasne? Jeszcze raz spróbuj mi się sprzeciwić, a nie pomoże ci nawet protekcja samego Himmlera.

– A tobie Schellenberga... – Bruno próbował się odgryźć, ale tak mocno dostał w szczękę, że odechciało mu się pyskowania. Z głowy spadł mu biały korkowy hełm z emblematem SS.

– Teraz na spokojnie: kiedy opuszczaliśmy Lhasę, narzekałeś, że potrzebujesz więcej czasu na te swoje badania antropologiczne. Najpierw dałem ci dodatkowe trzy dni. Teraz daję trzy następne. Spróbuj tylko ich nie wykorzystać...

Beger z nienawiścią patrzył za odchodzącym Schaferem. Splunął krwią na kamienie, a potem wymamrotał coś, co brzmiało jak groźba.

A o co poszło? O przybłędę! Na szczęście nie okazał się Anglikiem, jak przypuszczał ten... szef wyprawy.

Kiedy obcy odzyskał przytomność w dzień po odnalezieniu, był już po prowizorycznej operacji, której podjął się Karl Wienert, zoolog ekspedycji. Stopy i jedną dłoń dało się uratować, ale u lewej ręki trzeba było amputować dwa palce.

– Spokojnie – mruknął Schafer, przytrzymując rannego mężczyznę, który zaraz po przebudzeniu chciał zerwać się na równe nogi. – Ledwie

żyjesz. Ale niedługo dojdiesz do siebie.

Paweł powoli odzyskiwał ostrość widzenia. Poznawał twarz pochylającego się nad nim człowieka. Kiedyś już ją widział. Wczoraj czy przed laty? Choć teraz wyglądała trochę inaczej: ogorzała od wieloletnich podróży wśród smaganych wichrem gór. Spokojne oczy człowieka, który poznał nie tylko cuda, ale i rynsztoki. Nienaturalnie blada szrama przecinająca lewy policzek. Spore zakola na czole. Czarna, szpiczasta bródka.

– Znam cię...

– Tak, wczoraj cię znaleźliśmy.

– Jak się nazywasz? – ostry ton kogoś stojącego z tyłu otrzeźwił Pawła.

Wtedy też poczuł ból w lewej ręce.

– Bruno, spokojnie... – upomniał kolegę Schafer.

Ranny milczał długo, jakby sam nie wiedział.

– Carnahan... – odpowiedział wreszcie.

Zgromadzeni wokół przyjęli to naturalnie, tylko na twarzy Schafera pojawił się grymas zdziwienia.

– Irlandczyk – mruknął Beger. – Zawsze to lepiej niż Anglik... Witamy w obozie niemieckiej wyprawy naukowej.

– Lepiej niż Anglik? – słabym głosem zapytał Paweł.

– No, wy, jak i my, nienawidzicie Angoli. Przynajmniej to nas łączy.

– Wszystko będzie dobrze, Peachy – dodał Schafer.

– Mówiłem, jak mam na imię? – zdziwił się Paweł.

– Tak, wczoraj – odparł Ernst, uśmiechając się tajemniczo.

Paweł od razu zrozumiał, że wcale nie wymieniał tego imienia. Ależ był głupi, żeby posłużyć się tak prostym do rozszyfrowania literackim pseudonimem. Na szczęście reszta członków wyprawy wydawała się nie kojarzyć użytego przez Schafera miana.

– Serdeczne dzięki... za uratowanie mnie... – wyjąkał w końcu. Ból stawał się nie do wytrzymania.

– Dziękuj nie mnie, a jemu. – Schafer skinął na kogoś trzeciego. – To Siegfried wypatrzył cię na zboczu góry. Gdyby nie jego dobry wzrok...

Paweł nie słyszał dalszego ciągu zdania. Zmartwił. Zapomniał nawet o bólu. Wpatrywał się w twarz Siegfrieda. Zadziwiająco młodą jak na członka ekspedycji, wydającą się należeć do dwudziestolatka, o urodzie klasycznej, okoloną prostymi, niemal białymi włosami. Błada cera przywodząca na myśl greckie posągi.

Ludwik.

Sam nie wierzył. A jednak się udało...

Zemdlał. Nie z bólu.

WARSZAWA, POCZĄTEK 1938 ROKU

Fotel nie był ani wygodny, ani miękki, natomiast przytłaczająco stylowy. Za to na wyciągnięcie ręki znajdował się stolik z jakże potrzebną podczas palenia cygara ogromną popielnicą.

Paweł odłożył na blat zbiór opowiadań Kiplinga, dopiero co sprowadzony z Anglii za pośrednictwem leżącej po drugiej stronie ulicy szacownej księgarni Trzaski i Michalskiego. Zamyślił się, spoglądając na gości hotelowej restauracji. Elegancyści oficerowie, brzuchaci kupcy w szykownych garniturach oraz towarzyszące im panie w wieku różnym. Wszyscy oblani zadymionym światłem żyrandoli, zdawali się tylko cieniami w porównaniu z krwistymi bohaterami Kiplinga, którzy chcieli zostać królami.

Kelner z wypomadowanymi włosami i wąsami *à la* Adolf zjawił się niewołany, ale jak najbardziej o czasie. Paweł wskazał pusty kieliszek i zdecydował się na wczesną kolację. Na przystawkę kawior w śniegu, a potem pieczona kuropatwa z sałatą powinny o tej porze odpowiednio smakować wraz z kilkoma głębszymi polskiej wódki.

Odchodząc, kelner dyskretnym ruchem wsunął pod popielnicę małą kopertę.

Paweł przebiegł wzrokiem parę linijek tekstu. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Koincydencja przypadków wydała mu się zatrważająca. Miał udać się tam, gdzie Kipling umieścił przygody swych bohaterów. Indie. I najwyższe góry świata. Kraj wielkich możliwości, straconych fortun i fortun zdobytych.

Rozkaz z Wydziału Drugiego dawał też kolejną możliwość zrealizowania planu, który zaprzętał jego głowę od lat. Wielu lat... A w drodze do Indii – Bliski Wschód. Tam znajdzie ostatni ślad mający go doprowadzić wprost do celu skrytego za zimnym horyzontem gór.

Francuz z Damaszku dopiero co dał Pawłowi znać, że wreszcie zdobył zamówiony towar.

Jeszcze raz spojrzął na towarzystwo bawiące się w przestronnych salach restauracji hotelu „Bristol”. Czy Marconi, projektując dla Paderewskiego ten szlachetny budynek, przewidywał, że za niewiele lat zostanie opanowany przez fircykowatych oficerów i podtatusiałych bogaczy, którzy po ostro zakrapianym szaleństwie wtoczą się do pokojów hotelowych, by kilka godzin spędzić w objęciach swoich „bratanic” i „siostrzenic”?

Tym razem Paweł wolał inne rozrywki. Sama myśl o wyprawie bardziej go podniecała od zalotnego spojrzenia brunetki siedzącej przy sąsiednim stoliku. I od natrętnego uśmiechu młodziutkiego żigolaka spod okna.

Rozkazem z Wydziału Drugiego wywiadu wojskowego niespecjalnie się przejmował. Był banalnie prosty, wymagał tylko przekazania w paru indyjskich miastach różnych przesyłek w ręce japońskich wysłanników. Paweł nie wiedział i nie musiał wiedzieć, co zawierały. Zapewne kolejne materiały rozpoznawcze na temat sowieckich sił zbrojnych. Jeśli komuś Polska mogła ufać w rozgrywce z Ruskimi, to na pewno Japończykom.

TYBET, 9 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Szczyt z lewej, dość niski i słabo ośnieżony, miał właściwy kształt! Podzielony na trzy ostre turnie, przypominał rogaty łeb zatopionego w skale babilońskiego demona.

Szczyt z prawej był z kolei podmyty niskim jęzorem lodowca.

A na wprost wyłaniała się dolina o łagodnych zboczach, której jeszcze przed chwilą, przed dojściem do przełęczy, nie mógł dostrzec. Shamballah, Ukryta Dolina...

Miejsce tak samo święte, jak i tajemnicze. Mityczne źródło, w którym potrafiło odrodzić się życie, bo ponoć właśnie tutaj po raz pierwszy zakwitło. Choć to ostatnie raczej było metaforą – wcześniej już istniały inne Shamballah, ostatnie z nich zagubione na pustyniach Mongolii. Po jego zniszczeniu, przynajmniej dwa tysiące lat temu, kapłani przenieśli Shamballah w niedostępne góry Środkowej Azji. Dobrze ukryli świątynię, niewielu ludzi wiedziało, gdzie jej szukać. Jednym z nielicznych był grecki najemnik i podróżnik Proksenos Beota. Po ucieczce z perskiej niewoli dotarł niemal na kraniec świata. Zostawił po sobie ciekawe i bardzo trudne do zdobycia zapiski. A teraz Paweł podążał śladami Proksenosa. Grek nie kłamał – Ukryta Dolina leżała właśnie tutaj.

Paweł stanął na wypiętrzeniu siodła górskiego, a jednocześnie – na ostrej granicy pomiędzy niegościnną krainą śniegu, skał i wyjącego wichru a rajem uśmiechającym się do niego radosną zielenią w promieniach słońca. Kobierzec wysokich traw uginał się pod łagodnymi dotykami wiatru. Dalej przechodził w nierozległy las, bardziej przypominający tryskającą kolorami dżunglę z południowych stoków Himalajów niż nędzne zagajniki spotykane w tej okolicy – pełne drzew niskopiennych, o konarach powyginanych od wiatrów.

Za lasem pięły się strome, nagie zbocza, przechodzące w niedosiężne turnie. Dolina okazała się znacznie mniejsza, niż przypuszczał, ale zapewne dlatego uchowała się przed człowiekiem w tej ubogiej krainie, gdzie każdą kępę trawy uważano za przebogate pastwisko. Przypuszczał tak do chwili, kiedy tuż obok jego głowy gwizdnęła kula.

Rzucił się na ziemię i odturlał za najbliższy głaz. A jednak się mylił – byli tu ludzie! Zatem wcale nie chodziło o to, że miejscowi pasterze nigdy nie odnaleźli Ukrytej Doliny. Powód musiał być zupełnie inny.

Strzelano z lewego zbocza doliny, ale Paweł założyłby się, że przeciwników jest więcej. Mogli się kryć zarówno po prawej, jak i wśród drzew, a nawet znacznie bliżej, w wysokiej trawie.

Wyciągnął krótką lunetkę od broni snajperskiej i zlustrował okolicę. Lekki ruch dostrzegł tylko na prawym zboczu, a więc nie tam, skąd padł strzał.

– Cholera – zaklął bez specjalnej złości. Bo i nie było o co się złościć. Sam był sobie winien, nie powinien zakładać, że tylko jemu uda się odnaleźć cel opisany przez Proksenosa Beotę. Przebył straceńczo daleką i trudną drogę, cały czas zachowując najdalej posuniętą ostrożność, a kiedy już trafił na miejsce, pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. I niemal przypłacił to życiem.

Spokojnie rozwiązał skórzany futerał i wyjął dalekonośny karabin, jeden z pierwszych egzemplarzy, jaki zaledwie kilka miesięcy temu wyszedł z hali produkcyjnej radomskiej fabryki broni. Założył lunetę na mocowanie, które zrobiono specjalnie na jego zamówienie.

Długo szukał odpowiedniej pozycji, żeby z bronią gotową do strzału mieć na widoku całą dolinę.

Szurgot trąconego kamyka usłyszał dopiero w ostatniej chwili. Nawet nie zdążył się odwrócić. Cholera! Zupełnie stracił głowę. Był tak podekscytowany widokiem Ukrytej Doliny, że zapomniał o elementarzu walki w terenie – powinien sprawdzić własne tyły. Cios w potylicę

uwolnił go od tych zmartwień.

*

S.W.

„Przeszłość i przyszłość rasy aryjskiej”

Z rozdziału „Dawne symbole i ich nadnaturalny wpływ na rozwój imperiów”

[...] Jedną z kopii włóczni świętego Maurycego (na temat prawdziwej włóczni Maurycego, jej burgundzkiej proveniencji oraz przyszłej stolicy germańskiego cesarstwa, które się narodzi na terenie Burgundii, patrz paragrafy w dwóch innych rozdziałach) cesarz Otton postanowił podarować podrzędnemu księciu polskiemu Bolesławowi. Nie trzeba było długo czekać na skutki tej feralnej decyzji. W ciągu następnych kilkunastu lat ówże Bolesław stał się władcą wojowniczym i potężnym, a wszak wiadomo, że Słowianie nie są predysponowani do sprawowania rządów. Cóż zatem pomogło mu zwyciężyć Cesarstwo Rzymsko-Niemieckie w kilku wojnach i narzucić naszym przodkom haniebny pokój? Oczywiście – kopia (nawet kopia posiada moc!) włóczni świętego. Nie ma co do tego wątpliwości. Potwierdzeniem niech będzie fakt, iż syn Bolesława, Mieszkiem zwany, włócznię tę zgubił w ferworze walki, a niedługo później został pokonany, zdetronizowany i pozbawiony męskości. Taki los przypadnie wszystkim, którzy nie mając rasowej predestynacji do wielkości, dochodzą do niej dzięki nadnaturalnej mocy relikwii. Czeka ich marny koniec.

Co innego jednak z władcami, którzy niegdyś z poruczenia boskiego, a dzisiaj – ludzkiego i partyjnego sięgają po przynależną im władzę. Dla nich to właśnie przeznaczone są dawne, niosące w sobie potężną moc symbole, takie jak włócznia, którą przebito bok Chrystusa, święty Graal, celtycki kocioł odrodzenia czy miecz Siegfrieda, pogromcy smoka Fafnira.

Wszystkie one nadal istnieją, jednak albo pochowane są w niedostępnych miejscach, albo też strzeżone przez międzynarodowe organizacje masońskie, żydowskie i przewrotowe. Dlatego popieram jakże bliski memu sercu postulat wielu naszych uczonych: trzeba je wszystkie znaleźć i oddać w służbę partii i narodu! Niechaj przez wieki wspierają Tysiącletnią Rzeszę! [...]

TYBET, 10 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Obudziło go zimno bijące od kamieni.

Dał się podejść jak szczeniak. O czym myślał? Skoro zdjęli go już na przełęczy, to znaczy, że był obserwowany od dłuższego czasu.

I co tu robili? Chińczycy? Niemcy? Czy znaleźli Ukrytą Dolinę Shamballah przypadkiem, czy kierując się, tak jak on, starożytnymi wskazówkami?

Pewnie zaraz się dowie. Chyba zauważyli, że odzyskał przytomność. Kopniak w nerki eksplodował iskrami aż w czubku głowy.

Kiedy trochę doszedł do siebie, usłyszał natarczywe pytania w jakimś mlaszczącym języku, którego nie mógł rozpoznać. Nie był to żaden znany mu język europejski ani hindi, ani mandaryński. Brzmiał podobnie do tybetańskiego, którego nasłuchiwał się w ostatnich miesiącach, jednak jakoś inaczej. Jakby niemiecki z holenderskim porównywać.

– Nie rozumiem – powiedział najpierw po angielsku, potem francusku, wreszcie w hindi i – ale to już z trudem wydukał – po mandaryńsku.

Przestali do niego szczekać. Coś mruknęli jeden do drugiego. Przyjrzał im się. I wtedy przydały się studia biblioteczne, które robił przed wyjazdem. Te wielokolorowe elementy stroju, te złote, wyglądające niczym okrągłe zigguraty ozdoby, te włosy plecione w długie warkocze... Chyba Khamowie. Skąd się tu wzięli? Środkowy i zachodni Tybet uzyskał niezależność od Chin, ale wschodni – Kham – nadal pozostawał we władzy Kitajców. Wprawdzie słyszał, że Khamowie, jako najbardziej wojowniczy z ludów Tybetu, nadal przedostawali się za granicę i tworzyli partyzantkę antychińską, mimo to tutaj nie spodziewał się ich spotkać.

– Ktoś ty? I czego tu? – odezwał się łamanym hindi jeden z Khamów.
To już było coś.

– Shamballah – wymamrotał, masując plecy i usiłując wstać.

Chyba dobrze zaczął, bo zachowali pełne powagi milczenie. Jeśli znani z bezwzględności wojownicy tak reagowali na to słowo, może uda mu się uzyskać i coś więcej.

Wskazał na jedną ze swych toreb i wzrokiem zapytał tego z Khamów, który wyglądał na przywódcę, czy może do niej sięgnąć. Na potakujący znak wyjął owinięty w gruby wojłok pakunek. Ze środka wydobył pożółkły ze starości zwój pergaminu.

ZAMEK WEWELSBURG, WESTFALIA, 1938 ROK

Każde słowo odbijało się głębokim echem od ścian gargantuicznego gabinetu. Nie tłumili ich nawet niezmierny dywan, który w Persji przez sto lat musiało tkać tysiąc kobiet.

– I miej na niego oko.

– Tak jest, *Herr Reichsführer!* – Beger służbiście trzasnął obcasami czarnych oficerek.

Gospodarz powoli obszedł stół, wielki i lśniący jak Grenlandia. Zatrzymał się przy oknie. Zdjął druczane okulary, pogładził dłonią delikatny wąsik. Beger pomyślał, że gdyby nie okulary i lekko nalana twarz, dzięki dołkowi w brodzie Himmler mógłby wyglądać jak Clark Gable w „Saratodze”.

– Schafer jest uznawany przez nasz naród za bohatera. Jako jedyny Niemiec spenetrował dużą część Tybetu, tyle że... zrobił to z ekspedycjami amerykańskimi. A wiesz, jak nam... jak mnie zależy na odpowiednich – to słowo podkreślił – badaniach Tybetańczyków. Schafer jest nam niezbędny, ale resztę ekipy dobierz spośród oficerów naukowych, którym całkowicie ufasz. Wiesz, czego się spodziewam po tej wyprawie.

– Tak jest, *Herr Reichsführer!*

– Przestań przytakiwać, Beger, tylko powiedz, co o tym sądzisz. – Himmler niecierpliwie strzepnął palcami i ostentacyjnie wpatrzył się w pokrywający całą ścianę jarmarczny stiuk, w jaskrawych kolorach ukazujący dawnego króla Niemiec Henryka I Ptasznika. Himmler lubił myśleć, że jest jego nowym wcieleniem.

– Ja... No cóż, *Herr Reichsführer...* Schafer nie jest naszym człowiekiem...

– Tak, i co?...

- Zechciał pan zwerbować go w szeregi SS i Ahnenerbe zapewne z powodu jego doświadczenia. Myślę jednak, że i bez niego nasza wyprawa...

- Źle myślisz, Beger. Bez jego doświadczenia nic byście nie zdziałali na tamtym terenie. Mów dalej.

- Tak jest. Uważam, że może nam pomóc, ale on nie jest ani z powołania, ani z przekonania faszystą. Dał się skusić tylko dlatego, że - z niewiadomego mi powodu - ciągle nie ma dość wypraw do Środkowej Azji. To jego słaba strona.

- Owszem. I co jeszcze?

- Nie podoba mi się jego przyjaźń z Schellenbergiem, który nie należy do pana szczególnych...

- Beger, wymagam myślenia, nie domysłów. I co jeszcze mi powiesz? - Mimo wszystko Himmler wydawał się zadowolony.

- Za czasów rządów weimarskich zdrajców Schafer miał w Berlinie powiązania z generałem Wernerem von Fritschem. A to znany pederasta.

- Beger, generał został oczyszczony z zarzutów. Osobiście nadzorowałem jego przesłuchanie i całe śledztwo. Mimo to wiem, kim naprawdę jest ten... człowiek. Obiecuję ci, że będzie pierwszym naszym generałem, który zginie na froncie. Wracając do tematu, idziesz dobrym tropem...

- Zatem po prostu wykorzystamy wszystko to, co Schafer ma nam do zaoferowania, a potem...

- Coraz lepiej, Beger. Tak właśnie zrobimy. Chyba że Schafer i później okaże się przydatny. Jak już mówiłem, musisz mieć na niego oko. Także dlatego, że on ma jakiś własny cel. Jaki, nie wiem, ale musi być dla niego bardzo ważny. A ludzie, którzy mają w życiu własne cele, są niebezpieczni dla partii i narodu. Pamiętaj o tym, Beger.

TYBET, 13 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Nie cierpiał tego faceta mniej więcej tak, jak jednej ze swoich byłych żon. Ten był jeszcze gorszy – jakby zebrał złe cechy każdej z bab, które Paweł znał. Nawet z porów jego skóry buchała nienawiść do ludzi, wszystkich ludzi. Zaś tamta żona Pawła przynajmniej kogoś lubiła. A ją lubiło wielu facetów.

Antropolog, oficer europejskiej armii, człowiek poukładany i dokładny, czysty i przystojny. Zdawałoby się, ideał kulturalnego osobnika rodzaju ludzkiego.

Nic z tego. Kanalia. A do tego czubek.

Paweł właśnie skończył oglądać zbiór odlewów twarzy Tybetańczyków, które Beger zebrał w trakcie wyprawy. Odlewy jak odlewy – nic w nich nadzwyczajnego. Ale jeśli zestawić je z pomiarami czaszek i innych części ciała, jakie Beger prowadził wśród miejscowej ludności, a do tego posłuchać jego teorii o pokrewieństwie Japończyków i Tybetańczyków z niemiecką arystokracją aryjską... Wnioski nasuwały się same.

Wprawdzie Beger z początku nie chciał mu zbyt wiele mówić, jednak kiedy Paweł zadał parę wnikliwych pytań antropologicznych i historycznych, ten szajbus – widząc, że znalazł kogoś, kto zna się na rzeczy – nakręcił się i powiedział kilka słów za dużo.

Wynikało z nich jedno – nienawidził ludzi. Oprócz takich jak on – wariatów zakochanych w wyimaginowanej historii starożytnych Ariów. Wszystkich innych, którzy nie mieli nic wspólnego z przodkami czystych Niemców, najchętniej zmiótłby z powierzchni ziemi. Ale najbardziej kuriozalne okazały się jego wywody o ojczyźnie owych dawnych Ariów...

– Patrz na te odlewy – mówił z wyraźnym podnieceniem. – Znać w nich szlachetne rysy, jakie odziedziczyli po dalekich przodkach. A

jednocześnie piętno zeszpecenia, tak charakterystyczne dla skarłałej, zepsutej rasy...

- Jakiej zepsutej rasy? - Paweł spojrzał na niego z wyraźnym zaskoczeniem.

- No... Przed tysiącleciami Ariowie panowali nad wielkim kontynentem rozciągającym się od Europy po Japonię, a kto wie, może i po Amerykę Południową. Osiągnęli najwyższy stopień rasowego rozwoju, stworzyli cywilizację najwspanialszą ze znanych dawnej historii - Atlantyde. Potem niektórzy zaczęli staczać się do poziomu barbarzyństwa...

Paweł słuchał z niedowierzaniem. Te wszystkie wysane z palca bzdury przytłaczały go ogromem zawartego w nich szaleństwa i absurdu. Ale starał się zachować spokój i pilnował, by usta nie rozchyłyły mu się coraz szerzej i szerzej ze zdziwienia. Choć to nawet już nie było zdziwienie, a paraliż umysłowy.

- Bruno, daj spokój. Nie zanudzaj naszego gościa tymi teoriami - niespodziewanie wtrącił się Schafer, przerywając na chwilę czyszczenie sztucera myśliwskiego.

- To nie są tylko teorie - z drugiej strony, od namiotu, rozległ się głos młodego Ernsta Krauzego, botanika. - To naukowe fakty. Nie widziałeś filmu naszych wspaniałych niemieckich odkrywców? Zostało w nim udowodnione, że kilkanaście tysięcy lat temu piramidy egipskie wzniesli Ariowie z Atlantydy!

- Widziałem, widziałem. - Schäfer pokiwał głową. - Jednak to, co nas zajmuje, nie musi interesować Peachy'ego.

- Cóż, nie znam się na tych rzeczach - Paweł skłamał gładko - ale z chęcią wysłucham *Herr Begera*.

Wychwyił uważne, a jednocześnie lekko rozbawione spojrzenie Schafera.

- Ślady Ariów widoczne są wszędzie tam, gdzie przed tysiącleciami

zasiali ziarna swej wielkiej cywilizacji. Potem przyszła katastrofa. Zresztą jedna z wielu, jakim uległa Ziemia na przestrzeni swych dziejów – ciągnął Bruno Beger. – Może zna pan teorię znakomitego niemieckiego astronoma Hansa Herbügera?

– Austriackiego – przerwał mu Schafer.

– Czyli naszego, niemieckiego – twardo sprostował Beger. – Udowodnił, że Ziemia co jakiś czas ulega niszczycielskim wpływom obcych ciał niebieskich, które zwabia swym przyciąganiem. Jeden z owych kosmicznych pocisków uderzył w Ziemię, przynosząc zagładę Atlantydzie...

Beger mówił i mówił, Schafer z uporem maniaka czyścił sztucer, Ernst Krauze co chwila z wypiekami na twarzy wtrącał jakieś uzupełnienia, Tybetańczycy z obsługi ekspedycji krzatali się przy namiotach i jucnych zwierzętach, wiatr wiał, góry trwały, śpiąc na swych odwiecznych miejscach, a Paweł słuchał. I nie mógł się nadziwić temu stekowi bzdur.

– Brzmi to interesująco – rzekł w końcu, starając się, aby jego ton zabrzmiał wiarygodnie.

Beger skwitował to szerokim uśmiechem uznania, a Schafer posłał Pawłowi jeszcze jedno zastanawiające spojrzenie. I wtedy Paweł uświadomił sobie, że o ile Beger to – przynajmniej na razie – zwykły wariat, który zaprzysiągł duszę szalonej wizji świata, o tyle Schafer jest stokroć niebezpieczniejszy. Nie wierzył w to, co ustami wielu Begerów głosiła jego partia, a jednak jej służył. Zatem musiał mieć jakiś powód, zapewne wiadomy tylko sobie. Był jak wilk pośród wygłodzonych psów. One jeszcze tylko czekały, on na pewno potrafił kasać.

TYBET, 16 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Ernst pospiesznie wspinał się po piargu. Miał mało czasu. Nie mógł sobie pozwolić na opuszczanie obozu na więcej niż parę godzin, bo Beger albo któryś z jego partyjnych towarzyszy nabrałby podejrzeń. Ale kilka godzin dziennie wystarczało.

Pierwsze trzy rekonesanse nie przyniosły powodzenia, jednak kolejne powinny doprowadzić go we właściwe miejsce. Pośród tych poszarpanych skał nie było więcej niż pięć, sześć dostępnych dla człowieka szlaków. A przecież Peachy Carnahan – Schafer uśmiechnął się na myśl o tym jakże prostym do rozszyfrowania pseudonimie z opowiadania Kiplinga – musiał przyjść jednym z nich. W tym stanie nie zdołałby pokonać długiej drogi, zatem cel Schafera, a jednocześnie początek drogi Carnahana, wydawał się niezbyt odległy.

Cel: Shamballah. Marzenie, legenda czy prawdziwe miejsce odrodzenia nadziei na powrót do przeszłości? Według mitu istniało wiele kolejnych Ukrytych Dolin, co jakiś czas przenoszonych, by nie zawładnęła nimi chciwość władców starożytnych imperiów. Ostatnia miała znajdować się gdzieś tu...

„Tu” oznaczało olbrzymi obszar górski od chińskich równin na wschodzie po bucharskie piaski na zachodzie. Ernst od lat przemierzał „tu”, wciąż kierując się miejscowymi podaniami i legendami. W końcu zdecydował oddać swe usługi groźnym szaleńcom w czarnych mundurach, byle tylko móc wrócić do Tybetu.

Realizował cel konsekwentnie i cierpliwie, a teraz zdarzyło się coś nieoczekiwanego... Przypadek postawił na jego drodze tego fałszywego Irlandczyka ze znakiem Shamballah na szyi. Przypadek? A może nie było nawet cienia przypadku? Może jakaś siła wyższa postanowiła połączyć ich losy? W tej chwili to było bez znaczenia. Liczyło się tylko, że

Ernst znajdował się o krok od Ukrytej Doliny – święcie w to wierzył.

Daleko, niemal u szczytu stoku, ujrzał poruszające się punkciki. Ktoś posuwał się równolegle do niego, ale przybywał z innej strony. Ze wschodu. Ernst użył lornetki. Trzy postaci. Szły gęsiego, równym krokiem. Wojskowi? Podążali w tym samym kierunku co on. Zrazu to go ucieszyło, bo zdawało się potwierdzać przypuszczenia co do położenia Shamballah, zaraz potem nadeszła refleksja – nie sam szedł do celu, a to oznaczało kłopoty.

Po chwili uśmiechnął się do siebie. Przecież ci ludzie mogą iść zupełnie gdzie indziej, a znaleźli się przed nim przypadkowo. Co nie zmieniało faktu, że jak na ostatnie dni spotykał zbyt wielu wędrowców w tych wymarłych rejonach.

Poprawił pas z kaburą na lugera, sztucer przewiesił przez ramię i ruszył dalej. Śladem trzech nieznajomych. Postanowił, że tym razem przedłuży swoją wycieczkę o kilka godzin. A niech Beger nabierze podejrzeń – w obliczu Shamballah to przestawało mieć znaczenie. Czuł, że jest na właściwym tropie.

DAMASZEK, DRUGA POŁOWA 1938 ROKU

Dochodzący z pobliskiego suku jazgot przekupniów tylko nieznacznie był tłumiony przez drewniane żaluzje zawieszane w oknach kawiarni.

Potęźnie zbudowany mężczyzna w czarnym garniturze otarł pot z czoła i zapalił cygaro. Powoli przyzwyczajał się do panujących w Syrii temperatur, już niedługo będzie się czuł zupełnie znośnie, zawsze tak było. Zresztą równie łatwo przywykał do zimna norweskich czy syberyjskich nocy. Towarzyszący mu człowiek, też Europejczyk, pocił się za to niemiłosiernie, choć tuż nad jego głową wisiał jeden z wachlarzy, poruszanych za pomocą sznurków przez chłopca siedzącego przy kontuarze.

– Jean Michel – z lekkim zniecierpliwieniem odezwał się mężczyzna z cygarem – wydukaj wreszcie, co masz mi do powiedzenia, daj towar, a ja ci zapłacę i rozejdziemy się każdy w swoją stronę.

– Pawle, nie rozumiesz. – Francuz pochylił się nad stolikiem, o mało nie wywracając filiżanki. – Wielu ludzi o to pyta. Zbyt wielu.

– Kto?

– Różni. I poszukiwacze przygód, i przedstawiciele antykwariuszy... I Chińczycy. A ostatnio dwóch Niemców. To niebezpieczny towar i chcę się go jak najszybciej pozbyć.

– No to sprzedaj mi i masz kłopot z głowy.

– Co ty, przecież nie noszę go przy sobie! Jest dobrze schowany. Możesz go dostać, ale dopiero jutro.

– Jak chcesz. A co to byli za Niemcy?

– Nie wiem, nigdy wcześniej ich nie widziałem. Ale wyglądali na wojskowych – wiesz, ten chód, ten ton. Uważaj lepiej na nich, bo może są jeszcze w mieście. A jeśli nawet nie, na pewno kazali czuwać swoim miejscowym sojusznikom.

- Dobrze. Spotkamy się jutro – odparł Paweł, podnosząc się i kładąc na stoliku kilka monet.

TYBET, 16 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Ernst splunął. Był zmęczony. Otworzył manierkę i spojrzął na niebo – bez jednej chmury, w kolorze rozrzedzonego błękitu. I właśnie w takim niebie, zupełnie innym niż nad Niemcami, zakochał się wiele lat temu. W trakcie pierwszej wędrówki po buddyjsko-szamańskich bezdrożach. Nie tęsknił za prawdziwym błękitem przyrugijskiego morza, łączącego się z przybielonym chmurami nadbałtyckim niebem.

Włożył biały korkowy hełm i podniósł sztucer.

Uważał tego „Carnahana” za Niemca. Zdaje się, że pamiętał go sprzed wielu lat z Berlina. Roztańczonego Berlina lat dwudziestych, śmierdzącego absyntem i potem całonocnych orgii. Berlina pełnego bolszewickich agitatorów i szpiegów z całej Europy.

Tak, stanowczo poznał go w tamtym cudownym Berlinie. Ale kim był, czym się wtedy zajmował? Czy spotkali się na uniwersytecie, czy w towarzystwach naukowych, a może był krewnym którejś z tych starych hrabin, które uwielbiały taplać się w rozpuście, aby zapomnieć o koszmarnej bałaganie młodej republiki?

Ale dlaczego „Carnahan” ukrywał swoją narodowość w stosunku do nich, także Niemców? Cóż, czasy się zmieniają. Ktoś, kto przed laty był mile widziany na salonach, dziś, kiedy wszyscy o nazwiskach poprzedzonych „von” stawali się coraz mniej popularni w kręgach władzy, mógł źle się czuć pośród nich, esesmanów, gwardii Hitlera, parweniusza nieprzepadającego za szlachtą.

A może to Ruski? Ich też nie brakowało w tamtych czasach. Śmieszne sytuacje wynikały, gdy przysiadł się jakiś Ruski, ty mu gratulowałeś wygrania ostatniej bitwy z białymi, a on okazywał się wysłannikiem rządu lutowego. Ale czy ten ciekawy facet był Ruskim? Chyba nie, był zbyt wykształcony. Agent Kraju Rad, szczególnie tak młody,

trzydziestoparoletni, raczej nie mógłby znać opowiadania Kiplinga, piewcy mocarstwowo-burżuazyjnej potęgi Monarchii Brytyjskiej.

Ale czy to miało znaczenie? Nosił Znak Wejścia, znajdował się pośród gór, które – według legend – kryły Shamballah... Tak, miało znaczenie, bo Ruscy nie wierzyli w takie rzeczy. Zatem kto? Chińczycy? Nie, oni mieli własnych, nieeuropejskich agentów. Z kolei Anglicy byli zbyt pragmatyczni na takie poszukiwania.

Więc kto? Znał go z dawnych czasów, ale nie przypuszczał, aby facet należał do wywiadu Francji czy Anglii. Tamci obracali się w innych kręgach. Wyższych, do których on wszedł później... Zaraz, a czy nie poznał go dopiero wtedy, kiedy...

TYBET, 10 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Nie skopali go ani nie pobili. Co więcej, nieśli Pawła całkiem delikatnie, nawet wtedy, gdy odzyskał przytomność i sam mógł iść. Wcale tego nie ukrywał, jednak któryś z Khamów nakazał mu gestem pozostać w bezruchu. Trochę to wydawało mu się dziwne, ale jednocześnie zauważył, że trzymający go mężczyźni zamienili buty na grube futrzane kamasze, zaś posadzka, po której szli, została zamieciona do ostatniego kłaczka kurzu. Tak, posadzka, a nie kamienie czy ziemia, bo znajdowali się we wnętrzu jakiejś budowli. Początkowo myślał, że małej, ale szybko okazało się, że jest znacznie, znacznie większa. Przechodzili z jednego wąskiego pomieszczenia do drugiego i następnego, i następnego. W końcu zorientował się, że tak naprawdę znajdują się w ogromnym kręgu, zaś poszczególne komnaty to wiodące ku jego centrum części.

W blasku pochodni migają osobliwe rysunki widniejące na kamiennych ścianach. Nie przedstawiały ludzi ani zwierząt, a skomplikowane, poskręcane wzory, z których każdy zdawał się mieć jaskrawe, przyciągające wzrok jądro. Wszystkie prowadziły do swego środka. Jak ten prymitywny labirynt, którym szli.

Paweł niemal pamiętał. Prawie kojarzył te symbole, prawie rozumiał zawarte w nich idee. Przywodziły na myśl coś nieokreślonego, czego zaznał u początków swego długiego życia, zanim znalazł się pośród ludzi walczących brązem i żelazem. To było wcześniej, dużo wcześniej. Ale nie pamiętał kiedy i gdzie. Pewnie na Południu, bo było tam gorąco, słońce świeciło całymi dniami, a i w nocy kamienie oddawały światu jego ciepło. Gdzie i kiedy? Sam nie wiedział i w tej chwili nie to miało znaczenie. Liczyło się oczekiwanie. Oczekiwanie na to, co spodziewał się zastać pod koniec wędrówki przez jakże dobrze znany mu w swej istocie labirynt.

O ile wcześniej go nie zabiją. A może chcą złożyć w ofierze? Komu?

Matce?... Dlaczego pomyślał o matce?... To przywoływało wspomnienia – dalekie, mgliste i zupełnie nierealne. Czy prawdziwe? To też teraz było bez znaczenia. A czy cokolwiek w takiej sytuacji miało jakieś realne znaczenie?

Esowate, wiodące do centrum wzory migwały w coraz szybszym tempie. Zlewały się, rozmywały, stawały kształtnymi owalami. Te zaś zyskiwały nos, brodę, czoło... I oczy. Oczy Ludwika.

„Ludwiku, jednak tu jesteś!”

„Trwam. Po prostu jestem”.

„Znalazłem to miejsce. Odzyskam cię dzięki jego mocy!”

„Przecież zawsze jestem z tobą...”

„Ludwiku, co mam...”

Stanęli, a nagły bezruch nieco otrzeźwił Pawła. Widział przed sobą jaskrawy prostokąt. Oczy raził ostry blask. Drzwi.

Khamowie puścili go – gruchnął plecami na kamienną posadzkę. Nawet tego nie poczuł. Z ledwością dźwignął się na nogi (zauważył, że zdjęli mu buty) i chwiejnie, jakby był pijany, powlókł ku światłu.

*

S.W.

„Przeszłość i przyszłość rasy aryjskiej”

Z rozdziału „Wyższość rasowa spadkobierców Atlantydy – pierwsze, ale także owocne badania naukowe

[...] Musimy być wdzięczni losowi, że przyszło nam żyć w tak fascynujących czasach! Odkrycia naukowe, postępowe zmiany społeczne, dojrzewanie narodu pod przewodnią rolą partii.

Jednym z aspektów samouświadomienia naszego narodu jest poznawanie własnej aryjskiej przeszłości (archeologiczną stroną tego problemu zajęliśmy się w rozdziale pierwszym) i wynikającej z niej przyszłości. Wiemy o dominującej roli Ariów w dawnym świecie.

Poznajemy ją dzięki archeologii, historii oraz antropologii. Właśnie – antropologii.

Nauka ta koncentrująca się na badaniu fizycznych i kulturowych cech naszego społeczeństwa, w ostatnich latach poczyniła znaczne postępy dzięki aktywnemu wsparciu samego Reichsführera. Nasz młody naukowiec Bruno Beger stworzył już podstawy teorii mówiącej, które ludy świata mogą być dumnymi potomkami starożytnych Ariów. Herr Beger używa do swych badań nie tylko dawno wypracowanych metod antropologicznych, jak na przykład pomiary kranologiczne, ale też całkowicie nowych, przeniesionych z gruntu nauk ścisłych – obliczeń matematyczno-statystycznych! Tak fachowe podejście do przedmiotu badań musi przynieść wymierne korzyści!

Herr Beger szykuje się właśnie do wyprawy do Tybetu. Czy Tybetańczycy, twórcy jednej z najbardziej zadziwiających cywilizacji świata, dołączą do Niemców, skandynawskich Nordyków i Japończyków, którzy jako pierwsi okazali się potomkami w prostej linii atlantydzkich Ariów? Miejmy nadzieję, że tak! [...]

DAMASZEK, 1938 ROK

Jak Paweł słusznie przypuszczał, do jutra wiele mogło się wydarzyć. Dlatego spokojnie stanął w jednej z bocznych uliczek i poczekał na Francuza. Ten chyłkiem wymknął się z kawiarni i ruszył do swojego domu w dzielnicy europejskiej.

Wyszedł dopiero wieczorem, ubrany w ciemny arabski płaszcz i kapelusz. Paweł uśmiechnął się z pobłażaniem i podążył jego śladem. Francuz, mimo że współpracował z wywiadem Rzeczypospolitej od lat – nawet już w czasie wojny z bolszewikami przekazywał informacje „czwórce”, polskiej ekspozyturze na strefę turecko-azjatycką – zdawał się w ogóle nie znać zasad gry szpiegowskiej.

Jean Michel co chwila oglądał się nerwowo, ale nie miał szans zauważyć śledzącego go zawodowca. Za to ten dostrzegł dwóch Arabów idących krok w krok za Francuzem. Tego właśnie się obawiał. Miał nadzieję, że sam nie ma ogona.

Nie uszli daleko, kiedy Jean Michel zniknął w ciemnym zaułku. Zdezorientowany był nie tylko Paweł, ale nawet znający miasto Arabowie. Widział, jak wchodzili w zaułek i znów wychodzili, nie mogąc znaleźć drogi, którą mógł się udać Francuz. Wreszcie zaczęli się ze sobą kłócić, co Paweł zbył pogardliwym wzruszeniem ramion. Jeśli Niemcy czy Chińczycy dobierali sobie takich współników, to życzył im dużo szczęścia. On wiedział jedno – skoro Jean Michel zniknął w tym zaułku, jest duże prawdopodobieństwo, że się w nim pojawi w drodze powrotnej do domu. A bieganie i szukanie go po okolicy nie miało teraz, w nocy, większego sensu.

Arabowie chyba nie wpadli na ten sam pomysł, bo po kłótni odeszli w kierunku dzielnicy europejskiej, pewnie znów przyczać się pod domem Francuza.

Cierpliwe oczekiwanie opłaciło się w dwójnasób. Jean Michel rzeczywiście wrócił tą samą drogą. Kiedy tylko się pojawił na ulicy, Paweł usłyszał lekki szelest dobiegający z mrocznej wnęki po drugiej stronie przejścia. A zatem dobrze się domyślał – prawdopodobnie miał ogon, i to dobry, skoro wcześniej nie zdołał go dostrzec.

Sytuacja zrobiła się nieciekawa: gdyby teraz wyszedł z ukrycia, by ostrzec Francuza przed Arabami czekającymi pod jego domem, wystawiłby na tacy siebie i kolegę. A gdyby pozwolił Jean Michelowi odejść i zaczekał, mając nadzieję na dorwanie ogona, Arabowie załatwiliby Francuza. Co gorsza, odebraliby mu to, na czym zależało im wszystkim.

Wybrał trzecie rozwiązanie. Wyciągnął z kabury VIS-a i wpakował kilka kulek w miejsce, skąd doszedł szmer. Strzelał tylko na słuch, nie celował, ale trafił – odgłos ciała walącego się na ziemię był bardzo dobrze słyszalny. Zdziwił go tylko nienaturalny rozbłysk fioletowego światła, gdy pociski uderzały w cel.

Francuz zmartwiał, stłumił okrzyk strachu i już miał rzucić się do ucieczki, kiedy powstrzymał go syk Pawła. Jean Michel odetchnął, rozpoznawszy przyjaciela.

Paweł kazał mu poczekać, po czym podbiegł do zabitego szpiega. Musiał się spieszyć, bo dawały się już słyszeć głosy przebudzonych, zaniepokojonych strzałami ludzi.

Leżące ciało w całości było osłonięte ciemnym płaszczem. Przewrócił trupa na plecy i odskoczył z odrazą. Spod kaptura wyzierała nieludzka twarz, której rysy zamazywały się z każdą chwilą, jakby były ulepione z topniejącego wosku. Już kiedyś słyszał o tych stworach. Wiedział również, kim są ich ludzcy mocodawcy.

– Biegiem – rozkazał Paweł, chwytając Francuza za ramię i zmuszając do jak najszybszego wycofania się z feralnej uliczki.

– Kto to był? – wysapał wreszcie Jean Michel, kiedy znaleźli się w

bezpiecznym miejscu.

– Agent Chińczyków – odparł Paweł.

– Skąd wiesz? Był żółty?

– Gorzej... Ale tym się już nie przejmuj. W kopercie masz tyle, na ile się umawialiśmy. Do tego kilka tysięcy franków górką, wynajmij samochód i na jakiś czas wynieś się z miasta. Nie możesz wracać do domu, śledził cię nie tylko ten... żółtek. Inni, pewnie ludzie Niemców, czekają na ciebie w dzielnicy europejskiej. I wiedzą, że masz już to, na czym im zależy.

– Dziękuję, Pawle. Myślałem, że tym zleceniem spłacę swój dług wobec ciebie, ale zdaje się, że właśnie zaciągnąłem kolejny...

– Nie martw się, kocham mieć troskliwych przyjaciół. A teraz daj mi ten cholerny rękopis i znikaj. Spotkamy się jeszcze kiedyś. Pewnie ty też już nie możesz się doczekać.

TYBET, 10 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Wcale się nie zdziwił, choć miał prawo. To jakby zobaczyć Żyda w składzie endeckiego rządu.

Wiedział, że zanieśli go do samego centrum kolistego labiryntu. Powinien natrafić tu na jakąś komnatę albo co najwyżej malutkie patio. Nic z tego.

Przekroczył próg kamiennego wejścia i znalazł się w zielono-błękitnej krainie. Zieleń atakowała go z każdej strony, zachłannie wyciągając ramiona drzew i krzewów, porastających cały świat. Błękit przytłaczał od góry – niebo wydawało się wisieć tuż nad głową – a także od dołu – tafla jeziora przypominała zwierciadło spokoju.

Nie miał pojęcia, skąd ten pomysł przyszedł mu do głowy, ale wysunął nogę i stanął na tafli wody. Szedł po niej jak po twardym lodzie, nawet słyszał jego skrzypienie pod bosymi stopami. Ale czuł ciepło – bijące zarówno od wody, jak od napierającego nieba i rozśpiewanego lasu.

Tuż przed nim środek jeziora wzburzył się, zabulgotał, zmienił kolor na trupiobrązowy i zastygł w postaci przelewającej się mazi. Błoto wyglądało teraz niczym serce gejzeru, który lada chwila miał trysnąć ku niebu.

Opanował go strach, którego nie czuł nawet wtedy, gdy nieśli go przez poznaczone starożytnymi malunkami labirynt. Błoto, nieokreślony żywioł, który dawno temu był skałą i w przyszłości też miał się nią stać. Nagle ożywiony mocami potężniejszymi niż te poruszające samolotami i tankietkami. Tylko ona miała moc wystarczającą, by czynić podobne, niezrozumiałe dla człowieka rzeczy... ona? Kto? Pamiętał, niemal pamiętał, kim była, ale tak naprawdę nie mógł sobie przypomnieć... Matka, o której wspomnienia powracały co jakiś czas, ale nigdy w postaci jasnych wizji. Kim była i kim był on sam?

Jednak w tej chwili liczyło się to, po co przybył do Ukrytej Doliny. Ludwik. Żywy, odrodzony. Półtora wieku samotności wystarczy. Chce odzyskać Ludwika. Tu i teraz.

Gejzer wystrzelił.

Urósł jak olbrzym, nie opadał, kształtował się w ludzką postać. Pojedyncze krople ściekały, stapiając się z monstrualną sylwetką, by wykształcić jej ręce, nogi, policzki. I oczy.

Ludwik. Stał przed nim jak sto czterdzieści pięć lat temu. Tak samo piękny, szlachetny, młody. Zniknął obraz młodzieńca rozszarpanego rosyjskim pociskiem, jego nos już nie był wbity w czaszkę.

„Przyszedłem cię odzyskać. Długo to trwało, wybacz”.

„Czas nie ma znaczenia”.

„Jestem. Kocham cię”.

„Czy jesteś tego pewien?”

Paweł ruszył bez zastanowienia. Nogi zapadały się coraz głębiej w bagno. Cuchnący szlam oblepił najpierw kostki, potem kolana, na koniec sięgnął ust i wpełzł do nich jak wąż.

Gejzer opadł, tafla bagna uspokoiła się i po chwili zamieniła w błękit jeziora.

TYBET, 10 WRZEŚNIA 1939 ROKU

„Jak myślisz, istnieje życie po śmierci?”

„Nie mam pojęcia. Nigdy dotąd nie umarłem”.

„Pawle, jak długo żyjesz?”

„Długo. Nie pamiętam, kiedy i gdzie się urodziłem. Nawet matkę ledwie pamiętam...”

„Matkę?”

„Straszliwa i odrażająca: usta pełne smoczycich zębów; gigantyczne ciało, zielone, wyrastające z czarnej ziemi. A zarazem najukochańsza – wciąż pamiętam jej ciepło, gorętsze od słońca... Wypluła mnie ze swego łona po tym, jak zjadła ciała wszystkich moich przodków. Potem pamiętam tylko wojny, spiski, krew. Nie wiem, czemu mnie porzuciła. Nic nie wiem”.

„Zatem istnieje życie po śmierci?”

„Chyba nie... Skoro narodziłem się z ciał przodków, to znaczy, że żyją we mnie, a nie w zaświatach”.

„W takim razie dlaczego myślisz, że ze mną jest inaczej? Że zdołasz sprowadzić mnie z zaświatów? Że zdołam się odrodzić?”

„Bo tylko to trzyma mnie przy życiu. Choć nie mam pojęcia, czy zdołałbym umrzeć”.

„Co cię trzyma? Tęsknota? Wspomnienie miłych chwil ze mną?”

„Przybyłem na kraniec świata, by móc cię odzyskać. Jak myślisz, cóż to znaczy?”

„A cóż znaczy «miłość»? Czy pamiętasz jeszcze, za co mnie kochałeś? I czy jesteś pewien, że ja kochałem ciebie?”

„Cóż... Z braku lepszego słowa miłość chyba musi wystarczyć”.

„Wystarczyć? A niby wystarczyć do czego? Do obudzenia mnie?”

„Obudzić można kogoś, kto śpi. Ty nie śpisz, tylko nie żyjesz. Gdybym

chciał cię obudzić, wystarczyłby pocałunek. Ja chcę cię odzyskać z niebytu. A nie znam siły potężniejszej niż ta, którą zwie się miłością”.

„Czy nie bardziej myślisz o sobie niż o mnie? Czy nie bardziej obchodzi cię doskwierająca tęsknota niż chęć przywrócenia mi życia?... Ale podziwiam cię. Tyle lat, a ty wciąż szukasz. Nic się nie zmieniłeś. Twardy, a jednak sam nie wie, jak prawidłowo ulokować swą wiarę i uczucia”.

„O czym mówisz?”

„Skoro ty sam tego nie pojmujesz, ja nie mogę ci wytłumaczyć. Ja nie żyję. Znajdź inny cel. Jest ich wiele. Choć nie wiem, czy którykolwiek tak naprawdę ma znaczenie. A może wreszcie czas, byś odnalazł ten jeden własny, dla którego zostałeś powołany do życia?”

„Ludwiku, nie odchodź! Nie odchodź... Gdzie jesteś... Proszę... Cóż zatem ma znaczenie?...”

TYBET, 10 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Paweł obudził się gwałtownie. Zwymiotował na sam zapach tłących się gdzieś w pobliżu ziół. Obrzydliwe. W głowie mu się kręciło, był cały mokry i oblepiony błotem.

Khamowie stali wokół niego kręgiem. Milczeli, a krwawy blask pochodni sprawiał, że ich ponure twarze stawały się maskami upiorów. Zauważył, że żaden nie nosi broni, nawet pochwy na noże wisały u ich pasów puste.

Najbliżej stojący Kham, niski jak cielę jaka i równie jak ono zarośnięty na twarzy, rzucił do nóg Pawła jego karabin. Powyginany w trzech miejscach. Cholera, musiał to uczynić ktoś naprawdę silny.

– Tu nie wolno wnosić broni – rzekł Kham, straszliwie kalecząc hindi.
– To święte miejsce.

– Wiem, że święte – odparł Paweł, ledwo wymawiając słowa zeszytwniałymi wargami. – Czytałem o tym w dziele Proksenosa Beoty...

– Kogo? Nie pamiętam człowieka o takim imieniu. Czy był tu kiedyś? – Niski Kham wydawał się raczej mało zainteresowany dawno pożartym przez robaki Proksenosem.

– Tak, odwiedził Shamballach. Tyle że wiele, wiele lat temu. Jeden z twych wojowników zabrał mi jego rękopis.

– Rękopis?... A, zapewne masz na myśli te śmieci. Nic z nich nie rozumiem. I nie są nic warte – to mówiąc, wrzucił zwój do dziury, która ziała w posadzce.

Paweł rzucił się za nim, ale nie miał szans. Manuskrypt, którego poszukiwało od stuleci wielu świątłych ludzi, zniknął w zatęchłej otchłani.

– Mów – rzekł spokojnie mały Kham.

– Wiesz, że przed chwilą zniszczyłeś całe lata mojego życia?... – zaczął

Paweł, jednak widząc zupełnie obojętne spojrzenie, postanowił mówić dalej. – Pierwsza Shamballah dawno temu straciła swą moc.

– O tym wiem, wędrowcze, dlatego szacowni przodkowie przenieśli ją do naszej doliny. A że od niepamiętnych czasów istniało tutaj sanktuarium Wielkiej Bogini, dolina stała się po dwakroć świętsza. Ale nie o tym powinniśmy rozmawiać. – Kham skinął dłonią na swoich pobratymców.

Przynieśli proste nosze, na których położyli Pawła. Starał się stanąć o własnych nogach, lecz nie pozwolili na to.

– Nie masz prawa kłaść swoimi stopami świątyni w sercu Shamballah – rzekł stary Kham. – Jesteś nieproszonym gościem, mimo to...

Nieśli go przez las ku przełęczy, którą dostał się do doliny.

– ...mimo to wkroczyłeś w wody uświęconego jeziora i wyszedłeś z nich. Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

– Nie – odparł Paweł po chwili wahania. – Nie udało mi się przywrócić do życia tego, kogo kochałem...

– A więc i ciebie przywiodła tu miłość? – Coś na kształt uśmiechu zagościło na odpychającej twarzy Khama. – Nie bądź tak pewien przegranej.

– Czego innego mogę być pewien? Czy Ludwik jest tu teraz ze mną? Widzisz go, starcze? – niecierpliwie odszczeknął Paweł.

– Wydaje ci się, że przegrałeś, ale może to być tylko pozór. Powiedz mi, co czułeś, wkraczając w pochłaniające życie odmęty?

– Że umieram.

– To cię jednak nie odstraszyło?

– Nie. Moje życie nie miało wtedy znaczenia.

– A zatem, dobrowolnie tracąc wszystko, mogłeś coś zyskać.

– Ale nie zyskałem. Zresztą co to za dziwaczna filozofia? Że wygrywa się, przegrywając? – Paweł wzruszył ramionami.

- Nasza wiara. - Mały Kham znów się uśmiechnął. - I jedyna prawdziwa.

- Nie wierzę. Nie udało mi się uratować Ludwika. Nic nie działałem. Te wszystkie lata poświęcone szukaniu Shamballah okazały się nic niewarte. Natrafiłem tylko na malutką, zapomnianą dolinę, strzeżoną przez grupkę zabobonnych strażników dawnych wierzeń. Nie zdołałem ocalić Ludwika.

- Ocalić można tylko samego siebie - szepnął Kham. Paweł drgnął. Znał te słowa, choć nie pamiętał skąd... - Ale czy jesteś pewien, że nic nie osiągnąłeś? Bądź cierpliwy. Nagroda pojawia się rzadko. I zwykle jest gorzka. Przede wszystkim musisz ponownie poznać własną ścieżkę.

Z obolałą głową obudził się na zimnych kamieniach. Wokół nic, tylko chłód górskich pustkowi. A dalej jedynie lodowiec. *Déjŗ vu* - choć nie z własnego życia. Chyba podobnie czuł się Alfons van Worden, raz za razem budząc się pod szubienicą braci Zota. Nie miał broni ani zapasów. Ani butów. Nie wiedział, gdzie jest. Ruszył na południe, bo tylko tam mógł znaleźć jakąś cywilizację.

Dopiero po chwili zauważył, że Khamowie zawiesili mu coś na szyi. Skórzany rzemień, a na nim metalowa plakietka. Kwadratowa, przedstawiająca spiralę: labirynt, w najprostszy z możliwych sposobów wiodący ku centrum. A w centrum nie było nic. Puste pole.

Nadchodziła noc. Temperatura szybko spadała. Stopy i dłonie miał kompletnie zdrętwiałe. Mimo to wciąż szedł, nie wiedząc gdzie, aż upadł ze zmęczenia, stracił przytomność i zsunął się w dół smutnoszarego piargu.

TYBET, 15 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Choć bardzo się starał, nie mógł oderwać wzroku od Siegfrieda. Zauważył to nawet Beger. Nic nie mówił, ale jego mina wyrażała jedno: „pederasta”.

Postanowił się opanować, mimo że nie było to łatwe. A wesoły i uczynny Siegfried często coś mówił. Opowiadał o wyprawie, o Azji, chętnie też dopytywał się o Irlandię. A Paweł mówił o wzgórzach Connachtu, równinach Mide – całe szczęście, że spędził tam ładne kilka lat w krwawych czasach Wielkiej Rebelii.

Co jakiś czas łapał się na pewnej myśli. Czy było to zrzącenie losu, czy naprawdę zadziałał czar Ukrytej Doliny? Twarz, włosy, oczy, sposób poruszania się – Siegfried wydawał się kopią Ludwika. Tylko straszliwie obco i zgrzytliwie brzmiał w jego ustach niemiecki język. Choć tak naprawdę Paweł już niemal nie pamiętał, jak wysławiał się Ludwik. Czy w sposób właściwy dla szlachcica ze Szkoły Rycerskiej, czy też w miękkim dialekcie Mazowsza, skąd się wywodził?

– Ciekaw jestem twojego zdania... bo nie jesteś jednym z nas... – Siegfried pojawił się nie wiadomo skąd i przysiadł do Pawła, podając mu kubek pełen parującej kawy. – Jak myślisz, czy Tybetańczycy są gotowi na przyjęcie naszych nowoczesnych rozwiązań politycznych?

Paweł kompletnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Czego? – wydukał wreszcie, ciągle nie mogąc się powstrzymać od patrzenia na Ludwika... Siegfrieda, z czułością. Na szczęście nigdzie w pobliżu nie było Begera.

– No, chodzi mi o to, że niewątpliwie są spokrewnieni z nami, Niemcami. A zatem w ich nieśmiertelnej aryjskiej krwi musi tkwić umiłowanie do porządku i wielkości.

– Cóż, Siegfriedzie, nie mogę się wypowiadać na ten temat. To wy

jesteście naukowcami. To wy zbieracie dowody na pokrewieństwo pomiędzy spadkobiercami... eee... Ariów.

– Szkoda – w głosie Siegfrieda zabrzmiał zawód – szkoda, że nawet po tym, co udowodnili ci moi koledzy, nadal nie masz własnego zdania.

– Niczego mi nie udowodnili. – Paweł spuścił wzrok i udał, że wpatruje się w ognisko. – To po prostu jedna z teorii. Choć nie wiem, czy należy ją nazywać naukową.

– Jak możesz tak mówić? – Siegfried był autentycznie zdumiony. – Nauka niemiecka w ciągu ostatnich lat w niewiarygodnie szybkim tempie posuwa naszą wiedzę do przodu. Nie ma mowy, aby teraz Francuzi czy Anglicy potrafili nas prześcignąć! A wszystko to dzięki przewodniej sile partii i naszych przywódców, którzy z takim zainteresowaniem śledzą postępy badań.

Paweł jeszcze raz zerknął na twarz młodzieńca. Tym razem już bez poprzedniej czułości. A cóż sobie wyobrażał? Że odnajdzie w tym narodowym socjaliście wierne odbicie Ludwika? Tamtego wspaniałego chłopaka, który pragnął wolności dla kraju i miłości – dla siebie? W Siegfriedzie znajdował tylko ich zaprzeczenie.

– Siegfriedzie, tak naprawdę to wszystko nie ma znaczenia. Ważne jest jedynie to, do czego sam dążysz, a nie cele, które wyznaczają ci inni.

Wychwyił nic niepojmujące spojrzenie Niemca i nagle zrobiło mu się bardzo smutno.

MONGOLIA, 1806 ROK

Zimna, a mimo to wysuszona na pieprz pustynia zdawała się nie mieć końca. Ciągnęła się aż po horyzont – i dalej. W gardle ciążyła nieznośna tęsknota za łykiem wody. Ale przecież przed chwilą pociągnął jeden z bukłaka. Żeby wystarczyło do następnej studni, powinien ograniczyć picie... Niejednokrotnie mówiły mu o tym żony, choć wtedy chodziło o coś innego.

Obrócił się w siodle i spojrzał na hrabiego. Szczupły mężczyzna chyba nie potrzebował ani wody, ani jedzenia. Tkwił na grzbiecie wielbłąda nieruchomo – jakby o krok od z mumifikowania – tylko od czasu do czasu oszczędnym ruchem przykładał do oczu lunetę i ponownie zapadał w otchłań własnych myśli.

Paweł wyruszył z rosyjskim poselstwem prowadzonym przez hrabiego Jana Potockiego do Chin, bo wiedział, że po drodze może znaleźć to, czego szukał.

Poznali się kilka lat wcześniej. Potocki słynął z dziwnych i nietypowych zainteresowań. A kiedy zaczął szukać ludzi, którzy cokolwiek wiedzieli o Białych Azjatach, zaginionych pismach Proksenosa Beoty, Shamballah, sanktuariach Bogini, Paweł pojął, że trafił na swoją szansę.

Hrabia przyjął jego ofertę z radością – szukał do składu ekspedycji kogoś, kto, jak i on, od lat tułał się po bezdrożach całego świata. Od razu przypadli sobie do gustu. Jeden szczupły, introwertyk, a jednocześnie lew salonowy o niezmiernych horyzontach umysłowych, drugi – potężny, często roześmiany, a zarazem niezbyt dobrze czujący się wśród dam z towarzystwa. Pasowali do siebie jak zagubione fragmenty chińskiej układanki.

Poselstwo wysłał car, ale Pawłowi to nie przeszkadzało. Sprzedałby

się i diabłu, byle tylko mieć możliwość dołączenia do oficjalnej wyprawy wiozącej listy polecające do władców połowy Azji. A do tej części Azji niełatwo było się dostać. W ciągu ostatnich kilkunastu lat próbował wielokrotnie. Bez skutku – zarówno Ruscy, jak i Kitajce pilnowali swoich stref wpływów.

Dopiero hrabia mu to umożliwił.

Carowi znów chodziły po głowie mrzonki o doprowadzeniu stosunków z cesarzem Chin do normalnych relacji – jak to pomiędzy wielkimi władcami. Nic z tego. Dojechali tylko do Mongolii. Tam zawrócono całe poselstwo, gdyż okazało się, że ze względów proceduralnych nie może zostać przyjęte w Zakazanym Mieście. Przekłète azjatyckie średniowiecze.

Hrabia nie wydawał się być zmartwiony takim obrotem spraw. W drodze powrotnej odłączył się od ekspedycji i wraz z najbliższą świtą podążył wprost w suchą i zimną paszczę mongolskich pustyń. Owa świta składała się z trzech służących oraz dwóch milczących kobiet o cudownych twarzach, Eminy i Zubejdy, okutanych w arabskie stroje.

Polak podążył z hrabią na koniec świata, bo dobrze wiedział, co może na tym zyskać.

Znaleźli cel bez zbędnych problemów. I już to było niepokojące.

Pośród samotnych skał, nienawistnie omiatanych szorstkim wiatrem, widniało malutkie jezioro. A właściwie bajoro, zamulone i tak cuchnące, że ani zwierzęta, ani nawet mniej wybredni ludzie nie chcieli z niego pić. Hrabia rozejrzał się, smutno kiwając głową.

– I tak wiedziałem, że nic z tego nie będzie – mruknął po francusku. Zwykle mówił po francusku, po polsku straszliwie przekręcał wyrazy, nad czym ubolewał. Pawła to nie dziwiło. Jak większość polskich arystokratów, Potocki gros czasu spędzał w Paryżu, Rzymie, Helwecji czy Wiedniu. W przeciwieństwie jednak do dużej części zubożniałych na sprawy ojczyzny karmazynów pół życia poświęcił na ratowanie

Rzeczypospolitej. Nawet teraz, w obcej służbie, czekał na jej odrodzenie.

Widok był przygnębiający. Ocalała tylko jedna z wielu kolumn, które niegdyś szerokim kręgiem otaczały jeziorko. Pozostałe leżały zdruzgotane, potrzaskane na drobne kawałki, jakby ktoś uderzał w nie gigantycznym młotem, aż ostaną się same szczątki. Dlaczego zostawił w spokoju tę ostatnią? Kto to wie? Może ku przestrodze – by nikt nie ważył się odbudować tego miejsca mocy? Ale jeśli rzeczywiście niegdyś biła stąd prawdziwa moc, to jak wielką potęgą musiał dysponować niszczyciel Shamballah? Same pytania.

Hrabia wyjął pistolet skałkowy i przystawił go do skroni.

Paweł jednym susem doskoczył do Potockiego, podciął mu nogi i przydusił do ziemi. Obie przyboczne zeskoczyły z koni, ale pozostały na uboczu, kiedy stwierdziły, że Paweł uratował ich pana. Inni słudzy przypatrywali się temu niemo, nawet udawali, że niczego nie widzą. Nie ich świat, nie ich sprawa.

Hrabia spojrzał na niego uważnie, po czym się uśmiechnął.

– Może i dobrze – mruknął.

Otrzepał spodnie i kurtę. Rozładował pistolet i wyjął kulę z lufy. Przyłożył ją do oka. Błysnęła w świetle słońca. Srebrna. Paweł się wzdrygnął. Kolejna fanaberia dziwaka? Czy też naprawdę musiał jej użyć?

– Powinienem wiedzieć, że już dawno temu Shamballah przeniesiono w odległe okolice, gdzieś w południowe góry. Tak zresztą zdawały się świadczyć te fragmenty pism Proksenosa Beoty, przyjaciela wielkiego historyka Ksenofonta z Aten, które udało mi się przeczytać. Ale cóż, chciałem sprawdzić.

– Szkoda, że nic nie zostało – wtrącił Paweł, trącając czubkiem buta kamień.

– Żyje legenda, a ona dla wielu ludzi jest ważniejsza niż namacalne dowody... Ciebie też przyciągnął tu ten mit. – Hrabia uśmiechnął się

ponownie. – Wiedziałem, że dla człowieka takiego jak ty udział w zwyczajnym poselstwie to nic nadzwyczajnego. Szukałeś Shamballah. By odzyskać kogoś bliskiego?

– Tak, bardzo bliskiego. A ty, panie Janie?

– Ja?... Byłem głupcem. Goniłem za marzeniami. Nawet Shamballah nie jest w stanie wskrzesić całego kraju. – I dodał: – *Monsieur, vous ne pouvez sauver que sous mème...* *Ŕ condition de savoir comment.* Monsieur, ocalić można tylko samego siebie... Jeśli się wie, jak to uczynić.

W milczeniu podeszli do jedynej stojącej kolumny. Znaki wyryte na niej były tak zatarte przez wiatr, że żadnemu z nich nic nie mówiły. A szkoda, bo obaj – każdy na swój sposób – przez lata przygotowywali się do poznawania nieznanego i odczytywania zagadek.

– Kto mógł to zniszczyć? – Paweł wyraził na głos nurtujące go pytanie.

– Ktoś potężny, władający wielką mocą, a jednocześnie nienawidzący innej, obcej siły. Gdyby chciał zawłasczyć Shamballah, po prostu by ją zdobył. Ale nie – hrabia pokręcił smutno głową – on pragnął jej zniszczenia. A że wydarzyło się to na długo przed czasami Proksenosa Beoty, trudno orzec, kto w tak odległej starożytności mógł panować nad tą częścią Azji.

– Może kapłani dzikich koczowników, choćby tych straszliwych Hunów, którzy zniszczyli pół Europy, a ponoć przywędrowali właśnie stąd?

– Wątpię. Jeśli miałbym zgadywać, stawiałbym na Chińczyków. To niezwykle stara, potężna i biegła w czarach nacja. A poza tym jedyna ze znanych mi, która nienawidzi wszystkiego, co obce. Pragnie żyć po swojemu, a najlepiej tak jak za czasów pierwszych cesarzy. Chińczycy, gdyby mogli, zostaliby sami na świecie. Wtedy naprawdę byłiby szczęśliwi.

Coraz dotkliwsze zimno zwiastowało nadejście nocy.

– Wracamy?

– Owszem, panie Pawle – rzekł hrabia Jan, chowając srebrną kulę do mieszka przy pasie. Pomyślał, że kiedyś jeszcze się przyda. – Każdy do własnych nieczyszczalnych marzeń. Szkoda, że nie mam przy sobie dość prochu, by wysadzić tę koszmarną pamiątkę po czczych marzeniach. Ale czy tak naprawdę miałyby to znaczenie?

TYBET, 16 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Kiedy Ernst dochodził do grzbietu górskiego, za którym już dawno zniknęła trójka nieznajomych, usłyszał odgłosy wystrzałów, a potem świdrujący w uszach wizg. Co to było?! Nie miał pojęcia i to właśnie jeszcze bardziej go podekscytowało.

Przyspieszył. Na szczyt dotarł niemal biegiem. Ciężko oddychając, ostrożnie wyjrzał zza skał.

W dole, za przełęczą, zieleniały drzewa i trawy bijące w oczy soczystym kolorem nawet teraz, gdy zapadał zmrok.

Niedaleko, na zboczu, dostrzegł nieruchome ciała kilku tubylców, choć ubranych inaczej niż okoliczni Tybetańczycy. Po złotych ozdobach, widocznych i z tej odległości, poznał w nich Khamów. A ci skąd się tu wzięli?

Naraz Ernst stracił dech i upadł na kolana. Niedługo odzyskał zdolność widzenia, ale jakby przez mgłę. Cała dolina zdawała się falować, przez korony drzew przechodził niewyczuwalny na przełęczy podmuch wichury. I zaraz wszystko się uciszyło. Shamballah znów wyglądała na spokojną. Nienaturalnie spokojną. Schafer rozumiał, że dzieje się tam coś niezwykłego i zapewne niebezpiecznego, ale nie po to poświęcił tyle lat na poszukiwanie tej doliny, by teraz się wycofać. Ruszył w dół.

Starał się kryć za każdą mijaną skałą, a potem wśród wysokich traw, choć i tak miał wrażenie, że nikt go nie obserwuje. Jakby nie było tu już nikogo... żywego.

Kiedy zagłębiał się w las, powróciły poczucie braku oddechu i przeczące logice falowania doliny. Tym razem trwały znacznie dłużej. Zwymiotował. Czuł się koszmarnie. Mimo to szedł dalej.

Znów wkroczył między skały, tym razem niebędące dziełem natury. Wysokie, przytłaczające kamienne bloki ustawiono pionowo,

oszlifowano i wyryto na nich setki oczu, spiral, trójkątów. Znał te znaki z europejskich megalitów, ale tu nie spodziewał się ich zastać.

Ogarnęło go zimno, którego źródło zdawało się tkwić właśnie tam, dokąd szedł. Ledwo powłóczył nogami. Uczucie słabości i wszechogarniający chłód paraliżowały ruchy. Nie, nie mógł zrezygnować, musiał dowiedzieć się, co się stało. Co się stało z Shamballah, którego odszukaniu poświęcił całe życie i sprzedał się ludziom, w których ideały nie wierzył, a nawet nimi pogardzał.

TYBET, 14 WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Może to cię przekona.

Paweł odwrócił się zaskoczony. Znow Siegfried. Wbrew sobie wyciągnął rękę po podawaną mu książkę.

Młodzieniec usiadł przy ognisku kilka kroków dalej. Zachowywał milczenie, jednak Paweł spod oka widział, że strasznie był ciekaw jego reakcji.

Właściwie nie była to książka, a bardzo przyzwoicie wydana broszura. Elegancki gotycki napis na okładce oznajmiał: *Die Bergangenheit und die Zukunft der Arischen Rasse – Przeszłość i przyszłość rasy aryjskiej*. A to ci niespodzianka...

Przekartkował książeczkę, aż natrafił na spis treści. Cztery rozdziały: „Archeologia w służbie wielkiego narodu”, „Źródła mocy świata źródłami mocy ludzi”, „Dawne symbole i ich nadnaturalny wpływ na rozwój imperiów”, „Wyższość rasowa spadkobierców Atlantydy – pierwsze, ale jakże owocne badania naukowe”. Tak, mógł się spodziewać właśnie czegoś takiego.

Chciał od razu oddać broszurę Siegfriedowi, jednak się opanował. Przeczytanie paru stron nic go nie kosztowało, a młodzieniec był tak miły, że afromtem byłoby oddawanie mu książki już teraz.

– Pozwolisz, że zajmę się lekturą? – spytał.

– Oczywiście, już nie przeszkadzam. – Uradowany Siegfried zszedł Pawłowi z oczu. Ten też bezwiednie się uśmiechnął. Do wspomnienia radującego się Ludwika.

Skończył czytać trzy godziny później. Był zde gustowany pseudonaukowym bełkotem broszurki i przerażony potencjalnym wydźwiękiem teorii o wyższości i niższości różnych ras. Mimo że od lat pracował w wywiadzie, nigdy nie zajmował się propagandą i

psychotechniką niemiecką. Teraz dostał dowód, jak przy wykorzystaniu powagi nauki robić wodę z mózgu i przekonywać do teorii mogących stać się niebezpiecznymi dla ludzkości. Nawet prężna propaganda Stalina, z którą miał czasem do czynienia, okazywała się śmieszna w porównaniu z propagandą Hitlera.

Siegfried – jak zwykle – pojawił się jak diabeł z pudełka.

– I jak ci się podobało? – Na jego twarzy malowała się żarłoczna nadzieja.

– Kto to napisał?

– Uch, no... właśnie ja. – Młodzieniec spłonął rumieńcem.

Dopiero teraz Paweł zauważył na karcie tytułowej inicjały autora: S.W.

Powiedział kilka kurtuazyjnych słów pochwały, tyczących głównie stylu i wyvodu logicznego poszczególnych rozdziałów, ale na końcu zastrzegł się, że nie może ocenić jakości owych teorii, gdyż nie zna się na tych sprawach.

Siegfried był zawiedziony, jednak Pawła to nie wzruszyło. Stracił wszelkie złudzenia co do tego młodego człowieka.

TYBET, 16 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Serce lasu otworzyło się przed Ernstem. Zdumiony i zastraszone, patrzył na obraz zniszczenia. Rozległa, niska budowla, wzniesiona z wielkich ciosów skalnych, została zrujnowana. Złamany dach, kamienne ściany wychylone na zewnątrz albo zapadnięte w ziemię... A nad tym wszystkim unosił się jeszcze siwy balon dymu i kurzu.

Przed wejściem, z którego pozostały tylko stopione w nieprawdopodobnej temperaturze kikuty kolumn portalowych, leżało kilka ciał.

Dowlóknął się do nich resztką sił. Khamowie. Niektórzy spaleni, inni o kościach pokruszonych na miazgę. A między nimi dwóch obcych. Co za walka musiała się tu odbyć? Gdzie czołgi, bo chyba tylko one zdolne były zniszczyć taką budowlę? Gdzie miotacze ognia, bo chyba tylko one mogły w jednej chwili objąć ciało człowieka swoim płomieniem?

Obrócił na plecy jednego z obcych, okutanego w szeroki płaszcz z kapturem. Wstrząsnął się z odrazą. Człowiek czy nie? Na nagiej czaszce, tyle że zwierzęco zniekształconej, zachowały się resztki... skóry? A i one roztopiały się szybko, niczym woda wsiąkająca w ziemię.

Do diabła, kim byli?! Jakież cholerne demony?! Demony? Stanowczo nie... Ale zaraz uśmiechnął się do samego siebie. Wierzył w magiczną moc Ukrytej Doliny, a teraz nie chciał wierzyć w demony? A czy to jakaś różnica?

Usiadł z rezygnacją i roześmiał się nieszczerze. Wszystko na nic. Tyle lat, tyle starań. Dotarł na miejsce. Spóźnił się.

Komu mogło zależeć na zniszczeniu Shamballah? Bo że jedynym celem demonicznych obcych było unicestwienie Ukrytej Doliny, tego był pewien. Gdyby chcieli ją przejąć, po prostu postaraliby się zabić jej strażników – bo nie wątpił, że właśnie taką rolę pełnili Khamowie. Ale

nie, chodziło im o jedno – przyszli ją zniszczyć. A przy okazji sami zginęli... Drgnął. Zaraz, na zboczu widział ich trzech, a odnalazł tylko dwa ciała...

Chwytał sztucer i poczołgał się ku zniszczonemu wejściu do budowli. Chwilę nasłuchiwał.

Tak, gdzieś z oddali dochodził rytmiczny, dudniący odgłos.

Kiedy już podnosił się z ziemi, znów powaliła go fala bezdechu i wichru. Tym razem w objęciach wiatru wiele drzew runęło wyrwanych z korzeniami. To nie mógł być przypadek – ataki niszczycielskiej mocy powtarzały się coraz częściej i trwały coraz dłużej. Wytłumaczenie mogło być tylko jedno – jak w przypadku wybuchów wulkanów, były zapowiedzią całkowitego zniszczenia. A ono zbliżało się szybkimi krokami.

Nie miał zbyt dużo czasu, zatem musiał go jak najlepiej wykorzystać, by dowiedzieć się, co tu się stało.

TYBET, 16 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Paweł nie miał wątpliwości, że nic nie ułożyło się po jego myśli. Prawda, odnalazł drugie Shamballah i wszedł w otchłań jego mocy. Czy prawdziwej? Wątpił, by taka moc dawała komukolwiek pożytek i szczęście.

Odnalazł też Ludwika. A właściwie tylko jego odległy cień. Właśnie cień – mroczny, zepsuty, choć, zdawałoby się, tak samo piękny jak pierwotna postać.

Nie potępiał Siegfrieda. Chłopak wyrósł w takich, a nie innych czasach, poświęcił się temu, co uważał za najbardziej pociągające, a może nawet za najlepsze dla siebie i swojej „rasy”. Ale nie był Ludwikiem. Był Siegfriedem, esesmanem, pseudonaukowcem podążającym drogą rojeń Himmlera.

W samym środku nocy, kiedy wszyscy już spali, a tybetański strażnik drzemał snem człowieka spokojnego, Paweł sięgnął po uprzednio spakowany tobołek i wyniósł się z niemieckiego obozu. Nie miał tu już nic do roboty, a na pożegnanie z Siegfriedem by się nie zdobył. Nie wystarczało mu odwagi.

Wymykając się, skonstatował ze zdziwieniem, że tym razem żaden z Niemców nie pilnuje obozu. Zwykli to robić, słusznie nie ufając czujności Tybetańczyków. Szczególnie dziwne było to w sytuacji, kiedy zaginął szef wyprawy, Schafer. Jeszcze wieczorem Beger zastanawiał się, czy nie wysłać jego śladem któregoś z miejscowych tropicieli, a teraz wszyscy poszli smacznie spać... Wprawdzie Paweł doskonale widział, że Bruno nie cierpiał Ernsta, ale i tak tego typu zachowanie wydawało mu się dziwne.

Gdzieś z oddali dobiegł stłumiony łoskot. Lawina? Nie, gdyż zaraz potem widoczny pomiędzy leżącymi na zachodzie szczytami fragment nieba rozjarzył się na złoto. Co to było? Nieważne, choć szedł właśnie w

tamtym kierunku.

Kiedy już zniknął w ciemności otaczającej obóz, z ekspedycyjnego namiotu wyłonił się Siegfried. Dzisiaj była jego kolej na nocne czuwanie. Nie miał zamiaru przeszkadzać Irlandczykowi w ucieczce, chciał się tylko dowiedzieć, gdzie zamierza się udać ten podejrzany w swych politycznych poglądach „gość”. Ruszył jego śladem.

TYBET, 17 I 16 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Schafer, ponownie stojąc na grzbiecie przełęczy, w oparach przedświtu spoglądał na umierającą dolinę, z której właśnie się wydostał. Z samego jej środka, gdzie stał potrzaskany kamienny budynek, rozchodziły się fale zabójczego wichru, łamiącego drzewa i gniotącego trawy. A za nim szła śmierć, bo tak chyba powinien nazwać ów zółcący każdą roślinę podmuch zniszczenia. Soczystozielone drzewa, krwistoczerwone kwiaty, błękitniejące porosty usychały w jednej chwili i rozsypywały się w proch. Siła wyzwolona w momencie zniszczenia sanktuarium pochłaniała całe życie doliny i odsyłała je w niebyt. Znikało Shamballah, na zawsze.

Sam też mógł tkwić w morzu tej nicości, gdyby nie on... czy ona...

Kiedy podążał za dudniącym odgłosem, wydawało mu się, że nie zniesie jego dźwięku. Ale ten powoli przycichał, trwał jednak na tyle długo, by doprowadzić Ernsta do swego źródła.

W centrum walącej się budowli, na brzegu cuchnącego jeziora, leżały dwa ciała zamarte w uścisku. Rozpoznał ostatniego z demonicznych obcych. Jego twarz rozmywała się w pośmiertnym spazmie, jednak ściskany przez niego niski Kham jeszcze żył. To jego serce biło tak mocno, że Paweł zdołał usłyszeć ten odgłos aż poza murami świątyni. Teraz zamierało, ale oczy starca o twarzy porośniętej gęstymi włosami nadal były otwarte i pojmujące.

– Witaj, przybyszu. Spóźniłeś się – jego szept był ledwie słyszalny. – Już nie zdołasz skorzystać z mocy doliny... Uciekaj, póki możesz...

Ernst próbował uwolnić Khama z objęć zakapturzonego wroga, nawet otworzył usta, aby zapytać, co tutaj zaszło, ale zorientował się, że jest za późno. Dudnienie ustało. Oczy starca przesłoniła ćma.

I wtedy Schafer dojrzał, jak zwiędłe ciało Khama młodnieje, ukazując

oblicze przystojnego mężczyzny. Pięknego, tak pięknego, że nagle stał się kobietą. Uroczą, o chińskich rysach twarzy, spokojną odpoczynkiem śmierci. Ta zaś zaczęła się starzeć, aż przybrała postać odrażającej czarownicy o twarzy poznaczonej wrzodami.

Odwrócił się i uciekł. Nie mógł na to patrzeć.

Kolejna fala osłabienia i wiatru dopadła go, gdy już wychodził z morza traw. Omal go nie zabiła. Gdy przeminęła, zdołał doczołgać się do przełęczy. Gdzieś zgubił biały hełm ze znakiem SS. Ale to nie miało żadnego znaczenia.

Stał i patrzył, jak pożółkłe rośliny rozsypują się w proch, a wiatr rozwiewa go na cztery strony świata. Jeziorko wyschło, ziemia na jego dnie pękała jak pod zabójczym działaniem pustynnego słońca.

Góry zadrżały. Od strony przeciwległych szczytów dolina zapadała się, tworząc otchłań, której dna Ernst nie mógł dostrzec. Marzenie spadało do piekła.

Jednak nie wszystko pochłonęło zachłanne jądro planety. Z przepaści wyrastało coś jakby gigantyczny komin. Zaraz, Schafer wiedział, co to jest – przemierzając zniszczoną świątynię-labirynt, widział charakterystyczną studnię o cembrowinie wyrzeźbionej w gigantyczny kwiat lotosu. To właśnie była owa studnia, a jej dno znajdowało się w samym środku ziemi.

Wizg i szum! Wydawało mu się, że ogłuchł.

Ze studni wystrzeliła feeria bajecznych, nieziemskich kolorów, tak jaskrawych, że tym razem pomyślał, iż oślepl. Dziesiątki smug boskiego – innego określenia nie mógł znaleźć – światła wypryskały w niebo, chwilę kołysały się w rozdygotanym tańcu, a potem umykały na zachód.

Duchy Shamballah opuszczały swoją dziedzinę. Przenosiły się gdzie indziej czy też na zawsze wynosiły z tego koszmarnego świata? Wprawdzie tym razem nie opiekowali się nimi żadni kapłani, którzy poprowadziliby je ku nowemu domowi, ale...

Z hukiem runęła świątynna studnia. Nic nie pozostało po najcudowniejszej dolinie Tybetu. Ernst odzyskał wzrok i słuch, których przecież tak naprawdę nie stracił. Nie stracił też życia – i cieszył się z tego, choć jeszcze wczoraj było ono podporządkowane jednemu celowi. Dzisiaj mógł zająć się tylko sobą. Uwolnił się od przeszłości.

Wstawał świt.

TYBET, 17 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Wstawał świt.

Paweł szedł na chybił trafił, nie trzymając się ścieżek, bo zapewne właśnie nimi podążyliby Niemcy. Choć raczej nie obawiał się pościgu, w końcu za co mieliby go ścigać? Szczególnie że spieszyło im się na południe, do Berlina przez Indie. Ale na pewno zaniepokoi ich brak w obozie irlandzkiego gościa, więc mogą go zacząć szukać, choćby z chęci ponownego uratowania mu życia. A nie miał zamiaru kolejny raz spojrzeć w twarz Siegfrieda. Bał się, że to mogłoby go złamać. I bezwolnie, w imię miłości, oddać w służbę niemieckiej maszyny. Albo diabła... choć w niego nie wierzył.

– Co tu robisz? – zamarł, słysząc znajomy głos.

Obejrzał się i dostrzegł Schafera siedzącego na głazie. Obok niego leżał odbezpieczony luger. Ernst wydawał się jakiś taki mniejszy, zapadnięty w sobie. Ćmił papierosa, choć bez widocznej przyjemności.

– Odchodzę. I... chyba wiesz dlaczego – spokojnie odparł Paweł.

– Nie wiem, mogę się tylko domyślać. Byłeś w Shamballah.

Paweł drgnął, ale nie zaprzeczył. Też usiadł na kamieniu. Był już potwornie zmęczony.

– I nic nie osiągnąłeś. A może jednak? – Spojrzenie Schafera było jak zwykle uważne, mimo że wydawał się bardziej wykończony niż Paweł. – Szukałeś powrotu niemożliwego... Może nawet miłości. To coś związanego z Siegfriedem?

– A co to cię może obchodzić? – warknął Paweł. Żałował, że z obozu Niemców zabrał tylko myśliwski nóż.

– Ja też jej szukałem. I nie znalazłem. Jednak ja przybyłem za późno. – Wyciągnął z kieszeni kurty gruby portfel i podał Pawłowi.

W środku, w pierwszej przegródce, było zdjęcie. Piękna kobieta o

chińskich rysach.

- Ależ... widziałem ją w Bombaju... - przerwał, a Schafer nie kontynuował tematu. - Żona?

- Nie według naszych, europejskich pojęć. Ale tak, żona, a nawet więcej.

Chwilę milczeli, obydwa równie zmęczeni, co zażenowani.

- Mówiłeś, że było za późno...

- Już nie ma doliny. Pojawili się jacyś obcy... demony... - Schafer rzucił spojrzenie Pawłowi, jednak nie dostrzegłszy na jego twarzy grymasu zdziwienia ani ironii, ciągnął dalej. - Nikt tam już nic nie znajdzie.

- Tacy ze skórą rozpuszczającą się jak wosk? Słyszałem o nich już dawniej, a potem nawet spotkałem jednego. Mówi się, że to wysłannicy Chińczyków.

- Chińczyków? - zdziwił się Ernst. - Chińczycy walczą teraz o życie z Japończykami! Chciałoby im się angażować tutaj, kiedy ledwo zipią u siebie?

- Oni myślą zupełnie inaczej niż my. - Paweł się skrzywił. - Pewne sprawy uważają za ważniejsze niż wojna, która przecież kiedyś się skończy, a oni, Chińczycy, i tak przetrwają i dalej będą robić swoje. Takie spojrzenie na życie.

- Znam wschodni fatalizm, ale...

- A ja już jestem pewien, że to, co przed laty mówił mi pewien mądry człowiek o nienawiści Kitajców do wszystkiego, co obce, okazało się prawdą. Oni od zawsze chcieli zniszczyć Shamballah, każde Shamballah. I znów im się powiodło.

- Znów?

- To długa historia, a my mamy mało czasu. Daj papierosa. Potem muszę iść.

- A kim był ten mądry człowiek?

- Wielkim podróżnikiem. Już nie żyje. Wpakował sobie w łeb kulę.

Srebrną.

Teraz palili obydwaj, każdy pogrążony we własnych niewesołych myślach.

– Co teraz zrobisz? – pierwszy odezwał się Paweł.

– Wróć do tego, co mnie interesuje. Kultura Tybetu. Tylko to mi zostało.

– W Ahnenerbe? Co w ogóle znaczy ta nazwa? „Dziedzictwo Przodków”? Śmieszne... i sam o tym wiesz.

– A gdzie indziej mógłbym się podziać? Mamy takie zbiory, że Muzeum Brytyjskie może co najwyżej prosić nas o konsultacje naukowe. A ty? Wrócisz do Polski?

– Polski?

– Daj spokój. Przypomniałem sobie, skąd cię znam. Berlin, dwudziesty drugi czy trzeci rok. Wspaniałe przyjęcia. Szczególnie u hrabiny, jak jej było, tej powiązanej z polskimi firmami spedycyjnymi...

– Dobra. Wiem, o co ci chodzi. Dlaczego wcześniej, w obozie, dałeś mi spokój? – Paweł nie wiedział, czy przypadkiem za chwilę nie będzie musiał walczyć o życie.

– Właśnie, dlaczego dał mu pan spokój, *Herr Standartenführer*? – Obaj drgnęli, szczególnie że dwa ostatnie słowa były wypowiedziane z wyraźną pogardą.

Zza skał wyszedł Siegfried.

Mierzył do Pawła ze sztucera. Uśmiechał się triumfalnie.

– Odłóż broń, Siegfriedzie – nakazał Ernst.

– O, nie ma mowy. Chcę wiedzieć, co tu robisz ze szpiegiem naszego wroga – głos Siegfrieda przeszedł w pisk.

– To – odparł Schafer i wypalił z lugera. Siegfried upadł, przekoziółkował po zboczu i wylądował na czole lodowca.

– Żegnaj – rzucił Schafer do sparaliżowanego sytuacją Pawła. – Masz jeszcze przed sobą jakiś cel, który ma znaczenie?

Nie oglądając się za siebie, odszedł na wschód. Postanowił, że w drodze powrotnej ekspedycja musi odpłynąć z Bombaju.

Paweł powoli, drżąc na całym ciele, podchodził do lśniącego w promieniach ostrego słońca pyska lodowego giganta, na którym rosła plama czerwieni.

WARSZAWA, OKOPY ŚWIĘTEJ PRAGI, 4 LISTOPADA 1794 ROKU

Rosyjskie pociski padały wszędzie wokół. Gryzły ziemię, a potem wypluwały ją z dwukrotnie większą siłą. Ogień był gęsty jak czarna polewka dla niechcianego zalotnika. Pawłowi wydawało się, iż chwilami nie widzi nieba.

– Patrz, trzydziesty raz trafili w kościół! – wrzasnął Ludwik.

I rzeczywiście, świątynia upstrzona była żelaznymi ranami, ale trwała równie twardo jak obrońcy sarmackich okopów. Bez nadziei na odsiecz, bez wsparcia, ranni, zmęczeni do granic możliwości. Ufność mogli mieć jedynie w Bogu. Chyba tylko dzięki Jego opiece pobliska świątynia trzymała się na posterunku tak długo jak oni.

Nagle gruchnęła wieść podawana z ust do ust przez załamanych żołnierzy: „Jasiński nie żyje! Zginął generał Jasiński!”.

– Jak myślisz... ciąży nad nami, Polakami, jakieś przekleństwo? – spytał Ludwik. Paweł spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale i miłością. Po raz nie wiadomo który zdumiewało go, że myśli młodszego przyjaciela biegną tymi samymi torami co jego. Rozumieli się bez słów, tak było od pierwszego spotkania w murach Szkoły Rycerskiej, którą wizytował z ramienia królewskiego kuratora. Od pierwszych wspólnych rozmów, od pierwszych wspólnych szlacheckich wygłupów. Od pierwszej spędzonej razem nocy. Ludwik: kadet, piękny, inteligentny, namiętny.

Kiedy tylko wybuchła insurekcja, Paweł postarał się, aby Ludwik trafił do jego pułku. A teraz pewnie zginą – też razem. Ratunku nie było. Przewaga nad wojskami rosyjskimi została stracona kilka miesięcy temu. Potem nie było już innej możliwości – Warszawa musiała paść.

„Trzymają się tylko okopy świętej Pragi, niczym wyspa granitowa zwieńczona samotnym sztandarem. Jedynie one chronią Warszawę

przed potopem barbarzyńskich hord wszechwładnego Suworowa” – wciąż pamiętał słowa wypowiedziane przez starego pułkownika, Krasiński chyba się nazywał.

– Przekleństwo?... – odpowiedział dopiero po chwili, nie patrząc kochankowi w oczy. – Raczej nie. Mniemam, iż po prostu Bóg umarł. I to dawno temu. My niedługo podążymy za nim...

Nie zdążył dokończyć.

Kolejny pocisk uderzył w umocnienia tuż obok nich. Pociemniało mu w oczach, utracił zdolność słyszenia.

Przejrzał na oczy chwilę później. Nadal nic nie słyszał, widział tylko rozwarłe w niemym okrzyku usta biegnącego ku nim sanitariusza. Nie czuł bólu. Rozejrzał się. Gdzie Ludwik?

Impet wybuchu odrzucił przyjaciela o dobre pięć kroków. Jeszcze dalej leżała jego ręka. Złote, lekko kręcone włosy sklejała ciemniejąca czerwień. Prosty, klasyczny nos został wgnieciony w czaszkę.

Paweł zawył, choć sam nie słyszał własnego krzyku. Chciał sięgnąć po nóż, by – jak sam przed chwilą mówił – razem z Ludwikiem dołączyć do martwego Boga. Ale nie mógł ruszyć ręką.

Odzyskał słuch i dobiegły go słowa sanitariusza: – Psiakrew! Panie, nie ruszajcie się! Paskudnieście oberwali!

Nie był w stanie nawet odebrać sobie życia. Stał się bezbronny w obliczu tragedii najstraszniejszej – samotności. Znał samotność aż zbyt dobrze, często wkraczała w jego długie życie. Nienawidził jej niczym whisky, którą z braku innego zdobycznego alkoholu musiał pić w czasie angielskiej wojny domowej.

Jedyne, co mu pozostało, to przysięga. „Kochany, nie wierzę, że moglibyśmy spotkać się w niebie. W ogóle wątpię, czy ono istnieje. Zatem przysięgam ci, że nie ustane w wysiłkach, nie poddam się, dopóki nie odnajdę sposobu, abyś połączył się ze mną inaczej niż poprzez śmierć. Albo ja znajdę ciebie, albo ty mnie”.

Zemdlą. Przeżył, by tęsknić.

Warszawa, maj – czerwiec 2006r.

TOMASZ BOCHIŃSKI [1959]

Debiutował w 1985 roku opowiadaniem *AIDS* („Politechnik”).

Wydał powieści *Sen o złotym cesarstwie* i *Kurierzy galaktycznych szlaków*, zbiory opowiadań *Królowa Alimor* (wraz z Wojciechem Bąkiem) i *Wyjątkowo wredna ceremonia* oraz komiks *Rycerze ziem jałowych* (rys. Grzegorz Komorowski).

Nominowany w 2000 roku do Nagrody Srebrnego Globu.

Tomasz Bochiński

**Cudowny wynalazek
pana Bella**

No dobra, opowiem...

Tego dnia, szanowna publiko, nie byłem w najlepszym nastroju. No wiecie, jak to jest, gdy was ukochana kopnie w dupę. Nie, miłe panie, ja niczego nie sugeruję...

Opowiadać? Się robi. Właściwie standardowo po takim zdarzeniu powinienem się upić w trupa, a potem powtarzać zabieg aż do całkowitego zaniku sieci neuronów odpowiedzialnych za uczucia wyższe. Zyskałbym na dzielnicy wierne grono przyjaciół, trwały alkoholizm i wszystko byłoby git, czyli normalnie.

Ja jednak postanowiłem być oryginalny. Taak... Kategoriecznie odmówiłem chlania, budząc niepomierne zdumienie koleśków; tacy byli współczujący, że chcieli stawiać, sądząc, że groszem nie śmierdzą, i że zgrozą przyjęli odmowę. Ostatnio jeden kumpel zaniechał picia, a rano znaleźli nieboraka wiszącego na żyrandolu. Ząbkowska i nawet część Brzeskiej przypuszczały, że zmierzam w ślady wisielca. Cóż, ludzie na Szmulkach są w porządku, czasem jednak zbyt konserwatywnie podchodzą do świata.

Jesteś nieszczęśliwy – napij się wódki. Szczęście cię rozpiera – stawiaj gołdę. Nie wiesz, czy jest tak, czy siak – walnij setę, rzecz się wyjaśni.

A Maryjka zamieniła mnie na jednego palanta w garniturze: „Bo on nie pije tak jak ty”. Pewnie nie, a oprócz tego miał brykę i prowadził prywatny biznes. Jak mogłem z nim rywalizować? Powiedźcie.

Ale postanowiłem zmienić coś w życiu. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to wyremontować chałupę. Umęczone się, myśli zajmę, a efekt pozytywny będzie. I postąpiłem jak w starym dowcipie o kupowaniu samochodów; pamiętacie: facet nabył dziurkowane rękawiczki i do nich dobierał limuzynę. Tak i ja, zwiedziwszy targ staroci na Kole, powróciłem z łupem. Dźwigałem dumny i prawie szczęśliwy aparat telefoniczny, gdzieś tak na oko z lat dwudziestych.

Żdziwko widzę w oczach przepięknych. Że telefon? Miła, jak go

odczyściłem i ustawiłem w przedpokoju, to całe pomieszczenie aż blasku nabrało. Wysoki, srebrny, ze słuchawką wykładaną szlachetnym drewnem – jedyny sprzęt z klasą w całym zapuszczonym mieszkaniu. Komórki? No nie, bracie – wtedy, w połowie lat dziewięćdziesiątych, występowały rzadziej niż śnieg w maju. A drogie tak, że nawet nowy men Maryjki – Tadek w Garniturze, mocno się w łeb pusty drapał, czy zabawkę nabyć.

Napatrzywszy się na telefon, ruszyłem do przesuwania gratów. Komody przepchnąć nie mogłem, trzeba było wybebeszyć ciężkiego grzmota. Skończyło się na tym, że zasiadłem na podłodze pośrodku pokoju, obłożony skarbami i pamiątkami rodzinnymi. A w lodówce znalazłem dwa browary. Piwo do sześciu sztuk to przecież nie alkohol. Nieprawdaż? I tak jakoś zrobiło mi się trochę lepiej. Z zapalem wertowałem albumy ze zdjęciami, coraz bardziej zagłębiając się w przeszłość. Nie rozpoznawałem twarzy, ale szczęściem fotografie opisano, i to dość skrupulatnie. Jedna fotka zaciekała mnie niezmiernie, aż wyjąłem sepiowy kartonik, by obejrzeć go dokładnie. Przodek w tużurku i sztuczkowych spodniach, gładko uczesany z przedziałką, siedział na krześle z powagą wpatrzony w obiektyw. Zdjęcie solidne, podklejone grubym kartonem, na plecach miało wyraźną pieczętkę: nazwisko fotografa, adres i numer telefonu. A nawet ręcznie wypisaną datę. Obracałem zdjęćko w palcach, nadśluchując. Niestety, piękny aparat telefoniczny milczał przez cały wieczór. A ja, nie ukrywam, czekałem w napięciu. Może Maryjka zadzwoni? Nie ma mądrych w takiej sytuacji. Nic jednak poza wrzaskami dzieci na podwórku nie przerywało ciszy. Szarańcza gówniarzy ryła trawnik przed kapliczką, skąd całkiem niedawno ekshumowano szczątki pozostałe po powstańczym cmentarzyku. Każdy znaleziony guzik czy drobna moneta wywoływały nowy przypływ entuzjazmu.

Skoro tak, ja zadzwonię, pomyślałem. Jednak gdy zimna słuchawka

dotknęła ucha, stchórzyłem. Ale żeby ukryć to przed sobą samym, wykręciłem pięć cyfr zapisanych na zdjęciu. I czekałem na głos panienki kwitujący wybranie dawno nieistniejącej centrali drętym tekstem: „Nie ma takiego numeru, nie ma takiego...”.

– Allo? – świeży dziewczęcy sopran przyprawił mnie o opadnięcie szczęki i wytrzeszcz oczu. Lustro przy wieszaku ukazało obraz zdumionego kretyna.

– A... allo? – sopranik mimo zniekształceń i „blaszanego” przydźwięku wyraźnie oddał niepewność dziewczęcia.

Odchrząknąłem i wykrztusiłem: – Czy to zakład fotograficzny?

– Taak... – śpiewnie przeciągnęła dziewczyna. – Niestety, już nieczynne. Nikogo nie ma.

– Z duchem rozmawiam? Panno słodka! – zyskałem nieco na pewności, wchodząc w rolę klienta.

– Ach nie – głos rozjaśnił uśmiech. – Z krwi i kości jestem. Jednak – dodała rzeczowo – zakład pracuje do siódmej wieczór. A teraz już...

– Późno – wpadłem w słowo. – Przepraszam...

– Taak. Ale nie tak bardzo... – Uśmiech ciągle trwał.

– Cóż. Zadzwońię innym razem.

– Proszę. Bo ja tu tylko mieszkam.

– Dobrej nocy życzę.

– Ja też.

Stałem ze słuchawką przy uchu, urywany sygnał brzęczał bez końca. Zaciekawiała mnie „fotograficzna” panienka. Rozmawiając, czekała na odpowiedź, skupiona, nie drażnił jej natręt; nie spoglądała jednym okiem w telewizor czy gazetę. Takie rzeczy wyczuwa się przecież. A ja przez całe dwie minuty nie myślałem o Maryjce.

Wykręciłem ponownie numer fotografa.

– Allo?

– Miła panno... Przepraszam... To znowu ja.

– Tak? – głos zabrzmiał łagodnym zdziwieniem.

– Chciałem zapytać... Czy mogę kiedyś zadzwonić?

Zdziwienie urosło.

– Przecież...

– Do pani, madame – wyjaśniłem szybko.

Cisza zupełna zaległa w słuchawce.

– Proszę, błagam, do stópek przepięknych upadam – rzuciłem rymem „częstochowskim”.

– A skąd wie, że przepiękne...? – Śmiech czał się tuż pod powierzchnią słów.

– Wie, wie. Inaczej być nie może, milady.

– Ale pan śmiesznie mówi...

– Więc zgoda?

– Doobrze. Bywam tu wieczorami...

– Pięknych snów życzę – powiedziałem.

– Dziękuję – głosik zabrzmiał cienko, dziewczynkowato. I już jej nie było.

Spałem jak dziecko. Kuźwa, rano... Że co, kochaneńka? Mam się nie wyrażać jak żul z Pragi? Ależ ja jestem żulem z Pragi. Tam urodzony, tam wypilem pierwsze dwie wanny wódki. Zresztą, święta naiwności spod Morąga, żebyś ty słyszała, jak nawijają kolesie z Brzeskiej czy Stalowej... Nie, wcale nie chcę nikogo obrażać. W każdym razie nie za bardzo. A teraz może wrócmy do naszych baranów. Właśnie. Też tak sądzę.

Rano, jak mówiłem, humor jakiś miałem lepszy. Do południa nieźle szarpnąłem robotą. Meble stanęły w ordynku pośrodku pokoi. Nawet zacząłem zmywać ściany. Wreszcie uznałem, że czas na obiad. Jak stałem, tak i wypadłem na dwór w poplamionym podkoszulku i porwanych sztanach. Kogo to obchodziło na Ząbkowskiej. Wracałem z zakupami przez podwórko, gdy wpadłem na Desanta. To kumpel jeszcze z podstawówki. Wojo odpękał w „Czerwonych Beretach”, stąd ksywa. Obaj

mieliśmy kiepsko u dzielnicowego. Niejedną wspólną partanię zrobiliśmy. A obalonych razem flaszek nie podejmuję się policzyć. Przybił piątkę, ale widzę, gościu coś niewyraźny. W oczy nie patrzy, z nogi na nogę przestępuje.

– Co jest, Desant? – zagailem, bo pomiędzy nami tajemnic nie było.

– Trouble Dzej Dzej – wyangielszczył się, miał ten zwyczaj.

Jeden temat wirował mi we łbie, więc rzuciłem: – Kobita?

Westchnął ciężko i przytaknął. Głupio zabrzmiało, ale lepiej mi się zrobiło. Desant był twardy, skoro jego wzięło, i ja nie miałem powodu do wstydu.

– Słuchaj – powiedziałem. – Wczoraj miałem taki przypadek. Nakręciłem numer 401-81 i... Wyobraź sobie, uzyskałem połączenie. Kumasz coś z tego?

Przez chwilę milczał, jakby nie rozumiał, co mówię, patrzył gdzieś w bok, a potem nagle wydarł jadaczkę na pełny regulator: – Spierdalaj, gówniarzu!

Zdumiałem.

– Sorry, chłopie – powiedział. – Musiałem pogonić obsrańca. – Wskazał umykającego małego rudzielca.

– Młody Duda... – mruknąłem.

– No właśnie. Braciak kupił mu procę na bazarze i gówniarz morduje koty. Zgnilizną pod oknami zajezdza niemożebnie... A co do telefonu... Centrale reagują na numery sześciocyfrowe...

– Ale naprawdę!

– Coś musiało przeskoczyć i połączyło cię z zupełnie innym numerem. Te centrale to rzęchy. Dobra, muszę lecieć. Jak sprawę wyjaśnię, większą wódkę zrobimy – rzucił, już odchodząc.

Nie kupiłem teorii Desanta. Dwa razy centralka się pomyliła? No i przecież dziewczyna mówiła, że to zakład fotograficzny. Ale niepewność pozostała. Toteż w domu natychmiast wybrałem numer fotografa. W

słuchawce trwała głucha cisza, a potem rozbrzmiało bełkotliwe: „Nie ma takiego numeru”. Przystałem kręcić dopiero, gdy rozboleł mnie palec.

Przez resztę dnia mimo intensywnego arbatu czułem się nieswojo. Jakbym coś wartościowego stracił... I wiecie co? Wcale nie chodziło o Maryjkę.

Mało razy rozmawiałeś z kimś omyłkowo, frajerze? – mówiłem do siebie, szpachlując dziury w ścianach, ale nie pomagało. Durne uczucie. Udało mi się przestać o tym myśleć, ale wtedy przed oczyma ujrzałem jak żywą Maryjkę – nagą w objęciach Tadka, który nawet przy tej okazji nie zdjął Garnituru. Tobie odpierdala, koleś, pomyślałem i o zmierzchu pobiegłem po flaszkę.

Nie ma co się krzywić. Tak było.

Nie ze wszystkim jeszcze uległem pokusie. Postawiłem flachę na szafce. Obok musztardówkę. W końcu ma się klasę – nie pijam z gwinta. Jednak zanim zerwałem nakrętkę, wziąłem metalowy kosz i wrzuciłem do niego wszystkie pamiątki po mojej kobiecie: zdjęcia, pluszowego misia, jakieś listy, a nawet zaplątany w pościeli biustonosz. Potem całość polałem benzyną i rzuciłem zapalniczkę. Flacha błysnęła zachęcająco, odbijając płomień. By odwlec chwilę upadku, wykręciłem znany mi już na pamięć numer. Po ostatniej cyfrze – rozbrzmiała szmerem zakłóceń cisza. Butelka wyszczerzyła się do mnie ironicznie.

Nagle rozbrzmiał normalny sygnał, a potem usłyszałem srebrzysty sopran: – Allo?

Flaszka łyknęła złowrogo niebieską etykietę. Ja zaś, pełen ulgi, przycisnąłem słuchawkę ramieniem i posłałem „Bałtyckiej” gest Kozakiewicza.

– Witam i do nówek upadam, przepraszam, jeżeli głupstwa gadam – rzuciłem z marszu.

„Pomyłka” nie rozchichotała się, jakby to uczyniła moja była.

– Aaa, to pan... – rzekła jakimś nieobecny tonem.

– Przeszkadzam?

– Tak. To znaczy nie! Byłam zajęta, lecz już skończyłam.

– Dzwoniłem w dzień...

– Siedziałam na wykładach, potem w kawiarni... Bywam w zakładzie dopiero po zamknięciu... Ale – dodała – pan Janowski nic nie wspominał...

– Nie mogłem się dodzwonić.

– To woda na młyn pana Bronka, zawsze mówi, że mechaniczne centrale są marnym wynalazkiem.

– Parę lat minęło od ich wprowadzenia – stwierdziłem, myśląc: Dziadek Janowski musi mieć dziewięćdziesiątkę na karku. Ciekawe, jak znosi centrale elektroniczne...

– A mimo to pan Bronka się nie przyzwyczał – rzekła z leciutkim uśmiechem.

Opanowany nieco wisielczym humorem, opowiadałem dowcipy i dykteryjki, przesadnie akcentując praski akcent.

– Aaa... „weź lagę i chodź na Pragę” – uśmieła się panna. – Dlatego tak pan dziwnie mówi...

Miałem na końcu języka, że raczej ona gada dziwacznie, śpiewnie, jakby z za Buga była, a do tego językiem jakimś takim przykurzonym, eleganckim. Ani chybi panienska z dobrego domu, doszedłem do wniosku. Może za granicą rodzona?

– A co pan tak naprawdę teraz robi? – strzeliła pytaniem, ja zaś zamyślony odparłem: – Niewiele. Nic w zasadzie... – A po ulotnej chwili wyrwało mi się z jękiem: – Niszczę pamiętki, dziewczyna mnie właśnie rzuciła...

Słowo daję, nie mam w zwyczaju wypłakiwać się znajomym, a już tym bardziej nieznanym w rękaw. Jednak bywa przecież tak, że człowiek poczuje do kogoś obcego niczym nieuzasadnione zaufanie. Bywa. Prawda? No właśnie. Zaraz też zawstydziłem się okropnie, zwłaszcza że rozmówczyni wciągnęła głęboko powietrze i zamilkła. Cisza zapadła tak

wielka, jakby po drugiej stronie nikogo nie było.

Wreszcie po chwili, trwającej bardzo, bardzo długo, panna rzekła cicho cienkim, dziecięcym głosem: – Cały wieczór pisałam wiersz. Skończyłam. Chciałby pan posłuchać?

Zdurniałem. Zdębiałem. Wymiękłem.

Wtedy myślałem, że „pomyłka” chce po prostu zmienić temat, zażenowana wyznaniem obcego gościa. Teraz wiem – zapragnęła odwzajemnić zaufanie, bo wyczuła, jak bardzo wbrew sobie uczyniłem tę spowiedź.

Zaskoczony wyraziłem zgodę, choć – wicie, rozumiecie – z poezji znałem: „wstąpiłem na działo, dwieście harmat grzmiało” i „zwierz alpuhary broni się jeszcze Almanzor z garstką rycerzy”. A właśnie, wie ktoś, o co chodziło z tym „zwierzem”? Nieważne zresztą. No, w skrócie mówiąc, cała poezja świata wisiała mi luźnym kalafiozem. I przywykłem, że to ja zarywam panieny na produkowane na poczekaniu wierszyki. Niemniej skoro dama sobie życzyła...

– Jeszcze muszę nad nim popracować... – Zaszleścił papier, potem dziewczyna zaczęła recytować, nie siląc się na aktorskie zagrywki:

*Gdy błądziłam, szukając szczęścia, powtarzałeś, zaprawdę marność.
Nikt nie zajmie twojego miejsca.
Nie wyklinaj mnie, odrzuć zazdrość.*

*Gonił wiatr za samotnym cieniem, ja niedbale rzuciłam, bywaj.
I umknęło gdzieś słów znaczenie.
Odrzuć zazdrość, mnie nie wyklinaj.*

*Czy zostało coś, któż to wspomnie...
A i to czyż ma jakąś wartość?
Tylko echem wracało do mnie: nie wyklinaj i odrzuć zazdrość.*

*Mgłą leciutką szron zasnuł przeszłość, Choć mówiłeś: nie zapominaj.
Słowa blakną, odchodzą w ciemność.
Odrzuć zazdrość i nie wyklinaj.*

*Wiosna przyszła wraz z wierzby płaczem.
Miałeś rację, to jednak marność.
Proszę, wybacz mi, ja wybaczę.
Nie wyklinaj i odrzuć zazdrość.**

Umilkła. A ja... ja czułem się tak jak wtedy, gdy średni Duda trafił mnie pięchą prosto w dołek. Kompletny bezdech, oszołomienie. Nic nie mogłem wykrztusić. To jakby o mnie było i o Maryjce, ale takie sięgające sedna sprawy, pozbawione żalostnej i płaskiej codzienności... Uwznioślone i prawdziwe zarazem. No, nie umiem o tym gadać. I nawet nie chcę.

Panna widać błędnie odczytała milczenie, bo rzekła spiesznie: – Będę jeszcze pracować nad nim, chyba rymy szwankują...

– Nie! Boże broń, proszę nic nie zmieniać! – wykrzyknąłem, zaskakując tym nas oboje. – To cudowne...

– Nnaprawdę?

– Tak – rzekłem zdecydowanie. – Czy... moglibyśmy się spotkać?

– Hm?

– Chciałbym podziękować...

– Ale za co?

– Pomogła mi pani. Bardzo. Sianowna paniusiu – wróciłem do żartobliwego tonu, musiałem. W końcu gdybym się, kuźwa, rozbeczał w słuchawkę, głupio by było. – Spotkajmy się, królowo.

– Dobrze. Wykłady kończę o drugiej... Mam „wziąć lagę i jechać na Pragę”?

– Ach nie. Przed bramą uniwersytetu będzie dobrze.

– Nie wiem. Nie wiem, czy to rozsądne...

– A niby dlaczego? Zaraz! Przecież ja nawet nie wiem, jak pani ma na imię?

– I wzajemnie.

– O skur... przepraszam. Jan Jastrzębski kłania się unizenie.

– Tania.

– Ania? – nie dosłyszałem.

– Tania – powtórzyła – Tatiana. Ale nazywają mnie Tania.

– Jak cię poznam, Taniu?

– Jestem wysoka, ciemnowłosa. – Roześmiała się. – Mówią, że ładna...

A jak ja pana rozpoznam?

Zerknąłem w lustro. Nie było co bajać.

– Szatyn, średniego wzrostu. O takich mówią: „Mały, ale byk”. Urody, rzekłbym, amatorskiej.

Jej śmiech ponownie rozświetlił mroczny przedpokój.

– A więc „sianowanie”, panie Janku. Do jutra.

– „Panie Janku”?

– Ja nie przechodzę tak łatwo na „ty” – rzekła tonem serio, w który nie uwierzyłem.

– Więc żegnaj, jestem urażony do głębi...

– Do jutra, bo jakoś panu nie wierzę...

Słuchawka rozbrzmiała sygnałem. Flaszka gorzały przestała kusić. Pokonałem starego diabła. Przynajmniej tym razem.

Różne głupie pomysły przychodziły mi do głowy, najpierw chciałem założyć gajerek, potem za dużą marynarę i kraciastą czapkę. Wreszcie odpuściłem sobie. Wdziałem sprane dżiny, czystą koszulę i – po zlustrowaniu nieba – skórzaną kurtkę. Identyczne żeśmy sobie sprawili z Desantem na Różycu.

„Dwadzieścia pięć” zawiozło mnie do miasta, po namyśle nabyłem różę na metrowej chyba łodydze. Płatki miała ciemnoczerwone, prawie czarne, mięsiste i lekko mechate. Naprawdę odjazdowe.

Przed bramę uniwerku dotarłem tuż przed drugą. Niezłe laski kręciły tam zadkami. Panienny popatrywały ciekawie, ale mijałem je obojętnie. Szukałem „ciemnowłosej i ładnej”. Tani. Jakoś tak po pół godzinie przestało mi się to podobać, po czterdziestu minutach poszedłem do automatu telefonicznego. Zeżarł dwa żetony, po czym wybełkotał: „Nie ma takiego numeru”.

Ze złością trzasnąłem słuchawką. Zachmurzyło się, powiał zimny wiatr. I lunął deszcz. Trwałem pod bramą jak kompletny idiota jeszcze z pół godziny. Wreszcie miałem dość lodowatego prysznicu. Kwiat zamiarowałem wypieprzyć do śmietnika, kiedy zobaczyłem grupkę lasencji stojących pod parasolami na przystanku. Śmiały się najwyraźniej ze mnie, pokazując palcami.

Bardzo powoli, acz zdecydowanie podszedłem do nich. Śmiechy umilkły. Zmierzyłem sikorki wzrokiem. Wybrałem taką szarą myszkę w okularach i podałem jej różę. Nie wzięła, więc ująłem delikatnie małą dłoń, nie bacząc na kolce, zamknąłem zimne palce na łodydze. Myszka, patrząc na kwiat jak zaczarowana, nawet nie syknęła.

Zrobiłem w tył zwrot. Napawając się trwającą za plecami ciszą, poszedłem do tramwaju. Wnerwiony byłem maksymalnie, jednak nurtował mnie niepokój. Bo może coś się stało? Tania nie wyglądała na durną chichotkę robiącą z kogoś frajera dla uciechy.

Może by tak na Chłodną podskoczyć? Po namyśle zrezygnowałem. Gadka szmatka ze stuletnim dziadygą nie miałyby sensu, a dziewczyny i tak tam nie zastaną.

Deszcz ustał. Z tramwaju wysiadłem przy bazarze. A że akurat pora była coś wrzucić na ruszt, kazałem sobie dać pyzy. Do chałupy dotarłem już w nieco lepszym humorze. Scenka, jaką zobaczyłem na Brzeskiej, rozbawiłaby każdego. Niejaki Kulawy Bolo, kadłubek jeżdżący na desce z kółeczkami, postanowił przebyć jezdnię. Myknął z chodnika wprost pod elegancką gablotę. Pisk opon, zgrzyt hamulców. Bolo leży, kółka kręcą się

w powietrzu. Na Brzeskiej wrzask: „Zabił kalekę!”. Z bram wybiegła czereda koleśków. Dopadli auta i zaczęli bujać z wyraźnym zamiarem przewrócenia samochodu. Ciekawość brała, czy im się uda. Ale kierowca nie stracił zimnej krwi. Uchylił szybę i wysunął przez szparę banknot. Kolesie ocenili nominał. Był odpowiedni. Krzyki umilkły. Bolo ze zręcznością pająka pozbierał się, ktoś go wtoczył do bramy... Koniec przedstawienia. Poszedłem, chichocząc, zlekceważyłem zachęcające gesty kumpli zapraszających na wódek. Kulawy Bolo kiedyś po pijaku próbował tego numeru z tramwajem. Właśnie od tamtej pory śmigał na safianie.

Na schodach oficyny spotkałem starą Kornacką, podwórkową wariatkę. Wbrew zwyczajom, zamiast zalać mnie potokiem bezładnej gadaniny, popatrzyła z nieudawanym współczuciem i poszła karmić koty. Głupie sąsiadki gadały, że ma „złe oko”. Wzruszyłem ramionami. I pognąłem do chawiry. Robota czekała.

Zresztą robota...

O zmierzchu zadzwoniłem. I z ulgą usłyszałem znajomy głos.

– Panno słodka! – wykrzyknąłem na powitanie. – Nic ci się nie stało?

– Nic – odparła lakonicznie i chłodno. – Chociaż mogło, stałam, znosiłam zaczepki... To nie było miłe.

– Zaraz! Czekalaś pod uniwersytetem?

– Tak. A z moją urodą... stać pod bramą... – w głosie brzmiała nietajona uraza.

No tak, dziewczyna ładna, a tam multum frajerów, ale bez przesady, krzywdy jej nikt nie zrobił... Myśl uciekła.

– Moment, czekałem na ciebie dobrze ponad godzinę – skłamałem, bo przecież stałem prawie dwie.

– Przyszłam punktualnie...

– Niemożliwe, czekałem pod bramą, zmokłem jak suczeniec.

– Nie rozumiem tych żartów. Upał jak w lecie... Skończmy rozmowę.

Jestem zajęta.

Nic nie pojmowałem poza tym, że jest szczerze obrażona.

– Czy nie mógłbym przyjść... teraz?

– Nie. To niemożliwe. Mam spotkanie – w głosie zabrzmiało ożywienie – z Tuwimem i Wierzyńskim... A poza tym uczę się do egzaminów i przygotowuję tomik wierszy... Nie będę miała czasu.

– Ale...

– Dobranoc – ucięła.

– Zaraz, poczekaj... – rzekłem nie dość spiesznie, już brzęczał sygnał.

Ze złością upuściłem słuchawkę na widełki. Usiadłem w kuchni przy stole. Skołataną łepetynę podparłem rękoma. Nic nie rozumiałem. Tania na pewno nie kłamała. Ja stałem w deszczu, ona piekła się w upale. Może godziny pomyliłem? No nie, na trzeźwo nie ma takiej opcji. A o co chodziło z tym Tuwimem? Jako prosty technik budowlany nie miałem wielkiego pojęcia o poetach, ale sądziłem, że facet nie żyje. Pewnie to takie zakręcone gadanie, może będzie zdawać egzamin ze znajomości twórczości gostka i tego drugiego... Jak nic jest na polonistyce.

Wnioski te nieco mnie uspokoiły. Zwłaszcza że rano pogoda była dużo lepsza. Mimo wszystko... Upał? Cóż, panna mogła nieco przesadzać. A jednak pomyliłem godziny. Niedobrze z tobą, facet, podrapałem się fraszobliwie w czerep i ruszyłem demolować kibel.

Rankiem, jeszcze nieco obrażony, zadecydowałem, że dzwonić nie będę. Za to postanowiłem trochę powęszyć co nieco w temacie: panna. Znałem imię, wiedziałem, gdzie nocuje. I gdzie się uczy. Takie prywatne śledztwo. Zajęty „pomyłką”, mniej myślałem o Maryjce, apetyt wrócił, zasypiałem łatwiej... Kuracja „remontowo-telefoniczna” doktora Jana dawała niezłe rezultaty. Postanowiłem kontynuować i tak się zapaliłem do tej myśli, że gdy koło południa w drzwiach stanęła Maryjka, poczułem tylko zniecierpliwienie.

– Przyszłam po rzeczy – powiedziała zamiast „dzień dobry”, minę

miała zdziwioną: remont powoli wychodził ze stadium chaosu, widać już było pierwsze pozytywne efekty.

– Sory, bejbi – rzuciłem w najlepszym stylu Desanta. – Wszystko spuściłem do klopa. Porządki robiłem. – Zatoczyłem koło ręką.

– Wszystko wyrzuciłeś? Może coś znajdę? – Nawet nie zaczęła mi wymyślać, tak była zaskoczona.

– Może. Muszę lecieć, jak skończysz szukać, trzaśnij drzwiami. – Minąłem ją i wyszedłem na schody. Dopiero na podwórku pojąłem, co zrobiłem. Chciałem pobiec na górę, może... rzeczy to takie gadanie, może chciała wrócić? Potrząsnąłem głową. Pożegnalne spojrzenie Maryjki wyrażało niedowierzanie, rozczarowanie i wzbierającą złość. Przyszła pobawić się ze mną jak kot z myszą, podręczyć, sprawdzić, dlaczego nie skomlę u jej stóp, by wróciła.

Przypadek pomógł mi zachować się tak jak trzeba.

Spadaj, mała, pomyślałem i pobiegłem do Desanta. On jeden mógł mi pomóc w „śledztwie”. Jakiś nieprzytomny był, lecz wreszcie załapał, o co chodzi, i kazał sobie spisać wszystko. Tak zrobiłem. Zanotowałem nawet fragment wiersza i zaznaczyłem: poetka, prawdopodobnie publikowała. Proszę o wszelkie informacje: nazwisko, skąd jest, kierunek studiów. Może zdjęcie?

Desant rzucił okiem na kartkę:

– Dobra. Sprzedam to mojej byłej. Pamiętasz Profesore?

– Jakże! Niezła zaraza!

– No. Ale niegłupia. Ustali ci ten drobiazg. Być może nie za darmo...

– Co tam. Trochę ciaczków mam. Najwyżej coś opylę.

– Masz załatwione. A teraz dymaj stąd. Muszę lecieć... Rozumiesz, panienska...

– Zgubią nas te baby – rzuciłem, wypychany w pośpiechu na korytarz.

Co? Dlaczego nie szukałem w Sieci? Koleś, jaki Internet! To rok dziewięćdziesiąty piąty! Tego nawet na uniwersytetach nie mieli. Dziwne?

Jednakowoż prawdziwe.

No i tak...

Flaszka stała nieruszona na szafce w przedpokoju... Kusila jak diabli, ale, jak powiada Beatuńka, kumpela z podwórka, postanowiłem być „twardy, a nie miętki”.

Jeszcze parę dni i chata będzie jak nowa. Widzisz, mała... – w myślach rozmawiałem z Maryjką. Nie z tą obecną suką, a tamtą, słodką i kochającą, sprzed wielu miesięcy – ...nie piję.

Wrócił ból i kłopoty ze snem. Zmęczenie fizyczne nie wystarczało, by oderwać myśli od blondyneczki, która tak na maksa zamieszała mi w życiorysie.

Zacisnąłem zęby. Nie tknąłem ani flaszki, ani telefonu. Dla odpoczynku i higieny umysłowej postanowiłem sprawdzić w dyrekcji telefonów, z jakim naprawdę numerem łączyłem się, wydzwanając do fotografa. Daleko nie miałem – na Brzeską. Panienka z okienka nawet uprzejma była, w wykazach stało jak byk, że z mojego numeru nie wykonano w ciągu ostatnich dwóch tygodni ani jednego połączenia...

Nie próbowałem prowadzić sporów z urzędolniczką. Burdel w telekomunikacji nawet mnie nieco ucieszył, skoro mogę gadać przez telefon darmo...

A trzeciego dnia po obiedzie zadzwoniła Profesora: – Jastrząb? Mam te dane. Możesz odebrać nawet dzisiaj.

– Drogo?

– Dogadamy się. Ciekawe... Od kiedy się interesujesz takimi sprawami?

Wzruszyłem ramionami, jakby mogła to widzieć: – Dziewczynami? Od zawsze.

Zachichotała niepewnie i bez przekonania.

– Czekam. – Odłożyła słuchawkę.

Saska Kępa to nie Praga, ale też i nie lewy brzeg, zamieszkały przez wiochmenów i lewusów. Nie pomyślałem nawet o zmianie ciuchów.

Niezawodnym „dwadzieścia pięć” dojechałem do Waszyngtona. Park Skaryszewski stał w zieleni, w rosarium kwitły stare magnolie...

Kuźwa, kiedy ostatni raz zwracałem uwagę na takie dupersznyty? Ano tak, tuż po tym, jak poznałem Maryjkę... Wymiotłem myśli z mózgu. Przeszedłem Saską, przebyłem wiadukt nad Trasą. I już byłem u celu. Teraz tylko dwanaście pięter windą.

Dzwonek nie działał. Zapukałem energicznie i po dłuższej chwili drzwi się uchyliły. Przez szparę zabezpieczoną łańcuchem spojrzęło szaroniebieskie oko.

– Jastrzębski od Desanta – rzuciłem, znając zwyczaj Profesora, jej obsesje na punkcie bezpieczeństwa.

– Właż – sapnęła i z brzękiem zdjęła łańcuch. Przyjęła mnie w kuchni i na stojąco. Cała Profesora, zołza wstrętna. Na małym stoliku wypatrzyłem wypchaną szarą kopertę.

– Sporo tego – mruknąłem zdziwiony, ważąc kopertę na dłoni. – Bogaty zyciorys ma ta moja dziewczyna...

– Twoja dziewczyna? – Była kobieta Desanta wydała odgłos, jakby się zakrztusiła. Oczy za szklami miała okrągłe i lekko wytrzeszczone.

– No, przesadziłem – rzekłem. – Znam ją trochę, fajna laska...

– Ach, znasz ją... – przeciągnęła. – Laska, mówisz... Wiesz co, Jastrząb? A idź ty sobie już, mam robotę.

Miła jak zawsze, zaraza. Wyciągnąłem z kieszeni zwitek banknotów i upuściłem na stół. Bez słowa, z paskudną miną znaczącą: „Twój geld, najmito”.

Nie przejęła się. Zaczęła liczyć forszę.

– Sianowanie, paniusiu – rzuciłem, wiedząc, że tego nie znosi, i raz-dwa zabrałem zwłoki na ulicę. Co, u licha, widział Desant w tej biuściastej, okrągłej wredocie?

Koperta paliła dłoń. A jednak postanowiłem obejrzeć zawartość w spokojnym miejscu. Po drodze na Francuskiej wparowałem do lokaliku –

„Sax” to się nazywa. Wieczorami bywało w nim gwarno, panieny zawodowo wesołe wyruszały stąd na łowy. Teraz królowała cisza i pustka. W ciasnym, ciemnym wnętrzu, przy samym wejściu, siedziała samotna kobitka. Starsza, o zniszczonej twarzy. Chyba nie tylko alkoholem, ale i chorobą. Na chwilę podniosła na mnie zdumiewająco niebieskie oczy, po czym opuściła spojrzenie na rozłożone na stoliku karteluszeki. Zerknąłem na nie, pokreślone, nierówne linijki, jak nic – wiersze.

Same poetessy, parsknąłem w duchu. Zamówiłem piwo i kawę, posadziłem tyłek blisko baru. Gruba barmanka naląła Żywca, włączyła czajnik. A potem niespodziewanie postawiła przede mną talerzyk z czymś, co przypominało mocno wysuszony pasztecik.

Spojrzałem zdumiony.

– Pan wybaczy, dzielnicowy się czepia, że bez zakąski; prawa nie ma, ale krwi napsuć może. Oczywiście nic pan nie płaci.

Kiwnąłem głową, psom czasami odwała. Łyknąłem piwa i wreszcie dobrałem się do koperty. Szarpnięta niecierpliwie pękła, sypiąc zawartością po stoliku, jedno zdjęcie poszybowało aż pod nogi starszej damy. Nim zdążyłem podnieść, siwowłosa zebrała je z podłogi. Obejrzała fotografię i oddała z uśmiechem.

– Tania – powiedziała ciepłym głosem i wróciła do notatek. Zamurowało mnie. Co jest grane? Chciałem zapytać nieznajomej, skąd zna pannę, ale spojrzałem na zdjęcie i wszystko przestało się liczyć.

Fotografię wystylizowano na starość. Zdjęcie w kolorze sepii przedstawiało grupę ludzi w letnich strojach. Na pierwszym planie uśmiechała się do obiektywu... do mnie, szczupła, wysoka dziewczyna. Ciemne włosy, owalna twarz. Ogromne, sarnie oczy, wilgotne, lśniące... Orli nos. Smągła skóra. Długa szyja, fascynujące piersi unoszące cienką bluzeczkę, smukła talia i nogi modelki...

Zapomniałem oddychać. Ludzie nazywają to „piorunem”. Nie wiem,

nie mogę powiedzieć, żebym się zakochał. Tyle tylko, że dziewczyna ze zdjęcia stała się najważniejsza na całym świecie. A Maryjka? Nie, moje uczucie nie zniknęło... Tylko miałem wrażenie, że dotyczy kogoś innego. Chociaż zaraz, chrzanię. Mnie, ale sprzed wielu lat. Spadła zasłona czasu łagodząca ból i pozostawiająca tylko przyjemne, w sumie obojętne wspomnienia.

Z trudem wróciłem do rzeczywistości. Usiadłem przy stoliku, odstawiłem na sąsiedni talerzyk ze zwiędłym pasztecikiem. Sięgnąłem po leżący na wierzchu papier: życiorys.

Tatiana Polina Axelberg, urodzona w Równem w roku 1917...

Czeski błąd, pomyślałem. 1971, to by się zgadzało, pewnie jest na ostatnim roku... Równe? Co to za miasto? Zaraz, to chyba u Ruskich... Stąd ten śpiewny akcent. Czytałem dalej.

Mieszkała u babki... Ojciec porzucił rodzinę... Matka w Portugalii. Tatiana przyjechała do Warszawy w 1934... Co oni z tymi datami?... na zaproszenie TUVIMA... Najmłodsza ze SKAMANDRA... Pierwszy tomik wierszy 1936. Wojna... Równe, Lwów, Kraków. Złapana po donosie...

ZAMORDOWANA w 1944...

Nie jestem dziewczicą, nawet w przerośni. Skopany po pijaku przez starszego i średniego Dudę, nie miałem choćby w przybliżeniu takich objawów. Pociemniało w oczach, zaszumiało w uszach. Zrobiło mi się mdło. Czułem, że lecę... Gdzieś z ogromnej odległości dochodziły głosy: – Lalka! Klient ci schodzi!

– Pani Agnieszko... Chyba zeżarł pasztecik, bo go nie widzę...

– Jezusie! Przecież to ma z miesiąc. Lalka, dawaj wódkę, ratujmy człowieka.

O zęby zadzwoniła mi szklanka.

– Pij pan!

Łyknąłem siwuchy. Zapiekło, wywróciło wnętrzności.

– Pij pan!!!

Przyjąłem drugą dawkę, przed trzecią uchronił mnie głos starej damy:
– Daj spokój, Lalka! O, zobacz, pasztecik jest tutaj...

– O Matko Bosko, ale mnie ten cholernik nastraszył!

Jak się wydostałem z „Saxa”, nie pamiętam. Następny kadr z porwanego filmu to widok Chłodnej. Biegałem, szukając numeru 46. Nie znalazłem, wokół stały same nowe domy...

Półprzytomny wracałem do domu. Na znaną od dziecka ulicę patrzyłem, jakbym szedł nią po raz pierwszy. Kamienice obite z tynków, o ścianach poznaczonych śladami kul. Brukowana jezdnia z rdzewiejącymi szynami tramwajowymi. Chodniki wyłożone spękanymi płytami, pełne dziur i nierówności.

Taka była Ząbkowska, taka była Praga. Jedyna część Warszawy, która przetrwała śmierć w lecie czterdziestego czwartego.

I ludzie... Grupki koleśków stojących po bramach, patrzących, skąd by tu skołować szmal na wódkę. Gotowi dla zabawy i rozrywki sprawić łomot obcemu, frajerowi, który z musu lub przypadkiem trafił na Szmulki. Ich ojcowie tak stali, a pewnie i dziadkowie...

Ze świata Tani ocalało tylko tyle, po drugiej stronie Wisły pozostał cmentarz i martwe dekoracje udające miasto, pełne ludzi udających warszawiaków.

Komentarze wysłuchane po drodze brzmiały życzliwie. Oto, chwiejąc się na nogach, z okiem błędnym, wracałem na łono dzielnicowych pijaczków. Ludzie odczuli ulgę, ot, odbiło koleśkowi, ale tylko na chwilę. Pić chciał przestać, ha, ha. Też coś...

W chałupie wsadziłem łeb pod zimną wodę, potem zaparzyłem „szatana”. Stół w kuchni pokryły kartki maszynopisu, zdjęcia, kserokopie książek.

Dużo, dużo pracy włożyła Profesora w zgromadzenie tego wszystkiego. Kasa należała jej się jak psu zupa.

Zdjęcia odłożyłem, nie mogłem patrzeć w oczy Tani. A propos oczy...

Pierwsza kartka zawierała odręczną notatkę: *We wspomnieniach ludzi, którzy ją znali, przewija się zdumiewający szczegół wybitnej urody poetki: otóż jedno oko miała zielone, drugie pomarańczowe...*

Próbowałem to sobie wyobrazić, zapewne nie sposób było zapomnieć takiego spojrzenia. Potrząsnąłem głową, czytałem dalej.

Urodziła się w rodzinie litwaków, czyli zasymilowanych rosyjskich Żydów. Ojciec wcześniej porzucił rodzinę i wyemigrował. Matka pozostawiła Tanię w Równem pod opieką dziadków. Sama zaś wyjechała do Portugalii, gdzie wyszła ponownie za mąż. Tania od wczesnej młodości przejawiała talent poetycki...

Zapadł zmierzch, pstryknąłem światło. Duchota wisiała w powietrzu, otworzyłem okno. Z podwórka dobiegał chóralny pijacki śpiew.

Przebiegałem wzrokiem liniiki tekstu, wyłaniał się z niego obraz nad wiek dojrzałej, wrażliwej dziewczyny. Zamkniętej, wyrażającej emocje i uczucia w poezji. Ale jednocześnie świadomej własnej urody i bardzo zmysłowej...

Dalej było gorzej. Przełknąłem jakoś aluzje do licznych adoratorów. Dowcipy panów literatów napęłniły mnie niesmakiem. Wyrokowcy na Pradze mieli większy szacunek dla swoich kobiet. Też mi elita, dumałem, czytając, jak w „Małej Ziemiańskiej” przybliżano zapaloną zapałkę do ust Tani, by sprawdzić, czy nie ma „przeciągu”. A już szczyt chamstwa osiągnięto, gdy jeden z tych pieprzonych skamandrytów chciał założyć dziewczynie śmietnik na głowę.

Zacisnąłem pięści, aż chrupnęło.

Dalej było jeszcze gorzej.

Ze zdumieniem dowiedziałem się, że prawicowe bojówki ONR – cokolwiek to znaczy – o mało nie uniemożliwiły jej studiów. Dlatego nie chciała spotkania przy uniwerku, wspomniałem, i czekała bezskutecznie...

Wyjechała w połowie czerwca na wakacje do babki. Wojna, Tania

trafia do Lwowa pod okupacją sowiecką. A potem już tylko ciągła ucieczka. Zaszczuta, sponiewierana, zostaje ostatecznie zadenuncjowana przez gospodynię domu, w którym znalazła ostatnie schronienie.

Szklanka z wystygłą kawą pękła mi w dłoni. Byłem jak owinąłem krwawiącą rękę chustką i czytałem, nie mogąc oderwać wzroku od opisów katowania Tani w krakowskich kazamatach gestapo.

Ostatni wiersz przemyciła w grypsie – to on zbudował jej sławę, spychając w cień poprzednie dokonania. Do końca zachowała hart ducha, licząc na wysyłkę do obozu koncentracyjnego. Zamordowano ją w lecie czterdziestego czwartego roku.

Siedziałem otępiały, zszokowany. Oczy miałem suche. A potem, wstyd przyznać, to chyba była histeria... Przez dobre pół godziny kląłem w szalonej pasji, „pierdolone niemieckie skurwysyny” były jednym z delikatniejszych określeń. Chodziłem po kuchni, zachlapałem krwią podłogę i papiery na stole. Sprawiało mi dziwaczną ulgę, że porżnięta dłoń pieruńsko boli, i umilkłem, uświadomiwszy sobie, że od dobrej chwili powtarzam w kółko: „Ja wam dam jebane pojednanie, kurwa, kurwa, ja wam dam...”.

Usiadłem. Zamknąłem oczy. Z najwyższym wysiłkiem spróbowałem myśleć. Widziałem tylko dwie opcje. Albo zwariowałem i tak naprawdę leżę w wariatkowie przywiązany do łóżka, a wszystko jest majakiem, albo... Albo co właściwie? Rozmawiam z duchem? Wspomniałem srebrzysty głos Tani i omal nie wybuchnąłem histerycznym śmiechem. Też mi duch! I wiersz? Przecież wyrecytowała wiersz, który znalazłem w kserokopii jakiejś powojennej antologii. Skąd bym go znał? Nadzieja na wariackie zwidy przepadła. Postanowiłem działać tak, jakby kontakt z Tanią był rzeczywisty. Tak mi dyktował rozsądek. Ocale ją, przekonam, że powinna wyjechać, pomyślałem, popadając z rozpaczy w euforię.

Spokojnie już powyciągałem szkło z dłoni. Zużyłem cały zapas bandaży i przylepca, zanim opatrunek przestał przeciekać. Usiadłem

przy telefonie, odetchnąłem głęboko i niezręcznie, lewą ręką wykręciłem numer fotografa.

– Allo?

Przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu. I nagle spłynął na mnie wielki, nieudawany spokój. I kamienna pewność tego, co należy zrobić.

– Witaj, Taniu.

– Och, to pan. Cieszę się ogromnie... Brakowało mi naszych wieczornych rozmów.

– I znajdziesz dla mnie czas?

– Tak, choć naprawdę jestem zajęta.

– Więc dlaczego?

– Pan jest zagadką... Bo tak naprawdę to nie mówi pan jak cwaniak z Pragi, a w pana słowach jest coś, co budzi niepokój... i ciekawość.

– Ja zagadką? Cóż... Ale naprawdę mieszkam na Żąbkowskiej naprzeciw Monopolu. Nieważne. Powiedz, skąd ten dobry humor?

– Och, czekam na wiele miłych rzeczy. Mój drogi zbiorek ma się ukazać, może już w październiku. Tuwim bardzo chwalił... Nawet Gombrowicz. A poza tym blisko koniec sesji letniej, zdam egzaminy i tyle mnie będzie Warszawa widzieć. Jadę do babki. I... pan zadzwonił, czyż to nie dosyć?

Ścisnąłem słuchawkę z taką siłą, aż mi dłoń zbieła.

– Taniu... Nie jedź do Równego, koniecznie wybierz się do matki. I nie wracaj przed październikiem – powiedziałem z naciskiem.

W słuchawce zapadła cisza.

– Matka... Skąd pan wie? To już nieaktualne. Babka czeka.

– Ja dużo wiem. Widziałem cię, jesteś piękna... Takich oczu się nie zapomina... Tym gorzej. Wiem, że masz narzeczonego, a może nawet dwóch? I wiem z ciekawostek, że chciano ci podczas jednej z „literackich” biesiad założyć kosz na głowę...

– Obrzydliwa plotka! – przerwała ostro. – Wymyśl paru pijaków. Ale i

tak... Skąd te wiadomości? Przecież ledwieśmy parę razy rozmawiali. I tylko przez telefon. To jakieś śledztwo?

- Śledztwo? Nie. Jednak wiem o tobie bardzo dużo. Bo... ja znam przyszłość. Bo sam jestem z przyszłości.

Wreszcie to powiedziałem, oczekiwałem okrzyków typu: zwariowałaś! głupie dowcipy! Lecz Tania nie była osobą pospolitą ani banalną. Przez chwilę milczała, a potem westchnęła głęboko i rzekła rzeczowo: - Interesujące. I cóż mi pan wywróżysz? - w głosie dziewczyny brzmiała niekłamana ciekawość.

Mało nie rzuciłem bluzgiem. Tania uznała moje stwierdzenie za wstęp do jakiejś intelektualnej zabawy. Może przywykła do podobnych w towarzystwie, w jakim się obracała, ja - prosty technik budowlany żyjący z partanin i lewych interesów - nie potrafiłem prowadzić gierki. Waliłem prosto z mostu, chcąc przełamać niewiarę.

- Ja nie wróżę, ja wiem. Jedź do Portugalii, nie wracaj do babki - prawie błagałem.

Nie uzyskałem nic.

- Hm... Dlaczego? - wciąż to samo rzeczowe zainteresowanie. - Będę miała wypadek? Coś się stanie?

- Cała Rzeczpospolita będzie miała wypadek, wojna...

- Ach, wojna! - przerwała rozczarowana. - Wszyscy nią straszą. Tak jakby Hitler mógł się odważyć...

Opadły mi płetwy, ale jednocześnie przebiegła przez głowę pewna myśl.

- Taniu, jest późno... Zadzwoń jutro... Dobrze?

- Dobrze. Choć trochę szkoda, myślałam, że opowie pan mnóstwo ciekawych rzeczy...

- Opowiem. Jutro - obiecałem i odłożyłem słuchawkę.

- No przecież jasne, durniu - powiedziałem na głos w pustym mieszkaniu. Trzeba ją przekonać, muszę przekazać wiadomość o

zdarzeniu, które dla niej będzie przyszłością. Wydało mi się to łatwe. Niestety, rankiem stwierdziłem, że w głowie poza datą pierwszego września nic mi nie pozostało. Z rozpaczą patrzyłem na zwalone w stosy książki. Miałem grobową pewność – nie znajdę w nich niczego, same kryminały i fantastyka. No co? Historia zawsze mnie nudziła. Aaa, że książki? Może i żul jestem, ale nie analfabeta, sianowni zgromadzeni.

Pobiegłem do Desanta. I odbiłem się od drzwi, wróciłem, wygrzebałem encyklopedię i nic w niej nie znalazłem. Przez pół dnia wertowałem kolejne tomy i kursowałem między chatą Krystiana i swoją jak jakiś zepsuty bumerang.

Wreszcie odszukałem telefon do Profesory, postanowiłem zagaić bez pośrednika, bo Desant ewidentnie gdzieś przepadł. Bywały już takie przypadki. Co prawda zołza mogła mnie obsobaczyć, co tam, pilnie potrzebowałem jakiegoś punktu zaczepienia. I tu kolejne rozczarowanie. Nikt nie podnosił słuchawki. No, kuźwa, co mam robić? – myślałem wściekły. Wreszcie doznałem olśnienia. Biblioteka Naukowa przy placu Hallera! Kiedyś tam chodziłem, w technikum jeszcze.

Gdy już przebyłem procedurę rejestracji, stanąłem bezradny naprzeciw tysiący tomów zgromadzonych w bibliotece. Szczęściem starsza kobitka, która wpisywała dane w formularz, od razu wyczuła nowicjusza. Zapytany, czego szukam, wydukałem, iż trzeba mi jakiegoś ważnego wydarzenia mającego miejsce w maju 1939 roku.

Bibliotekarka zniknęła pomiędzy regałami i wnet wróciła z niepozorną książeczką: „Polska w latach 1918-1939”. Uczynna kobitka poratowała mnie jeszcze długopisem i kartką, a na koniec rzekła: – Niech pan zwróci uwagę na przemówienie Becka z dnia 5 maja 1939 roku.

Po dziesięciu minutach kłusowałem już do domu. Szczęśliwy, miałem, czego chciałem. I wiecie, jakoś nabrałem szacunku dla ludzi, których obdarzałem dotąd „serdecznym poważaniem”. Ta kobitka z biblioteki to niezła gościowa, a łeb ma jak sklep!

Siedziałem w chałupie, czekałem na zmierzch. Zachodzące słońce odbijało się w szybach, stada jaskółek, przenikliwie piszcząc, zataczały kręgi wokół podwórka, przelatując na wysokości mego okna. Nadchodziło lato, pięćdziesiąt sześć lat temu na Chłodnej Tania zapewne także słuchała jaskółek i cieszyła się na bliskie już wakacje. Jej ostatnie wakacje.

Ja to zmienię, pomyślałem z satysfakcją. Zadzwoiłem. Odebrała, a ja rzeczowo zapytałem: – Masz tam coś do pisania?

– I owszem! Poetka bez pióra? – parsknęła nieco jędzowato.

– Notuj, proszę: *Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenną. Tą rzeczą jest honor. Masz?*

– Tak, co...

– Jutro będzie przemawiał w sejmie minister Beck. Porównaj to z moimi „przepowiedniami”, a potem porozmawiamy. A teraz opowiedz o babci – poprosiłem, by odsunąć pytania. Temat był obojętny. Chciałem tylko słuchać głosu Tani... Jedno mnie w opowieści poruszyło, hm... wzruszyło nawet. Będąc kilkuletnią dziewczyneczką, występowała jako żywa reklama na święta w witrynie sklepu babki. Przystrojona, śliczna, po prostu mały aniołek.

Minęła północ, Tania niechętnie się pożegnała, a ja próbowałem usnąć. Ciągłe gdzieś całkiem płytko krążyła myśl, że to wszystko bajka, wymysł – może nawet sen lub majak chorego umysłu. Niezależnie od opcji Tani nie zabije żaden skurwysyński szkop. O nie.

Desant dalej gdzieś bujał. Spędziłem więc dzień na malowaniu ścian w pokojach. Jeszcze tylko kuchnia i chałupka będzie odpicowana aż miło. Próbowałem oglądać telewizję, ale brazylijskie telenowełe, okraszone

reklamami podpasek, papieru kiblowego, środków na łatwe sranie, szybko mnie zniechęciły. Czekałem. Ledwie jaskółki ruszyły na wieczorne łowy, już stałem przy telefonie.

Tania była jakaś poważna, w głosie brakowało zwykłego półuśmiechu.

– Rzeczywiście. Minister przemawiał. I słowa się zgadzają. Nikt zwyczajny nie mógł ich znać wcześniej...

Poczułem gigantyczną ulgę.

– Więc mi wierzysz?

– Wierzę, że jest pan kimś nadzwyczajnym. Musi pan mieć ogromne koligacje w strefach rządowych, żeby znać tak ważne dokumenta przed ich publikacją...

Złapałem zębami za obandażowaną dłoń. I tylko dlatego solenne kurwy nie poleciały w eter.

– Co pan powiedział?

– Nic. – Ciężko jest mówić z zaciśniętymi zębami, udało mi się jednak ta sztuka.

– I jeszcze jedno. Byłam na Ząbkowskiej. Mówił pan: naprzeciw Monopolu? Sprawdziłam, cieć, niejaki Płaza, stwierdził, że żaden Jan nie mieszka. Co prawda są w oficynie bracia Józef i Aleksander Jastrzębscy, lecz nie pasują do opisu.

Zastygłem. Płazę pamiętałem. Ganiał mnie z miotłą, kiedy jeszcze krótkie majtki nosiłem. Ostatnie wątpliwości związane z Tanią zniknęły.

– I co pan na to? – przerwała ciszę. A że nadal milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć, mówiła dalej: – Naprawdę jestem zaciekawiona. Spotkajmy się, mam dość zagadek.

– Myśl, co chcesz, Taniu, ale ja naprawdę dzwonię z roku 1995.

– Chce pan kontynuować zabawę? – podniosła głos trochę zagniewana. – Dobrze. Do trzech razy sztuka. Proszę mnie przekonać. Lecz jeżeli pan przegra, czyli z pewnością, czy powie pan prawdę?

– Tak. Przekonam cię – stwierdziłem, kończąc rozmowę pełen

rozpaczy. Tania nie uwierzyła w ani jedno słowo. Co mogłoby przełamać niewiarę?

Niewiele spałem tej nocy. Wyszło na to, że muszę poradzić się bibliotekarki. Sprzedam jakiś bałach...

Ranek jednak spędziłem, chodząc po kamienicy. Odpytywałem wszystkie staruszki, czy nie pamiętają młodej, pięknej kobiety szukającej Jastrzębskich w lecie trzydziestego dziewiątego. Niestety, minęło prawie sześćdziesiąt lat. Skleroza była bezlitosna. Zrezygnowany, postanowiłem iść do biblioteki, w bramie wpadłem na Kornacką. Odwróciłem wzrok, najgorzej wdać się z nią w gadkę. Będzie głądzić do upadu.

– Janku, rozpytujesz o tę śliczną panią? – powiedziała zupełnie normalnym głosem.

Spojrzałem zdumiony. W pomarszczonej twarzy wyblakłe oczy błyszczały inteligencją. Usta wyginał uśmiech.

– Tak.

Staruszka pokiwała głową.

– Miałam pięć lat. Ta pani dała mi cukierka... Miała takie dziwne oczy. Śmiała się, jak o to pytałam. Szukała Janka Jastrzębskiego... A potem zaprowadziłam śliczną panią do Zimnego, robił wtedy zdjęcia na ulicy.

– Zdjęcia? Zrobił jej zdjęcie?

Kornacka pokiwała głową.

– Pani potem poszła. A ja znalazłam w bramie, o tu, chusteczkę. Musiała wypaść, jak szukała drobnych dla Zimnego. Mam ją do tej pory.

– Mógłbym zobaczyć?

– Dam ci tę szmatkę, jeżeli chcesz. Ale zmarłych trzeba zostawić w spokoju. – Kornacka zatrzęsała głową, oczy znów stały się puste i szkliste.

– Biedny ten Zimny, spłonął z całą pracownią w czterdziestym czwartym – mamrotała.

Odszedłem spiesźnie.

Pomykałem rażno Targową, choć nie było mi lekko na duszy.

Dochodziłem do skrzyżowania przy Czterech Śpiących, gdy wydało mi się, że ktoś mnie woła. I rzeczywiście, po przeciwnej stronie, z bramy tuż obok poczty, machał ręką zwalisty facet. Nazywali go czegoś Węgier, choć z Madziarami nie miał nic wspólnego. Mieszkał na lewym brzegu Wisły, jego rodzina od trzech pokoleń prowadziła na Targowej zakład naprawy maszyn do szycia. Dziwny gość, choć nie mieszał się do naszych spraw, można było na niego liczyć. Z ulgą odwlekłem wizytę w bibliotece, nie miałem pomysłu, jak zagać. Przebiegłem slalomem między samochodami i przybiłem piątkę Węgrowi.

– Słyszałem, że coś nieklawo u ciebie? – zapytał, gdyśmy już usiedli w warsztacie, niemiłosiernie zagraconej klitce. Nie wiem dlaczego, ale starczyło mi spojrzeć w okrągłą, szczerą twarz, by pęknąć. Nie ukrywam, że nalana do plastikowego kubka seta miała w tym swój udział. To, z czego nie zwierzyłem się dotąd nikomu, wyśpiewałem gostkowi, z którym może trzy razy w życiu wódkę piłem.

– No i tak. A teraz już możesz wzywać karetkę z psychiatryka.

– No cóż, Jastrząb. Zadziwię cię. Wcale nie uważam, że zwariowałeś. Szczeka mi opadła.

– Uwierzyłeś?

– To nie kwestia wiary. Na Pradze różne rzeczy się dzieją. Dla ciebie ta historia jest prawdziwa. A ja mam sposób, żeby ci pomóc...

Aż wstałem z rozchybotanego stołka, jednak w tym momencie szarpnięte energicznie drzwi kanciapy stanęły otworem. Wparowali dwaj krótko ostrzyżeni młodzieńcy w czystych dresach. Jak nic ludzie z miasta.

– Panie Węgier... – zaczął młodszy, drugi szturchnął go w bok i mówca spieszenie dorzucił: – Dzień dobry!

– ...bry – wymamrotał gospodarz.

– Panie Węgier, beemka przed oknem to pańska?

– Nie.

– Aha, znaczy, że możemy ją ukraść – stwierdził z zadowoleniem starszy z „języków” i dodał: – Bryzoł, robimy gablotę.

– Do widzenia – rzucili grzecznie zgodnym chórem i wyszli.

Węgier stanął przy okienku i patrzył na zegarek. W chwili gdy zawarczał uruchamiany silnik, stwierdził: – Osiemnaście sekund. Całkiem sprawne chłopaki.

– Co to ma niby być? – Popatrzyłem zdziwiony.

– Biznes, człowieku. Interes się kręci. Ja z nimi żyję w zgodzie, a oni mnie szanują.

– Jasne, ale też dziwne trochę...

– Taki styl. Wołomin rządzi.

– Mówiłeś, że możesz mi pomóc.

– No tak. Widzisz, mam nieodparte wrażenie, że spotykamy się dzisiaj nieprzypadkowo. Porządkowałem graty i właśnie miałem wywalić barachło na śmietnik, a tu wpada Lisu i nawija: „Jastrząb zwariował. Przepytuje babcię o jakieś Żydówki sprzed wojny”. No a potem wychodzę odcedzić kartofelki, a ty akurat szpulujesz.

– No i? – popędziłem go.

– Chłopie, żadne polityczne kawałki nie przekonają kobity. Ale zobacz, co znalazłem.

Wstał z paki gazet związanych sznurkiem i powiedział: – To rocznik Ilustrowanego Kuriera Codziennego z 1939. Dziadek nie wyrzucił, ojciec też nie, dopiero ja chciałem. Wyszukamy jakieś wygrane numerki, totka chyba nie było, ale może loteria. Dziewczyna trafi kasę, a ty wreszcie ją przekonasz.

Uskrzydłony nadzieją, rzuciłem się na zakurzone, pożółkłe gazety; Węgier dzielnie pomagał. Wreszcie wykrzyknął z tryumfem: – O! Mam triple na wyścigach na Polach Mokotowskich. Powinno wystarczyć. Colt przed Juturną i Laudą. Czternasty maja.

Wyrwałem gazetę z ręki Węgra. I chciałem pędzić do domu.

– Czekał, przecież będziesz dzwonił wieczorem?

– No tak – wyhamowałem.

– To walniemy na drugą nóżkę. I powiedz mi, czy ktoś oprócz ciebie rozmawiał z panienką?

– Nie.

– A dałeś jej swój telefon?

– Nie. Nie dałem.

– A dlaczego?

Zastanowiłem się, chyba najuczciwszą odpowiedzią byłoby, że nie przyszło mi to do głowy. A może... jednak nie? Może bałem się majdrować przy temacie, by nie ryzykować zerwania kontaktu?

– Nie wiem – powiedziałem.

Węgier pokiwał głową.

– Pomyśl o tym. A, i jeszcze jedno. U niej tam zaraz będzie wojna. A gdyby tak pogadać z Rydzem Śmigłym? Mając naszą wiedzę o poruszeniach szkopów we wrześniu, nawet nasza bidna armia złałaby im tyłek.

Rany! Miał rację facet.

Myśl była kosmiczna. I... Tania nie musiałyby uciekać do matki.

Entuzjazm jednak szybko wygasł. Miałbym przekonać Wodza Naczelnego i rząd? Ja jednej dziewczyny nie potrafiłem...

– Te szkopy – zacząłem bluźnić z niekłamaną nienawiścią.

Węgier słuchał z pewnym zainteresowaniem, bo raczej się nie powtarzałem. Po czym rzekł: – Ale ta kurwa gospodyni... Co ją wydała... Że też coś takiego w Polsce przyszło na świat.

Słowo daję... Zamknął mi twarz.

– Idę, Węgier – powiedziałem. – Jak wyjaśnię...

– Dobra. A wiesz, że Desant kupował kałacha na Różycu?

Zamarłem w drzwiach.

– Żeby czegoś głupiego nie narobił...

Z powrotem wybrałem drogę przejściem podziemnym pod Targową. Mimo południowej godziny pod ziemią było pusto i ciemno. Beton znaczyły kałuże moczu, pod ścianami leżały stosy śmieci, pozostałości po handlarzach.

Pewnie psy zrobiły nalot, pomyślałem. I wtedy z naprzeciwka ruszył ku mnie najstarszy Duda. Oczy miał kocie, a usta skrzywione jak zawsze w złośliwym uśmiešku.

Gwałtownie zapragnąłem zmienić powietrze na nieco świeższe. Duda, podchodząc, zanucił: – Bum tara, idą Żydki na wojnę...

Trach. Coś mi się zwarło pod kopułą. Trwający latami strach przed sytuacją Dudów, wściekłość na donosicielkę, która zgubiła Tanię, i obrzydliwa piosenka, wszystko to razem podlane sporą dozą wódki sprawiło, że ogarnęła mnie furia. Dziwna, zimna i wyrachowana. A ja cię, skurwysynu, zabiję, pomyślałem, ze szczękiem otwierając sprężynowca. Pociąłem sobie przy tym kurtkę.

Dudy nie przeraził znajomy dźwięk, jednak gdy stanąłem w plamie światła padającej z jedynej czynnej lampy, nagle z wstrętnej gęby zniknął uśmiešek, kose oczka wypełnił strach i... Duda zrobił w tył zwrot.

– Stój, cwelu! – ryknąłem i z rozmachem uderzyłem nożem. Tyle że Duda akurat przyspieszał do nadświatlnej i ledwo go zawadziłem. Choć zamierzałem wbić kosę po rękojeść w nery.

Co? Czy chciałem zabić człowieka? No nie, laluniu, panienka jest niepoprawna. Przecież mówiłem, że nie człowieka, a Dudę. No tak, przez chwilę chciałem. Ale szybko mi przeszło. Siedząc w pierdlu, nie miałbym szansy na uratowanie Tani.

Wracałem ostrożnie, a nuż Duda ustawił już rodzinę? Jednak nie, przechodząc pod oknami Majewskich z parteru, podsłuchiłem ciekawą rozmowę: – Słyszałeś? Jastrząb oszalał, bez dania racji chciał zaciukać starszego Dudę.

– E tam, oszalał. Desant kupił kałacha i zniknął...

– Ho, ho. Co uważasz?

– Chłopaki zamierają skasować Dudów. Jak nic. Musieli im nieźle namieszać w interesach, skoro idą na całość.

– A, to dlatego Dudowie siedzą w chałupie. I tylko gnoja posyłają po wódkę.

– Fajnie. Dobrze im tak...

Odszedłem po cichu, uśmiechając się wrednie pod nosem. Dudów chwilowo miałem z bani. Tylko co z Desantem?

Zapach wątróbki smażonej z cebulką, jaki napływał z mieszkania Majewskich, przypomniał mi o obiedzie.

Odwiedziłem Wietnamczyka, starając się nie myśleć o składnikach dania, jakie zaserwował uprzejmy złotek.

W chałupie ostro ruszyłem z robotą, tak dobrze szło, że dopiero mrok za oknami oderwał mnie od tego zajęcia.

Tania odebrała już po pierwszym sygnale, zupełnie jakby czekała z dłonią na słuchawce.

– Wiesz, dzisiaj uczynię cię bogatą kobietą – rzekłem, poprosiłem, by zanotowała porządek gonitwy. – To chyba ładnych parę tysięcy złotych będzie. Tylko pamiętaj obstawić.

– Och, jaki pan łaskawy... Nie omieszkam. – Była w żartobliwym nastroju. – Kupię sobie fiata i pereł sznur...

– Ejże, panna, czyś ty przypadkiem nie piła? – rzuciłem podejrzliwie.

– No nie, czy kieliszek szampana, no, może dwa, to zaraz picie? I nagle czysto zanuciła:

Dzieweczka na balu szaleje, wypła kieliszków ze sto.

*Za oknem już dawno dnieje, a ona się ciągle śmieje...”**

Zdrętwiałem. Moja babcia uwielbiała tę piosenkę. Zawsze puszczała ją ze starej, trzeszczącej płyty. Jako knypel dozorowany przez babkę, musiałem wysłuchać utworu niezliczoną ilość razy.

– Ale myślę, że bardziej przypadnie panu do gustu inna zwrotka:

Wiem, czego pan pragnie ode mnie.

Podobam się panu, no tak!

Całować się jest tak przyjemnie, więc pocałować pan chce mnie.

– Gdy zobaczysz ciotkę mą, to jej się kłaniaj – zawtórowałem chropawo i refren odśpiewaliśmy razem, by potem wybuchnąć serdecznym śmiechem.

– A jak tam Zimińska w tym dziewięćdziesiątym piątym? – zapytała nieco kpiąco.

– A i owszem, zdrowa, tyle że teraz prowadzi zespół ludowy – odpowiedziałem takim samym tonem i znowu się roześmieliśmy. Choć każde, jak sądzę, z czego innego.

Potem Tania zażądała, żebym opowiedział o świecie przyszłości: „No skoro dzwoni pan z dziewięćdziesiątego piątego”. Nie chciałem truć o wojnie, nieszczęściach, zagładzie. Opisywałem więc stroje, lokale. Mówiłem o magnoliach w parku i podobnych sprawach, mocno dziękując w duchu Maryjce. Bo to ona nauczyła mnie dostrzegać takie rzeczy. Na koniec, przy pożegnaniu, Tania powiedziała: – Koniecznie muszę poznać Pragę, skoro tacy ludzie jak pan to zwykle praskie cwaniaki.

– A czy ja mówiłem, że jestem zwykły?

– Ależ ma pan wyobraźnię. Zupełnie niczym Grabiński czy Bruno Winawer. Fantasta! Jutro proszę o opowieść o tych, jak to pan nazwał, Love Paradach. Takie nieprzyzwoite... i ekscytujące. No i loty na Księżyc, jest pan lepszy od Verne’a.

Zgasłem jak świeca. Dla niej to wszystko były bajki!

– Dobranoc – powiedziała i szeptem tchnęła: – Całuję!

Nie, nie przesłyszałem się. Jedno słowo sprawiło, że nie mogłem zasnąć do rana. Przez ponad tydzień wieczór w wieczór opowiadałem Tani o naszym świecie. Żeby uniknąć blamażu, biegałem do biblioteki, kupowałem gazety i książki, zwiedzałem EMPIK-i. No, w życiu tyle nie przeczytałem w tak krótkim czasie. Zrozumiałem, jak niewiele wiem.

Pewnego razu podczas rozmowy opisałem rozbabrane remontem mieszkanie. Sprzęty. W tym telefon.

– Mam taki sam – rzekła ucieszona.

– O?

– A tak. Pan Bronek kupił, klienci zakładu korzystają...

W ustach mi zaschło. Byłem pewien: to ten sam aparat! Jednak nawet podanie numeru seryjnego nie przekonałoby Tani. Ot, pomyślałaby, że byłem w zakładzie i obejrzałem sobie szczyt techniki zakupiony przez właściciela... Ale od tej pory, trzymając słuchawkę, miałem wrażenie, jakbym dotykał ciepłej i miękkiej dłoni dziewczyny...

Kolesie, którzy mnie obserwowali, doszli do wniosku, że specjalnie wystawiam się Dudom. A gdzieś za plecami czyha Desant. Wszyscy czekali na rąbankę. Miałem to gdzieś – nadszedł wreszcie czternasty maja, moment, gdy Tania uzyska ostateczny dowód.

Zadzwoiłem.

– Wie pan... – zaczęła.

Przerwałem niecierpliwie:

– Obstawiałaś gonitwę?

– Nie... ale – dodała szybko – zrobił to znajomy, bliski znajomy...

– I?

– Bawi się w Adrii. Jestem zaproszona... Nie wiem, czy pójdę.

Czekałem.

– Kim pan jest, panie Janku?! – wykrzyknęła. – Nikt nie mógł ustawić wyścigu na półtora tygodnia wcześniej. Czy sfery rządowe manipulują także wynikami wyścigów? A może jest pan autentycznie obdarzony darem prekognicji? Panie Janku...

– Tanieczko... A gdybyś jednak uwierzyła, że dzwoni do ciebie człowiek z przyszłości...

– Dość tej bujdy! To niemożliwe. Tak nie bywa...

Złość odebrała mi głos, a potem i rozsądek. Trzasnąłem słuchawką o

widełki. Tylko po to, żeby natychmiast podnieść i wykręcić właściwy numer. Wściekły wygarnąłem: – Słuchaj, głupia dziewczyno. Ciebie zabijają, rozumiesz? Będziesz uciekać z miasta do miasta, będziesz kryła twarz. Bo twoja śliczna buzia to wyrok śmierci! Zaszczuta i wyniszczona, wpadniesz w łapy Niemców. A oni się z tobą zabawią, będziesz bita, kopana, gwałcona. Będą cię ciągnąć po korytarzu za te piękne włosy... I zabijają cię wreszcie...

Tania wydała odgłos, jakby się dławiała.

A ja wrzeszczałem:

– Zobaczysz, jak będzie fajnie, katownie gestapo to jest coś, a tylu adoratorów to ho, ho. Będą się do ciebie zgłaszać plutonami. Użyjesz, oj, użyjesz. A dlaczego? Boś mi wierzyć nie chciała – krzyczałem do głuchego telefonu. Przerażona Tania rzuciła słuchawkę. Znowu wykręciłem numer fotografa. Ale najpierw usłyszałem sygnał „zajęte”, a potem „nie ma takiego numeru”.

Zagryzłem wargi do krwi.

Straciłem ją. Zerwałem kontakt, zabijają Tanię, huczało w głowie.

Flacha z niebieską kartką uśmiechnęła się tryumfująco. Zerwałem nakrętkę, przechyliłem do ust. Napakowana chemią ciecz spłynęła strugą do żołądka. Nie czekając, aż podniesie bunt, pociągnąłem jeszcze raz. Ćwiartka wódki wypita na głodnego sprawiła, że usiadłem na podłodze, kiwając się jak w napadzie choroby sierocej.

Przegrałem, straciłem ją. Ach, głupia, a jeszcze bardziej ja jestem durny. Jedyne, co mogę zrobić, to zapomnieć...

W metalowym koszu leżały wciąż jeszcze niedopalone szczątki po „pożegnaniu” Maryjki. Przydatny śmietnik, pomyślałem. Zebrałem materiały wyszukane przez Profesorę i swoje notatki. Bezmyślnie oczyściłem schlapane krwią zdjęcia Tani i wszystko razem wrzuciłem do kosza. Z wahaniem dołączyłem chustkę wycyganioną od Kornackiej.

Siedziałem obok śmietnika i... Do licha, facet w rozpaczy to nie jest

miły widok. Powoli też znowu poczęła ogarniać mnie wściekłość. Zupełnie już bezsensowna, nieskierowana na konkret. Obiegiem wzrokiem odnowione mieszkanie i dostrzegłem obok telefonu zdjęcie stryjecznego dziadka. Fotka, od której wszystko się zaczęło.

Aż mnie poderwało. Spalić zdjęcie to było nie dość. Uchwyciłem starą fotografię w obie dłonie, by ją podrzeć... Karton był zbyt sztywny. Nie ustąpił. Szarpnięty zaś powtórnie rozwarstwił się, rozpadł na dwa cieńsze kartoniki. Wytrzymałem w ułamku sekundy. Oto trzymałem w ręku dwa zdjęcia. Podobizna przodka upadła na podłogę. Z drugiego, oznaczonego śladami kleju, patrzyła uśmiechnięta Tania. Wysoka, smągła, w białym kostiumie, z elegancką torebką w lewej dłoni. Na głowie miała prześmieszny kapelusik z piórkiem... Stała na tle znanych mi, choć już nieistniejących odrzwi bramy. Zdjęcie wciąż jeszcze było zbyt grube. Sięgnąłem po nóż. Delikatnie zdarłem grzbiet. Na odwrocie fotografii widniały strofy wiersza pisane w... cyrylicy. I jakiś dopisek, też po rosyjsku.

Zgłupiałem nieco. Co ja gadam – zgłupiałem całkowicie. Bo w moich czasach rosyjskiego – języka okupanta – uczono przymusowo. W szkole noszącej imię Powstańców 1863 Roku sprawą honoru było go nie umieć. Kończąc podstawówkę, nie znałem nawet alfabetu. Dopiero w technikum zostałem wzięty w obroty. Dukając, odczytałem pierwszą zwrotkę:

*Среäü äöcä` meá` uüý Â myëáííúó nóëđř÷íúó ëupaó
Зæëđúâ äëřçř, ` d'đlâđřúó B ířälçäó áíëü č ñčöćé ñňđřó.*

Z bijącym sercem sięgnąłem po słownik. Trzy godziny biedziłem się nad czterema zwrotkami, błogosławiąc nauczycielkę. Wbiła mi słówka do łba brutalnie, ale skutecznie. Wciąż po latach pamiętałem. Wreszcie skończyłem, podpis brzmiał: *Wiersz napisałam dla Ciebie, wybacz, że po rosyjsku, ale to język mego dzieciństwa. Myślę w nim na granicy jawy i snu. Tania.*

Nie umiem nazwać stanu umysłu, w jakim się znalazłem. Byłem

wstrząśnięty. Do głębi.

Podniosłem kartonik, na którym wytłoczono nazwę firmy. Dopisano tam ręcznie datę. [JUTRZEJSZĄ](#).

Runąłem do telefonu. Palce automatycznie wykręciły znany numer. Boże – odezwał się czysty sygnał. Hura! Ale nikt nie odbierał, zacząłem tracić nadzieję. Aż wreszcie...!

– Allo? – głos był trochę schrypnięty, jakby spała lub... długo płakała.

– Taniu! Kochanie, słuchaj, przeczytam ci wiersz. Błagam, nie rozłączaj się. Wiersz tłumaczyłem w pośpiechu, więc wybacz formę... Ale słuchaj... Dobrze?

– Tttak – powiedziała cichutko.

*Wśród deszczu szukam cię, w mglistych i mrocznych światach.
Zamknę oczy i zmienię w nadzieję ból i cichy strach.*

*Pośród śniegów i pośród kwiatów, w cieniu brzozy na łące czekaj na
mnie. Ze starych snów przyjdę, gdy nadejdzie dzień.*

*Przyjdę przez chłód dni, przez oszalały świat pełen strat.
Marzenie jest silniejsze niż szaleństwo.
Tylko czekaj, i wierz, jak wierzę ja.*

*W tym ostatnim śnie jesteśmy razem.
I znajdę drogę przez cienie.
Pamiętaj, czekaj, bądź wierny.
I deszcz się skończy, przyjdę.*

Cisza w słuchawce była przejmująca, podkreślał ją rwany, na granicy szlochu oddech Tani.

– Ja... właśnie myślałam... Tworzyłam ten wiersz. Nie zapisałam... Nie zapisałam ostatniej zwrotki.

- Taniu...

- Więc to wszystko prawda? Wojna? Śmierć?

Nie widziałem jej, ale wiedziałem, że po śniadych policzkach płyną łzy, kapiąc na kartkę z niedokończonym wierszem.

- Taniu, kochanie...

Przerwała mi, głos stracił srebrzystą barwę, coś w nim pękło: - Jadę do Portugalii. Jeszcze w tym tygodniu.

- Taniu. Jutro przyjdzie do zakładu mój stryjeczny dziadek. Odbierze zdjęcia. Wiesz, co powinnaś zrobić?

- Taak.

- Miła, żyj i bądź szczęśliwa.

- Janku...

- Dobrze, że uczyniono dla nas ten cud. Ale... - dodałem po chwili - zakochać się w tobie to był głupi pomysł.

Usłyszałem jeszcze niewyraźny szmer, może ocierała łzy? Odłożyłem słuchawkę. Lekko, leciutko, tak by nawet nie brzęknęła.

Za oknem szumiał ulewny deszcz.

No i tak... W wyremontowanej chałupie mieszkała przez chwilę Maryjka, dość szybko porzucona przez Tadeka w Garniturze. Ale niedługo. Jakaś taka pospolita mi się wydała, płytka.

Lubię przywoływać te wspomnienia, są słodkie i gorzkie zarazem. Słodkie, bo ocaliłem człowieka, piękną, utalentowaną kobietę, moją największą - co z tego, że telefoniczną - miłość. A gorzkie? Ratując Tani życie, zabiłem w niej poetkę. Nie napisała tego słynnego, wstrząsającego „Non omnis...”, bo i powodu nie miała. Chyba nic już nie napisała. Nie, nie mam wątpliwości. Myślę, że przeżyła pełne i ciekawe życie, może z odrobiną melancholii. Może z mego powodu...

Dlaczego nie pojechałem do Portugalii? Kochaniutka, a o czym bym rozmawiał z prawie osiemdziesięcioletnią staruszką? Nie, czas nas rozdzielił i na to nie ma rady.

Co prawda gdy nadchodzą majowe deszcze, zdarza się, że czekam... Sam nie wiem na co. A! Rok później przysłano mi z Lizbony złotą szpilkę do krawata. I zacząłem nosić te cholerne krawaty! Tania odwzajemniła się stukrotnie. Tamtej wiosny naprawdę odmieniłem swój los. Nie, kolego, dzisiaj, przy tym stole, wszyscy jesteśmy równi i „panie doktorze” jest całkiem zbędne. Wątpliwości masz słuszne. Specjalnie mówiłem tak, a nie inaczej, byście odczuli inność Pragi, inność tamtego świata. A z drugiej strony opowiadanie historii z użyciem w każdym zdaniu słów powszechnie uznawanych za obelżywe osądziłem jako niesmaczne.

Desant? Nie, to zupełnie inna historia. Całkiem dziwaczna... Zresztą może już dość. I tak nie uwierzyliście w ani jedno słowo. Nieprawdaż? Co? Pani, uroczą istotę, uwierzyła? Serio? A to za jaką przyczyną? Pani była tą... szarą myszką, którą obdarzyłem różą? Niemożliwe! Ach, naprawdę? I pani też została muśnięta przez czar Tani... Hm, ma pani wolny wieczór? Zapraszam na kolację, porozmawiamy o zmienności świata tego...

Telefon? Cóż, stoi nadal w przedpokoju, ale... odłączony. Nie ma dnia, bym nie walczył z pokusą wykręcenia znajomego numeru fotografa. I dręczy mnie pytanie: kto odebrałby po drugiej stronie. Tania? A jeżeli tak, to czy historia powtórzyłaby się raz jeszcze? I czy tym razem także zdołałbym przekonać ukochaną? Rozważania o możliwych konsekwencjach sprawiają, że odkładam słuchawkę, czując narastający aż do obłędu zamęt myśli.

Odkładam słuchawkę, bo pogodziłem się z faktem, że i ta opowieść jak wszystkie inne musi mieć wreszcie swój koniec.

Pierwowzorem Tani jest niesłusznie zapomniana wybitna poetka Zuzanna Ginczanka (1917-1944). Jej życie, twórczość, barwne i tragiczne losy wciąż jeszcze czekają na rzetelną biografię.

KATARZYNA ANNA URBANOWICZ [1942]

Debiutowała w 1986 roku tomikiem opowiadań *Plama na wodzie*.

Publikowała opowiadania w prasie (m.in. „Odgłosy”, „Voyager”) oraz w antologii *Rok 1984* (Almapress, 1988).

Laureatka Głównej Nagrody PSMF w 1983 roku za opowiadanie *Plama na wodzie*, a także nagrody w konkursie „Świadecko współczesności” za powieść *Taniec kury*.

Katarzyna Anna Urbanowicz

Utulić zło

Była czarownicą. O tym tylko ona wiedziała. Spuchnięte stopy ciężko mlaskały w przejmująco zimnym błocie, niekształtna sylwetka opatulona w wyliniąte skóry poruszała się niczym pajac na sznurku: lewa ręka – prawa noga, prawa ręka – lewa noga. Stawy bolały ją od kilku już lat, ale nigdy tak bardzo jak dzisiejszego poranka, gdy wilgoć z powietrza w ten piękny majowy dzień wsączała się wszędzie, także i w jej nie całkiem stare kości. Mogłaby śpiewać pieśń czarownicy, hymn kobiety do swoich znękanych kości, żeby uległy wreszcie zaklęciom i przestały boleć. Piękne strofy wiersza kotłowały się w głowie pod strzechą siwych włosów, rymy nieodkryte dotąd przez poetów wpadały (i przepadały) w tym chłodnym poranku, wsysane przez chlupiące błoto. Przełożyła dwie sterty drewna, kłody na spodzie były jeszcze zamrożone. Kiedy je układała w listopadzie, wziął mróz i sypanął śniegiem, trociny z piły przywarły do drewna i teraz odpadały, choć w głębi bale były nadal zmrożone. Myślała, przekładając to drewno, jak coraz bardziej zamarza jej serce i jakie to okropne być czarownicą z zamrożonym sercem. Już nigdy nikt nie odkryje w niej dobrej czarownicy, to zamrożone serce i majowe błocko przesądza sprawę.

Jej czarny kocur złapał mysz (a może nornicę) i właśnie się z nią bawił, choć zabawa ta nie była tym samym dla myszy co dla kota. Gdy czarownica była młodsza, czasem współczuła myszom, teraz już nie. Śmierć myszy jest częścią tego losu, który spotyka wcześniej czy później także i czarownice. Nawet takie, których nikt nie posądza o to, że są czarownicami.

Tego ranka obudziła się przed świtem, przerażona niczym dziecko i pełna nie wiadomo skąd biorącego się przekonania, że właśnie dzisiejszego dnia ujawni się jej przeznaczenie, na które czekała od dzieciństwa, znosząc niewygody swojego życia przynajmniej od lat kilkunastu. Sen mówił wyraźnie, że to, co dotąd było bólem tylko i nie przynosiło żadnego pożytku, ujawni teraz swoją moc. Cóż jej

przychodziło do dziś z tego, że każdy stojący obok przekazywał swój ból: kości, mięśni, serca, zębów, głowy i ten najgorszy ból, nie całkiem zrozumiały dla niej, miłości bez perspektyw, związków bez sensu, przyzwyczajęń wbrew sobie. Te cudze bóle wchodziły w jej ciało i musiała z nimi walczyć, tak jak walczyła ze swoimi.

Ale dzisiaj rano wiedziała już, co z tym zrobić. Niczym błyskawica pojawiło się przekonanie o posiadanej mocy i czarownica poczuła: dziś jest mój dzień. Dlatego człapała mimo bolących stawów do najbliższego miasteczka, nie wiedząc dlaczego i po co, a piękne wiersze w jej głowie składały się bez żadnego wysiłku, choć, niestety, zapominała je po kilku chwilach.

Pewna dziewczyna, młodziutka i śliczna, służąca u piekarza i opróżniająca rano przez okno nocniki swoich państwa, spojrzała na drepczącą czarownicę i pomyślała: ależ to ropucha, że też takie swobodnie chodzą po ziemi. Jednak za czarownicą dreptał czarny kot z myszą (a może nornicą) w pysku, więc dziewczyna zabobonnie odwróciła się tyłem do okna i chlusnęła zawartość nocnika przez lewe ramię, od uroku. Wtedy pomyślała (nie wiadomo dlaczego), jak bardzo pokraczna i znieawidzona była pewna kobieta z jej wsi i jak kiedyś powiedziała jej, że tak piękna dziewczyna powinna umieć cenić swoją urodę, i że dzięki niej zrozumiała, iż jest śliczna, nawet mimo sterczących kości, chudej sylwetki i pryszczatej buzi pod szopą brudnych włosów. Teraz wiedziała już, jaką otrzymała od losu szansę, i rozumiała, że trzeba być brzydkim, aby to zrozumieć poniewczasie (chyba że ktoś nauczy ją wcześniej patrzeć).

Chuderlawy szewc z kozią, rzadką bródką i dziewięciorgiem dzieci nie uważał czarownicy bynajmniej za szpetną. Jej bose stopy, ubłocone po kolana, kryły pod spódnicą resztę nóg, zapewne zupełnie innych kształtów niż zbyt czysto umyte każdego wieczoru nogi jego żony. Na myśl o tym, co kryje się wyżej, pod spódnicą czarownicy, jego ciało

rozluźniało się, a czasem z kącików ust sączyła się ślina. Kiedy zaś pomyślał, że na jej brzuchu mógłby nocą gnieździć się czarny kot z myszą (albo nornicą) w pysku, ręce same pchały się do gaci. Oczywiście wiersze lęgnące się w głowie czarownicy w ogóle go nie obchodziły. Mogły być najpiękniejsze, on po prostu nie miał o nich pojęcia.

Doszedłszy do rynku, czarownica przycupnęła na stercie desek z rozbieranego wieczorem kramu i bezmyślnie wpatrywała się w miejsce, gdzie słońce wychylające się zza krawędzi kościelnej wieży ostrymi promieniami raziło oczy, wywołując pod powiekami wrażenie kolorowych, bolesnych szkiełek. Nie miała już tak wielkiej ochoty iść naprzód jak wczesnym rankiem. Przycisnęła silnie dłońią oczodoły, a kolorowe szkiełka zmieniły się w plamy, niestety, żadna z nich nie zostawała pod powiekami na dłużej. Czarownica chciała wywołać jakieś obrazy, za ich pośrednictwem uzyskać wskazówki, co ma dalej czynić, albo raczej czego nie czynić, plamy jednak zachowywały się równie leniwie jak jej nogi, odmawiając posłuszeństwa. Poczucie, że tego właśnie dnia stanie się coś ważnego, powoli opuszczało czarownicę, a w miejsce po nim pojawiały się zwyczajne myśli. O tym, że ogień na palenisku jej chaty zapewne już całkiem wygasł i aby go przywrócić, należałoby udać się do kogoś z sąsiadów – rzecz, na którą miała tyle samo ochoty co na dalszą wędrówkę. Pomyślała, że w domu nie ma nic do jedzenia, że wiedziona dziwnym popędem zaniedbała upieczenia chleba i ugotowania zupy, a tak chętnie by teraz zjadła zupę; że tyle zostawiła w domu przedmiotów, których teraz jej żal, bo skoro ludzie dowiedzą się, iż opuściła chatę, natychmiast wedrą się tam i splądrują wszystko, że zabiorą zioła i amulety, że będą zastanawiać się nad ich zastosowaniem, z czego może wyniknąć wiele szkód, których nie będzie komu naprawić... Postanowiła przestać o tym myśleć, ale jak na złość ani wiersze nie chciały pojawiać się na jej ustach, ani piękne plamy pod powiekami, tylko promienie kłuły w oczy, a żołądek mruczał cichutko z

dezaprobatą.

Kiedy tak siedziała zajęta swoimi sprawami, nie zauważyła, że obok niej przycupnęła młoda, biednie ubrana kobieta. Towarzyszyła jej chuda dziewczynka o nadmiernie wydłużonej i zdeformowanej głowie, owiniętej chustą tak, że widać było tylko mocno błyszczące, nieco wytrzeszczone oczy, a pod chustą domyślać się można było złej, skrzywionej buzi. Matka małej robiła wrażenie zmęczonej i strapionej i nie wyglądało na to, żeby chciała przejmować się uczuciami dziewczynki. Obie, udając, że nie zwracają na nic specjalnie uwagi, obserwowały czarownicę. A było na co popatrzeć.

Spódnica obszyta chyba setką szcurzych i mysich futerek, łapcie splecione z pasków zwierzęcej skóry, na którą nawleczono kolorowe paciorki, obszerna torba ozdobiona pyszczkiem łasicy, w którym widniały ostre zęby, ściągana rzemieniem zakończonym kostkami palców łap nieznanego zwierzęcia. Ludzie tak się nie ubierali, ich wygląd miał raczej świadczyć o stateczności i znajomości własnego miejsca. Taki wygląd jak czarownicy stanowił wyzwanie, kobieta pomyślała więc, że dowodzi sporej odwagi i nieliczenia się z innymi, i ta myśl ją zaintrygowała. Jej niebrzydka, choć nie nazbyt myśląca twarz stanowiła wyraźny dowód, jak trudne zadanie stanowi rozważenie myśli, która przed chwilą przyszła jej do głowy; cóż, kiedy czarownica nie obserwowała kobiety tak jak tamta ją. Zaskoczyło więc czarownicę jej pytanie: – Czy mogę ci oddać moją córkę?

Czarownica zaniemówiła, co jej się rzadko zdarzało, w końcu jednak wykrztusiła: – Zgłupiałaś? Chcesz oddać własne dziecko nie wiadomo komu? Nie wyglądasz na tak biedną, żebyś musiała dzieci rozdawać! Po małej widać, że jadła dziś rano.

Kobieta zastanawiała się chwilę. Spojrzenie czarownicy odzyskało bystrość, więc szybko zauważyła, że tamta bardziej zastanawia się, jakie wymyślić kłamstwo, niż nad tym, w jaki sposób wyrazić prawdę. Udała,

że nie zauważyła jej wahania, i zwróciła się do dziewczynki, raczej twierdząc, niż pytając: – A ty, mała, nie masz ochoty ze mną zostać. Po co ci taka zamiana, chyba twoja matka straciła rozum!

Dziecko burknęło coś nieprzyjaźnie, ale wyszarpnęło swoją rękę z odzieży matki, której do tej pory się trzymało, i chwyciło za pysk łasicy ozdabiającej torbę czarownicy.

Czarownica już miała ją odepchnąć, nawet podniosła w górę pięść, kiedy...

*

...Tua siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed wygasłym ogniskiem i intensywnie wpatrywała się w zwiniętego w kłębek węża. Grzał się w cieple stygnącej pod warstwą popiołu ziemi i chwilowo się nie poruszał. Tua ten czas wykorzystywała na snucie między sobą a wężem miękkiej, mocnej liny zrozumienia, licząc na to, że zanim wąż ruszy się z miejsca, ona całkowicie z nim się stopi. Powoli pochyliła się nisko nad ziemię i przesuując bokiem głowy po sypkim piasku, zmieniała w węża. Jej ciało nabierało falującej sprężystości, ucho całkowicie zanurzone w piasku zanikło, czuła, jak na plecach pojawia się węzowy wzór, nogi zrastają w jeden śliski ogon. Otwarte usta wchłaniały kuliste powietrze, które przesuując się przez jej wnętrze, zmieniało ludzką zawartość w węzową. Niewiele brakowało do osiągnięcia pełnej jedności z wężem, kiedy ułamana wiatrem gałązka spadła na jej kark, budząc nie do końca porzuconą ludzką naturę.

Nieszczęśliwa, zwinęła się w kłębek, rozważając i prawie płacząc, czy źle wybrała obiekt do zjednoczenia się z nim, czy też może brakuje jej talentu i przymiotów, które na to pozwalają.

Pomna nauk ciotek, wyrzuciła ze swych myśli rozważania o przyczynie. To niczego nie daje – wiedziała o tym od nich i sama tak przeczuwała. Powinna krok po kroku śledzić swoje poczynania i szukać

tego, co różniło ją od innych, a naturę węża od jej wyobrażeń. Wyobrażenia były konieczne, ale widać miała ich za mało i pojawiły się rozbieżności. A może wcześniej źle wybrała? Może nie powinna być wężem, a właśnie ową spadającą gałązką? Może czymś lub kimś, co nie wpadło jej jeszcze do głowy?

Sztywne, sercowatego kształtu liście na urwanej gałązce szeleściły prosto nad uchem, więc pogrzyżyła się całkowicie w tym szeleście, usiłując zgłębić jego przesłanie. Wąż odpełził gdzieś na bok, a Tua usiłowała ponownie złączyć się z nim, uwzględniając przy tym także gałązkę, jej szelest i położenie i czekając na to, co okaże się dla niej ważniejsze, wąż czy gałązka. Tyle jest dróg do poczucia jedności, a najtrudniej wybrać właściwą...

*

Czarownica wstała ciężko i ignorując kobietę, ruszyła z powrotem, ciągnąc uczeplone torby dziecko drogą, którą przebyła rano. Nie wiedziała, skąd przyszła na nią ta wizja, była jednak zdecydowana nic nie robić, żeby nie zburzyć porządku rzeczy, który się przed nią ujawniał. Była jednak niemal pewna, że tamta odezwie się jeszcze, zawoła za nimi, coś powie, pożegna się z córką, lecz żadne z jej przewidywań się nie sprawdziło. Pomyślała, że tylko jedno jest tego wytłumaczenie – mała nie była córką kobiety, ale kłopotem, który z jakiegoś powodu wzięła na siebie, a więc powody pozbycia się go były mało ważne. Do głowy czarownicy nie przyszło, jak bardzo się myliła.

Droga powrotna do chaty była o wiele bardziej nużąca. Dziewczynka się nie odzywała, a czarownica nie miała ochoty jej zagadywać, więc obydwie milczały. Czarownica w gruncie rzeczy nie była nawet pewna, dlaczego zabrała dziewczynkę, być może stanowiło to pretekst, żeby zawrócić z drogi, w którą z takim entuzjazmem ruszyła wczesnym rankiem. Wszystko, co nasuwało jej się na myśl, budziło irytację,

wszystko miała sobie za złe, klęła więc pod nosem, podniecając się swoimi przekleństwami i coraz większej nabierając pewności, że jest durną babą, skończoną idiotką i nieudanym pomiotem jeszcze mniej rozumnej matki, najgłupszym wytworem najpodlejszego stworzenia. Byłaby gotowa sama się za to pobić, ale i tak człapanie sprawiało jej ból, więc nie widziała sensu w tym, aby jeszcze go powiększyć. Powróciwszy do chaty, nie próbowała odgrzać resztek wczorajszej zupy, ba, nawet nie próbowała zajrzeć do garnka, czy tam coś jeszcze zostało, położyła się od razu na rozgrzebanym barłogu, zostawiając nieco miejsca z boku dla dziewczynki, i zapadła w ciężki, przerywany chrapaniem i zadyszką sen.

We śnie była łąsicą. Przemykała się w gąszczu między świeżym i gnijącym listowiem, a zeschnięte gałązki przybrały w jej oczach rozmiary konarów drzew. Jednak jej ciało było tak szczupłe i zwinne, iż bez trudu wkręcało się między nie. Kręgosłup przeżył się pod skórą, bezboleśnie prostowały i zginały w stawach łapki. Właściwie powinna być szczęśliwa jako łąsica, ale nie była. Czuła nieustanne pragnienie; wyschnięte gardło i język pożądały płynu, który zalewając je, pogrążyłby łąsicę we wszechogarniającej rozkoszy. Resztką kobiecości czarownicy zawartej w łąsicy ze snu podsunęła jej obraz czarki z wodą, ale natura łąsicy wzdrygnęła się na tę obcą myśl ze wstrętem. łąsica pragnęła tylko i wyłącznie krwi. Świeżej, spienionej, nasyconej niewymowną słodyczą i gorzkawym, dymnym posmakiem, jaki może jedynie dać strach ofiary. Lecz czarownica goszcząca w łąsicy, nie zatraciwszy do końca zdolności świadomego rozumowania, pomyślała, że w tym śnie jest coś niepokojącego. Nie można być naraz kobietą i łąsicą, nie można jednocześnie zaspokajać pragnienia krwią i wodą. Wtedy uświadomiła sobie, że już nie śpi i patrzy na dziewczynkę.

Mała spała na podłodze, zwinięta w kłębek, z buzią wtuloną w torbę czarownicy, z ręką zaciśniętą na pyszczku łąsicy. Nie położyła się na barłogu, być może spanie obok obcej osoby napawało ją niechęcią, a

może miała zwyczaj sypiania na podłodze. Nie przerażał jej jednak pysk łasicy z wyszczerzonymi zębami, a przecież tylko dlatego, żeby wywoływać w ludziach strach, czarownica ozdobiła nim swoją torbę. Mieli sądzić, że łasica jej służy, podobnie jak czarny kot i inne, niewidoczne zwierzęta.

Nie było także nic nadzwyczajnego w fakcie, że dziewczynce śniła się łasica. Sęk w tym, że jej sny trafiły tak łatwo do czarownicy, a to było czymś niepokojącym, nad czym czarownica jeszcze nie chciała dziś się zastanawiać. Przez myśl jej przemknęło nieuzasadnione wrażenie, że spowodować to może w przyszłości kłopoty i że jeśli to przed nimi uciekała kobieta, oddając dziewczynkę... Ale nie chciała tej myśli roztrząsać.

Podniosła małą, wysunęła z jej ręki pyszczek łasicy, ułożyła dziecko na swoim pościeliu i zabrała się do rozdmuchiwania ognia na palenisku. Niestety, dawno już wygasł i, rada nierada, musiała ruszyć do sąsiadów. Ociągała się jak mogła najdłużej, lecz wreszcie pełna złości i niechęci wycłapała z chaty. Zdecydowała się wrócić do domu, musiała więc tu jeść, a tym samym i gotować. W dodatku wzięła sobie na głowę jakiegoś bachora! I ożywiła jakąś dawno zdechłą łasicę. Istna wariatka!

*

Przeszła już prawie całą drogę, zanim uświadomiła sobie, że droga ta dziś wyjątkowo nie była uciążliwa. Nie bolały ją wcale stawy, zrobiły się ruchliwsze i mogłaby nawet pomyśleć, że chodzenie sprawia jej przyjemność. Natychmiast przypomniała sobie swój sen o łasicy, o przemykaniu się zwinnego zwierzęcia między gałązkami i listowiem, i ucieszyła się, że coś ze snu o łasicy pozostało w jej prawdziwym życiu. W ślad za zadowoleniem pojawiła się i dziwaczna obawa: Co będzie, jeśli i pragnienie łasicy, którego nie można zaspokoić wodą, dostanie się do ust i żołądka czarownicy? Na razie jednak z ulgą stwierdziła, że jest tylko po

prostu głodna, na myśl o garnku gorącej zupy, aż gęstej od kwaśnej kapusty i rozgotowanych kartofli, przesyconej aromatem i smakiem rozgryzanych ziaren kminku, jej nogi przyspieszyły i sama nie wiedziała kiedy znalazła się na skraju wsi. Dymno-gorzki posmak strachu ofiary w napoju łąsicy nie podniecał jej wcale, nie była nawet pewna, czy potrafiłaby go teraz rozpoznać.

Dotarwszy do wsi, miała niełatwy wybór. Mogła udać się do trzech gospodarstw, pozostałe nie wchodziły w grę albo z powodu nieprzyjaźni mieszkańców, albo odległości. Najbliżej była zagroda Jednookiego. Żona Jednookiego, chuda, nerwowa kobieta, była jednak nieprzewidywalna, czasem dawała jej ogień bez słowa, czasem zaś brała drąga i wołała męża, żeby pogonił wredną staruchę, która może rzucić zły urok na ich dobytek. Raz czy dwa uderzyła czarownicę tym drągiem, niezbyt mocno, ale boleśnie, a w dodatku, wołając męża, zmuszała czarownicę do szybkiej ucieczki mimo zazwyczaj bolących stawów. Jednooki lubił bić wszystko, co mu się nawinęło: zwierzęta, żonę, dzieci. Nie był zbyt silnej postury i musiał ograniczać swój zapał jedynie do własnego gospodarstwa. Jednak czarownica nie znalazłaby nigdzie obrońcy, więc musiała się go obawiać. Zwłaszcza gdy przekonała się, że żona Jednookiego znacznie wcześniej wyczuwała jego nastroje i dokładnie wiedziała, kiedy spodziewać się wybuchu. Żona Jednookiego, zdaje się, wierzyła, że jeśli w takim momencie akurat pojawiała się czarownica z prośbą o odstąpienie ognia lub ktoś inny, równie mało ważny, i że gdy uda mu się takiego kogoś dorwać i pobić, zaspokoi swoje pragnienie znęcania się i nie będzie czepiał się jej i dzieci. Czarownica rozwijała zazwyczaj cały arsenał środków zapobiegawczych, żeby nie dać się zaskoczyć i zawczasu zorientować, czego można oczekiwać po gospodarzach, ale czasem popełniała błędy.

Pozostałe dwa gospodarstwa, położone znacznie dalej, nie rodziły takich niebezpieczeństw, jeśli jednak czarownica chciała uzyskać ogień

od starej, samotnej Anny, musiała poświęcić na to zbyt wiele czasu, nie sposób było bowiem wyjść od Anny, nie wysłuchawszy jej przydługich i niezbornych opowieści o czarach, które powinna kupić, gdyby miała oczywiście za co, przeciwko swoim dzieciom, przywłaszczającym sobie spadek należny jej po mężu. Trzecie zaś gospodarstwo, najbardziej oddalone, chętnie dawało jej ogień, jednak zawsze żądało jakiejś odpłaty: ziół, wróżby lub amuletu, w dodatku wymyślnych i nie na czasie: zioła potrzebne były wczesną wiosną, amulety w porze kopania bulw, a wróżba pod wieczór, gdy czarownicy spieszyło się z powrotem.

Gnębiona wizją gęstego i aromatycznego kapuśniaku zdecydowała się spróbować u Jednookiego. Dziś za sprawą dziwnego snu nie bolały tak bardzo stawy, łatwiej więc byłoby jej w razie czego uniknąć pobicia. Chwilę stała przed zagrodą, usiłując z odgłosów dociec spodziewanego nastroju mieszkańców, jednak nic specjalnego one nie wróżyły. Zastukała zatem mocno kosturem.

Tym razem w niskich drzwiach izby wyjątkowo ukazał się sam Jednooki. Bez słowa ostrzeżenia, z rękami uzbrojonymi tylko w pięści rzucił się na czarownicę. Może zdołałaby się uchylić, ale poślizgnęła się na błocie ze stale wylewanych przed drzwi pomyj i ciężko upadła na ziemię, gubiąc swój kij. Jednooki przygniótł ją i zaczął okładać pięściami. Już na wstępie rozbił jej nos, lecz następne ciosy, bardziej bolesne, obudziły czarownicę z zaskoczenia. Wściekła, w niewygodnej pozycji, szamocząc się bez możliwości wydostania spod ciężaru, zatopiła zęby w jego ramieniu. I nagle poczuła ten wspaniały słodko-dymny smak, o wiele cudowniejszy niż aromat kapusty gotowanej z kminkiem, o wiele bardziej wyrazisty niż smak pocałunku w czasach młodości, z ustami pełnymi leśnych poziomek... Niezbyt świadoma tego, co czyni, zamiast skorzystać z wrzasku Jednookiego, wyrwać mu się i uciekać jak najszybciej, puściła jego twarde ramię i z rozkoszą zatopiła zęby w miękkiej szyi.

Jednak nie była łasicą ze snu i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, co czyni. Wstała, poprawiła ubranie, złośliwie kopnęła Jednookiego w dłoń zaciśniętą na szyi, przekroczyła próg chałupy i podeszła do kuchni. Nasypała żaru na podkład z huby w przyczepionym do paska garnuszku, posypała go sproszkowaną korą i troskliwie owinęła w kawałek skóry dla ochrony przed oparzeniem. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że w domu jest dziwnie cicho. Zaciekawiona zaczęła się rozglądać po ciemnych kątach, ale nikt się w nich nie krył. Pomyślała, że pewnie żona Jednookiego była z dziećmi gdzieś w obejściu, lecz przecież już do niczego nie była czarownicy potrzebna. Żywiła niechęć do pozostania tu dłużej, coś nieokreślonego budziło jej niepokój. Wychodząc z domu, kątem oka zauważyła, że Jednooki wciąż leży na ziemi, trzymając się za szyję, i była z tego zadowolona, że szybko nie oprzytomniał, bo kolejna przeprawa z nim mogłaby być jeszcze trudniejsza. Miała wszystkiego wystarczająco dosyć. Teraz żałowała, że wróciła. Jednak nie zwykła poddawać się tak łatwo.

Maszerowała prędko do domu, powtarzając sobie: jestem silna, jestem wspaniała, jestem godna szacunku, i zaczynała w to wierzyć. W jej głowie znowu zaczął formować się piękny wiersz i nawet powstawała do niego cudowna melodia, dlatego też czarownica nie chciała myśleć o niczym innym, również o zapachu kapuśniaku z kminkiem. Niestety, jak zwykle piękne słowa ulotniły się, a może przesiąkły tylko dymem ogniska i smrodem zjełczanej ryby i zamiast wierszy w głowie powstała taka opowieść:

*

Tua od samego początku, od urodzin, różniła się od wszystkich niemowląt. Była potworem. Kości głowy, gdy przyszła na świat, były zrośnięte i to, co powinno mieścić się w środku, nie miało miejsca, aby się poprawnie ułożyć. Oczy wyłaziły na wierzch jak dwie okrągłe i śliskie kule, uszami i nosem wypływała bladuróżowa maź. Straszliwy ból musiał

dręczyć jej głowę, bowiem nie przestawała płakać. Ale mimo to ku zdziwieniu wszystkich nie umierała. Jej matka więcej przebywała u miejscowej znachorki niż w swoim domu, a obie, opiwszy się w nadmiarze napoju pędzonego przez znachorkę ze sfermentowanych i nadgniętych owoców, czekały, aż dziecko umrze. Mąż dawno opuścił kobietę, matkę potworka i trojga innych, starszych dzieci, ale wszyscy litowali się nad tą nieszczęsną rodziną, w której pojawił się odmień, i przynosili im jakieś resztki do jedzenia. Wreszcie w przypływie zadufania wiejska znachorka orzekła, że trzeba dziecku rozkroić czaszkę na szczycie, żeby rozeszła się jak dwie połówki przeciętego jabłka, a wtedy zawartość głowy będzie miała się gdzie rozprzestrzeniać. Dziecko i tak skazane jest na śmierć, może więc mu przed nią nieco ulżyć w bólach. Kiedy otrzeźwiała, nie była już tak skłonna do przeprowadzenia owego rozkrojenia głowy, lecz szybko wieść rozniosła się w całej wsi i jeśli miała nadal mieć jakieś uznanie w otoczeniu (i z czego żyć), musiała się podjąć zabiegu. Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Pożyczyła więc od kowala ostrą piłkę, nakarmiła dziecko sokiem wyciśniętym z makówek i przystąpiła do piłowania.

Początkowo miała zamiar ciąć główkę wzdłuż linii nosa, potem zrezygnowała z tego pomysłu. Pomyślała, że prędzej uszkodzi w ten sposób zawartość, więc postanowiła zrobić to, odcinając z góry głowy pokrywkę, jak w jabłku, które chce się wydrążyć. Poprzedniego dnia przepiłowała najpierw dla wprawy dwie dynie, a skoro to jej się udało łatwo, uznała, że odpiłowanie pokrywki od główki dziecka nie będzie wiele trudniejsze. Tnąc dynie, zauważyła, że musi piłować dookoła, nie przecinając wszystkiego, aby nie dojść do mięszu i nie naruszyć go, a sam mięsz najlepiej odczepić od pokrywki drewnianą łyżeczką, a właściwie łopatką do przewracania kotletów. Potem pomyślała, że nie musi odczepiać mięszu od pokrywki głowy dziecka, wystarczy po prostu wierzch czaszki czymś podeprzeć, żeby uzyskać więcej miejsca na

rosnącą zawartość, i wymyśliła, że do tego celu najlepsza będzie obręcz z tamborka do haftu.

Miała nadzieję, że reszta sama się zagoi, choć wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby dziecko umarło, przeciwnie, raczej tego oczekiwała. Śmierć dziecka była atrakcyjniejszą możliwością, wreszcie wszyscy przestaliby się zastanawiać, co w sprawie tego potworka można zrobić, a matka dzieciaka przestałaby jej wiecznie zawracać głowę swoją obecnością, może by zakręciła się za innym chłopem i zajęła pozostałymi dziećmi. A wieś miałaby jakąś rozrywkę za dobroć serca, każącą przynosić strawę cudzym dzieciakom.

Nie wiadomo jakim cudem operacja się udała. Dziecko żyło nadal. Znachorka tylko wepchnęła głębiej w oczodoły jego okrągłe ślepią, żeby powieki łatwiej mogły je przykrywać i żeby nie straszyły ludzi tak swoim wytrzeszczem, i poszła do domu, oczekując, że ktoś jej doniesie, kiedy dziecko umrze. Ale ani następnego dnia, ani dalszych nikt do niej nie przyszedł. Nie zajrzała też matka potworka. Znachorka umyła więc piłę i oddała kowalowi, w podziękowaniu za jej użyczenie dając mu solidny słoik maści na bolący po pracy i nocami krzyż.

Potem widywało dziecko we wsi. Rozwijało się normalnie, jak każde inne, ale z jakichś powodów traktowano je odmiennie. Ludzie nie lubili, kiedy się do nich zbliżało, mówili, że przez tę dziurę w czaszce ma łatwy dostęp do myśli innych ludzi, i starali się odsuwać jak najdalej. Zajmowały się nim najczęściej dwie ciotki, wiejskie wariatki, na tyle jednak mądre, że bez trudu umiały zdobywać pożywienie, łowić ryby i drobną zwierzynę oraz okradać pola. Matka uszyła dziewczynce czapkę sięgającą aż do uszu, przykrywającą wybrzuszenie na głowie, tak że nikt nie wiedział, czy pod czapką rosły włosy, czy nie. Tak naprawdę nikogo to nie obchodziło, bez włosów czy z włosami, na pewno był to potworek. Zresztą, pocieszali się ludzie, gdyby dziecko nie było potworkiem, lubiliby go własni bracia i siostry, a tak nie było. Rodzeństwo dręczyło

dziewczynkę nawet bardziej niż obce dzieci. Takie pokraki, zdaniem wszystkich, nie miały prawa żyć. Wszyscy uważali, że znachorka zrobiła źle, próbując odmienić wolę Bożą, i winili ją także za problemy, jakie stwarzała we wsi obecność potworka, jakby mało było jeszcze tamtych dwóch wariatek. Dziecku nie nadano nawet imienia, mówiono doń: Tua, czyli byle jaka, byle co, gorzej niż psie gówno.

*

Jestem dzieckiem. Dzieckiem – zwierzęciem – ciałem. Mam kości. Skórę. Mam gębę, w którą wlewam picie i czasami żarcie. Mam tyłek. Skóra na moim tyłku jest miękka i służy do tego, aby uginając się pod batem, sprawiać mi ból. Mój ból służy wszystkim. Kiedy mogą go zadać, odpoczywają. Odpoczywając, nabierają sił do życia i do pracy dla naszego dobra. Dzieci są po to, aby można było z nich skorzystać, gdy nie ma niczego innego pod ręką. Dzieci, których nie widać, przeżywają. Czasami. Czasami nie przeżywają i to jest normalne. Należy starać się, żeby jeśli nie można już przeżyć, doznać jak najmniej bólu. Uczymy się tego od zwierząt, one są dziksze niż my i dlatego mądrzejsze.

Każde zwierzę, dziecko i kobieta ma swojego pana. Pan jest po to, żeby istniał i uświadamiał władzę. Władza jest po to, aby świat nie rozprysł się na tysiące kawałków.

Władzę podtrzymuje moralność i dobre obyczaje. Ich źródłem jest religia, a prapoczątkiem Pan. Pan jest panem panów, tych, którzy są panami dzieci.

Każde dziecko ma matkę. Matka jest większa od dziecka i czasami dziecku pomaga, jeśli może i chce. Ten, kto może, zwycięża, ten, kto nie może, ginie. Dziecko samo nie może nic, ale czasami może coś przez swą matkę, a jeśli jego matka może coś przez ojców, dziecko może wtedy przeżyć dłużej.

Szukam. Poszukuję. Czasem chcę. Czasem nie chcę. Co różni moje

„chcę” od „nie chcę”? Czym naprawdę jest „chcę”? Kiedyś wiedziałam to, ale już zatraciłam zdolność odróżniania jednego od drugiego. A może po prostu przestałam chcieć i zastąpiłam chcenie podróżą? Chcę opowiedzieć komuś o poszukiwaniach, moich poszukiwaniach, lecz czy naprawdę chcę? Czy może usłyszałam gdzieś opowieści o poszukiwaniach i postanowiłam sama przymierzyć się do poszukiwań? Ta kobieta śmierdzi, jednak jej smród jest tak dziwacznie posklejany z rozmaitych składników, że nie budzi większego strachu. Zanim upora się z samą sobą, nie będzie miała czasu i chęci dokuczać innym. Może trochę u niej pozostanę, zanim wznowię poszukiwania.

*

Coś takiego! To nie czarownica wymyślała tę opowieść zamiast pięknych wierszy, opowieść sama się opowiadała, nie wiadomo od kogo przyłazła do niej nieproszona, jakby jeszcze było mało bólu stawów! I mimo tej opowieści czarownica odczuwała coraz większy wyrzut, że odeszła tak, nie przekonawszy się, co stało się z sąsiadem i jego rodziną. Może ich pozabijał przedtem, zanim rzucił się na nią? Czy go zagryzła jak łośnica, czy tylko jej się wydawało? Dlaczego zamiast pięknego zapachu kapuśniaku z kminkiem czuje zjełczały odór starej ryby? Na smrodliwy tyłek szatana, to jest dopiero zagadka! Ale nie wróci, trudno, pozabijał, to pozabijał, zdechł, to zdechł, niczego nie jest im winna, nie musi się o nich martwić. Ugotuje wspaniałego kapuśniaku, najedzą się z dziewczynką i może pójda sobie stąd. Może kolana nie będą ją bolały, może nie zarazi się od niej tym chceniem czy niechceniem, jak nie zaraziła się pragnieniem krwi łośnicy. Może dowie się od dziewczynki, co się z nią dzieje, i może zorientuje się, jak może to wykorzystać. Może słusznie rano wstała i postanowiła odejść stąd i może niesłusznie zastanawia się, czy to zrobić, czy nie. Co się z nią dzieje? Czy w ogóle zastanawiała się kiedyś, czy czegoś chce, czy nie chce? Kto ją pytał o zdanie!

*

Jednak nie ugotowała kapuśniaku. Nie zastanawiała się nad tym, czego chce lub nie. Dochodząc do chaty, poczuła pod bosymi stopami tętent końskich kopyt i schowała się za pagórkiem przydomowej piwniczki.

Było ich trzech, brudnych i zarośniętych, podrzędnych pacholków. Ale konie mieli ręce, o błyszczącej sierści, zadbane. I miecze lśniące, dobrze utrzymane. Nie byli tym, za kogo chcieli uchościć. Czego chcieli w jej chacie? Czarownica pomyślała nagle o dziewczynce. To dlatego ta kobieta chciała ją oddać! Kogo chciała ratować, dziecko czy siebie? Czarownica gryzła palce w lęku o małą, ale nic nie mogła zrobić. Niedawno przedtem nic nie chciała zrobić, by przekonać się o losie tamtej rodziny, więc i teraz nie mogła. Wina i kara, co było pierwsze, a co potem...

Mężczyźni weszli do chaty, lecz trudno było się zorientować, co tam robili. Owszem, demolowali wewnątrz, ciskali garnkami, tłukli kijem, klęli i hałasowali. Nie było jednak słychać dziewczynki, ani jej krzyku, ani płaczu, po prostu nic. Może uciekła wcześniej, a może się schowała, ale gdzie tam mogła się schować? Po chwili hałasy umilkły, a mężczyźni wyszli z chaty. Jeden z nich skrzesał ognia, zapalił wiecheć starych, zeschniętych traw i rzucił do góry na strzechę.

Czarownica leżała w wykrocie, gdy poczuła raczej, niż usłyszała, prześlizgujące się wśród chaszczy ciało dziewczynki. Mała skuliła się obok niej, przytuliła, a czarownica objęła ją i schowała jej głowę pod swój kubrak.

Pożar przybrał na sile podsycany podmuchami wiatru, lecz szybko przygasał. Chata była mała, sklecona z chrustu i szybko się wypaliła.

Napastnicy odjechali, nie klnąc już i nie hałasując, zupełnie inaczej niż przypadkowe zbiry. Jednak czarownica czekała z wyjściem z wykrotu, aż upewni się, że są same. Napastnicy mogli wrócić i mogło ich być więcej.

Nie miała już złudzeń, że dziewczynka była zwykłym dzieckiem, które oddała jej przypadkowo przechodząca tamtędy kobieta. Wiedziała już, że dziewczynka jest poszukiwana i że szukają jej ludzie pozbawieni skrupułów, wcale nie w dobrych zamiarach. Co jednak takie dziecko mogło komuś zawinić? Nędznie odziana, milcząca, może niemowa, nie wyglądała na kogoś, za kim w pościg wysyła się kilku zbrojnych, bo że szukali jej, czarownicy, w to nie uwierzyła. Całe lata mieszkała na skraju tej wsi, czasami chodziła do miasteczka i nigdy nikt się nią nie interesował. Nawet czary, które uprawiała, były, jak to nazywała, takie wiejskie, głupie i mało skuteczne. Nikt jej się nie bał i nikogo tak naprawdę nie obchodziła. To musiało chodzić o dziewczynkę!

Leżały w wykrocie, chcąc upewnić się, że nikogo już nie ma. Bywało już tak, że palono komuś chałupę po to, by ściągnąć go na pogorzelnisko. Kiedy przegrzebywał je w poszukiwaniu rzeczy, które nie spłonęły, łatwo było go ująć. Tak mogło być i tym razem, więc czarownica leżała dalej bez ruchu. Równy oddech dziewczynki wskazywał, że mała zasnęła, i słuchając go, czarownica też zapadła w czujny półsen.

*

Tua miała sześć lat, kiedy matka umarła. Dwie starsze siostry już dawno wywędrowały z domu i ślad po nich zaginął, a brat skorzystał z okazji i spotkawszy w karczmie wędrownego żonglera, za flaszkę gorzałki sprzedał mu siostrę. Początkowo kłown miał nadzieję, że pokazywanie Tui bez czapki ściągnie chętnych do oglądania także i tego dziwadła, podobnie jak ciśnięto się, gdy na ulicach występowały kobiety z brodą czy ludzie zrośnięci ze sobą. Niestety, kalectwo Tui nie przedstawiało się zbyt atrakcyjnie. Jej głowa miała dziwaczny kształt, to prawda, ale nie robiła nadzwyczajnego wrażenia, a brat Tui oszukał igrca, bo okazało się, że przykrywka na jej czaszce, ongi wypłowana przez znachorkę, dawno zarosła skórą i porosła włosami. Rozmyślał, co

ma zrobić, radził się nawet pewnego medyka, lecz ten powiedział, że powtórne przepiłowanie głowy na pewno zabije dziewczynkę, więc taki pomysł nie jest nic warty, operacja kosztuje, a nie ma szans na to, żeby pieniądze te potem odzyskać.

Zresztą kłown miał już dosyć Tui. Nie zauważył w niej żadnych talentów do pantomimy, żadnej zręczności w ruchach ani możliwości przyciągnięcia ludzkiej uwagi; mówiła tak mało, iż czasem wydawało mu się, że jest niemową i nic nie rozumie; nie przejawiała też żadnego zainteresowania otoczeniem i swoim losem. Poruszała się niezgrabnie, nie umiała tańczyć ani rozśmieszać ludzi. Kiedy nic od niej nie chciano, zapadała w dziwny stan, zbliżony do letargu, miała jednak otwarte oczy i reagowała dopiero po dłuższym czasie na szturchańce i razy, więc nawet nie mogła w przerwach przedstawienia służyć gawiedzi za pośmiewisko. Żaden był z niej pożytek, a tylko kłopot.

Pewnego wieczoru zanocowali w stogu siana za murami miasta. Rankiem drogą, przy której stał stóg, przejeżdżali gospodarze na targ. Kłown, słysząc turkot furki, zatrzymał wóz i poprosił o podwiezienie. Tua szła za furką obok przywiązanego do niej źrebaka i uwagę gospodyni zwróciło zachowanie obojga. Kobiecie zdało się, że źrebak naśladuje niezgrabny chód i charakterystyczne wstrząsanie ciałem dziewczynki, ona zaś porozumiewa się z nim bez słów, ponieważ stale wykręcał głowę w jej stronę, jakby nasłuchiwał tego, co ma mu do powiedzenia. Kiedy przejeżdżali przez wieś, wyleciało za nimi kilka psów i co dziwne, nie obszczekiwały ich, tylko biegły spokojnie obok dziewczynki, od czasu do czasu liżąc jej zakurzone nogi.

Kobieta pomyślała, że dziewczynka będzie dobrą pastuszką, ponieważ zwierzęta do niej ciągną, a nie uciekają przed nią, i po niedługich targach za garnek smalcu i bochenek chleba odkupiła dziewczynkę od kłowna.

Czarownica z dziewczynką wlokły się skrajem drogi, głodne i zmarznięte po nocy spędzonej w wykrocie. Czarownica niosła w wężelku kilka kartofli upieczonych w popiele ze swojej chaty. Rozpatrując wszystkie okoliczności od owego poranka, gdy spotkała dziewczynkę, zrozumiała, że los w ciągu wczorajszego dnia przybierał rozmaite postaci, aby zmusić ją do wędrówki. Jeśliby nie spalono jej chaty, to pewnie okazałoby się, że zamordowała sąsiada, i także nie mogłaby zostać w wiosce. Jakaś siła sprawiła, że musiała robić wszystko tak, jak dla niej zaplanowano, i w dodatku nawet zadbała o to, żeby nie bolały jej stare kości. Może nareszcie komuś tam, w górze, przypomniało się, że jest czarownicą, i wyznaczył jej zadanie, choć na czym ono polega, dowie się w stosownym czasie.

Późnym rankiem zatrzymały się obok przepustu nad małą rzeczką. Zerwały trochę szczawiu z łąki i przegryzły nim ukradzioną na czyimś polu cebulę.

– Musisz mi powiedzieć, dlaczego cię ścigają – zaczęła czarownica. – Nie mogę ci pomóc, jeśli nie będę wiedziała, o co chodzi.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Złożyła dłonie i przytknęła je do policzka, zamykając oczy i pokazując, że robi to wtedy, gdy zasną. Czarownica zrozumiała. Dziewczynka opowiadać chce albo może tylko snami wywoływanymi w głowach innych. Ale czym takie dziecko, niemowa, mogłoby się narazić potężnemu przeciwnikowi, którego stać było na konnych pachołków do pościgu? Niepojęte!

Koło południa znalazły się na skraju pola, gdzie trzy kobiety peły grządki. Czarownica z dziewczynką dołączyły do nich bez słowa, mając nadzieję, że dostaną potem coś do jedzenia. Pole leżało tuż przy drodze i dwukrotnie widziała galopujących nią konnych. Wydawało jej się, że są to ci sami, którzy spalili dom, lecz nie była pewna. Martwiła się jednak coraz bardziej. W miarę jak robiło się coraz cieplej, czarownica się rozbierała. Zdjęła serdak i swoją torbę, a z białej koszuli oderwała dół,

robiąc z niego coś w rodzaju czepca na głowę dziewczynki. Miała nadzieję, że to pomoże, że jeśli ktoś opowiedział pachółkom, jak wyglądają i jak są ubrane, ta przemiana ich zmyli, nie wzbudzając jednocześnie zainteresowania kobiet na polu.

Po południu chłopak przyniósł na pole dzban zimnego mleka i podpłomyki, którymi podzielono się z przybyłymi. Czarownica bardzo chętnie rozmawiała z kobietami, wiedziała bowiem, że milczenie wywołuje podejrzliwość. Tak jakoś jest, że ludziom milczącym, zwłaszcza nieznanym, przypisuje się złe lub nieszczerze, ukryte zamiary. Dziewczynka widać też to rozumiała, więc chociaż niemowa, biegała wesoło, zbierając kwiaty i plotąc z nich wianek, tak właśnie jak spodziewałyby się kobiety na polu po dziecku.

Czarownica opowiedziała im prawie całe swoje życie, lecz w jej słowach niewiele było prawdy. Opowiadała, że jest wdową, a mała jej wnuczka, że księżęcy zabrali jej ziemię, którą był dzierżawił mąż nieboszczyk, i że jej córka poszła w inną okolicę na służbę, ale że córka powiadomiła ją przez kogoś, że wychodzi za mąż i żeby matka przyprowadziła jej dziecko, które teraz będzie mieszkać z nią i mężem, który ma własne gospodarstwo. Opowiadanie obrastało w szczegóły, kobiety dowiedziały się, jak ładna jest córka i jak przystojny był pierwszy, zmarły zięć (którego przygniotło drzewo w lesie), i jak nie lubił swojego dziecka, bo miało zdeformowaną głowę, i jak przez to przywiązała się do wnuczki, która w dodatku była niemową. I jak bardzo kochała dziecko jej córka, a jego matka, nie mogąc jednak przewyciężyć niechęci męża, wolała, by opiekowała się nim babka. Czarownica opowiadała też długo o chorobie swojego męża, o jego dolegliwościach i o tym, jak leczono takie objawy w jej stronach. Opowiadała, jak ona rodziła swoją córkę i jak o mało przy tym nie umarła, i o tym, jak jej córka rodziła wnuczkę, a wszystko to było dla kobiet ciekawe, choć całkowicie zmyślane.

Kiedy słońce obniżyło się, kobiety wróciły do pracy, a czarownica z dziewczynką razem z nimi. Były już bardzo zaprzyjaźnione i nikt obcy nie domyśliłby się, że się nie znają. Czarownica miała nadzieję, że przenocują we wsi i rano ruszą dalej, jednak los pokrzyżował ich plany.

Drogą trzeci raz przegalopowali jeźdźcy i któryś z nich zatrzymał się na skraju pola, pytając kobiety, czy nie widziały kogoś obcego. Na szczęście nie spytał o kobietę z dziewczynką, bo wieśniaczka pewnie by im powiedziała, ale o to, czy nie widziały kogoś obcego, kto by się tu kręcił. Oczywiście nikt w pobliżu się nie kręcił, czarownica z dziewczynką nie kręciły się, tylko pracowały z kobietami, a i nie były obce, tylko swoje, przecież wieśniaczki wszystko o nich wiedziały. O mężu, o córce i jej dwóch mężach, o wnuczce. Jednak zdarzenie to ostrzegło czarownicę, że musi zmienić plany. Podziękowała wieśniaczkom za nocleg, powiedziała, że szkoda jej oddalać się od traktu, nogi ma już stare i bolące, a wieś jest kawałek drogi. Dostały resztę podpłomyków i kawałek sera i powędrowały dalej. Ledwie jednak kobiety zniknęły za wzgórkami, czarownica z dziewczynką szybko zeszły z drogi i schowały się w lesie.

*

Mała pastuszka żyła w swoim świecie u życzliwych ludzi do czasu, aż przybiegła po nią siostra gospodyni, podkuchenna u dziedzica. Do jej pana miał przyjechać książę i zatrzymać się u niego na noc. Potrzebne było więc mnóstwo ludzi do sprzątnięcia, czyszczenia, gotowania, bicia świń i innych gospodarskich zajęć, aby godnie przyjąć drużynę księcia. Nawet małe dzieci zabierano w takich razach do dworu, bo zawsze mogły się do czegoś przydać. Tuż zaprowadzono do komory, gdzie pan przechowywał broń i zbroję, i polecono przy pomocy startego na proszek miękkiego białego kamienia i szmatki polerowanie hełmów. Zajęcie było bardzo ważne, ludzie dziedzica, ustawieni szpalerem, mieli witać księcia

w pięknie wyczyszczonych, błyszczących hełmach. Pogoda była piękna, więc Tua usiadła na progu komory, hełm położyła na spódnicy i objęła go rozsuniętymi kolanami, żeby się nie przesunął, i zabrała się za pracę.

Miły wietrzyk chłodził jej spoczone czoło, a przed oczami układały się obrazy. Była rycerzem w hełmie na głowie, a przed nią garbił się wątlwy chłopak przyłapany na gorącym uczynku. Chłopak miał przypasany mały mieczyk, nie był więc żadnym służącym, ale zachowywał się jak ktoś niższego stanu. Drżał przed rycerzem w hełmie i kulił się trwożliwie, czym wzbudzał jeszcze większą odrazę pana. Co za niedojdę spłodziłem, zżymał się pan. Psy służą do polowań, szkoli się je w tym celu, wychowuje od szczeniaka. Z psami nikt się nie czuli, bo będą nieprzydatne. I ty właśnie zepsułeś tak dobrze zapowiadające się zwierzę!

Śpiący w izbie nad komorą dziedzic niespokojnie przewracał się pod warstwą skór. Jęczał głośno, czasami chrapliwie. Nie był już starym, zmęczonym mężczyzną, tylko kilkuletnim chłopcem, któremu kazano własnoręcznie zabić ulubionego szczeniaka. Trzymał w ręku toporek i musiał, musiał to zrobić, bo był posłusznym synem swego ojca i jego przyszłym spadkobiercą i dziedzicem. Ale patrzył nie na ojca, a na siebie oczami swego ojca, pełnymi niechęci i niepokoju, czy syn potrafi się przemóc i okazać mężczyzną. Ta dwoistość snu była najbardziej przerażającą cechą sennego koszmaru. Pamiętał jak dziś swoją żalność z powodu psa, lecz teraz odczuwał tylko wściekłość na malca i odrazę do jego mazgajstwa.

Przebudził się nagle pełen wewnętrznego przekonania, że sen obudził w nim innego, obcego człowieka, i przeraził się. Czyżby już mój czas dobiegał kresu i zaczynam widzieć rzeczy takimi, jakie będą widoczne na Sądzie Ostatecznym?

Żeby przekonać się dowodnie, że jeszcze żyje, wstał z pośłania i podszedł do okna, otwierając na oścież okiennicę, i spojrzał w dół na

nędzne stworzenie czyszczące ojcowski hełm...

*

Czarownicę i dziewczynkę obudził pies obszczekujący je głośno i usiłujący szarpać skrawek sakwy. Kobieta kopnęła go, lecz wówczas strzyknęło coś w krzyżu i nie mogła powstrzymać okrzyku bólu. Idący drogą ludzie zatrzymali się, nasłuchując. Nie wyglądali groźnie, ale... Las szumiał przyjaźnie, słońce prześwitujące między gałęziami niczego nie ukrywało, jednak czarownica i dziewczynka czuły wiszący w powietrzu niepokój. Szybko zebrały się, otrzepując z ubrań gałązki i igły, i pobiegly głębiej w las, zanim ludzie na drodze zaczną się zastanawiać, kto i po co tam się chowa. Może pomyślą, że to rzezimieszki, i ufając w siłę swoich kijów, zapuszczą się dalej, a dostrzegłszy, że to tylko stara kobieta i dziecko, porachują im grzbiety tymi kijami za to, że tracili przez nie czas... Jak zawsze, lepiej umknąć, nim coś się zacznie.

*

Podjęcie dziedzica, że źródłem jego snu był hełm ojca, wymagało sprawdzenia. Zawołał pachołka, ubrał się przy jego pomocy, kazał wyszukać pęto mocnego sznura i sprowadzić dziewczynkę do lochów. Trzymał tam od jesieni pewnego więźnia, z którym nie wiedział, co uczynić. Człowiek ten w przebraniu wędrownego kuglarza i mima chodził po okolicznych wsiach i popisował się swoimi sztuczkami oraz opowiadał różne bajdy, nie posługując się słowami, ponieważ uchodził za niemowę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, chociaż miał język, gdyby nie fakt, że przedstawiane opowieści nie były wcale wesołe i zabawne, a zdawały się nawoływać do czegoś, czego trudno było się domyślić. Może człowiek ten przynosił jakieś wieści, może nawoływał do buntu; słychać było od pewnego czasu, że odtrącona Oda, pogańska żona króla pana,

spiskuje i gromadzi zwolenników, że na odległych bagnach mają swoją kryjówkę. Ale mimo przypalania kuglarza rozpalonym prętem i innych tortur, jakim poddawali go dość niewprawni pacholkiwie dziedzica, człowiek ten tylko wrzeszczał i nic nie mówił, nawet gestami nie próbował odpowiedzieć na pytania. W dodatku w jego sakwie znaleziono pierścień, zbyt bogaty jak na takiego włóczęgę, może więc to był znak dla kogoś?

Dziewczynce założono na palec pierścień, obwiązano rękę szmatą, żeby nie mogła go ściągnąć, i związano obie ręce pod spodem pryczy tak, aby nie mogła wstać. Dziedzic dla pewności kazał sobie pościelić w lochach, w sąsiedniej celi. Zaopatrzony w dzban wina, ciepło ubrany i obuty, przykryty baranicą, szybko zasnął.

*

Wlokły się przed siebie bez celu, głodne i zmęczone. Czarownica wiedziała, że powinna wykrzesać z siebie więcej pomysłowości, aby ocalić życie swoje i dziewczynki, ale nic nie przychodziło jej na myśl.

Zbliżała się noc, gęsta od wieczornych odgłosów, chmar kęsających komarów i nadchodzących z daleka pomruków burzy. W starym listowiu zaszeleściło jakieś zwierzę, przemykając w ucieczce lub pogoni. Dziewczynka wtuliła się w czarownicę, jakby ta stara kobieta mogła obronić ją przed złym człowiekiem, zwierzęciem lub losem. Była małym zwierzątkiem, ale mimo prześladowań nieprzejawiającym nieufności, choć obcym i dziwacznym. Jakby była nieprawdziwa. Co się kryło w tej jej dziurawej głowie?

*

Tej nocy dziedzicowi przyśniło się wszystko, czego od dawna pragnął się dowiedzieć. Wszystko: twarze spiskowców, ich głosy, jakieś

wyprawy, kryjówki i dziwna osoba; na wpół kobieta, na wpół zwierzę, nazywana przez spiskowców „Kopciuszkiem”, widziana z oddali i niewyraźnie... I cecha wyróżniająca ją spośród innych ludzi – wąsy u nasady palców...

Już wiedział wszystko, co chciał. Tak, bardzo pożyteczna jest ta mała, szkoda tylko, że taka brzydka! Ale może to i lepiej, nikt niczego nie będzie podejrzewał. Dzięki niej może wiedzieć, co inni zamierzają, może zdobyć mnóstwo pożytecznych wiadomości. Majątek od dawna podupada, można by pomyśleć, jak temu zapobiec... A może nawet go powiększyć. Albo zasłużyć na łaskę księcia, potem króla Mieszka... Dostarczyć im spiskowców. Opisać dokładnie, wskazać miejsca, gdzie się chowają, ich pogańskie świątynie, uroczyska, zbrojownie, pośtańców. Pokazać, co zamierzają. Może nawet wiedzieć wszystko o siłach i uzbrojeniu wroga. Kto z wielmożów ich popiera, kto się ku nim skłania. Kto udaje tylko, że wyznaje prawdziwą wiarę. Obejrzeć ukryte ścieżki przez bagna, znaki, które je wskazują. Do tego potrzeba jedynie kilku schwytanych ludzi i dziewczynki. Zawsze się chwyta rozmaitych ludzi i zabija, ale rzadko można to wykorzystać. Co z tego, że opowiedzą katu podczas tortur, jak przez bagna idzie się ścieżką mającą swój początek obok wielkiego dębu? Nic. Musiałby człowiek taki poprowadzić kogoś, a nie zawsze przeżyje badanie. Wieszka się potem takich bez pożytku, a tyle jeszcze można by z nich wyciągnąć. A przecież można ich chwytać coraz więcej, nie trudzić kata torturami, po prostu zamknąć w ciemnicy, przez noc dowiedzieć się wszystkiego, a powiesić rankiem. Jednak dziedzic sam temu wszystkiemu nie podoła, trzeba zorientować się, czy sny z dziewczynki mogą też spłynąć na innych. Wtedy musiałby znaleźć sobie pomagierów, takich, których trzeba być pewnym. Ale kogo w dzisiejszych czasach można być pewnym, że nie zdradzi! No i trzeba by oddalić innych, którzy też mogą coś rozumieć, a nie będą nigdy zaufanymi... Dużo trudności do przewyciężenia, lecz warto.

Książę, a potem król odwdzięczy się swojemu dobroczyńcy, mianuje go wojewodą albo zostawi na gnieźnieńskim dworze, przy sobie. Będzie najważniejszym człowiekiem w kraju, doradcą króla, jego prawą ręką. Wszystko ułoży po swojemu, tylko musi dokładnie zaplanować i przewidzieć. I zawczasu pozbyć się tych, którzy mogą przeszkadzać.

Wyrwany z zamyślenia nagłymi hałasami na dziedzińcu, dziedzic ocknął się z marzeń. Zbliżał się posłaniec księcia, obowiązki wzywały. Trzeba było wszystkiego dopilnować, na razie nie było czasu na zajmowanie się dziewczynką. Dziedzic założył na palec pierścień spiskowców, żeby go nie zgubić. Kto wie ile jeszcze można z niego wiadomości wycisnąć! Dziewczynkę trzeba odesłać do kuchni. Niech kucharka ją nakarmi, a kobiety umyją i ubiorą. Najlepiej przebrać ją w strój błazna. Był taki chłopiec na dworze, ale zagryzły go kiedyś psy. Teraz strój będzie jak znalazł. I trzeba powiedzieć przybocznym, żeby nie pozwalali małej się oddalać. Musi zawsze być pod ręką. Kto wie co knuje książę? Jakie żywi zamiary, przyjeżdżając tu, i jakie ma plany wobec dziedzica? Może lepiej pominąć księcia i od razu dostać się przed oblicze króla? To też wymaga pilnej decyzji. Czas, czas, stale brakuje czasu!

No tak, ale błazen musi rozśmieszać. Co ta mała umie, żeby w oczach otoczenia zasłużyła na zaszczyt bycia błaznem pana? Chyba tylko paść gęsi albo kozy! Prawie nie mówi, może w ogóle jest niemową. I pewnie jest przygłupia, robi wrażenie, jakby nie wiedziała, co się dookoła niej dzieje. Jedyne, co może uzasadnić jej obecność przy panu, to szpetota! Ale znowu nie jest aż tak bardzo szpetna, są gorsi od niej.

Nagle dziedzic wpadł na pomysł. Tak, zasłoni się twarz dziewczynki maską. Powie się, że jest tak szpetna, że kto na nią spojrzy, umrze natychmiast. Że jest jeszcze szpetniejsza niż bazyliśzek. Do stroju błazna doda się łańcuszki więzące dziewczynce ręce i nogi, ładne, lekkie łańcuszki, niczym u małej małpki. W razie czego łańcuszek taki można zaczepić do nogi ciężkiego stołu na przykład... Tak, więc najpierw trzeba

posłać po kowala i człowieka do lamusa, może są gdzieś we dworze takie łańcuszki...

*

Tymczasem kucharka myła i karmiła dziecko. Dziewczynka poddawała się jej rękom bez protestów, obojętna albo przestraszona, lub może przyzwyczajona do tego, że inni popychają ją w tę czy tamtą stronę. Kucharka nie miała pojęcia, dlaczego pan się nią zainteresował, i nie wiedziała, po co panu mała, przyzwyczajona była jednak słuchać rozkazów. Ale, jak zawsze, wiedziała swoje, a to „swoje” oznaczało, że zainteresowanie pana nikomu nie wychodzi na dobre. Tak jak nie wyszło na dobre niejednej kuchennej dziewczynie. Kucharka nie płakała nigdy, odzwyczajono ją od tego w bardzo młodym wieku, za płacz obrywała dodatkowo, a nie przynosił nigdy ulgi. Od tego, że się płacze, nieszczęście nie odstępowało, no nie?

Przyniesiono ubranie po pańskim błaznie i dziewczyny z kuchni czyściły je i odświeżały skórkami starego chleba i parą znad kociołka. Czapka nie pasowała na dziewczynkę, była za mała, choć wysoka, i stale zsuwała się z głowy. Kucharka zawołała kuzynkę ze szwalni, a ta poszła do ochmistrzyni po materiał do poszerzenia czapki. Jednak ochmistrzyni wiedziała już, że ma poszukać dla dziewczynki kawałka skóry na maskę i że maska ma zasłaniać jej twarz, ale odsłaniać dziurawą głowę. Żadna z kobiet nie rozumiała, o co chodzi, lecz wszystkie wiedziały, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi panu, to wcześniej lub później ktoś będzie z tego powodu płakał. Całe szczęście, że dziecko jest spokojne i posłuszne, a i tak żal biednej niedojdy. Co komu zawiniła, żeby spotykał ją taki los! Kobiety, choć nie rozmawiały o tym ze sobą, podejrzewały, że dziedzic chce urządzić dla księcia rozrywkę. Może każe dziewczynce dalej przepiłowywać głowę albo poszczuje ją psami, jak jej poprzednika, małego błazna? Kto wie, co moŜnym ulegnie się w głowie? I po co ta

maska? Może żeby nie pokazywać wyrazu jej twarzy podczas zabawy, lecz nigdy przedtem nikt nie miał takich skrupułów!

– Cóż, życie jest takie, a nie inne i trzeba się z nim pogodzić. Nie rozmyślać za dużo, słuchać rozkazów i chować się, gdy coś się dzieje. Ale szkoda małej, to inna sprawa – szeptały do siebie kobiety. – Co my możemy, nie da się jej pomóc, nawet jeśliby któraś chciała.

Dziewczynka była widać bardzo ważna. Co rusz dziedzic przysyłał nowe, sprzeczne ze sobą rozkazy. Najpierw miała siedzieć w kuchni i nie wychylać stamtąd nosa, za chwilę pan kazał przygotować ją do wyjścia na pokoje, a w razie gdyby maska nie była jeszcze gotowa, owinąć jej głowę chustką, potem znów zakazał pokazywać się gdziekolwiek, a dla pewności zamknąć w komorze. Kobiety w kuchni skrupulatnie wypełniały kolejne życzenia pana, choć zamykając dziewczynkę, dały jej kawał ciepłego jeszcze, słodkiego ciasta i garnek piwa. Kucharka dołożyła do tego jeszcze gruby serdak pozostały po nieboszczce córeczce i jej chustkę. Nie dała chustki dotąd nikomu ani nie sprzedała, bo to była jedyna rzecz, która przypominała jej małą. Przypominała ten słodki kosmyk włosów, który zawsze wymykał się spod nakrycia głowy i który mała ciągle poprawiała drobnymi, spierzchniętymi rączkami. Nawet gdy go dziecku stale przycinała, pewnego dnia okazywał się za długi i nieposłuszny. Chustka, kosmyk, a pod nim jasnoszare, wielkie, słodkie oczyska. Łzy zapiekły kucharkę gorzej niż wtedy, gdy dymił piec w najgorszą, zgniłą pogodę.

Na górze trwała uczta. Wszystkie potrawy już wyniesiono z kuchni i podano na stoły, hałas czyniony przez biesiadników dobiegał aż tu, na dół, przenikał przez grube mury i kamienne stropy. W kuchni poza tym panowała cisza. Kucharka, siedząc na skrzyni z przyprawami, oparta o ścianę, z mokrymi oczami, ściskając w ręku klucz od komory z zamkniętą dziewczynką, zdrzemnęła się na chwilę.

We śnie zobaczyła swoje dziecko, dziewczynkę zaginioną i

zamordowaną przez kogoś w lesie. Mała stała w promieniach prześwitującego przez gałęzie słońca i przyglądała się świeżo zerwanemu liściowi paproci. Na odwrocie liść miał brązowe, małe kuleczki. Dziewczynka myślała o tym, że często widuje te kuleczki i że są to pewnie owoce paproci. Ani ona, ani nikt ze znanych jej osób nie widział kwiatu paproci, choć wiedziała, że pewnej nocy kobiety udają się do lasu go szukać. Kwiat miał przynieść znalazcy szczęście, ale jak dotąd nikomu nie udało się go znaleźć. Może w ogóle szczęście nie jest możliwe? Nikt w otoczeniu dziewczynki nie mówił, że jest szczęśliwy.

Nagle wolno bijące we śnie serce kucharki ścisnęło się strachem, jakby zmroził je lód. Zza gałęzi wyłazł człowiek, przygarbiony i podłej postury, rozglądający się niepewnie wokół. Kucharka siedząca w ciele dziewczynki chciała nakazać małej, by natychmiast uciekła, lecz ciało córki nie słuchało. Dziewczynka nadal w zadumie wpatrywała się w liść, a człowiek przymilnym, nieszczerym głosem mówił: – Pewnie szukasz kwiatu paproci, mała? Ludzie o tym nie wiedzą, ale to brązowe pod liściem to właśnie jest kwiat, choć wygląda jak owoc. Dopiero takie śliczne dziewczynki jak ty mogą otworzyć ten owoc i sprawić, że stanie się kwiatem. Chcesz przekonać się na własne oczy, jak to jest?

Mała kiwnęła głową, choć kucharka szamotała się w jej ciele, próbując usztywnić dziecku kark i poruszyć do ucieczki nogi. Chwile rozciągały się w tym śnie słodkie i jednocześnie gorzkie, niczym miód zabrany leśnym pszczołom.

Nagły hałas obudził kucharkę i poderwał na nogi. Pan przysyłał po dziecko. Kobieta otworzyła komorę, obudziła małą i dokładniej omotawszy jej głowę chustą, a także poprawiwszy błazeński przyodziewek, wypchnęła za próg. Pachołek, którego po nią posłano, był zawsze kucharce życzliwy, nieraz pomógł w tym i owym nieproszony, sam z siebie, a i ona podtykała mu czasem coś do zjedzenia. Dlatego też ośmieliła się go prosić, żeby nie odstępował małej na krok, nie dał

uczynić krzywdy, jeśli będzie mógł coś w tej sprawie zrobić. Zdawało jej się, że sen, który przypląnął, zesłała zmarła córeczka, aby prosić matkę o opiekę nad małą. Kucharka pomyślała, że skoro jej córka w zaświatach martwi się o kogoś na ziemi i próbuje mu pomóc, jest pewne, że tam nie ma swoich zmartwień, a więc jest jej dobrze i może spokojnie czekać, aż spotka się z matką w swoim czasie. I może córka wskaże kucharce z pomocą tej dziewczynki winnego jej śmierci? Może pozwoli odgadnąć sposób, jak go ukarać?

*

Co za głupia, ciemna baba! Nie zdawała sobie sprawy, z czym miała do czynienia, pomyślała czarownica. Zaraz jednak się zreflektowała. Ja też jestem durna baba, jeszcze durniejsza, bo jestem przecież czarownicą, więc powinnam być mądrzejsza od tamtej!

Leżała przez chwilę, rozmyślając, jak wybrnąć z pułapki, w którą wpędził ją los. Nie wątpiła, że wybrał ją do szczególnie ważnego zadania, ale nie miała zielonego pojęcia, jak się do niego zabrać. Nawet nie była pewna swoich spostrzeżeń, tylko przeczuwała, kim w istocie jest dziewczynka. Szukała w swoich myślach porównania, które oddałoby całą siłę zagrożenia, jakie stwarzała. Była poetką, czasem układała piękne wiersze, jednak tym razem nic nie przychodziło jej do głowy. Dziewczynka zaś spała przytulona do czarownicy, nieświadoma zapewne jej rozterek i rozmyślań.

Dzieci się czasami kocha, czasami zaś wykorzystuje, myślała czarownica. I tego oczekuje się też i od innych ludzi. Dzieci się najczęściej nie docenia. I nikt o nich nie myśli: oto człowiek. Człowiek taki a taki. Najwyżej zastanawiają się, co z nich wyrośnie, ale i to z niepewnością i brakiem przekonania. Jakby dziecko było odmiennym gatunkiem zwierzęcia. Takim cielęciem z płetwami zamiast nóg. Mogą kiedyś zmienić się w nogi, może cielę stać się krową, ale równie dobrze może z

niego wyrosnąć ryba. Nic nie wiadomo zawczasu. Zresztą niewiele dzieci przeżywa, więc szkoda zachodu, żeby się nad nimi zastanawiać.

Jakim człowiekiem jest mała? Co w niej jest tym jądrem, wokół którego gromadzą się sprawy innych ludzi? Zło przylega do niej jak paździerz z międlonego lnu, czepiające się ubrania i włosów, tworzy na niej skorupę, którą można czasem obejrzeć i niemal dotknąć, ale o ile czarownica mogła być czegoś pewna, wydawało się, że nie oddziałuje na dziewczynkę. Czy dlatego, że jest bierna? Że wszystkiemu poddawała się i nie chciała niczemu przeciwdziałać? Tylko wsysała je w siebie i gromadziła. I czy istotnie jest bierna? Co się stanie, gdy to zło już się w niej nie pomieści? Zacznie się przelewać czy spali wszystko dookoła niczym piorun? Są istoty – czarownica to najlepiej wiedziała – które nie z własnej winy sprowadzają nieszczęście. Czegokolwiek dotkną, zmienia się bezpowrotnie na gorsze. Czy to dziecko do nich należy?

Znakiem rozpoznawczym dzieci natury jest zdolność przetrwania, nie trzeba więc martwić się o dziewczynkę, a raczej o ludzi wokół niej. Dziedzic już przepadł. Z kogo teraz dziewczynka wyciąga zło? Jeśli z niej, czarownicy, to dlaczego nie czuje się lepsza, tylko bardziej winna?

Dziecko dalej spało wtulone w czarownicę, nieświadome tego, że wcale nie budzi w starej kobiecie macierzyńskich uczuć. Słońce powoli się obniżało, głód skręcał wnętrzności czarownicy, ale postanowiła, że nie ruszy się, póki nie będzie wiedziała wszystkiego. Czuła, że czeka ją pojedynek, może najtrudniejszy z tych, które stoczyła w swym życiu, w każdym razie najważniejszy, najbardziej istotny. I najgorzej, że nie wiedziała z kim. Czuła, że wreszcie ma wpływ na losy świata, i choć w oczekiwaniu tego spędziła całe życie, ta powinność napełniała ją goryczą. O ile prościej byłoby opiekować się małą, przytulać ją, mimo że taka brzydka, nie myśleć o niczym specjalnym. Głupim jest zawsze łatwiej, pomyślała.

Uczta już prawie dobiegała kresu, większość gości ze świty księcia pospadała pod stoły, zasnęły też i psy buszujące wśród ludzi w poszukiwaniu smakowitych kości i innych resztek. Wśród hulanki w miarę upływu czasu przychodzi na niektórych ludzi taki stan, że wydają się zupełnie trzeźwi i spokojni, gotowi do prowadzenia trudnych rozmów i planowania skomplikowanych przedsięwzięć. Taki czas nastał właśnie dla dziedzica i księcia. Dziedzic oględnie i bez szczegółów opowiedział księciu, co zdołał ustalić w sprawie spiskowców na bagnach, nie przyznając się oczywiście, skąd czerpie swoje wiadomości. Czekał na słowa księcia, od nich zależało bowiem, co dalej powie i jakie poweźmie decyzje. Dziewczynka drzemała oparta o schodki podwyższenia, na którym stał stół, a dziedzic zastanawiał się, jak wcisnąć w jej rękę rzecz należącą do księcia tak, żeby tamten nie zorientował się, po co to robi. Musiał znać jego zamysły, zanim coś zdecyduje. Wreszcie jednak się doczekał, los wyraźnie mu sprzyjał. Księżę rzucił pod stół nadgryzioną kość, a dziedzic szybko skinął na pacholka stojącego za jego krzesłem: – Daj jej tę kość, biedny potworek nie jadł dziś, obudzi się pewnie ze smakowitą wonią pod nosem dzięki panu naszemu, księciu, oby żył długo i szczęśliwie.

Nie był w stanie ukryć satysfakcji w głosie, ale miał nadzieję, że księżę przypisze to innym powodom. Teraz tylko pozostawało czekać cierpliwie, aż zamysły księcia staną się jasne dla dziedzica. Księżę nie był mu już do niczego potrzebny, mógłby wreszcie pójść spać, stary pijanica!

Tymczasem ten drzemał rozwalony w fotelu, a przed oczami miał małego błazna, którego strój nosiła dziewczynka. Widział w półśnie świeżo zaorane pole, po którym goniły go psy podjudzane przez ludzi dziedzica; jak ten wreszcie z uciechy klepie się po udach, gdy największy z nich dopada chłopca, rozszarpując mu gardło, i jak ludzie powstrzymują zwierzę, aby nie zniszczyło stroju z dzwoneczkami, i jak dzwonki te przestają brzęczeć, gdy ciało chłopca nieruchomieje. Widział

też małą dziewczynkę, uduszoną chyba, i jej wielkie, szare oczy, puste i nieruchome pod niesfornym kosmykiem. Widział chustkę tamtego dziecka, spłowiałą i żółkłą, z listkiem haftowanym zblakłą zieloną nicią. Widział jeszcze inne rzeczy i osoby, płaczącą kucharkę i schowanego w krzakach chuderlawego człowieka z kozią bródką, ze zmierzwionym włosiem i rozchełstaną odzieżą. To wszystko zobaczył książę, powiązał jakoś ze sobą – choć nie tak, jak było powiązane w rzeczywistości – ale mimo to pojął, kim jest dziewczynka i czego się po niej dziedzic spodziewa. Zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem bez skrupułów i że do żadnych negocjacji między nimi nie może dojść.

Niedoczekanie! Nie z takimi przeciwnikami miał już do czynienia! Nie na darmo wychował się na dworze króla! Ten problem trzeba od razu rozwiązać. Najlepiej prosto i szybko, jednym cięciem miecza.

Skinął na swoich przybocznych, udając, że pragnie oddalić się na spoczynek; uśmiechał się i kiwał głową jak pijany, za plecami jednak dał znak swoim ludziom skrzyżowanymi w umówiony sposób palcami – żeby wiedzieli, co mają zrobić. Nie wahali się nawet przez moment. Pierwszy runął na ziemię dziedzic, przeszyty na wylot mieczem, potem już tylko dobijano śpiących na ziemi biesiadników i walczone z nielicznymi, którzy jeszcze nie spali, choć byli otumanieni. Pozabijano też psy. Dziewczynka nadal spała, pogrążona bardziej w transie niż we śnie, ale pacholek, znajomy kucharki, wiedząc, że nie da rady w walce, i nie mając żadnego powodu, aby walczyć po śmierci pana, porwał ją na ręce i wymknął się wśród zamętu.

Kobieta szybko zarzuciła na siebie chustę, zgarnęła w węzełek trochę jedzenia i ubrania, a pacholek wyprowadził ją i Tuę boczną furtką, radząc ukryć się wśród ludzi najbliższego miasteczka. Tam zawsze w dni targowe pełno wieśniaczek, nikt nie będzie się dziwił, że któraś z nich zostanie trochę dłużej, szukając pracy. Sam wsiadł na ukradzionego konia i ruszył w drogę w przekonaniu, że nie ma czego szukać we dworze

opanowywanym właśnie przez ludzi księcia i że świat będzie dla niego bardziej przychylny niż dotąd. W końcu zdobył już wierzchowca.

Kucharka miała nadzieję, że odnajdzie mordercę swojego dziecka i że dziewczynka jej w tym pomoże, lecz kiedy za otwartymi na uliczkę drzwiami warsztatu zobaczyła szewca z kosią bródką, wiedziała już, że mała nie jest jej potrzebna. Musiały się rozdzielić, jeśli chciały obie przeżyć i jeśli ona, kucharka, miała też skorzystać na całym tym zamęcie, na śmierci dziedzica i zmianie pana. Jeśli miała dzięki temu zemścić się na człowieku winnym śmierci jej córki, zostawała tylko jedna rzecz do zrobienia.

Wtedy właśnie spotkała czarownicę odpoczywającą na stercie drewna na rynku.

*

Znalezienie winnego za całe zło tego świata wydaje się wspaniałym odkryciem, ale czarownica wiedziała, że takim nie jest. Wszyscy dookoła zawsze szukali winnego i zazwyczaj go znajdowali. Czarownica też miała już kandydatkę, ujawniającą i wysysającą z otoczenia zło. Sama ją znalazła, sama pozwoliła jej wyciągnąć z siebie zbrodnicze osady, bo już była pewna, że zabiła, a właściwie zagryzła Jednookiego, który zapewne wcześniej zatłukł żonę i swoje dzieci. Wiedziała nie wiadomo skąd, lecz była tego pewna, że szewc jest nadziany złem niczym kurczak przed pieczeniem, a dziewczyna piekarza ma plany godne najgorszej ladacznicy. Cóż prostsze, jak zawołać: – Przyszedł wreszcie czas, żeby zniszczyć zło, wytrawić ogniem, zrównać jego ślady z ziemią!

Można stanąć pośrodku rynku w tym miasteczku i w innych miasteczkach jemu podobnych i ogłosić tym wszystkim, którzy są nieszczęśliwi i czekają na lepszą odmianę losu, która nigdy nie nadchodzi – że wie się, co i jak zrobić, żeby wszystko było lepiej.

„Musimy podtrzymywać to, co jest kośćcem porządku moralnego,

bardzo dziś zagrożonego porządku moralnego naszego narodu”. „Stworzyliśmy przecież wielki ruch, który był zorganizowaną moralną rewolucją przeciwko złu”. „Jeśli mówiłem tutaj o rewolucji moralnej, o rewolucji przeciwko kłamstwu, zniewoleniu, przeciwko oszustwu, przeciwko złu...” „Rodzina, Uczciwość, Przyszłość”.

Wystarczy wypchnąć dziewczynkę na środek, odkryć jej dziurawą głowę, wskazać palcem: To ona jest wszystkiemu winna! Ściąga całe zło wszechświata, wyciągnęła je od dziedzica, od księcia, a może i od króla, od wszystkich spiskowców i drobnych czy wielkich zbrodniarzy; gromadzi je w sobie, zbiera niczym wiewiórka orzeszki. Co z nimi kiedyś zrobi? Wydmuchnie je wiatrem na świat, skotłuje nawałnicą wokół nas czy odda komuś, kto dzięki temu podarunkowi wyprawi nas wszystkich do piekła?

– Ta łasica – wołała w myślach czarownica, unosząc w górę swoją torbę – jest świadkiem, jak zwykłe ludzkie sprawy mogą przeobrazić się w straszną zarazę, jeśli temu nie zapobiegniemy!

Była oczywiście świadoma tego, że torba nie jest żadnym świadkiem i z nikim żadną wiedzą się nie podzieli, ale wrażenie, jakie robiła głowa łasicy z wyszczerzonymi zębami, działało zawsze na ludzi. Do dobra trzeba przekonywać wszelkimi dostępnymi sposobami. Na tym polega słuszność.

– Czy pozwolicie mi uczynić to, co uważam za słuszne?

– Tak, tak, tak – odpowiadali w jej myślach mieszkańcy miasteczka. – Prowadź nas, ocal nas.

– Czy zgadzacie się robić, co ja chcę? Bo jeśli nie, to macie właśnie czas, żeby mi to powiedzieć. Jeśli chcecie, żebym was prowadziła, powiedzcie mi teraz głośno i wyraźnie, bo potem nie będzie już odwrotu.

Dziewczynka stała zatopiona w swoich myślach, obszarpana i brudna, brzydka i zła. Czy docierały do niej myśli czarownicy? Nawet jeśli tak, to cóż mogłaby zrobić?

- To ona jest wszystkiemu winna! To jej się czepia całe zło! Jeśli chcemy je zniszczyć, nie możemy się nad nią litować. Nie jest ważne, co robiła i dlaczego, czy ktoś ją do tego zmuszał, czy sama chciała, a najmniej ważne jest to, dlaczego tak się działo. Nie wolno deliberować, trzeba działać. Trzeba zniszczyć tę zbrodniczą sieć, którą utkały siły zła i którą nasłały nam przez swoją wysłanniczkę!

Cały zapach opuścił nagle czarownicę. Tak, miała okazję pozwolić ludziom sądzić, że znaleźli swego zbawcę. Miała okazję nawet zniszczyć jakąś część zła, która spłynęła na świat. Miała okazję powstrzymać następne zło. Tak jak z Jednookim: to, że zabił żonę i dzieci, nie usprawiedliwia jej, czarownicy, że go zagryzła – tak zapewne jest i z innymi sprawami tego świata. Na opuszczone miejsce napływa czasem coś gorszego, niż można sobie wyobrazić.

Czasami trzeba chronić zło, otulać go ciepłym serdakiem, głaskać po policzkach, dawać jeść i pić – po prostu po to, by go lepiej poznać i zrozumieć. Pozwolić mu wczepić się w pysk łasicy i marzyć. Może to pozwoli się dowiedzieć, dlaczego cena osiągniętych korzyści bywa zbyt wysoka, dlaczego rzeczy, które są piękne wieczorem, okazują się rano złe, dlaczego miłość i akceptacja mogą stać się zgubą. I po to jeszcze, żeby ludzie umieli wybierać dobro, a nie walczyć ze złem.

Nie z miłości do dziewczynki należy ją chronić, ale z potrzeby zrozumienia. I trzeba przedtem sprawić, by zło gromadzące się w niej miało gdzie odpływać, mogło opuszczać ją co jakiś czas, a wtedy, kto wie, może pojawi się i dobra strona jej talentu. Przecież ciotki uczyły Tuę czegoś zupełnie innego, choć nie zdążyły do końca nauczyć, wyśmiewane i lekceważone, może dziewczynka sama znajdzie dalszą drogę?

Podjęcie decyzji uspokoiło czarownicę. Wiedziała już, co wybrała. Wiedziała, że gdy je obie znajdą i dopadną, zabiorą dziewczynkę, której zdolności komuś następnemu się przysłużą, że w złudnym przekonaniu o umiejętności panowania nad rzeczywistością będą poszukiwać dla niej

coraz to nowych i nowych uzasadnień, aż wreszcie okaże się, że nic nie jest do przewidzenia. Wiedziała, że gdy je złapią, ją samą powieszą na pierwszej lepszej gałęzi, nie słuchając wyjaśnień i nie próbując niczego się dowiedzieć. Wątpliwości niosą ludziom zgubę, choć jedynie one są tym tropem, śladem, po którym można zdążać. Zanim więc je dopadną, tylko jedna rzecz pozostała czarownicy. Przygarnęła dziewczynkę rękami, utuliła, mocno przycisnęła do siebie i ustami objęła jej wargi. Długo chłonęła całe zebrane w niej zło w siebie, aż wreszcie, gdy się oderwała od dziecka, poczuła, jak zapełnia brzuch i płuca obcym, podłym powietrzem, jak strofy pięknego wiersza zmieniają się w stek brzydkich słów, a słodki zapach kapuśniaku z kminkiem w odór zdechłej ryby.

Położyła się potem na ziemi i na kolanach rozpoczęła badanie najbliższego otoczenia. Czołgała się tak jakiś czas pod nieruchomym spojrzeniem dziewczynki. W końcu wcisnęła twarz w mokrą ściółkę lasu, w miejscu, gdzie najbardziej pachniało mroczną zgnilizną i gdzie rękami wygrzebała mały dołek. Znalazłszy w torbie wiązkę cienkich kości, wbiła je wokół dołka tak, aby zmieściła się między nimi jej twarz. Do dołka nasypała mieszaniny ziół, zaczerpnęła głęboko powietrza i wtuliwszy wargi w ziemię, całą sobą, aż do drgania rąk i nóg, które ogarnęło jej ciało, przekazała swój oddech. Zasypała potem starannie dołek, przykryła go gałązkami i liśćmi. Jakże wyjątkowo smrodliwym stało się to miejsce! Na powrót związała kości, wyciągnęła też z torby zawiniątko z ziołami i wcisnęła w ręce dziewczynki.

- Pamiętaj - prosiła żarliwie małą - kiedy tylko będziesz mogła, oddawaj swój oddech zwierzętom z głębi ziemi, oczyszczaj się ze złych ludzkich wyziewów. Ziół ci starczy na trochę, potem sama będziesz szukała takich, które będą odpowiednie dla ciebie. Ja kocham kminek i bazylię, ty szukaj swoich. Bądź wężem, psem, koniem, krową, kotem, czym tylko zechcesz. Kochaj zwierzęta i dziel się z nimi sobą i swoim oddechem. One nie mogą nikomu nic tak złego zrobić jak drugi człowiek.

I wiedzą, jak się ratować.

Mała pokiwała głową na znak zrozumienia, choć czarownica nie była pewna, czy wszystko pojęła. Miała tylko nadzieję. Z oddali dobiegały odgłosy przedzierających się przez las ludzi, szczekanie psów i szcęk broni. Czarownica zamknęła oczy i przycisnęła powieki dłońmi. Ciemność przeszywały bolesne kryształki. Ta mgła o zapachu gorzkiego dymu w objęciach pnia zwalonego drzewa... Pulsująca żyłka... Smak poziomek na wargach...

- Dlaczego zawsze mamy tak mało czasu?

*

Kiedy puszczony powróż zakołysał ciałem czarownicy i ugiął gałąź, na której ją powieszono, przebywała już gdzieś indziej. Nie rozumiała większości tego, co widziała, jedynie niektóre rzeczy były jasne, ale tylko te najmniej ważne. Nie widziała żadnego tunelu ani żadnego światełka w tym tunelu, lecz czuła w sobie uniesienie, to uniesienie, które poprzedzało wszystkie przejawy zła na świecie. Wiedziała więc, że słusznie ginie, bo największą zbrodnią człowieka jest pewność i niewzruszone przekonanie. Wyznacza koniec drogi.

*

Sznur, na którym wisała czarownica, pękł i kobieta spadła na ziemię. Niczym pęcherz rybi pełen powietrza, utrzymujące czarownicę resztki zła niemieszczące się w oddechu, którym wdmuchiwała je w głąb ziemi, nie pozwoliły jej się udusić. (Wiedzieli o tym ci, co pławili czarownice i zabijali je kijami, jeśli nie utonęły, ale nie wiedzieli głupi pachółkowie księcia i zawalili sprawę. A, dzięki Bogu, stare kobiety mają krótki oddech). W każdej, nawet najlepszej czarownicy zostają zawsze resztki zła, inaczej zło nie mogłoby się po świecie rozprzestrzeniać, jednak

kobiety, które częściej o tym wiedzą lub to czują, rzadziej niż mężczyźni walczą ze złem. Nie zauważyliście?

Czarownica nie straciła przytomności, a gdy zbrojni odeszli, wymamrotała stosowne zaklęcie i sznur pękł. Niedługo ją znaleziono. Rodzina smolarzy zaprowadziła kobietę do swojej ubogiej chaty, a raczej szałas, nakarmiła gorącym kapuśniakiem, do którego nie żałowano nasion kminku.

I w tym miejscu zostawimy czarownicę, sytą, spokojną, szczęśliwą, że nie musi się już opiekować dzieckiem ściągającym zło. Postanowiła reszty zła nie pozbywać się z siebie, ono ją uratowało i może jeszcze nieraz być potrzebne, chociażby do tego, żeby porównać je z dobrem, bo często zapomina się, jak dobro wygląda. I czarownica żyła jeszcze długo (jak na jej wiek) i szczęśliwie (jak na jej możliwości).

Spytacie zapewne, czy spotka się jeszcze z dziewczynką? Na to może odpowiedzieć tylko czas. Nigdy bowiem nie wiadomo, kto i do czego się może przydać w historii... W Gnieźnie i gdzie indziej.

PIOTR SCHMIDTKE [1983]

Debiutuje opowiadaniem *Prawa Ręka Marzenia* zamieszczonym w niniejszej antologii.

Autor opowiadań, recenzji i felietonów publikowanych w Internecie („Valkiria”, „Fahrenheit”, „Terra Fantastica”), redaktor i współtwórca serwisu „Terra Fantastica”.

Studiuje kulturoznawstwo na Uniwersytecie Warszawskim, a także tłumaczy i recenzuje gry komputerowe.

Piotr Schmidtke

Prawa Ręka Marzenia

Wierzcie mi, nic tak nie daje w dekiel jak śniwowica. Wiecie, co to takiego? Ja bardzo długo nie wiedziałem. Ale opowieść o tym, jak uświadomiono mi, kim naprawdę są snopijcy, jest dość długa i chyba nie czas oraz miejsce, by ją przytaczać. Tym bardziej że dzień, o którym chcę wam opowiedzieć, obfitował w zdarzenia dużo ciekawsze.

Zaczęło się jak zwykle, od telefonu o chorej porze – szóstej czy też może siódmej rano – czyli wtedy, kiedy śpi mi się najlepiej. Dzwonił szef. Nie pytajcie, jak się nazywa – nie wiem i nie chcę wiedzieć, bo ci, co za dużo wiedzą, proszą się o kłopoty. Zwłaszcza w środowisku, w którym się obracam – ludzi, którzy znają otaczający nas świat nieco lepiej od pospolitych czytelników gazet. Oglądaliście kiedyś „Facetów w czerni”? No to my jesteśmy jak Will Smith, tylko nie nosimy idiotycznych gajerków i olbrzymich giwer. No i naturalnie jesteśmy biali.

Jak już mówiłem, dzwonił szef. Te parę słów, które wyszeptał po moim niewyraźnym „halo?”, sprawiło, że senność opuściła mnie jak ręką odjął. Kilka dni temu wysączyłem ostatnie krople śniwowicy, jakie miałem, i świat znów stał się szary i nieciekawym, znów odchodziła mnie chęć do życia... A szef tłumaczył mi właśnie, że zlokalizowano następne leże snopijcy.

Zupełnie niepotrzebnie nabazgrałem nazwę miasteczka na jakiejś kartce, podziękowałem za informację i zapewniłem głuchy telefon o swojej nieustającej gotowości – szef swoim zwyczajem odłożył słuchawkę, gdy tylko powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Pakowanie nie trwało długo – plecak z ekwipunkiem jak zawsze leżał pod drzwiami, wystarczyło dorzucić kilka drobiazgów. Strój roboczy wisiał na oparciu krzesła – amerykańskie bojówki z kieszeniami wypchanymi sprzętem i masą różnorodnych niezbędnych podoczepianych do pasa i szlufek, bawełniany T-shirt i wojskowa kurtka – ubrania niemodne, ale solidne i niezawodne.

Gdy już byłem gotów do drogi, nastawiłem kawę w ekspresie i w

trakcie jej przygotowywania sprawdziłem przez Sieć połączenia komunikacyjne z Węgorzewem; okazało się, że o pociągu mogę zapomnieć, pekafe nie uwzględniło tego mazurskiego „kurortu” na swojej mapie. Musiałem więc zadowolić się pekaesem. Pierwszy, jak głosił rozkład, odchodził z pobliskiego dworca za niecałe trzy kwadransy. Do peronów miałem jakieś dziesięć minut szybkim krokiem, więc biorąc poprawkę na ułańską fantazję kierowców, został mi najwyżej kwadrans na zjedzenie śniadania. Przełknąłem zatem w pośpiechu śniadanie, po czym wybiegłem z domu, objuczony plecakiem i futerałem na gitarę. Nie brałem oczywiście instrumentu – w środku znajdowało się moje uzbrojenie. Owszem, to trik zgapiony z „Desperado” – a właściwie z „El Mariachi” – ale ja i tak uważam, że to cholernie wygodny sposób na przewożenie szpady, pistoletów i kilku innych zwracających uwagę przedmiotów. Tak, tak, szpady – ze snopijcami nie da się walczyć, używając broni palnej, te istoty władają marzeniami i potrafią za ich pomocą manipulować ludźmi, a każdy chłopak marzył kiedyś o zbroi i błyszczącym mieczu gromiącym potwory; i nawet to dziecięce marzenie wystarczy, by uniemożliwić strzelanie do skurwieli z bezpiecznej odległości. Możecie się dziwić, dlaczego nie używam miecza czy katany, w końcu to miecz kojarzy się z rycerzami, a w czasach mody na Orient katana uważana jest za najskuteczniejsze narzędzie do robienia bliźnim, co tobie niemiłe. Jednak snopijcy, z którymi ja miałem do czynienia, w większości przypadków uczyli się walczyć w czasach, gdy obowiązującą bronią był rapier bądź szpada właśnie. A przeciwko takim broniom ani miecz, ani katana się specjalnie dobrze nie sprawdzają. Nie wspominając o tym, że zazwyczaj łowcy posługują się kataną „po polsku”, kutą jak zwykły miecz, czy też, o zgrozo, odlewaną. No ale za to jest ona cool, trendy, czy jak to się teraz mówi. Natomiast ostrze mojej szpady zostało wykute przez sprawdzonego kowala i wielokrotnie dowiodło swojej jakości w walce; była całkiem solidnym przyrządem do robienia kuku, a

nie jakąś zabawką z Cepelii czy innych Sukiennic. Jednak dobra broń nie gwarantowała zwycięstwa, nierzadko mimo błyszczącego miecza zwykle kończy się jednak tak, że to potwór gromi rycerza, bo snopijcy, jak na istoty niemal nieśmiertelne przystało, mieli bardzo dużo czasu na naukę walki bronią białą i stanowią nie lada przeciwników. Taka karma. Ich sługusów można co prawda zastrzelić, jeśli będzie taka konieczność, ale, jak się wkrótce przekonacie, lepiej, by taka konieczność nie zachodziła. Wracając zaś do pokrowca – o ileż łatwiej łudzić się dzięki niemu, że wygląda się jak Banderas! A zobaczycie, że takie łudzenie się może uratować życie w świecie, w którym do walki używa się właśnie marzeń.

*

Po dworcu jak zwykle pałętały się masy ludzi – podróżni wybierający się bliżej i dalej, kieszonkowcy, łysi panowie bez zegarków, ale niezwykle zainteresowani godziną, bezdomni, żebracy, policjanci. Szczęśliwie nikt nie próbował mnie okraść, bo nie miałem ochoty na rozpoczęcie dnia bójką – mogłaby opóźnić wyjazd, no i chciałem zachować siły na później. Szybko kupiłem bilet i wyszedłem na zewnątrz, szukając wzrokiem właściwego stanowiska. Autobus już tam stał, dygoczący, rachityczny staruszek, pokryty łuszczącą się błękitną farbą i rdzawymi zaciekami. Przed drzwiami tłoczyła się grupka zaspanych ludzi, przeważnie emerytów. Dołączyłem do nich, szybko wtapiając się w ziewający tłumek. Poranna kawa niewiele pomagała.

W końcu kierowca był łaskaw dokończyć papierosa i otworzyć drzwi. Z nagłą ożywieni emerycy ruszyli do szturmu, błyskawicznie zajmując miejsca – obowiązkowo po dwa na osobę, nikt chyba się do nikogo nie przysiadł. I ledwo usiedli, znieruchomieli, nie zdejmując nawet беретów czy kapeluszy. Siedzieli sztywno, jakby ich kto ponadziewał na tyczki od fasoli. Byłem bodaj jedyną osobą, której sprawdzono bilety, i jako ostatni stanąłem do wyścigu o siedzenie. Szczęśliwie znalazło się jedno wolne

podwójne – gdybym musiał się dosiąść do którejś z tych śmierdzących naftaliną postaci, chybabym zaczął rzygać jeszcze przed odjazdem. Na miejsce przy oknie rzuciłem plecak i futerał, a usiadłem bliżej przejścia. Liczyłem na to, że uda mi się przespać, ale gdy tylko autobus ruszył, pożegnałem się z tą myślą – silnik ryczał i parskął, a całym cholernym wehikułem trzęsło, jakbyśmy jechali po schodach. W takich warunkach nie dało się nawet czytać, więc jedyne, co mogłem zrobić dla zabicia czasu, to patrzeć przez niemyte od wieków okna i podziwiać współpasażerów, którzy spędzali podróż, gapiąc się przed siebie, niemal bez mrugania, jak zahipnotyzowane kury na grzędzie. Fascynujące to było – patrzeć na ludzi, którzy gapili się w rzeczywistość, nie widząc jej i nie rozumiejąc. Nie zdając sobie sprawy z tego, że bezmyślnie odrzucają to, co niektórym zostało odebrane siłą.

Przez te kilka godzin napatrzyłem się na nich do woli – na gładko ogolonego starszego pana w znoszonym, ale eleganckim ubraniu, który zasnął w kilka minut po rozpoczęciu podróży; na dwie trajkoczące bez przerwy babunie w moherowych beretach, roztrząsające kwestie polityki światowej i polskiej, które w ciągu naszej wspólnej podróży rozwiązały w zasadzie od ręki kwestię iracką, a także problem światowego głodu i bezrobocia w Polsce, na koniec ustalając nowy skład naszego rządu. A wszystko to w imię Alleluja i do przodu. Na inne, zahaczające o karykaturę postaci – siwowłosą babuleńkę, umalowaną i ubraną jak dwudziestolatka (a przynajmniej dwudziestolatka według wyobrażeń osiemdziesięciolatki), czy rozmemłanego dziadygę z czerwonym nosem i flaszką w kieszeni, który szczęśliwie nie odzywał się, wpatrując niewzruszenie w przestrzeń.

*

Znudzony i wytrzęsiony, odczułem podróż jako znacznie dłuższą niż w rzeczywistości – a przecież dojechałem na miejsce wczesnym

popołudniem.

Miasteczko, funkcjonujące jako tako jedynie w sezonie, wyglądało na pogrążone we śnie, ot, jedynie kilka osób snuło się po chodnikach, niemrawo oglądając brudne wystawy sklepów. Na ulicach ani jednego samochodu, na dworcu żadnych podróżnych, tylko grupka sączących winiacza żuli.

Że gnieźdzący się w Węgorzewie snopijca nie jest byle żółtodziobem, przekonałem się, gdy tylko wysiadłem z autobusu – niby przypadkiem, niby zerkając na zegarek lub jedynie to zerkanie pozorując, lumpy podniosły się z ławek, pozostawiając niedopitego jabola pod murkiem. Ja jednak wiedziałem, że idą po mnie.

Tak, to właśnie sługusy snopijców. Zwyczajni ludzie, których marzenia zostały wyssane do cna. Ba, często to osoby, które tych marzeń miały szczególnie dużo i wyjątkowo dobrej jakości – poeci, malarze i w ogóle wszelkiej maści artyści. A potem, gdy odebrano im talent, stali się puści, ponurzy, bezwolni. I gdy zaoferowano im marzenie, rzucili się na nie jak głodny pies na kość. Tyle że było to śniwo spreparowane przez snopijcę, zgniłe i trujące... Od chwili, kiedy je przyjęli, mogli już tylko słuchać poleceń swego żywiciela, z niecierpliwością oczekując na kolejną działkę. Dlatego mówiłem wam, że nie chcę ich zabijać. Co prawda śmierć snopijcy nic już nie zmieni, ich dusze pozostaną puste i smutne, ale to jednak ludzie, winni tego tylko, że kiedyś mieli za dużo marzeń.

Ruszyłem szybkim krokiem, usiłując zniknąć im z oczu w jakiejś uliczce, przyczać się gdzieś i przygotować do akcji. Na próżno – druga grupa wyłoniła się zza autobusu, zasłaniając drogę ucieczki. Jeden z nich, wciąż jeszcze młody i silny, rzucił się na mnie z rozpostartymi ramionami, chcąc złapać i przytrzymać. Zostało mi już tylko jedno wyjście.

Wyszarpnąłem z kieszeni pałkę teleskopową i machnąłem ręką, rozprostowując ją. Opadłem na jedno kolano, unikając pochwylenia

przez wielkie łapska. Uderzyłem napastnika w brzuch. Złożył się od razu, a ja poderwałem się i odwróciłem. W ostatniej chwili, kolejny żul właśnie zamierzał się na mnie tulipankiem. Smagnałem go po twarzy pałką i pchnąłem ramieniem, powalając na ziemię.

Pozostało ich już tylko... zbyt wielu.

Puściłem się biegiem, rozdając uderzenia na lewo i prawo. Wyrwałem się wreszcie z okrążenia, wbiegłem w jakąś uliczkę. Pędziłem przed siebie, niemal czując na plecach oddechy prześladowców. Nagle poczułem, że biegnie mi się lżej, a tupot nóg goniących mnie lumpów ucichł jak ucięty nożem. Zatrzymałem się, wiedząc, że przekroczyłem granicę władztwa snopijcy. Granicę widoczną zresztą gołym okiem, jeśli wiedziało się, czego szukać. Na przykład lamp ulicznych, które po stronie snopijcy były potłuczone i odrapane, a po stronie nieskażonej jego piętnem – nienaruszone. Albo farby na ścianach budynków, po jednej stronie odłóżanej całymi płatami, po drugiej – wyglądającej na prawie nową.

Tych kilku żuli, którzy gonili mnie aż tu, zatrzymało się tuż przy granicy, nie mogąc lub nie śmiejąc jej przekroczyć. Wpatrywali się we mnie głodnym wzrokiem – dla nich byłem nie tylko ekwiwalentem kolejnej porcji marzeń, ale też kimś, komu się udało, kimś, komu snopijca nie odebrał człowieczeństwa. A mnie dławiło w gardle, bo wiedziałem coś, o czym oni nie mieli pojęcia. Nie mogłem sobie jednak pozwolić na współczucie, musiałem ich pokonać, by dorwać dręczącego ich potwora.

Otworzyłem futerał, wyjąłem z niego pas obciążony pistoletami i zapiąłem go na biodrach. Wyciągnąłem z kabur broń, repliki glocków. Były to gazowe wiatrówki, w stu procentach legalne i jeśli się dobrze celowało, w stu procentach śmiertelne. Na szczęście dla lumpów nie zamierzałem celować dobrze. Strzelałem po nogach, a potem wpadłem między nich, hojnie rozdając ciosy i kopniaki. Trzeba przyznać, że walczyli dzielnie i musiałem użyć nieco więcej siły, niż pierwotnie

zamierzałem. Któregoś z przeciwników kopnąłem w nos, innego uderzyłem łokciem w bok, łamiąc żebro.

Walka nie trwała długo. Kiedy już wszyscy leżeli, wijąc się z bólu, spokojnie wymieniłem pierścienie ze śrucinami, po czym schowałem broń do kabur. Podniosłem futerał i powtórnie wkroczyłem do władztwa snopijcy. Doświadczenie dyktowało, że jego siedziba będzie znajdować się gdzieś w centrum miasteczka, i tam też się skierowałem. Po drodze przechodziłem koło dworca. Nie zdziwiłem się, widząc człowieka z kataną opędzającego się od kilku żuli. Wściekłem się za to, bo mimo tandetnej broni ranił ich i – jak zauważyłem, biegnąc w jego kierunku – przynajmniej jednego zabił, przebijając mu brzuch. Wyrwałem z kabury wiatrówkę, wymierzyłem i nacisnąłem spust. Trafiłem, z zaciśniętej na katanie dłoni trysnęła krew. Upuszczony miecz zadzwonił o bruk. Łowca krzyknął z bólu i zaskoczenia. Odwrócił się w moim kierunku po to tylko, by spojrzeć w lufę pistoletu. Rzucił się do tyłu, na ziemię. I jego szczęście, bo strzelałbym w twarz. Nie zdążył wstać. Skoczyli na niego całą kupą, łapiąc za ręce i nogi, bijąc i kopiąc w brzuch oraz głowę.

Zostawiłem go i ruszyłem w dalszą drogę, ignorując potępieńcze wrzaski masakrowanego człowieka. Już taki ze mnie zimny drań. Gdybym miał walkmana, puściłbym sobie „Unforgiven”.

*

Siedzibę snopijcy znaleźć było bardzo łatwo, bo jako jedyny budynek w tym ponurym i odrapanym mieście wyglądała ładnie. Ba, więcej niż ładnie – jak dom zaprojektowany przez kogoś, kto obejrzał o jeden odcinek „Beverly Hills” za dużo: ściany w pastelowych kolorach, łukowate okna, ogródek, a nawet fontanna. Wrażenie psuło kilku żebraków przed ogrodzeniem. Martwych żebraków, leżących koło otwartej na oścież furtki.

Tu warto wspomnieć, że nie wszyscy łowcy są tacy mili i

bezinteresowni jak ja – wielu walczy ze snopijcami po prostu dlatego, że lubi zabijać, a protekcja takich jak mój szef sprawia, że mogą robić to bezkarnie. Są też tacy, którzy walczą tylko dla forsy (nie pytajcie mnie, jaki interes mają w tym zleceniodawcy, bo nie wiem i wolę nie wiedzieć; daleki natomiast jestem od podejrzewania mego szefa i jemu podobnych o działalność charytatywną) – i tylko ja, biedny frajer, robię to z dobroci serca i w imieniu Księżyca. No i dla śniwowicy, oczywiście.

Antywłamaniowe drzwi zostawiono w spokoju, łowca po prostu roztrzaskał okno. Wszedłem tą samą drogą, nieomal potykając się o kolejne ciało – najwyżej szesnastoletniego chłopaka z dziurą po kuli w czole i rozerwaną potylicą.

Szlag mnie trafił, miałem ochotę pobiec, dorwać tego chuja jak najszybciej, wyrwać mu flaki i patrzeć, jak usiłuje je pozbierać. Miałem jednak dość rozsądku, by wiedzieć, że najpierw muszę zrobić co innego.

Pociągnąłem nosem, usiłując wyłapać delikatny, nieco jabłkowy zapach śniwowicy. Był tam, na granicy wyczucia, ale wyraźny i kuszący. Zacząłem szukać, otwierając wszystkie drzwi po kolei i węsząc. Wreszcie znalazłem. Aparatura do produkcji śniwowicy bulgotała sobie radośnie pośrodku pokoju, kropelki mieniącego się tęczowo płynu powoli wypełniały wielki gąsior. Kranik, z którego skapywały, był zwieńczeniem skomplikowanego ciągu sprzętu – rurek prostych, rurek spiralnych, retort, palników, skraplaczy – wzbogaconego o urządzenia, na których widok każdy chemik utopiłby się we własnej ślinie. Nie wiedziałem, jak się nazywają ani jak działają, ale nie obchodziło mnie to zupełnie. Interesował mnie tylko produkt całego procesu. Świeża śniwowica.

Podszedłem do aparatury, odkręciłem kranik na ścianie gąsiora i nalałem sobie pełny kubeczek. Łyknąłem. Zakręciło mi się w głowie. Mrużąc oczy, nalałem jeszcze raz i znów łyknąłem. Przyjemne uczucie rozlało się po całym ciele, poczułem ogarniające mnie śniwo. Otworzyłem oczy, spoglądając na świat, nagle kolorowy i wyraźny, nagle

zachęcający do życia.

Nie jestem byle alkoholikiem, a śniwowica nie jest alkoholem. To destylat z ludzkich marzeń, najczystsza radość i chęć życia. Komuś takiemu jak ja, komuś wyssanemu przez snopijcę, tylko taki napój przywraca człowieczeństwo. I wiercie mi, nic nie daje w dekiel tak, jak nagłe uderzenie świadomości, że jednak jest się człowiekiem, że ma się po co żyć. Jak zwykle po śniwowicy łyzy pociekły mi z oczu.

Ten napój ma jeszcze jedną zaletę: daje mi dostęp do mocy, które przyrodzone są tylko snopijcom – mogę, w ograniczonym stopniu, manipulować śniwem. Już teraz, po ledwie dwóch łykach śniwowicy, czułem, jak delikatne i śliskie niczym jedwab otacza mnie i spowija niby płaszcz. Napiłem się jeszcze, aż wreszcie podstawiłem pod kranik odpiętą od pasa manierkę „na specjalne okazje”, która teoretycznie służy mi jako odpowiednik Asteriksowej tykwy z napojem magicznym. Teoretycznie, bo choć zawsze powinno coś w niej być, to w praktyce opróżniam ją, owszem, ostatnią, ale jednak.

Wreszcie byłem gotów.

Ruszyłem w stronę, skąd dobiegały odgłosy walki. Nie wiem, kiedy się ona zaczęła, zbyt byłem pochłonięty pić śniwowicy – jeśli jednak wciąż trwała, a snopijca był, tak jak go wcześniej oceniłem, jednym z potężniejszych, musiała się zacząć dopiero co. Po drodze naciągnąłem rękawicę szermierczą i dobyłem szpady.

Walczyli w bibliotece. Wszystkie ściany sporego pomieszczenia zasłonięte były regałami pełnymi książek, zarówno bardzo starych, jak i nowych, świecących kolorowymi okładkami. Na środku pokoju stało dwóch mężczyzn. Znieruchomiałem zaskoczony, ponieważ znałem obu.

Jednym był Jacek Pęczyński, bodaj najlepszy łowca, o jakim słyszałem. Niespełna trzydziestoletni bankowiec, który przez całe życie trenował różnorakie sztuki walki, głównie wschodnie – i który brał ze świetnie płatnej pracy dwudniowe urlopy, by niszczyć snopijców. Poniekąd go

rozumiałem, w mojej opinii każda biurwa powinna mieć możliwość rozładowania frustracji płynącej z faktu bycia biurwą – ale zabijania bezbronnych ludzi zaakceptować nie mogłem. Zwłaszcza że sam pochodzę z rodziny wyssanej przez snopijcę, a mojego tatę, poczytnego pisarza i krytyka, cudownego i mądrego człowieka, przemienionego w sługusa snopijcy, zaszlachtował jakiś łowca. Na moich oczach. Nic, zupełnie nic nie mogłem na to poradzić. Natomiast ten, który wysługiwał się moim ojcem, mógł, lecz nie zamierzał.

I to on właśnie stał teraz naprzeciw Jacka. Ten sam skurwiel, przez którego zginął mój ojciec i który pozbawił mnie marzeń i uzależnił od cierpienia innych ludzi (bo do tego przecież sprowadza się produkcja śniwowicy). Stał tam pewien zwycięstwa, swojej przewagi nad żalonymi istotami, którymi w jego oczach byliśmy. Nie wiedziałem, jak się zwał, ojciec zwracał się do niego per „Mistrzu”, więc i ja zwykłem go tak określać, choć nie zdążył mnie wyssać na tyle, by zapanować nad moim umysłem – po śmierci ojca mama znalazła w sobie dość siły, by uciec z miasteczka. Wkrótce potem umarła, ale ja miałem szansę wyrosnąć na człowieka. I chyba ją wykorzystałem.

Gotowałem się z wściekłości i przeoczyłem delikatne falowanie powietrza wokół dłoni snopijcy, które zwykle towarzyszy manipulowaniu materią wyobraźni. Pozwoliłem się ogarnąć marzeniu – i już mogłem tylko patrzeć, jak walczą na śmierć i życie; tu nie było miejsca na wtrącanie się – rycerz w lśniącej zbroi walczy przecież samotnie. Było zresztą na co popatrzeć, Mistrz był istotą bardzo starą i sztuki władania rapierem uczył się w czasach, gdy była to podstawowa metoda robienia krzywdy, a Jacek wymachiwał swoją kataną od ładnych paru lat. Już po kilku ciosach zorientowałem się jednak, że łowca przegra, jak tyłu przed nim – nawet nie dlatego, że wschodni miecz kiepsko się sprawdzał przeciwko rapierowi – po prostu nie umiał marzyć. Przychodził do siedziby snopijcy świetnie wyszkolony i wyposażony,

pewny, że zwycięży. Pewność ta wystarczała na co słabszych snopijców, ale nie na Mistrza, który władał śniwem z prawdziwą wirtuozerią i nikt, kto nie potrafił marzyć dostatecznie silnie, nie miał najmniejszych szans na zwycięstwo.

I rzeczywiście. Mistrz nagle jakby urósł, zawirowała wokół niego mgła, a oczy błysnęły piekielną czerwienią. Dostrzegłem to nawet ja, choć obraz skierowany był do Jacka, który zresztą odebrał go jeszcze wyraźniej. Przestraszony zmylił krok, źle wyprowadził cięcie – i nadział się na rapier Mistrza. Zakrwawione ostrze wystawało przez chwilę spomiędzy łopatek łowcy, po czym cofnęło się, a ciało osunęło się na posadzkę.

Snopijca strzepnął posokę z klingi tym samym gestem, którego używali samuraje, a następnie odwrócił się do mnie. Marzenie rozwiało się, znów wyglądał jak sympatyczny sześćdziesięciolatek, jeden z tych miłych profesorów uniwersyteckich, szalenie mądrych i szalenie uprzejmych. Tylko w oczach czaiło się coś groźnego, nieuchwytnego, przejmującego lękiem.

– Witaj, Maćku – powiedział, uśmiechając się. Głos miał jak zwykle pełen ciepła i zrozumienia, jakby skurwiel łaskawie wybaczał mi moje dotychczasowe postępowanie. – Zmężniałeś.

Nie odpowiedziałem. Ruszyłem ku niemu, uginając kolana w klasycznej postawie szermierczej, lewą ręką chwytając śniwo i owijając je wokół dłoni. Snopijca również przysiadł nisko na nogach, mierząc rapierem w moje gardło. Wciąż jednak wyglądał jak miły staruszek. Wciąż jeszcze się uśmiechał.

Ten arogancki sukinsyn dawał mi fory!

Zaatakowałem. Zabrzęczały krzyżujące się ostrza, donośnie zadzwonił kosz trafiony sztychem rapiera. Mistrz był nieco wolniejszy, ale rekompensował to dłuższą klingą. Tym niemniej w końcu udało mi się go zranić – pchnąłem od zewnątrz, w ramię, a gdy uniósł rapier do zasłony,

zrobiłem sunięcie, jednocześnie aktywując moc marzeń. Moja ręka wystrzeliła do przodu, sztych sięgnął piersi snopijcy, rozcinając białą jedwabną koszulę. Po ciosie wycofałem się, z zuchwałym uśmiechem broniąc się przed kontratakami. A na piersi Mistrza powoli wykwitła krwawa litera „Z”.

Odstąpiliśmy od siebie, bacznie obserwując się nawzajem. Ja byłem nieco zdyszany, zaczerwieniony od wysiłku, lecz też uśmiechnięty, zadowolony z udanego ataku. Mistrz stał niewzruszony, oddychając spokojnie i równomiernie. Jednak na śnieżnobiałej koszuli rozszerzała się krwistoczerwona plama, a przez nobliwą twarz przemknął grymas bólu.

– Było mnie nie lekceważyć, grzybie – warknąłem. – A pokażę ci więcej.

Deklaracja przyszła w samą porę, bo snopijca właśnie otulił się śniwem; załopotała czarna peleryna, zaśniły oczy, znów krwistoczerwone – z wolna Mistrz przeobrażał się w swą ulubioną postać: demona w ludzkim ciele, emanującego złem i potęgą. Rapięć zaś przemienił się w potężny miecz gorejący szkarłatnym płomieniem. Demon zaśmiał się donośnie, obnażając spiczaste zęby.

– Cóż mi pokażesz, Maćku? Cóż poczniesz w obecności swego najstraszniejszego koszmaru?

Pokazałem mu. Szarpnąłem śniwo lewą ręką, zanurzyłem w nim szpadę, a następnie uwolniłem. Moja broń zamigotała, przemieniając się w długi miecz o wąskiej klindze jarzącej się szmaragdowym blaskiem.

Jeśli ten pokaz umiejętności – a było to manipulowanie marzeniami na poziomie co słabszych snopijców – zrobił wrażenie na Mistrzu, ten nie dał po sobie nic poznać. Ale ja nie czekałem na oklaski, raczej na to, by śniwo otuliło mnie szczelnie, wzmacniając wszystkimi historiami o dzielnych rycerzach walczących ze złem. Gdy poczułem tę siłę buzującą w żyłach, skoczyłem do przodu.

Uwięziliśmy się wzajemnie w tym samym wyobrażeniu, w tym samym toposie – Zło przeciwko Dobru, Ciemność przeciwko Światłości; nasze ciała już nie były nasze, byliśmy Smokiem i Świętym Jerzym, Balrogiem i Gandalfem, Darthem Vaderem i Lukiem Skywalkerem... Miecze poruszały się szybciej niż myśl, iskry strzelały na wszystkie strony, kolory wirowały opętańczo... I dałem się złapać w pułapkę: podpuszczony przez Mistrza, źle wybrałem marzenie – i znalazłem się w tym, w którym Dobro zostaje poważnie ranne.

Ostrze snopijcy opadło na moje, a ono ze szklanym jękiem rozpętało się, zgasło i poszarzało. Demon zaś zawinał mieczem i ciął ponownie w to samo miejsce. Ale nie było już zasłony, potężna klinga opadła prosto na odsłonięte przedramię... Zawyłem z bólu, z kikuta trysnęła krew. Mistrz uderzył mnie barkiem w pierś. Zatoczyłem się pod ścianę i osunąłem na ziemię, ściskając lewą ręką okaleczoną kończynę. Przed oczami latały mi mroczki.

A Mistrz nie dobił mnie, czekał. Po części wymagało tego marzenie, ale teraz podejrzewam też, że nie chciał mnie wtedy zabijać, że darzył mnie jakimś dziwnym uczuciem, wypaczoną ojcowską miłością. Stał więc tylko i patrzył.

Podniosłem się wreszcie, chwiejnie utrzymując pion, całym ciężarem opierając się o ścianę i ciężko dysząc. Bezwiednie sięgnąłem po manierkę, pociągnąłem solidny łyk, odetchnąłem. Wciąż jeszcze nie przegrałem, lecz ten skurwiol już uśmiechał się jak zwycięzca.

– To wszystko, Maćku? Tylko tyle potrafisz?

Ruszyłem ku niemu wściekły, chociaż w zasadzie nic nie mogłem zrobić. Moja dłoń leżała na dywanie, wciąż zaciśnięta na rękojeści szpady. Miałem tylko jedną rękę... i śniwo. Zagłębiłem w nie kikut, zakręciłem energicznie, owijając wokół rozpalonego bólem przedramienia chłodną, kojącą materię.

Szarpnąłem wreszcie, odrywając spory jej strzęp. Mieniąca się

tęczowo, przezroczysta tkanina otaczała prawe przedramię, a poszarpany kawałek łopotał za plecami niby dziwaczne skrzydło. Czułem mrowiącą w żyłach energię, potężną, acz niezorganizowaną. Widziałem, jak krew powoli przesącza się przez niewidzialny opatrunek. Musiałem działać, wbić się w konkretne wyobrażenie i skanalizować je do naszej rzeczywistości. Mistrz przyglądał mi się z uśmiechem, obserwując, jak zmagam się z energią, której nie potrafiłem opanować. Jego szkarłatne oczy...

...I miałem to. Tak jak wyrównuje się ciśnienie w uszach, tak z niesłyszalnym, ale odczuwalnym pyknięciem wyrównało się ono pomiędzy marzeniem i rzeczywistością – a w uszach zadudnił mi ochryply głos Nicka Cave'a:

*On a gathering storm comes a tall handsome man
In a dusty black coat with a red right hand.*

Za oknem uderzył grom, a przed oczami ujrzałem narysowany charakterystyczną kreską Mignoli wizerunek Hellboya. Anung Un Rama. Śniwo zagaściło się, prawe ramię nagle zaciężało – poczułem wagę Prawej Ręki Zniszczenia. I wypełniającą ją moc.

Grymas zaskoczenia przemknął przez twarz snopijcy, a ja nie dałem mu odetchnąć. Rzuciłem się do przodu, zaciskając kamienne palce czerwonej dłoni. Na Mistrza spadł grad druzgocących ciosów, pod którymi kruszyło się jego marzenie, rozpękała się postać demonicznego księcia, znów pokazywał się staruszek ściskający zgruchotany rapier. Już się nie uśmiechał, nie próbował też uniknąć pięści lecącej w kierunku jego twarzy.

Uderzył o półkę i osunął się na ziemię. Na nieruchomą postać posypały się niezliczone tomy; na poźółkłe stronice trysnęła czerwień. Podniósł się w końcu, kaszląc i plując krwią. Nie był w stanie wygrać i wiedział o tym, zrobił więc to, co snopijcy zwykle robią w takich sytuacjach – bez słowa otulił się połą śniwa i zniknął, przenosząc się do

ojczyściej krainy snopijców.

A ja opadłem na podłogę, mdlejąc z wyczerpania, zanim czoło dotknęło posadzki.

*

Świat przestał wirować dopiero w kilka minut po tym, jak otworzyłem oczy. Po dłuższej chwili znalazłem w sobie dość sił, by przewrócić się na plecy i spojrzeć w sufit. Oślepiła mnie jarzeniówka, zmrużyłem powieki i zasłoniłem się przed światłem prawą ręką.

W połowie tego ruchu przypomniałem sobie, że już nie mam ręki.

I wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy na twarz padł cień rzucany przez moją prawą, wyjątkowo ciężką dłoń. Otworzyłem szeroko oczy, wpatrując się w Prawą Rękę Zniszczenia, która wciąż wieńczyła moje ramię.

Sęk w tym, że śniwo jest materią niezwykle ulotną i rozwiewa się zaraz po tym, jak zakończy się dane marzenie – a już nigdy nie zdarza się, by przetrwało utratę przytomności lub sen tego, kto je utkał.

Tymczasem hellboyowa ręka wciąż istniała, bezsprzecznie rzeczywista i solidna. Podniosłem się w końcu, na wszelki wypadek starając się nie opierać na mojej nowej dłoni ani na nią nie patrzeć. I ignorować fakt, że na rękojeści zniszczonej szpady wciąż zaciśnięte były moje palce. Z jakiejś przyczyny miałem potworną ochotę na cygaro.

Podszedłem do leżącego na ziemi Jacka. Nie żył już, ale tę akurat informację przywitałem z radością; jednego skurwysyna mniej. Potrzebowałem czego innego. Niezgrabnie przeszukałem lewą ręką kieszenie trupa, znajdując wreszcie to, czego szukałem – kluczyki i dowód rejestracyjny. Samochód nie był mu już do niczego potrzebny, a ja nie byłem gotów na objawianie świata mojej nowej kończyny.

Po wyjściu na zewnątrz bez trudu zidentyfikowałem właściwe auto – wiekowego jeepa cherokee, którego jednak wyposażono w najnowszy

sprzęt: automatyczną skrzynię biegów, klimatyzację, GPS i komputer pokładowy. Efekt mody na starzyznę i przywiązania do nowoczesnych rozwiązań, jak mniemam. Potworny snobizm, ale nie narzekałem.

Przetransportowałem butlę ze śniwowicą do bagażnika, a następnie skrupulatnie roztrzaskałem całą aparaturę służącą do jej produkcji, upajając się mocą drzemiącą w Prawej Ręce Zniszczenia. Niesamowite było to, z jaką łatwością gniołem i miażdżyłem metal. Zresztą co tam metal! Pod ciosami tej pięści rozpadały się marzenia snopijców! W mojej – nomen omen – dłoni spoczywała potęga, która przekraczała moc daną kiedykolwiek istocie ludzkiej.

Bardzo się starałem nie dopuścić do siebie głosu, który i tak w końcu przebił się do mojej świadomości i powiedział, co miał powiedzieć. Z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność.

Tak, zniszczyłem aparaturę służącą do produkcji tego, od czego byłem uzależniony, bo nigdy, przenigdy, nie wyssałbym marzeń żadnego człowieka. Lecz mogłem przecież korzystać z tego, co już zostało wydestylowane, prawda?

*

Ruszyłem ku zachodzącemu słońcu (nie próbujcie dociec, ile czasu byłem nieprzytomny i ile trwały opisywane wydarzenia. Zachodzące słońce musiało być. „I’m a poor lonesome cowboy” i tak dalej. Na tym polegają marzenia), zaciągając się aromatycznym dymem znalezionego w schowku kubańskiego cygara. Świat wydawał się piękny i tajemniczy, czekający, by go objąć i w nim żyć.

Z głośników radia płynął zaś głos Nicka:

*He’s a god, he’s a man, he’s a ghost, he’s a guru
They’re whispering his name through this disappearing land
But hidden in his coat is a red right hand.*

*

Próbowaliście kiedyś odebrać komórkę, mając każdy palec wielkości połowy klawiatury?

Ja tak. Marne szanse.

Zresztą nawet wydobywanie telefonu z futerału stanowiło problem. W końcu jednak wysupłałem aparat lewą ręką, odebrałem i podniosłem do ucha. Dzwonił szef.

– Witam, panie Majcher.

– Bry wieczór, szefie.

Niezły czas. Zdążyłem się oddalić od Węgorzewa na zaledwie kilkanaście kilometrów, sunąc mruczącym przyjemnie cherokeeem po pustych mazurskich drogach.

– Jak rozumiem, pański wyjazd zakończył się sukcesem?

– Owszem, przybysz wrócił, skąd przyszedł. – Nie wiem, po co zachowywaliśmy się jak tajni agenci, bawiąc w kryptonimy i omówienia, ale szef płacił, to i wymagał. – Jestem już w drodze powrotnej.

– Doskonale. Skontaktuję się z panem jutro. Do widzenia.

– Do wi... – Jak zwykle odłożył słuchawkę, gdy powiedział wszystko, co chciał. – Ci w dupę – rzuciłem w eter. Nienawidzę takich gości.

Inna sprawa, że zapowiedź następnego telefonu to było coś niezwykłego. Niezwykłego na tyle, że zacząłem się martwić. Nie wiedziałem, na ile blisko współpracował mój szef z istotami z krainy snopijców (że taka współpraca istniała, byłem pewien; nie jestem głupi), ale możliwe, że tworząc moją nową rękę, stałem się obiektem zainteresowania możnych świata, którym władają marzenia. Skądinąd podejrzewałem, że działa to w obie strony – i że nagle awansowałem na kogoś, kto może coś w tym świecie zdziałać, a nie tylko wyrabiać dniówkę. Aż do jutra jednak nie zamierzałem nic z tym robić. Marzyła mi się gorąca kąpiel i nie mniej gorąca kolacja. Wcisnąłem lekko pedał gazu i jeep skoczył do przodu, coraz szybciej wioząc mnie w kierunku domu.

*

Kąpiel zaczęła się wesoło, bo od rozcinania nożem kurtki i koszulki – olbrzymi walec wieńczący mi ramię uniemożliwiał ściągnięcie ich w normalny sposób. Już się cieszyłem na poranne kompletowanie garderoby.

Korzystając z okazji, przyjrzałem się dokładniej mojej nowej ręce. Była taka jak w komiksie – czerwony kamienny walec o średnicy kilkunastu centymetrów, zwieńczony dłonią o czterech prostokątnych, segmentowanych palcach i płaskich krążkach w miejsce kostek. Tam, gdzie łączyło się ciało i kamień, nie było żadnej szczeliny, skóra płynnie przechodziła w czerwony minerał. Całe ramię i część klatki piersiowej pokrywały wzięte z filmu dziwaczne zawijasy wytłoczonych w skórze tatuaży. Co ciekawe, nie odczuwałem już tej kończyny jako nadmiernie ciężkiej – albo stała się bardzo lekka, albo też drzemiąca w Ręce siła przeniosła się również na ramię. Jak się szybko przekonałem, Ręka była całkowicie niewrażliwa na temperaturę czy jakiegokolwiek inne bodźce.

Niełatwo było się umyć jedną kończyną, ale jakoś to poszło i mogłem wreszcie, odziany w spodenki od piżamy, pójść do kuchni zjeść kolację. Podczas posiłku przeglądałem komiksy, których świeży transport znalazłem w skrzynce na listy. Tak, właśnie komiksy. Ktoś, kto – jak ja – posługuje się marzeniami i wyobrażeniami, musi skądś je brać. I idealnym źródłem są filmy i komiksy, a także w mniejszym stopniu książki. Dlatego też często chodzę do kina i staram się być na bieżąco z komiksowymi nowościami. Wydawać się może dziwne, że przyzywając marzenia, korzystam prawie wyłącznie z anglosaskich tekstów kultury, ignorując nasze, rodzime, „teraz polskie” dokonania. Ale przyznajcie szczerze, z czego miałbym korzystać? Aby efektywnie używać śniwa, trzeba odwoływać się do fantastyki, bo to właśnie ona pozwala przekroczyć ograniczenia i osiąść nadludzkie moce – zresztą samo

istnienie śniwa sprawia, że czuję się, jakbym był bohaterem jakiegoś opowiadania fantastycznego – czerpanie z pozycji mainstreamowych mogłoby mnie co najwyżej przyprawić o kaca stulecia. No a z polską fantastyką jest problem. Dobrych filmów w ogóle u nas na lekarstwo, o fantastycznych nawet nie wspominając – bo ten jeden, co jest, to nigdy się nie powinien ukazać. Z komiksami jest już sporo lepiej, ale to właśnie dziełami zachodnimi i japońskimi żywi się powszechna wyobraźnia – a marzenia są tym mocniejsze, im bardziej powszechne. No a literatura? Tu nie ma powodów do narzekań, ostatnio ukazuje się coraz więcej dobrej fantastyki, ludzie ją czytają i na pewno zajmują nią wyobraźnię... Problem w tym, że przyzywane marzenia trzeba wizualizować, a wyobrażenia stworzone na podstawie literatury są zbyt niejednorodne, by dało się stworzyć spójną wizualnie, a co za tym idzie, silną kreację; problem ten w oczywisty sposób nie dotyczy filmów i komiksów, ale jak z nimi jest, już mówiłem.

Zamyślony przewracałem kolejne kartki, w końcu dotarło do mnie, że jestem zbyt zmęczony, by przyswajać treść. Wypiłem szklankę wody zamiast, wskoczyłem do łóżka i zamknąłem oczy. Wkrótce potem zasnąłem. Jak zwykle nie miałem żadnych snów.

*

Obudził mnie telefon, głośno jazgoczący nad uchem. Sięgnąłem po niego, zaspany jeszcze, i dopiero w ostatniej chwili zorientowałem się, że powinienem to zrobić lewą ręką.

Dzwonił, oczywiście, szef. Zaprosił mnie do siebie do biura, motywując to chęcią dyskusji na temat śmierci Jacka; podał adres, godzinę i rozłączył się. Posłałem w głuchy już mikrofon soczystą wiąchę i zacząłem się zbierać do wyjścia.

Zawinąłem Rękę w kawałek prześcieradła i powiesiłem na temblaku na szyi. Po czym ruszyłem w drogę, już na schodach pociągając solidny

łyk śniwowicy.

Z szefem miałem się spotkać w najbardziej luksusowym biurowcu w mieście, jednym z tych, które samym wyglądem dają zwykłym ludziom do zrozumienia, że nie mają tu czego szukać. Nie dziwiło mnie to specjalnie, szef nawet przez telefon sprawiał wrażenie kogoś bogatego i wpływowego; dał się poznać jako nawykły do posłuchu już podczas naszej pierwszej rozmowy, chyba z pięć lat temu, kiedy to oznajmił mi, że mnie zatrudnił. Właśnie oznajmił, nie zaproponował pracę. Był pewien, że się zgodzę – i faktycznie się zgodziłem.

Zadzwoił do mnie w bardzo złym okresie mojego życia, tuż po śmierci matki, a przed poznaniem śniwowicy. Często miałem ochotę skończyć sprawę, raz na zawsze uwolnić się z tej puste skorupy, którą byłem. To właśnie wtedy trafiłem na przystanek samobójców, otoczone przez nieprzeniknione mgły miejsce pośrodku jednego z warszawskich mostów, gdzie uświadomiłem sobie, że istnieje też inny świat. To tam zatrzymał się kiedyś tramwaj, którym jechałem, tam poczułem olbrzymią chęć, by wysiąść i z rozpędu rzucić się w fale Wisły. I właśnie tam, na przystanku samobójców, gdy już stawiałem stopę na chodniku, zrozumiałem, że nie mogę, że jeśli to zrobię, wszystko pójdzie na marne. A ja muszę się zemścić. Gdzieś, kiedyś, jakoś. Cofnąłem się i tramwaj przewiózł mnie bezpiecznie przez most, a parę dni później zadzwonił szef.

Nie miałem wtedy żadnego celu w życiu, nie wiedziałem, że dzięki śniwowicy znów mogę żyć jak człowiek. Kogoś, kto pokazał mi drogę, kto wskazał, jak pomścić śmierć rodziców, posłuchałem bez chwili wahania.

Teraz zaś, po pięciu długich latach, miałem wreszcie zobaczyć twarz tego człowieka. I jeśli dobrze kombinowałem, solidnie tę twarz obić.

Ale nie uprzedzajmy faktów. Tramwaj wiozł mnie na miejsce przeznaczenia, miarowo stukocząc po torach. Owinięta w prześcieradło Ręka mrowiła delikatnie, prawdopodobnie rezonując z unoszącymi się

wokoło marzeniami tysięcy ludzi. Wreszcie stanąłem przed biurowcem, pnącą się wysoko w niebo kolumną ze skrzącego się szkła i stali. Olbrzymia budowla onieśmiała, poczułem się mały i bez znaczenia, ot, niewielki trybik w maszynie, której mechanizmu i celu funkcjonowania nijak nie mogłem pojąć.

Pocieszenie odnalazłem w marzeniach. Łyk śniowicy przywrócił jasność myślenia; przypomniałem sobie historie o jednostkach stawiających czoła całym korporacjom. Mogłem być Marvinem czy Neo, na górze mógł czekać Roark lub inny Architekt, miałem to gdzieś, mogłem ich pokonać. Na pewno. Zacisnąłem czerwoną pięść, aż zatrzeszczało napinane prześcieradło, i przekroczyłem drzwi budynku, wchodząc do olbrzymiego pomieszczenia pełnego designerskich foteli, dziwacznych roślin i ochroniarzy. W centrum tego artystycznego nieładu stało wielkie biurko recepcji, za którym widać było windy. Niemal natychmiast pojawiła się przy mnie blond piękność w granatowym kostiumie, który ściśle opinał imponujące piersi.

– Pan Majcher? – spytała, ukazując w uśmiechu doskonale białe zęby. Nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – Proszę za mną. Dyrektor pana oczekuje.

Skwapliwie wykonałem polecenie, z lubością wpatrując się w zgrabne pośladki hostessy. Gdy już doszliśmy do windy, wcisnęła jeden z najwyższych przycisków i wystrzeliliśmy w górę tak szybko, że żołądek podszedł mi prawie do gardła. Dziewczyna uśmiechała się, lecz w jej oczach nie było uśmiechu – gardziła mną, byle szmaciarzem, którego roczne dochody nie mogły się równać z pojedynczą premią, jaką dostawała za danie dupy prezesowi czy innemu dyrektorowi kreatywnemu. Jej problem, nie mój, ja ze swojego życia byłem całkiem zadowolony, choć niepokoiła mnie obecna sytuacja. Podejrzywałem, że podczas tego spotkania miało się zmienić bardzo dużo.

Korytarz był długi i jasno oświetlony, zwieńczony podwójnymi drzwiami z ciemnego dębu, osadzonymi na złotych zawiasach. Zbliżyłem się do nich pełen niepokoju, zaciskając i rozluźniając czerwoną pięść. Nie umknęło mojej uwadze, że ktoś bardzo się postarał, żebym nie poznał personaliów mojego mocodawcy. Hostessa mówiła o nim per „dyrektor”, a tabliczka z nazwiskiem została odkręcona od drzwi, pozostał po niej tylko jaśniejszy prostokąt na jednym ze skrzydeł. Godna podziwu ostrożność.

Panienka wyprzedziła mnie, stukając obcasami, po czym z zawodowym, przyklejonym do twarzy uśmiechem otworzyła drzwi, gestem zapraszając do środka. Gabinet był olbrzymi, urządony zupełnie bez gustu, ale za to z przepychem. Wiele się zresztą wyjaśniło, gdy spojrzałem na szefa – niskiego grubaska o dużej, zarumienionej twarzy sterczącej nad przesadnie barwnym krawatem. Rzadki wąsik i zaczesane na pożyczkę włosy dopełniały obrazu nędzy i rozpaczki – ale założę się, że panienka, która właśnie wyszła z gabinetu, codziennie robiła mu loda. Kapitalizm, panie dziejku.

– Witam, panie Majcher. – Ten głos w słuchawce brzmiał zdecydowanie mocniej. – Widzę, że snopijca sprawił pewne kłopoty? To poważne zranienie?

Udawał, lecz na razie nie chciałem ujawniać, że to wiem. Podjąłem grę.

– Złamanie, ale nic poważnego. To był kawał drania i zwiął, zanim udało mi się go zabić. Jednak nieprędko wróci.

– Niewątpliwie, niewątpliwie. – Szef uśmiechnął się głupawo, bezmyślnie zdejmując i zakładając skuwkę na wieczne pióro. – Kiedy będzie pan zdrowy?

– Och, sądzę, że ręka już wkrótce będzie w pełni sprawna – powiedziałem z uśmiechem.

Słyszałem, jak gdzieś za mną stukają obcasy hostessy, zaskrzypiały otwierane drzwi... szczęknięta przeładowywana broń, dały się słyszeć

ciche kroki. Zabawa miała się ku końcowi.

– To doskonale! – Dawno nie słyszałem równie nieudolnej imitacji entuzjazmu. – Ale, ale, pewnie zastanawia się pan, po co pana wezwałem?

Kroki ucichły, stanęli ledwie kilka metrów za mną.

– Owszem, to pierwszy raz, gdy pana widzę.

– Bo widzi pan... – zaczął, głośno odkładając pióro na blat biurka. Sygnał. To już.

Odwróciłem się na pięcie, jednocześnie zgarniając lewą ręką śniwo i aktywując je. W mojej dłoni pojawiły się ciemne okulary, a gdy wsunąłem je na nos, całe odzienie zmieniło się w czarny, sutannopodobny kaftan. Stałem twarzą w twarz z grupą uzbrojonych w pałki ochroniarzy; szarpnięty temblak zsunął się z mojej Prawej Ręki, nietkniętej przemianą. Marzenie wzięło nade mną górę. Uniosłem lewą dłoń i gestem zachęciłem gości do ataku. Ruszyli.

Śniwo ogarnęło moje ciało, sterując nim z niebywałą precyzją. Unikałem ciosów, zanim zostały wyprowadzone, zawisałem w powietrzu, rozdawałem kopniaki, które ciskały ludźmi o ściany... I tylko Prawa Ręka nie brała w tym udziału – to ja miałem nad kończyną kontrolę, ale nie chciałem nią ruszać, by nie burzyć harmonii ruchów reszty ciała.

Nagle padł strzał. Szarpnąłem w bok głowę, podmuch powietrza musnął policzek. To ostatni stojący jeszcze na nogach przeciwnik sięgnął po mocniejsze narzędzie perswazji.

– Stój, bo zastrzelę! – krzyknął. Jasne, akurat chybił celowo.

Skoczyłem do przodu, zanim zdążył strzelić ponownie, i wbiłem mu prawą pięść w brzuch. Zwinął się i upadł, gwałtownie wymiotując na podłogę. Powoli odwróciłem się do szefa, który zakrztusił się, przełykając zawartość srebrnej piersiówki. Nie miałem wątpliwości, że to śniwowica. Bo nawet zupełnie zwykli ludzie, gdy wypiją odpowiednio

mocną śniwownicę i wiedzą, co należy zrobić, mogą manipulować marzeniami. Oczywiście sięgać mogą raczej po bardzo powszechne i tandet...

– Ka-me-ha-me... – zaczął wrzeszczeć szef, składając dłonie u prawego biodra.

O, właśnie, tandetne wyobrażenia. Co znacznie ułatwiało robotę doświadczonym zawodnikom.

– ...Haaa!!! – dokończył grubasek, wyrzucając przed siebie ręce, z których wytrysnął strumień błękitnej energii. Kaszka z mleczkiem.

Zasłoniłem się prawą dłonią, sprawnie wpisując się w przywołane wyobrażenie. Energia miała eksplodować w kontakcie z moją ręką, nie czyniąc mi krzywdy, a wtedy ja przemieściłbym się błyskawicznie za plecy przeciwnika, rzucił tekstem o różnicy sił przekraczającej wyobrażnię, a na koniec powalił go pojedynczym ciosem w kark. Łatwizna.

Tyle że coś poszło nie tak – błękitna struga rozwiała się, zanim doleciała do Ręki, do mnie dotarł już tylko podmuch nieistniejącego wiatru, falowanie śniwa. Stałem przez chwilę nieruchomo, kompletnie zaskoczony, podobnie zresztą jak szef. On jednak otrząsnął się szybciej.

– Na pomoc! – wrzasnął. – Chodźcie tu!

Rozejrzał się po pokoju, jakby oczekując, że posiłki pojawią się znikąd. I faktycznie, zza zasłony śniwa wyszło dwóch snopijców. Nie troszczyli się o kamuflaż, przybyli w swych naturalnych postaciach – wysokie, bladokóre istoty, bardzo podobne do ludzi, choć obdarzone nieco dłuższymi czaszkami i dziwacznymi, zupełnie czarnymi oczami. Przyjrżeli mi się, lecz na ich twarzach nie drgnął ani jeden mięsień.

– Żałosny jesteś – powiedział do szefa jeden z nich. – Nie potrafisz sobie poradzić z jednym zwykłym człowiekiem, wszystko trzeba robić za ciebie... – Pokręcił z rezygnacją głową, po czym zwrócił się ku mnie. – Ty pójdziesz z nami.

- Chuja tam pójde – warknąłem.

- Chuja tam chuja – parsknął.

Pozostałem w postaci Neo, cała koncepcja Matriksa wyjątkowo pasowała do sytuacji, w której się znalazłem, więc po co sobie utrudniać? Zwłaszcza że rzucili się na mnie jednocześnie, gdzieś po drodze przybierając wygląd matriksowych agentów Smithów, wpadając prosto w moją pułapkę. Byli tak pewni swoich umiejętności, że zupełnie zapomnieli o mojej Prawej Ręce – a mnie wystarczył jeden cios. Uderzenie kamiennej pięści powaliło pierwszego z napastników, przewracając na ziemię i więząc w splotach rozerwanego śniwa. Widząc to, drugi błyskawicznie zrzucił z siebie wyobrażenie. W swojej prawdziwej postaci wydawał się taki bezbronny. Skoczyłem w jego kierunku... I nagle znalazłem się na ścianie, krwawiąc z nosa i chwiejąc się na nogach. Snopijca stał spokojnie, kierując ku mnie otwartą dłoń.

- Wydawało ci się, że dzięki śniwowicy i tym jarmarcznym sztuczkom jesteś nam równy? Ty, byle człowiek?

Z trudem ruszyłem się z miejsca. Cały świat wirował. Mój przeciwnik poczekał, aż zrobię jeszcze dwa kroki, po czym machnął ręką. Tym razem uderzenie wgniotło mnie w ścianę. Dosłownie. Skuliłem się i upadłem na podłogę, przyprószony tynkiem. Wszystko mnie bolało, mięśnie drżały jak po ogromnym wysiłku. Podniosłem się powoli, ciężko dysząc. Przed oczami latały mi mroczki. Snopijca zarechotał.

- Nie staraj się aż tak, nie ma sensu. To prawdziwa moc śniwa, niedostępna dla takich śmieci jak ty.

Miał rację, nie miałem nawet bladego pojęcia, co on takiego zrobił, nie wspominając nawet, jak mu się to udało. Ale nie byłem bezbronny, o nie. Stałem pewniej na nogach, usiłując opanować zawroty głowy. Snopijca znów się zamachnął, lecz tym razem byłem przygotowany. Rzuciłem się do przodu, wyciągając przed siebie Prawą Rękę. Uderzył we mnie podmuch wiatru, silny, ale niezdolny zatrzymać. Przeciwnik owinął się

śniwem, usiłując uciec do swego wymiaru – nie pozwoliłem na to. Przebiłem się przez zasłonę i chwyciłem snopijcę za gardło, unosząc wysoko w powietrze. A potem cisnąłem nim o ziemię, ciosem pięści roztrzaskując zarówno czaszkę, jak i posadzkę.

Wtedy padł strzał. Kula wbiła się w klepki ze dwa metry ode mnie. Poderwawszy głowę, ujrzałem szefa ściskającego oburącz rewolwer i celującego mniej więcej w moim kierunku. Jednak o wiele groźniejszy był drugi snopijca, który zmierzał w moją stronę z błyszczącą kataną – kurwa, następny? – w rękach. Zaczynało się robić niebezpiecznie. Zacisnąłem palce na karku trupa i wstałem gwałtownie, ciskając ciałem w szefa, który znów strzelił, ale albo chybił, albo też zasłoniły mnie lecące zwłoki. Gruchnęło, gdy ciało uderzyło w biurko i ukrytego za nim mężczyznę, a ja zwróciłem się ku żywemu snopijcy, który właśnie biegł w moim kierunku z uniesionym mieczem. Nie było czasu na nic bardziej skomplikowanego, starym filmowym trickiem klasnąłem, chwytając ostrze katany pomiędzy złożone dłonie. Zresztą nie było chyba takiej potrzeby, bo utkana ze śniwa klinga rozwiąła się, zanim jeszcze dotknęła Prawej Ręki Marzenia – a ja, korzystając z tego, zrobiłem szybki krok do przodu i lewym łokciem wyrzuciłem snopijcę w gardło. Zatoczył się do tyłu, kaszląc spazmatycznie. Doskoczyłem do niego, zacisnąłem szkarłatne palce na jego czasce i ścisnąłem mocno. Chrupnęło obrzydliwie, brudnoróżowa maź trysnęła na wszystkie strony, a mnie skręciło. Padłem na kolana, wymiotując; w nosie kręcił smród krwi, przed oczami wciąż miałem makabryczny widok... Znów marzenia wzięły nade mną górę. Źle.

Podniosłem się wreszcie i nieco chwiejnie ruszyłem w kierunku roztrzaskanego biurka. Pod drewnianymi szczątkami i zwłokami snopijcy spoczywał nieprzytomny szef, zaciskający palce na kolbie wielkiego czarnego rewolweru. Ze zniszczonej szuflady wysypała się garść pocisków. Bez wahania wcisnąłem broń do kieszeni bojówek,

wsypałem tam też tyle amunicji, ile tylko udało mi się znaleźć.

W korytarzu zadzwoniła winda. Z sykiem otworzyły się drzwi, z których najpierw niskim łukiem wyleciał granat ciągnący za sobą smugę siwego dymu, a za nim – banda ochroniarzy w maskach przeciwgazowych. Bez wahania rzuciłem się do okna, roztrzaskałem je ciosem czerwonej pięści i skoczyłem przed siebie. Przez chwilę leciałem prawie poziomo, mając doskonały widok na rozciągającą się pode mną ulicę, ludzi, budynki... A potem dystans czterdziestu pięter zaczął się błyskawicznie kurczyć. Na szczęście miałem gotowe marzenie. Kaszka z mleczkiem.

Asfalt ugiął się niczym guma, powoli wyhamowując upadek, a potem powrócił do pierwotnego kształtu, wyrzucając mnie na jakieś dwa metry w górę. Ciężko opadłem na twarde podłoże, podpierając się lewą ręką. Zacząłem się podnosić i wtedy właśnie pierdolnęła mnie ciężarówka.

*

Ocknąłem się, gdy ktoś wrzucił mnie niby worek kartofli do ciężarówki, nie dbając o moje – niewątpliwie pogruchotane – kości. Z trudem powstrzymałem się od uraczenia mojego dobroczyńcy soczystą wiąchą w zamian za traktowanie – wolałem, żeby myśleli, że jestem nieprzytomny. Zresztą niewiele brakowało, potwornie bolała mnie głowa, cały lepiłem się od krwi... i śniwownicy. Najwyraźniej przy uderzeniu pękła manierka. Byłem więc zdany tylko na te resztki, które krążyły jeszcze w moich żyłach, a nie było tego wiele. Nie ułatwiał sytuacji również fakt, że nie byłem w stanie zgiąć nawet najmniejszego palca, nie sycząc przy tym z bólu. Potrzebowałem silnego i popularnego marzenia, które umożliwiłoby mi uleczenie się niewielkim kosztem. I znalazłem. Sięgnąłem do pasa, końcówkami palców delikatnie ściągnąłem śniwo i formując je w niewielką sakiewkę, z której wyjąłem ziarenko fasoli Senzu, dragonballową receptę na wszelkie rany i dolegliwości.

Wsunąłem tę cudowność do ust, pogryzłem (smakowało jak zwykła zeschnięta fasola) i połknąłem.

Fala energii przeniknęła moje ciało, potrzaskane kości poruszyły się kierowane niewidzialną siłą, wszystko składało się w całość, zrastało i regenerowało. Trwało to ledwie kilka sekund – potem mogłem już wstać i przeciągnąć się, z nagłą pełen sił, jakbym dopiero co się wyspał i najadł, jakbym mógł przenosić góry. Zamiast gór zająłem się jednak drzwiami ciężarówki, wyrywając je z zawiasów jednym ciosem czerwonej pięści. Blachy zleciały prosto na maskę jakiegoś wozu, który podjechał zbyt blisko, oślepiony kierowca dał po heblach, dzięki czemu mogłem zeskoczyć na coś w miarę nieruchomego – oczywiście do momentu, w którym kolejny samochód nie wjechał tamtemu w rufę. Zaczynał się całkiem niezły karambol. Nie mój problem – zeskoczyłem na chodnik, a za moimi plecami rozbrzmiała kakofonia klaksonów i przekleństw. Szybko uciekłem za najbliższy róg, a potem zatrzymałem się, żeby odetchnąć i chwilę pomyśleć.

Musiałem jak najszybciej dotrzeć do domu, napić się śniwowicy; już zaczynały mi drżeć ręce. Ruszyłem więc przed siebie, rozglądając się za postojem taksówek. Nie było czasu na tramwaje, w każdej chwili ktoś mógł dostać się do mojego mieszkania. Zauważyłem taryfę, z której właśnie ktoś wysiadał, wskoczyłem na miejsce pasażera i rzuciłem zszokowanemu kierowcy adres, legitymując się szeleszczącym miło Kaziem Wielkim. Taksiarz bez słowa ruszył w drogę.

*

Nie jechaliśmy długo. Wcisnąłem złotówie banknot i nie czekając na wydanie reszty, pobiegłem do budynku. Dopiero w ostatniej chwili tknęło mnie, że mogą już tam być. A jeśli wpadnę do mieszkania bezbronny, to moje przygody zakończą się definitywnie. Przystanąłem. Wtem przypomniałem sobie, że w bagażniku jeepa wciąż znajduje się

butla z destylatem – tyle tylko, że kluczyki były w mieszkaniu... Cóż, trudno – samochód rzecz nabyta. Podbiegłem do auta i kamienną dłonią szarpnąłem klapę bagażnika. Jęknęła rozdzierana blacha, pękły jakieś inne elementy – i klapa pojechała w górę z sykiem podnośników. W środku znajdowała się wielka butla, którą oburącz uniosłem do ust. Od razu owinąłem się w marzenie, przywołując obraz Asteriksa pijącego napój magiczny, olbrzymia siła wniknęła w moje ciało, czułem się dosłownie niepokonany, jakbym mógł jedną ręką podnieść wieżowiec, a drugą pokonać panią z dziekanatu. Ostrożnie odłożyłem butlę do bagażnika, zamknąłem klapę i ścisnąłem poharataną blachę tak, by nie dało się go łatwo otworzyć. Teraz mogłem iść do mieszkania – co najmniej parę drobiazgów trzeba było stamtąd zabrać, no i nie chciałem zostawiać choćby kropli śniwownicy, każda się mogła przydać.

Mieszkanie było zamknięte, ale to nic nie znaczyło, snopijcy prawdopodobnie potrafili dostać się w dowolne miejsce na Ziemi, poza – zapewne – kompletnymi pustkowiami. Klucze czy wytrychy nie były im do niczego potrzebne. Lewą ręką dobyłem pistoletu i kopnięciem otworzyłem drzwi, celując przed siebie.

Pustka. I cisza. Ostrożnie przekroczyłem próg, czujnie wypatrując śladów bytności snopijców. Nic jednak nie dostrzegłem, stanąłem więc na środku dużego pokoju, zastanawiając się, co zabrać z mieszkania. Gdybym miał oczy z tyłu głowy, zobaczyłbym dwóch snopijców wyłaniających się zza zasłony śniwa i unoszących do ciosu miecze. Ale nie mogłem ich ujrzeć. Tyle że wiedziałem, że tam będą. Miecze rozwiały się w kontakcie z Ręką, a ja skoczyłem do przodu, zawirowałem, odwracając się do przeciwników twarzą – i lufą – po czym otworzyłem ogień. To byli jacyś partacze, nie potrafili się nawet zasłonić lub uchylić przed kulami, przyjęli je na klaty, zupełnie zaskoczeni.

Wkurzało mnie to. Najwyraźniej ktoś stojący za atakami na moją skromną osobę i całą tą awanturą mnie nie docenia. Z drugiej strony

powiniennem się cieszyć, bo znacznie mi to ułatwiało zrobienie mu z dupy jesieni średniowiecza.

Szybko ogołociłem mieszkanie z przedmiotów, które mogłyby się przydać – plecak z niezbędnymi drobiazgami, nieco ciuchów, manierki ze śniwownicą – a potem zszedłem na dół, wrzuciłem wszystko na tylne siedzenie jeepa i usiadłem za kółkiem. Nie ruszyłem się jednak z miejsca, nie wiedziałem, gdzie jechać. Wieczne uciekanie nie było żadnym rozwiązaniem, już choćby dlatego, że mogli się po prostu pojawić w miejscu, w którym przebywałem, nie musieli mnie śledzić czy gonić. Musiałem się więc jakoś przedostać do wymiaru snopijców, póki jeszcze nie rozumieli, co potrafię. A raczej: jaki potencjał drzemie w Ręce, bo nie wątpiłem, że to ona była ich celem. Tylko jak tam dotrzeć? Nie potrafiłem jak snopijcy owinać się połą śniwa i przejść na drugą jego stronę. Dla mnie to była tylko niematerialna tkanina – oni potrafili w nią wnikać i przenieść się do jej wnętrza, w którym znajdował się ich świat. Tyle że było to prawdopodobnie połączenie zarówno zdolności, jak i specyficznych własności ciał snopijców, a ja nie posiadałem ani jednego, ani drugiego. Musiałem zatem wymyślić coś innego.

A przecież na pewno było jakieś miejsce umożliwiające przejście na tamtą stronę. Po prostu musiało, w ten sposób działały marzenia. Tylko gdzie było?! Gdzie mógł znajdować się punkt, w którym można było przekroczyć granicę między światami?

Należało go znaleźć, i to szybko, by nie stracić przewagi, którą snopijcy sami wetknęli mi w ręce. Łyknąłem śniwownicy, pozwalając, by miękkie jak aksamit śniwo spowiło moje ciało. Siedziałem tak przez chwilę, a w końcu przekręciłem kluczyk i powoli ruszyłem przed siebie, licząc na to, że marzenia mnie poprowadzą. W głośnikach rozbrzmiały słowa piosenki:

Exit light, enter night Take my hand We're off to Never-never Land.

Zahamowałem gwałtownie. Oczywiście! Jak mogłem być tak głupi? Wcisnąłem gaz i pomknąłem przed siebie, wreszcie mając przed sobą cel. Prawa Ręka Marzenia pewnie ścisnęła kierownicę, a ja drżałem z niecierpliwości, chciałem wreszcie użyć jej tak, jak się jej używać powinno.

Nie było jednej bramy do świata snopijców. Było ich wiele, by nie powiedzieć, że znajdowały się wszędzie, należało tylko mieć właściwy klucz, który pozwalał je otwierać. A ja miałem ten klucz przed oczami. Ręka. Potrzebne było tylko miejsce, w którym powinienem jej użyć. Ja już wiedziałem, gdzie jest moje miejsce. Wkrótce zaparkowałem samochód nieopodal właściwego mostu, napchałem do plecaka plastikowych butelek ze śniwowicą i opilem się jej do syta, resztę zostawiając w samochodzie.

Musiałem dostać się na przystanek samobójców, ale nie po to, by skoczyć – tylko by przejść mostem do świata snopijców. Byłem pewien, że Prawa Ręka Marzenia rozgarnie nieprzeniknione mgły otaczające przystanek i zaprowadzi mnie tam, gdzie są moi prześladowcy. Teraz byłem mścicielem i każdy, kto planował stanąć na mojej drodze, mógłby w zasadzie od razu skorzystać z przystanku, oszczędzając wszystkim fatygi.

Wreszcie, po raz pierwszy od dawna, wiedziałem doskonale, co mam robić i gdzie iść. Miałem cel. Miałem też Rękę. Wiedziałem, że nic nie jest w stanie mnie powstrzymać. Musiałem tak sądzić. Tak działają marzenia.

Z ponurym, miarowym stukotem na przystanek podjechał tramwaj. Trzynastka.

Warszawa, 2004-2006

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI [1958]

Debiutował w 1979 roku opowiadaniem *Nie oszukasz czasu* („Na przełaj”).

Wydał powieści *Mageot* i *Baszta czarownic*, a także zbiór opowiadań *Zabójca czarownic*. W 2005 roku otrzymał nagrodę Sfinksa za opowiadanie *Interesy nie idą dobrze*.

Jego opowiadania były tłumaczone na węgierski, czeski, rosyjski, litewski, niemiecki.

Krzysztof Kochański

Centuriańskie bomby

Kiedy na Słupsk spadły bomby Centurian, Fiszer jechał tramwajem numer 5. Tramwaj właśnie ruszał z przystanku.

Fiszer nie musiał korzystać z publicznych środków transportu – stać go było na taksówkę albo na wynajęcie samochodu z kierowcą. Ale wtedy życie przyśpieszało. Czas połykał sekundy, połykał sam siebie, niczym chiński wąż.

Był jak te bomby, które wysyłali Centurianie. Sam moment wybuchu umknął uwadze pasażerów tramwaju. Głuche stęknienia, jakie towarzyszyły każdej eksplozji, zlały się z szumem miasta i dopiero bezpośrednio po fakcie, gdy w jednej chwili zgasł wielkomiejski hałas, Fiszer zdał sobie sprawę, że jednak je słyszał. Trzy pyknięcia, podobne do tych, jakie wydaje ostrożnie wyjmowany z butelki szampana korek. A potem cisza. Niezwykła, przyprawiająca o lęk, klaustrofobiczna cisza.

Trzy pyknięcia – trzy bomby. W promieniu kilku kilometrów Fiszer był jedynym człowiekiem, który mógł sobie przypomnieć ten moment. Inni umarli w tej jednej koszarnej chwili, gdy korek szampana wyskoczył z butelki.

Ruszający tramwaj potoczył się jeszcze siłą bezwładu kilkanaście centymetrów, po czym stanął, ponieważ prawa fizyki Centurian pokonały prawa fizyki Newtona, zgodnie z którymi na Ziemi poruszały się nie tylko tramwaje, ale i wszelkie inne pojazdy. Prawa Obcej Nauki pokonały również prawo zachowania masy, a także kilka innych praw, uważanych przez człowieka za niepodważalne.

Zdezorientowany Fiszer stał przy przednich drzwiach wagonu, kurczowo zaciskając dłoń na rurze z polimerowego tworzywa. W pewnej chwili puściły metalowe wiązania i Fiszer został z rurą w ręce, ale wtedy nie kojarzył jeszcze, że stal bardziej podatna jest na upływ czasu niż plastik. W ogóle niewiele kojarzył, osłupiałym wzrokiem wpatrując się w martwych ludzi. Siedzieli sztywno w tramwajowych fotelikach, jak manekiny. Jakaś kobieta leżała w przejściu, na wznak, z zadartą sukienką

odstaniającą seksowne stringi. Wyglądali nieludzko, wszyscy byli jacyś... chudzi. Skóra na ich twarzach marszczyła się, policzki drgały, zapadały się, jakby coś wciągało je do wnętrza czaszki. Oczy wysychały, pozostawiając wielkie puste dziury.

Czas, zdał sobie sprawę Fiszer, wciąga je Czas.

Dlaczego nie mnie? – pomyślał z niewiarygodnym, nieadekwatnym do sytuacji spokojem.

Nie mnie?

Dopiero teraz dopadło go przerażenie.

Starzeli się na jego oczach, gnili, wysychali, rozpadali. Ich ubrania stały się nagle obszernymi futerałami, żółknącymi, pogniecionymi szmatami.

Szussss!

Osunęło się pierwsze ludzkie truchło, potem następne. Te, które utrzymały się na siedzeniach, co jakiś czas nieznacznie zmieniały pozycje, co sprawiało przerażające wrażenie, jakby zmieniały się w żywe zombi. Wyschnięte na wiór ciało zaczęło odchodzić od kości, osypywać się całymi płatami, odstaniając nagie czaszki.

Stringi leżącej kobiety w najmniejszym stopniu nie wyglądały już seksownie, zwisając na upstrzonej plamami miednicy, pośród cieniutkich pieszczeli.

Fiszer, zlany potem, zamknął oczy, próbując w ten najprostszy sposób odciąć się od koszmaru. Bał się. Był tak przerażony, że z trudem oddychał, łapał powietrze nieregularnie, jak wyrzucona na brzeg ryba. Nie był w stanie się poruszyć; zresztą nawet nie próbował, intuicyjnie wyczuwając, że miejsce, w którym stoi, to miejsce *lucky mana*, farciarza wygrywającego na loterii nie do wygrania. Rozpadał się nie tylko tramwaj, rozpadał się cały świat wokół, a on tkwił w środku, niczym w oku cyklonu. Za nic, za nic w świecie nie opuściłby tego miejsca.

Zatrzaśnięte powieki, drzwi bankowego sejf, odgradzały go od

makabrycznej rzeczywistości, ale to nie wystarczało. Coś zaczęło dziać się z tramwajem – trzeszczał, chrobotał, jakby pożerały go jakieś metalożerne korniki. Nagle coś pękło, posypało się szkło. Fiszer nie chciał tego słuchać. Przykucnął, skulił się jak przerażone burzą dziecko, zatkał uszy palcami.

Nieoczekiwanie wagon zatrząsał się, co miało tę dobrą stronę, że wytrąciło mężczyznę z apatii. Gwałtownie otworzył oczy. Miał je zamknięte kilkadziesiąt sekund, może minutę, ale to, co zobaczył, wyglądało, jakby minęło z tysiąc lat. Pasażerowie stali się zakutymi w szmaty stertami kości, tak nierealnymi, nieczłowiecznymi, iż przestały budzić metafizyczny lęk. Tramwaj rdzewiał, po farbie nie pozostało śladu; sparciałe uszczelki nie trzymały już szyb, z których większość powypadała.

Z głośnym trzaskiem pękło coś w podwoziu, blaszana konstrukcja zatrząsała się po raz drugi, ludzkie kości zagrały upiorny, perkusyjny rytm. Kość strzałkowa kobiety w stringach potoczyła się w stronę Fiszera, zatrzymała przy nosku buta. Mężczyzna poderwał się, kopnął piszczel ze wstrętem, odruchowo, nim zdał sobie sprawę, co robi.

Zorientował się, że wciąż trzyma w ręku plastikowy uchwyt. Panicznym ruchem, jakby to była tamta kość, wyrzucił go przez otwór po drzwiach, które wypadły na zewnątrz. Rurka raz tylko odbiła się od chodnika, potem ugrzęzła w betonowym pyłe. Pobliski krawężnik rozpadł się na kilka części.

Być może zafunkcjonowała zasada jakiegoś apokaliptycznego domina, bo przewrócił się znak drogowy, a zaraz potem ze ściany budynku księgarni odpadł zardzewiały blaszany prostokąt, który jeszcze kilka minut temu informował, iż ulica nosi nazwę Nowobramska.

Fiszer wiedział co nieco o centuriańskich bombach. Te, które dziś wybuchły, nie były pierwszymi, jakie dotarły do Ziemi. Od kilku tygodni, od pierwszego ataku, multimedia właściwie zajmowały się wyłącznie

tym tematem. Trzydzieści sześć – taką liczbę podawano wczoraj. Plus trzy dzisiejsze, przeliczył Fiszer, to już trzydzieści dziewięć. O ile te trzy to wszystko na dziś. Będąc odciętym od świata, nie mógł tego wiedzieć. Równie dobrze życie na Ziemi mogło przestać istnieć, a on jest ostatnim *homo sapiens*. Ale nie przypuszczał. Dotychczasowy przebieg wydarzeń pozwalał mieć nadzieję, że Centurianie gorzko jeszcze pożałują chwili, gdy podjęli decyzję o ataku. Bo choć początkowo obca technologia wydawała się odległa o całą przepaść, to stopień jej zrozumienia postępował zadziwiająco szybko. Decydującym momentem okazał się fakt, iż szósta bomba Obcych była niewybuchem. Co prawda tylko przez godzinę – dopóki ekipa saperów i naukowców nie zagalopowała się w badaniach – na szczęście dane, jakie zebrali do momentu eksplozji, wystarczyły na skonstruowanie wabików ściągających pociski w głąbinę oceanów lub pustynne obszary kontynentów. Przejęcie następnych niewybuchów, a było ich jeszcze dwa, podobno bardzo posunęły naprzód dalsze badania, choć ich wyników nie podano do publicznej wiadomości ze względów bezpieczeństwa. Ale i tak duży współczynnik zawodności bomb wzbudzał optymizm, pozwalał wątpić w potęgę technologii Centurian.

Fiszer ogarnął wzrokiem krajobraz za drzwiami tramwaju. Jego własny optymizm zmniejszył się znacznie. Właściwie całkowicie wyparował. Jak widać, wabiki nie do końca okazały się skuteczne. Albo Centurianie dokonali stosownych korekt.

Umarłe miasto. Trup. Wrak.

Budynki wciąż wyglądały solidnie pomimo odrapanych, sypiących się elewacji i zapadłych gdzieś dachów. Ale nie wiedział, czy to aby nie pozory. Czy nie rozpadną się jak domki z kart przy silniejszym podmuchu wiatru? A nawet jeśli nie teraz, to może za chwilę, przecież wciąż się starzeją! Wszystko się starzeje, poza tym niezwykłym miejscem w wagonie, w którym nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności udało mu

się znaleźć.

Oko cyklonu!

Fischer spojrział pod nogi. Stał na kawałku ocalałego gumoleum. Podniósł głowę – nad sobą miał fragment blaszanego sufitu połyskującego czystością beżowej farby, poza nim przez przerdzewiałe dziury przewiercały promienie słońca.

Jedno go zastanowiło: jak na oko cyklonu przystało, spodziewał się czegoś w rodzaju okręgu, może elipsy, tymczasem oba pola, to na suficie i na podłodze, miały kształt trójkąta równobocznego, o lekko zakrzywionych bokach, przy czym wszystkie trzy krzywizny były identyczne. Nie tkwił zatem w walcu, lecz raczej w szczelinie, co jednak w niczym nie zmieniało faktu, iż nie docierało tu niszczące promieniowanie centuriańskich bomb.

Nie zamierzał się stąd ruszać, dopóki nie nadejdzie pomoc. W końcu musi pojawić się jakaś ekipa ratownicza. Odczekają, aż promieniowanie osłabnie, i przyjdą. Wierzył w to. Nic innego mu zresztą nie pozostało.

– Chcę pić!

Nieśmiała prośba zabrzmiała jak wystrzał. Serce podskoczyło do gardła wystraszonego Fischera.

– Kto tu?! – wrzasnął, nim zdołał pomyśleć, że ma halucynacje. Coś zaszeleściło za przepierzeniem motorniczego i zapadła cisza.

Czyżby przeżył również motorniczy?

Podeksytowany Fischer omal nie sięgnął do klamki; powstrzymał się w ostatniej chwili, uświadomiwszy sobie, że przepierzenie znajduje się poza bezpiecznym polem. Ale tam może być inne bezpieczne pole, jak najbardziej, skoro koncepcja oka cyklonu upadła...?

– Panie motorniczy? – zagał ostrożnie.

Brak odpowiedzi.

– Kto tam jest? – spytał głośniej.

– Barnaba Chrum – usłyszał po dłuższej chwili nieśmiały, schrypnięty

głosik.

Barnaba Chrum! Oszalałem, pomyślał załamany Fiszer, wcale nie jestem bezpieczny. Chrum! Promieniowanie uszkodziło mój mózg!

– Masz pić? – odezwał się głosik.

Fiszer spojrzał machinalnie na swoją teczkę, a raczej na to, co z niej zostało, gdy sztuczna skóra zmieniła się w pogięte czarne paski. Nie pamiętał, w którym momencie teczka wypadła mu z ręki, w trakcie czy już po wybuchu, ale leżała poza polem, więc i tak nie miało to żadnego znaczenia. Nawet jeśli przez przypadek wziął z sobą coś do picia, pewnie zamieniło się w gnój.

Szaleństwo szaleństwem, ale halucynacja uświadomiła Fiszerowi, że choć ocalał z prawdziwej apokalipsy, jego sytuacja nie przedstawia się różowo. Ruszyć się może najwyżej o krok, nie ma jedzenia ani – przede wszystkim – nic do picia. Na razie nie odczuwał jeszcze pragnienia, lecz majaki związane z takim akurat problemem nie wzięły się znikąd!

– Nie mam pić – szepnął, nieświadomie dostosowując się do kaleczony gramatyki głosowej projekcji.

Jak dotąd sądził, że ma nadzwyczajne szczęście. I tak niewątpliwie było, ale jeśli pomoc nie przyjdzie w porę, nic mu po tym. Zaciskając szczęki, popatrzył po szczątkach pasażerów. Oni przynajmniej nie wiedzieli, że umierają. Nawet tego nie zauważyli.

– Cholera!

Poczuł, że drętwieją mu nogi, więc podskoczył kilka razy, a potem przykucnął gwałtownie, aż strzeliło w stawie kolanowym.

Wtedy otworzyły się drzwi kabiny kierowcy. Truchło motorniczego leżało na kierownicy; rękawy, z których wypadły kości ręki, powiewały w przeciagu, ale nie na to patrzył Fiszer.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w małe czerwone oczka prosiaka. Prosiak miał na szyi grubą, nieco przydużą skórzaną obrozę z licznymi metalowymi wstawkami. Chrum! Właściwie od razu powinien

się domyślić!

Prosiak w obroży nie był niczym niezwykłym. Ładne kilkanaście lat temu zdołano przeprowadzić serię eksperymentów genetycznych na świniach, w których rezultacie znacznie zwiększono inteligencję tych zwierząt. Skutkiem ubocznym okazał się zanik hormonów przyrostu komórek, dlatego nawet dorosłe osobniki wyglądały jak oseski. Wciąż trwały prace nad uzyskaniem podobnych efektów – niekoniecznie wiążących się z miniaturyzacją rozmiarów – u zwierząt wyższych, przede wszystkim goryli i szympanśów, jak dotychczas jednak bez wyraźnych efektów. Tymczasem, kiedy okazało się, że zmutowane świnie-prosiaki z łatwością uczą się podstawowych słów i są zdolne do prowadzenia konwersacji, zwierzęta te stały się istnym przebojem. Dzieci nie chciały już mieć psów, kotów czy chomików, których geny nie poddawały się manipulacjom w sposób satysfakcjonujący. Dzieci chciały mieć prosiaki. Towarzyszy, z którymi można pobawić się w prawdziwą szkołę, z którymi można pośmiać się i nie tylko do nich przytulić, ale i pogadać nocą, kiedy rodzice wychodzą i zostaje się samemu w domu.

Dlatego Fiszerowi ulżyło, kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia. Z drugiej jednak strony nie potrafił zrozumieć, jakim cudem zwierzę zdołało przeżyć?

– Chodź tu szybko! – zawołał przytomnie. Bez względu na wyjaśnienie zagadki lepiej było, żeby nieoczekiwany towarzysz niedoli schronił się w bezpieczne, wolne od temporalnych wpływów miejsce.

Prosiak zadreptał skwapliwie, stukając raciczkami o podłogę. Gdy dopadł Fiszerą, wtulił się pomiędzy jego kolana. Cały drżał.

– Barnaba Chrum się boi. Bardzo – zakomunikował.

– Nie bój się, mój mały – powiedział Fiszer. – Wyjdziemy z tego.

Nieoczekiwanie poczuł się pewniej. Wygasł strach, że zginie tu marnie z głodu i pragnienia lub pokonany bombą Centurian. Optymizm powrócił. Tego mu było trzeba, towarzysza, choćby takiego jak Barnaba.

- Pokaż no mi się. - Wziął prosiaka na ręce. Z uśmiechem odsunął twarz, gdy ten usiłował dotknąć go okrągłym jak moneta ryjkiem. - Wiem, dlaczego ja żyję - rzekł. - Ale dlaczego żyjesz ty?

Obejrzał go dokładnie. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby sugerować jakiegokolwiek symptomy starzenia, choć prawa tylna raciczka wydawała się cokolwiek zdeformowana.

- Nie wiem - odpowiedział prosiaczek, zapytany o ten defekt. - Zawsze tak.

Jakim cudem centuriańskie pole rażenia nie miało na niego wpływu? Zagadka. Może wiązało się to z modyfikacją genów, wpadło Fiszerowi do głowy, zaraz jednak stwierdził, że to mało prawdopodobne. Już dawno by o tym wiedziano, skoro bomby spadały nie od dziś, a nie było ważniejszej kwestii niż poszukiwanie sposobów ochrony przed skutkami wybuchów.

Zatem co? Coś musiało być! Coś, co neutralizowało temporalną kieszeń. Prosiaczek nie miał nic, poza... obrożą. Fiszerowi aż zaparło dech, kiedy o tym pomyślał. Czyżby to było takie proste?

Skórzaną obrozę pokrywały ozdobne nity. Niektóre wyglądały na stalowe, niektóre na miedziane, taka mozaika o różnych kształtach. Nie znał się na tym, ale pamiętał mgliście, że metale w odpowiednich środowiskach wytwarzają pola. Magnetyczne, a może jeszcze jakieś? I odwrotnie: pola wzbudzają w metalach prądy. Czy coś takiego mogłoby neutralizować centuriański atak?

To dopiero byłoby odkrycie!

Fiszer ostrożnie postawił prosiaczka na podłodze, u swoich stóp. Zmrużył oczy i zamyślił się. O ile wcześniejsze lęki, depresje i nadzieje były jego osobistymi dramataми, z którymi mógł sobie poradzić albo nie, wszak w grę wchodziło tylko jego własne życie, teraz sprawy przybrały znacznie poważniejszy obrót. Musiał przeżyć nie tylko w zgodzie z imperatywem nazywanym instynktem samozachowawczym, nie tylko

dla siebie, ale po to, żeby przekazać wiadomość innym. Jeśli faktycznie udałooby się znaleźć sposób na przeżycie po wybuchu bomby, Centurianie byliby załatwieni!

A więc obroża. To chyba najważniejszy ślad. Ale spokojnie, Fiszer sam siebie postawił do pionu, spokojnie, nie wolno niczego przeoczyć. Wcale nie jest powiedziane, że to właściwy trop. Albo że jedyny. Decydować mogły także inne, niewykluczone, że powiązane ze sobą czynniki.

– Dlaczego wcześniej się nie odzywałeś? – spytał Barnabę.

– Spałem.

Spał! Fiszer pokręcił z niedowierzaniem głową. Przespał apokalipsę?! To też trzeba zapamiętać, liczy się każdy szczegół.

– Chcę pić! – przypomniał prosiak.

– Nie mam nic do picia, Barnaba. Będzie z tym kiepsko, z żarciem również. Musisz to zrozumieć.

– Barnaba rozumieć – zgodził się pokornie prosiak.

– Gdzie spałeś. W którym miejscu? – podjął Fiszer.

– Pod siedzeniem wujka.

– Wujka?

– Nie mój. Ale wujek. Tako rzecze Robert.

Wszystko stało się jasne: Barnaba należał do jakiegoś dzieciaka imieniem Robert, a motorniczy był jego wujem.

Fiszer powiódł smętnym wzrokiem po wnętrzu tramwaju, który stał się teraz jakąś starożytną grobową kryptą. Poszukiwał dziecięcych szkieletów.

– Czy Robert tu jest? – odważył się zapytać.

– Nie. Wypoczynek. Wczasy. A Barnaba Chrum nie zostawać sam. Nigdy sam. Przenigdy...

– Rozumiem – zastopował prosiaka. – Teraz też nie jesteś sam. W porządku?

– W porządku.

Wujek motorniczy siedział na przeplatanej koralikami derce. Kierowcy często stosowali podobne nakrycia siedzeń; koraliki masowały mięśnie, co pozwalało przetrwać długotrwałą jazdę. Prosiak spał bezpośrednio pod siedzeniem, więc może nie obroża, ale nakrycie osłoniło go przed bombą?

Zapadał zmrok. Fiszer czuł się nie najlepiej. Był bardzo zmęczony, jakby cały dzień spędził na pracy fizycznej. Zdrętwiały mu mięśnie, przede wszystkim łydki. Nie czuł głodu, ale gardło miał suche jak pieprz. Zaczynało boleć przy przełykaniu śliny. Usiadł z podkulonymi pod brodę kolanami, bacząc, żeby zmieścić się we wklęsniętym trójkącie podłogi, niczym na miniaturowej wyspie oblewanej ze wszystkich stron kwaśnym oceanem. Ochłodziło się, ale przytulony Barnaba Chrum grzał jak kaloryfer. Nie zamierzał spać, nie chcąc przeoczyć ewentualnej ekipy ratowniczej, niestety, okazało się to ponad jego siły.

*

Obudził go chłód. Świtało. Zerwał się na równe nogi, przestraszony tym, że zasnął, że może przewrócił się we śnie, wystawił rękę lub nogę poza bezpieczny obszar. Na szczęście nie wyglądało na to, żeby coś takiego miało miejsce – wciąż miał trzydzieści cztery lata.

Barnaba! Gdzie on jest?!

Prosiak buszował po tramwaju, przetrząsał sparciałą walizkę, należąca prawdopodobnie do kobiety, której stringi paradoksalnie zachowały biały kolor.

– Chodź tu w tej chwili!

Barnaba wyłonił się ze szmat, otrząsnął jak pies. W pyszczku trzymał szklaną butelkę z przezroczystym płynem.

– Nie wolno ci tam chodzić! – Fiszer był naprawdę rozeźlony. – Nie wolno! Chcesz skończyć jak oni?

Prosiak przytruchtał, przebierając śmiesznie krótkimi nóżkami, który

to widok odprężył Fiszera. Jaki okres zaniku ma degradacja czasowa spowodowana bombą Centurian, zastanawiał się. Może ja też mogę wyjść? Zdał sobie sprawę, że bierne czekanie na pomoc może okazać się poważnym błędem. Ryzykuje, że zginie tu bez szansy przekazania informacji, która być może zadecyduje o wyniku wojny. Zresztą jak ekipa ratunkowa ma zauważyć go w zamkniętej tramwajowej puszce, która w dodatku pewnie i tak zaraz się rozleci!?

Jak na potwierdzenie coś zaskrzypiało w konstrukcji. Z głuchym stęknieniem ostatnia szyba wypadła na zewnątrz.

Degradacja temporalna. Fiszera zmarszczył brwi. Usiłował przypomnieć sobie, co wie na ten temat. Pierwszą bombę Centurianie zrzucili jakieś pięć tygodni temu i tamten rejon jest już odbudowywany. Kilka innych również. Promieniowanie zanika, ale po jakim czasie? Na pewno nie w ciągu jednej doby, nie ma się co łudzić, może jednak słabnie na tyle, że człowiek zdąży się przedostać? Zwłaszcza jeśli ma się przy sobie prosiaczka i jego obrozę?

Spojrzał na Barnabę, wpatrującego się w niego małymi oczami, okolonymi delikatnymi blond rzęsami. W pysku prosiak wciąż trzymał butelkę.

– Pokaż!

Pożółkła etykieta nie dawała się odczytać, lecz zawartość wyglądała na niegazowaną wodę. Czy kilkusetletnia woda (ile mogła mieć lat, dwieście, pięćset, tysiąc?) nadaje się do picia? Spróbował zdjąć nakrętkę, która rozpadła mu się w palcach. Po dłoni pociekł płyn. Polizał ostrożnie, jakby miał do czynienia z trucizną. Nie czuł smaku, pewnie przez brak śliny w wysuszonych ustach, ale dłużej nie potrafił się powstrzymać; nie miał pojęcia, że jedna doba bez wody może tak wykończyć człowieka. Łapczywie pociągnął kilka głębokich łyków. Odstawił butelkę dopiero przynaglany popiskiwaniem towarzysza. Nalał wody do zwiniętej w miseczkę dłoni, w której natychmiast wylądował łapczywy, wysuszony

ryjek. Nalał po raz drugi.

- Oszczędzać – prosiaczek zaskoczył go inteligencją.
- Nie musimy – rzekł. – Zaraz ruszamy w drogę.

Jednak zeszło im jeszcze trochę, bo choć woda z prosiakowej butelki nie okazała się śmiertelną trucizną, to obaj rzygali po niej jak koty.

*

Tachiony przemieszczają się w superstrunowej pianie. Jakiś wektor ma przeciwny kierunek, przypomniał sobie Fiszer wypowiedź któregoś naukowca. Ciekawe, czy facet w ogóle wiedział, o czym mówi? Może tak. Fiszer rozumiał, jaka przepaść dzieli umysły żyjących obok siebie ludzi. Einstein i fryzjer, który go strzygł, wyglądali tak samo. Wszelkie procesy chemiczne i elektryczne w ich organizmach przebiegały identycznie. A jednak dzieliła ich przepaść, niebędąca zasługą ani winą żadnego z nich.

Nieznana była głębokość innej przepaści, tej dzielącej najlepsze współczesne umysły od Centurian, ale Fiszer wierzył, że nie jest to przepaść bez dna. Bez tej wiary wciąż siedziałby w tramwaju i czekał na pomoc.

Szedł środkiem głównej ulicy, lawirując pomiędzy wrakami samochodów, z upiornymi szoferami za kierownicą. Prawie nie było stłuczek; samochody stały tak, jak dopadła je eksplozja bomby, zatrzymane w filmowym kadrze. Kierowca półciężarówki marki „LUBLIN” wciąż trzymał w kościotrupiej ręce telefon komórkowy, przystawiony do kości skroniowej.

Fiszer wolał iść ulicą, bo ilość zwłok na chodnikach była przerażająca. Nie było sposobu, żeby nie deptać po szczątkach. Poza tym ulica okazała się trwalsza, chodniki kruszyły się, zamieniały w cementowy pył, wzbijający się z każdym krokiem, łatwo się było potknąć. Asfalt natomiast, choć śmierdzący paloną smołą, kruszył się bezpyłowo i nie chwiało pod stopami.

W ramionach trzymał Barnabę, który nie miał nic przeciwko temu, aby być niesionym, zamiast męczyć się w narastającym upale. Fiszer dotykał brodą wybijanej świekami obroży, co dodawało mu otuchy. Wierzył w jej moc. Jak miał nie wierzyć, kiedy szedł już blisko kwadrans i nawet niespecjalnie się zmęczył?

Obroża obrożą, ale po tylu godzinach oddziaływanie temporalne mogło być nikłe – może przyjmował niewielką tylko dawkę, która kumuluje się niezauważalnie i wszystko wyjdzie za jakiś czas? Fiszer pogodził się nawet z perspektywą własnej śmierci, byle to wszystko wreszcie się skończyło, byle dotrzeć do granicy tej strefy śmierci. Pomimo upału niósł na plecach rozpostartą koralikową derkę ściągniętą z siedzenia motorniczego. Prosiaczek aż zakwiczał, jakby dostał kopniaka, gdy Fiszer bezceremonialnie zrzucił truchło kierowcy na podłogę.

Każdy szczegół może mieć znaczenie. Tak sobie założył i tego się trzymał.

W początkowych minutach po wyjściu z tramwaju serce Fiszera waliło jak dzwon. Bał się; niemal czuł, jak ściąga mu się skóra na twarzy, wypadają włosy. Koszmar. Ale w miarę upływu czasu strach rejterował, wypierany optymizmem. Nadzieją, że wszystko się uda.

Kiedy dotarł na peryferie miasta, do dzielnicy domków, działek z zadbanymi niegdyś trawnikami – teraz świeącymi gołą, wyschniętą ziemią bez śladu jednego choćby krzaka lub drzewa – nieoczekiwanie poczuł się źle. Ni stąd, ni zowąd był bardzo zmęczony. Sądząc po pozycji słońca, jak i trasie, którą pokonał, nie minęło wiele czasu, najwyżej pół godziny. Skąd takie przemęczenie?

Strach nie uciekł daleko. On tylko się przyczaił. Dzwon w piersiach Fiszera znów się odezwał.

– Jak się czujesz, Barnaba? – ledwie wydobywał słowa ze ściśniętego gardła.

– Barnabie gorąco.

Upał! Fiszer odetchnął. Odprężył się. To po prostu tylko upał... Faktycznie, było gorąco pomimo rannej pory. Nic dziwnego, że był osłabiony, zważywszy na dokuczliwy brak wody.

– Mądry zwierzak. – Spojrzał na prosiaka z wdzięcznością.

– Barnaba Chrum mądry – rzekł z dumą Barnaba, choć pewnie nie zrozumiał, o co chodzi.

Fiszer spojrzał w górę. Słońce miało dziwaczną barwę. Słomkową. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przybierało taki kolor. *Tachiony w superstrunowej pianie*, czymkolwiek były, niewątpliwie miały w tym swój udział.

– Pięć minut w cieniu – zdecydował. Chciał nabrać pewności, co się z nim dzieje.

Najbliższym cieniem była zachodnia ściana małego domku, którego dach całkiem wpadł do środka, skutkiem czego szczyty murów przypominały miniaturowy średniowieczny zamek stojący w ruinie od stuleci. Dotarcie do niego przez żeliwny płot, walący się po pierwszym dotknięciu, nie stanowiło problemu. Przez chwilę Fiszer poczuł się jak Godzilla w Tokio.

W cieniu było znacznie chłodniej; zadziwiająco chłodno, jakby nagle znaleźli się w klimatyzowanym pomieszczeniu, co potwierdzało hipotezę o wpływie pola temporalnego na promieniowanie słoneczne. Z drugiej jednak strony potwierdzało również, że takowe pole wciąż istnieje.

Fiszer zdjął z pleców koralikową derkę, rzucił na piaszczystą ziemię i siadł wygodnie, podpierając się plecami o ścianę. Prosiak usiłował się wyrwać, twierdząc, że w domu znajdzie coś do picia, ale Fiszer trzymał go mocno.

– Już raz piłeś – przypomniał. – Mało ci rzygania? Musisz wytrzymać. To nie potrwa długo, myślę, że jeszcze jakieś pięć, sześć kilometrów i wydostaniemy się.

Dopiero teraz spostrzegł ludzki szkielet spoczywający na rozwalonym leżaku. Należał do kobiety, sądząc po staniku na pałkowatych żebrach. Fakt, iż wcześniej nie zwrócił na niego uwagi, świadczył wymownie, jak szybko powszednie człowiekowi widok, który wcześniej uznałby za koszmar. Obok kobiety leżały szczątki prosiaka, który w chwili zero pewnie wygrzewał się na słońcu ze swoją panią. Obroża, którą nosił, była skórzana. Bez metalowych ćwieków.

– Człowiek – powiedział prosiak.

– Tak – potwierdził Fiszer, nie odrywając wzroku od szkieletów. – I jego pies.

Nie chciał przestraszyć Barnaby. Zresztą może to rzeczywiście był pies?

– Idzie – kontynuował prosiak.

Zaskoczony Fiszer odwrócił wzrok. Szosą szedł człowiek. Zataczał się, z trudem omijając przewrócony rower z małym, zakutym w kask i ochraniacze truchłem.

Fiszer poderwał się podekscytowany.

– Proszę pana!

Nieznajomy przystanął. Zachwiał się. Wydawało się, że zaraz się przewróci, lecz jakoś zdołał utrzymać równowagę.

Patrzył na nich, jakby zobaczył duchy, choć to raczej on tak wyglądał. Był niewiarygodnie zaniedbany. Wokół plackowatej łysiny wisały długie do ramion, przetłuszczone włosy koloru cementu. Taka sama broda, postrzępiona, jakby powyrywał ją sobie garściami. Coś mówił, ale tak cicho, że Fiszer raczej domyślał się, że to słowa, a nie bezsensowne mamrotanie. Wymachiwał przy tym rękami z energią przeczącą ogólnemu wrażeniu wyczerpania.

Fiszer przełożył prosiaczka pod pachę i ruszył w stronę mężczyzny. Kiedy mijał płot, zatrzymał się speszony badawczym spojrzeniem szalonych oczu.

- Kim pan jest? - zapytał, całkiem już pozbawiony początkowej nadziei, że ma do czynienia z kimś z ekipy ratowniczej, która wreszcie mogła wyruszyć, bo zniknęło promieniowanie.

- Moja dziewczyna - szeptał nieznajomy, ignorując pytanie. Spoglądał na Fiszera pełnymi wigoru niebieskimi oczami; młodymi, zupełnie niepasującymi do pomarszczonej twarzy, żółtej jak wosk, upstrzonej brązowymi plamami. - Nie widział pan mojej... dziewczyny? Jest tu... gdzieś... - Wykręcił głowę, może spodziewając się, że zaraz ją zobaczy. - Mieliśmy się spotkać.

Nie precyzował, kogo nazywa swoją dziewczyną. Wnuczkę, córkę? A może naprawdę chodzi o dziewczynę, zdał sobie sprawę Fiszer, czując, jak ogarnia go chłód, mimo iż znów stał w spiekocie słomkowego słońca, ten człowiek przecież...

Zbliżał się ostrożnie, coraz szerzej otwierając oczy, bo zaczynał pojmować, co takiego się dzieje.

- Ile masz lat? - Wolną ręką chwycił kościste ramię, spojrzał w błękitne oczy.

- ...aście.

- Boże! Chodź w cień. W cień! - Szarpnął za drżącą dłoń, suchą i chłodną, jakby już należała do nieboszczyka. Nieznajomy opierał się, próbował wyrwać, ale spokorniał, gdy Fiszer wzmocnił uścisk, pociągnął na siłę.

- Beata... Mieliśmy się spotkać...

- Nie tutaj - przerwał mu Fiszer. - Tutaj nikogo nie ma.

Kiedy posadził marudzącego mężczyznę (chłopca?) pod ścianą zrujnowanego niby-zamku, Barnaba wyrwał mu się spod ramienia. Spadł niefortunnie na ryjek i kwiknąwszy przeraźliwie, przewrócił się. Fiszer wyciągnął rękę, żeby go schwytać, zahaczył palcami o obrozę, ale prosiak błyskawicznie się pozbierał, w jakimś amoku zadrobił nóżkami i już był na wolności. W palcach Fiszera została tylko rozerwana przy sprzączce

obroża.

– Barnaba, chodź tu!

Z podwiniętymi uszami prosiak cwałował ku drzwiom budynku, zostawiając za sobą tuman kurzu.

– Barnaba pić! – zawołał.

– Wracaj! W tej chwili wracaj!

Prosiak udawał, że nie słyszy, z pewnością udawał, nie sposób było nie słyszeć Fiszera, który darł się, jakby obdzierano go ze skóry. W istocie o własną skórę wrzeszczał.

– Czy to Matrioszka? – spytał nieznajomy trzeźwym nagle głosem. Najwyraźniej przestraszony, wodził oczami za uciekającym zwierzakiem znikającym w otworze po drzwiach.

– Co? – Fiszera zastygł z otwartymi ustami. W pół ruchu, by biec za Barnabą. – Co?! – powtórzył, czując nagłą pustkę w piersiach, jakby zatrzymało się serce, pustkę w głowie, jakby zamknęły się wszystkie synapsy.

Nieznajomy skulił się, choć nie był niczemu winien.

Fiszera nie mówił nic więcej. Wystarczyło tamto jedno słowo. Matrioszka. I w jednej nanosekundzie przenicowały się wszelkie nadzieje. Wiedział, że usłyszał prawdę.

W porannej gazecie, tej wczorajszej, był artykuł. Fiszera czytał tę gazetę, czytał ją w tamtym tramwaju, nim wstał, żeby zająć miejsce przy wyjściu, bo następny przystanek był tym, na którym miał wysiąść.

Matrioszka – kłął w oczy tytuł na pierwszej stronie.

Przecież czytał ten artykuł uważnie! Naprawdę uważnie! Teraz pamiętał każdy akapit, ale wcześniej...? Jak mógł zapomnieć o czymś tak ważnym?!

Zapomniał.

I ktoś taki chciał uratować świat?!

Pewnie dlatego, że tam było o myszy. Nie o prosiaku, ale o myszy!

Zabrakło skojarzenia. Prostej jak drut interpolacji do większego rozmiaru!

Dziennikarz donosił o najnowszej generacji centuriańskich bomb. Doszedł nowy element. Matrioszka, jak powiedział ktoś mimochodem, i nazwę podchwycono. Perfidia Centurian polegała na tym, że nowa bomba działała zupełnie tak samo jak poprzednie. Pozornie nic się nie zmieniło. Poza jednym drobnym szczegółem: w tej nowej bombie Centurianie przemycali drugą, mniejszą, która nie wybuchała od razu. Podstęp polegał na tym, że bomba z opóźnionym zapłonem potrafiła się przemieszczać i że w ogóle na bombę nie wyglądała. Wyglądała jak zwykła polna mysz. W wierzchniej warstwie, pod skórą, miała nawet ciecz łudząco podobną do prawdziwej krwi.

Przed skutkami wybuchu pierwszej bomby chroniły ją prawa fizyki ujarzmione przez Centurian – fałszywa mysz znajdowała się w centrum eksplozji, gdzie równoważyły się natężenia temporalnego pola.

Zdruzgotany Fiszer wreszcie złapał w płuca powietrze.

Oko cyklonu! Sam środeczek! Wszystko się zgadza, niestety!

Opadł na ziemię obok mężczyzny. Z wnętrza domu dobiegały hałasy.

– Zależy mu na wodzie – rzekł drewnianym głosem. – To pewnie jego paliwo. Musi mieć jakiś wodorowy napęd.

Przez jakiś czas milczeli, wsłuchując się w odgłosy zza ściany. Czasami cichły (złowrogo, skostatował Fiszer, każda cisza brzmi teraz złowrogo!), po czym znów przybierały na sile. Matrioszka wciąż nie znajdowała wody. Może nie znajdzie i padnie, nim zdoła dostać się w zamieszkałe rejony? Może. Ale Fiszer sam w to nie wierzył, ku własnej rozpaczycy uzmysłowiwszy sobie, że przecież naiwnie niósł sukinkota na rękach, nieświadomie oszczędzając jego energetyczne zapasy. Cóż za ironia losu!

– Jak masz na imię? – spytał.

– Hubert, proszę pana.

Nieco dziwacznie to brzmiało, gdy dwa razy starszy mężczyzna mówił do niego „proszę pana”, podczas gdy on do niego na „ty”, ale nie czas było przejmować się takim drobiazgiem.

– Co teraz zrobimy? – spytał szeptem Hubert. Z jego oczu wyparowały opętańcze błyski, z głosu zniknął marazm, jakby kilka chwil wcześniej zupełnie kto inny bredził o jakiejś Beatrycze. Czy to uzdrowił go chłód cienia, czy też nowe wyzwanie...?

Fischer zerkał z ukosa.

– Co zrobimy?

Już w pytaniu tkwił plan.

– Załatwimy skubańca – zgodził się. Również zniżył głos do szeptu. – Ale jak?

– Prosiaka się zarzyna, czyż nie? – Hubert wymownie ciachnął ręką przez gardło. – I po krzyku!

– Wybuchnie. Myślisz, że Centurianie to idioci? Jak tylko zaczniemy majstrować, wybuchnie jak nic – rzekł Fischer.

W jego głosie brzmiała rezygnacja. Miał być bohaterem, człowiekiem, któremu – kto wie – wystawią kiedyś pomnik! Cóż za dziecinada?! Centurianie z pewnością nie są idiotami, ale on tak – znów przypomniał sobie, jak troskliwie opiekował się bombą.

– Wiesz co...? – Fischer wyprostował się, wziął większy oddech.

Nie powiedziane, że kłamka zapadła. Pewnie, że lepiej być żywym bohaterem. Ale bohater to bohater. Nawet jeśli nikt nie postawi mu pomnika.

– Zdetonujemy tę bombę, póki jest tutaj, gdzie i tak wszystko stracone – podjął decyzję.

Wstał, odwracając się w stronę wejścia do budynku.

– Nie...! – zaprzeczył ku jego zdumieniu Hubert. – Nie my – kontynuował, nim Fischer zdążył się odezwać. – Ja to zrobię, pan niech ucieka, może jeszcze pan zdąży. Proszę popatrzeć. – Wyciągnął przed

siebie kościste ręce, jakby powykręcane reumatyzmem. Obleczone skórą piszczele. – I tak już po mnie. Czuję się, jakbym miał sto lat, i pewnie niedużo mi do nich brakuje...

– Ale...

– Po co mamy ginąć obaj? Do granicy strefy jest może kwadrans, jeśli będzie pan biegł szybko, może jeszcze krócej. Wiem, bo dopiero co stamtąd przyszedłem... Tak ją kochałem – roztkliwił się nagle, jakby w jego głowie działał jakiś schizofreniczny przełącznik. – Tak kochałem, to był mój pomysł z tą randką tutaj, spóźniłem się, zasnęłam, uwierzy pan? Zasnęłam w środku dnia i nie zdążyłem być razem z nią... Nie chcieli mnie przepuścić, cały kordon wojska, ale co tam, śmignąłem im, tyle mnie widzieli...

– Uspokój się. – Fiszer położył dłoń na ramieniu mężczyzny. – Teraz to już nieważne. Nie cierpiała, jeśli chcesz wiedzieć, nikt nie cierpiał. Nie mieli pojęcia, że cokolwiek się wydarzyło.

Chciał pomóc Hubertowi wstać, ale ten zaprotestował. Sam sobie poradził, pragnąc zapewne pokazać, że nie takiemu zadaniu sprosta.

– Niech pan ucieka – ponaglił. – Bo nie wystarczy czasu. Mojego i pańskiego.

Trudno było zaprzeczyć. Poznali się przed kilkunastoma minutami i jeśli wtedy, pomijając obszarpane ubranie, mężczyzna wyglądał na lat czterdzieści, to teraz miał sześćdziesiąt, jak nic.

– Jak chcesz to zrobić?

– Mój ojciec jest myśliwym, mam na imię Hubert, łapie pan? – zachichotał, jakby było w tym cokolwiek śmiesznego. – Nieraz oporządzałem dzika, to myśli pan, że z takim maleństwem... Do cholery, chyba znajdę w kuchni jakiś przerdzewiały nóż? – Ruszył naprzód, ku drzwiom, śladami prosiaczkowych raciczek. – Proszę się nie martwić, poradzę sobie.

– Nazywa siebie Barnabą Chrum – dogonił go Fiszer, nie chcąc mówić

za głośno. – Zgrywa ufnego, najlepiej zwab go wodą, jeśli znajdziesz. Nie zdradź się, że wiesz.

– Jeśli teraz nie odejdziesz, to już nie będziesz miał po co! – rzekł z gniewem Hubert, wymownie chwytając Fiszera za długie włosy, których końcówki wyraźnie posiwiały. Wyrosły nie wiedzieć kiedy, Fiszera przysięgłby, że jeszcze przed chwilą...

– Puszczaj!

Puścił.

Z domu wciąż dochodziły hałasy; zwały się jakieś meble, a może i cała ściana. Centuriańska bomba uparcie szukała paliwa.

– Pora – powiedział młody starzec i odwrócił się tyłem. Bez słowa pożegnania wszedł do domu.

Także i Fiszera nie czekał dłużej. Wyszedł z chłodnego cienia na podjazd, w skwar jak na patelni. W dłoni wciąż trzymał rozerwaną obrozę prosiaka. Wziął zamach, żeby rzucić ją jak najdalej, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Gdyby człowiek trzymał przy sobie świadectwa własnej głupoty, może mniej popełniałby błędów?

Spojrzał w dół ulicy. Piętnaście minut, powiedział Hubert. Albo mniej, jeśli będziesz wystarczająco szybki.

Pobiegł.

O ile w pierwszych sekundach jeszcze się wahał, chwilę później pędził na granicy utraty tchu. Nie tylko biegł po życie. Również uciekał.

*

Wojskowy kordon. Ciężarówka, transportery opancerzone, czerwone wozy gaśnicze, nawet jakiś czołg. Dzielił go od nich niewiarygodnie długi dystans nagiej, wypalanej ziemi, a na wprost, jak strzelił, ciemna wstęga zrujnowanej szosy, niczym bieżnia dla spóźnionego maratończyka. Byli i kibice – żołnierze zbiegali się ku mecie, słyszał ich krzyki, wyciągnięte w dopingu ręce. Z węża zdjętego ze strażackiego wozu lał się pianisty płyn,

już ciągnęli drugi wąż, trzeci, jakby to nie człowiek do nich mknął, lecz dymiący po kolizji bolid Formuły 1.

Nie miał sił biec dalej.

Nie dam rady, ledwie o tym pomyślał, zaplątały mu się nogi. Upadł.

– Ile ma pan lat?

Otworzył oczy.

– Trzydzieści cztery – powiedział, nim zogniskowały się źrenice i zobaczył, że blondwłosa pielęgniarka jest bardzo ładna, choć jej makijaż przesadnie wyzywający. Po grubym, śmierdzącym potem wojskowym lekarzu była to miła odmiana.

– No to nieźle się panu udało. Cud jakiś! – Wdzięcznym ruchem wyciągnęła spod pachy lustro, widać przygotowała się wcześniej. – O ile mi wiadomo, pole temporalne wciąż wykazuje aktywność.

– Gotowy? – spytała, trzymając lustro niczym magik mający za chwilę puścić żywego zajączka.

Czy był gotów? Sądził, że tak, ale powieki same zamknęły się, jakby podświadomie pragnął jednak odwlec tę chwilę.

Uniósł okrwawioną głowę; przy upadku zranił sobie twarz. Nie miał siły biec, a żołnierze krzatali się w oddali, wzdłuż granicy strefy, nerwowi niczym mrówki przy rozbitym gnieździe. Podniósł się na czworakach, próbował stanąć, ale znów omal się przewrócić, więc dał sobie spokój, szedł dalej w tej zwierzęcej pozycji i nagle ogarnął go irracjonalny strach, że wezmą go za Matrioszkę, wypalą zaraz z działa i zdetonują! Podziałało o tyle, że jednak wstał; usiłował zawołać przez ściśnięte gardło, udowodnić, że jest człowiekiem z krwi i kości, ale na próbach się skończyło. Spadła na niego ciemność, nagle, jakby ktoś zniecka założył mu na głowę worek. Próbował otworzyć szerzej oczy, by pokonać ten mrok, wyrwać się – nie miał wątpliwości – śmierci spod kosa.

Pielęgniarka patrzyła z cierpliwym uśmiechem.

– Poda mi pan rękę, to coś panu powiem.

Podał natychmiast, jak pies wykonujący polecenie.

– Specjalnie przysłała mnie do pana – powiedziała. – Właśnie mnie – podkreśliła, akcentując samogłoskę pierwszego wyrazu. – Mam trzymać pana za rękę, kiedy będzie pan patrzył w to lustro. Bliskość pięknej kobiety złagodzi szok – kontynuowała bez żenady, jakby nie o sobie mówiła. – Tak wychodzi z pańskiego portretu psychologicznego: pańska próżność, instynktowna chęć zaimponowania partnerce, nie dopuści do panicznych reakcji.

Fischer uśmiechnął się. Nie przypuszczał, żeby mówiła prawdę, ale była miła. No i chyba osiągnęła swój cel, rzeczywiście poczuł się lepiej. Swobodniej.

Odwróciła lustro.

W pierwszej chwili zobaczył niewiele, jakby spoglądał przez rozregulowaną lornetkę. Z oddali dobiegały wołania żołnierzy. To na niego wołali, przyzywali do siebie, i te krzyki – z braku ostrości widzenia – stały się jego drogowskazem. Wlókł się w ich stronę, zataczał, a kiedy upadł, pełzył, wściekły nagle, że nikt nie ma odwagi mu pomóc, poświęcić ułamek życia (ile raptem, dzień, dwa?) i po prostu go stąd wyciągnąć. A przecież on dla nich chciał zrobić tak wiele, nie pamiętał już co, plątały mu się myśli, ale chyba zasługiwał na to, żeby...

– Nic pan nie mówi? – zaciekawiała się pielęgniarka. Wciąż ścisnęła jego rękę.

– Dlaczego mnie ogoliliście? – spytał.

– Nie ogoliliśmy. Włosy same wypadły.

– Tak wszystkie?

– No właśnie. – Chyba nie za bardzo wiedziała, co mówić; może wciąż czekała na bardziej zdecydowaną reakcję pacjenta. – Na pociechę dodam, że pańskie EEG jest bez zarzutu. Mamy już kilku takich, którym udało się przeżyć, z krawędzi eksplozji, ale pan jest pierwszym, który ma

poprawne EEG.

Wzruszył ramionami.

– Pana biologiczny wiek wynosi teraz czterdzieści osiem lat – sprecyzowała, patrząc na Fiszera jakoś dziwnie, badawczo, aż zorientował się, że jego spokój brany jest za jakąś autystyczną rezygnację, apatię, może nawet psychiczną zapaść.

Wyciągnął dłoń spod jej dłoni.

– Proszę pani – rzekł z wyrzutem – widziałem ludzi, którzy umarli ze starości, nim zdążyłem mrugnąć powieką. Widziałem nastolatka, który w niewiele ponad kwadrans stał się starcem. Cóż mogę powiedzieć...?

Zerknął w lustro.

– Czternaście lat – mruknął. – Mogło być gorzej, nie?

– Mogło być gorzej – powiedział młodziutki żołnierz, którego twarzy Fiszer nie mógł zobaczyć, gdyż oczy łzawiły mu jak po jakimś gazie. – Halo! Słyszysz mnie pan? Niech pan się trzyma! Karetka już podjeżdża!

– Jak udało mu się przeżyć? – pytał ktoś inny.

– Cud jakiś.

– Nie strasz, cholera. Nie wiesz, że cudów nie da się wyjaśnić?

– Panowie, co on trzyma w ręku?

*

– Jest dziennikarką – powiedziała pielęgniarka. – Ale, jak wspomniałam, nie sądzę, żeby sprowadzały ją wyłącznie względy zawodowe. Nie przyszła sama.

Fiszer skinął głową.

– Wolałbym jednak, żeby rozmowa miała charakter osobisty. – Wymownie zerknął na drzwi.

– Oczywiście.

Dlaczego zgodził się na to spotkanie? Wyrzuty sumienia? Tylko je rozjątrzył...

– Bardzo przepraszam – zaczęła kobieta. – Może nie powinniśmy pana niepokoić, tyle pan przeszedł. Ale ten reportaż o pańskim cudownym ocaleniu... Widziałam go w telewizji i...

Jak na dziennikarkę była zdumiewająco zażenowana.

– To już się wyjaśniło – rzekł Fiszer, z chęcią podejmując temat oddalający od przykrego meritum. – Żaden cud. Sądziłem, że znalazłem się w centrum eksplozji, a tymczasem było wręcz przeciwnie. Stałem na skraju. Wybuchły trzy bomby, ich kołowe pola rażenia częściowo nałożyły się na siebie, ale w geometrycznym środku pozostała niewielka przestrzeń poza zasięgiem każdej z nich. Rozumie pani, jeśli w każdym z wierzchołków trójkąta równobocznego narysujemy okręgi o odpowiednim promieniu...

– Tak, wiem – przerwała mu nieśmiało. – To wszystko tłumaczyli w telewizji, ale sam fakt, że znalazł się pan akurat...

– Przypadek. Miałem szczęście... – zająknął się.

Za dużo gadał.

– O co konkretnie chodzi? – zapytał.

Kłamał. Dobrze wiedział, o co im chodzi. Jej i chłopcu imieniem Robert, który stał w milczeniu, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy matka wyłuszczyła problem. Chłopiec miał sześć, najwyżej siedem lat.

Skądś dowiedzieli się, że cudownie ocalały facet wyniósł ze strefy obrożę. Kobieta pewnie zrozumie, ale jak to wszystko wyjaśnić dzieciakowi?

Parszywa sytuacja.

„Nie wiem, o czym pan mówi”, zdziwił się przesłuchujący Fiszera żołnierz w stopniu majora. „Przechwyciliśmy wszystkie trzy Matrioszki. To nadal są myszy”.

Naprawdę parszywa.

JOANNA KUŁAKOWSKA [1975]

Debiutowała w 1996 roku opowiadaniem *Gdy przyjdzie Złotooki* („Fenix”).

Autorka opowiadań, recenzji, artykułów fantastycznych i popularnonaukowych w różnych czasopismach. Współorganizatorka kilku warszawskich konwentów, stała współpracowniczką „Nowej Fantastyki”.

Obecnie zajmuje się korektą książek o tematyce SF i fantasy. Poza branżą fantastyczną pisuje przede wszystkim artykuły z zakresu psychologii.

Joanna Kułakowska

Goście z pokoju obok

Wszedłem do salonu dokładnie w chwili, gdy dziecko przybiegło w podskokach z kuchni, nucąc piosenkę do wtóru telewizorowi. Miało ciemne włosy tak krótko ostrzyżone, iż najpierw pomyślałem, że to chłopiec, mniej więcej siedmioletni, ale śpiewający głos był wysokim i delikatnym dzwoneczkiem małej dziewczynki. [...]

Wrażenie minęło, gdy zobaczyłem, jak zdeformowany jest jej brzuch. Wyglądał tak, jakby schowała w ogrodniczkach piłkę do koszykówki. Spoglądała na mnie, póki nie zauważyła, na co się gapię. Wówczas przystanęła na środku pokoju i zdjęła dżinsy i koszulkę. Była w ciąży.

Jonathan Carroll „Dziecko na niebie”

Czasoprzestrzeń kuli, którą uważamy za całokształt naszego kosmosu, jest w rzeczywistości tylko atomem prawdziwej nieskończoności, która jest ich udziałem.

H.P. Lovecraft „Szepczący w ciemności”

Porywisty wiatr bezlitośnie ograbiał drzewa z poźółkłej, postrzępionej szaty. Komisarz Małecki nie lubił na to patrzeć. Jesienne miesiące przyprawiały go o dreszcze. Cholernie brudna i ponura pora roku... Już wolał zimę. Dawne mroźne zimy, gdy wszystko stawało się białe, sterylne i oczywiste.

Wyrzucił niedopałek, po czym wbił go w ziemię obcasem. Wykonał to starannie, jak wszystko, do czego się zabierał, uważając, by przypadkiem nie zbrukać błotem ciężkich buciorów. Przyjrzał im się krytycznie. Czarne noski mogły swobodnie służyć za lusterka. Zadowolony z oględzin, zerknął na podkomendnych. Humor znów mu się popsuł.

Właściwie powinien dziś siedzieć na tyłku – biurko ugięło się pod stertą papierysk wołających o uwagę tłustym czarnym drukiem lub czerwienią odręcznych notatek. Wolał jednak przewietrzyć się z „młodymi”. Ot tak, dla higieny psychicznej.

Pojechali w teren, bo zaginął jakiś pieprzony czubek. Kto, do ciężkiej cholery, puszcza takiego samopas?! Niby psychiatra zaklinał się na wszystkie świętości, że gość już wyleczony...

– Eee... Znaleźliśmy... ten, no... Coś. – Z miny posterunkowego Konara można było wnosić, że to „coś” obrzydliwego.

Małecki ożywił się.

– „Coś”, to znaczy co?

– Noo... Może by tak pan komisarz sam zobaczył...

Chłopak stropił się wyraźnie pod ciężarem spojrzenia przełożonego. Zakłopotany, w końcu utkwiał wzrok w czubkach własnych butów, czyszczonych stanowczo zbyt rzadko jak na gust Małeckiego.

Matko Boska, świat się kończy! „Może by tak pan komisarz sam zobaczył”. Ha! Oby nie pozacierali śladów. W dzisiejszych czasach już chyba nikomu nie można ufać, pomyślał z rosnącą irytacją komisarz. A najmniej kretnom tuż po szkoleniu.

Zapuszczony, niepozorny budynek dawnej kotłowni świecił

pustkami. Pozostawiono go na łasce – a raczej niełasce – niszczącego czasu ponad dziesięć lat temu.

Nikt nie próbował ponownie zagospodarować pomieszczeń. Zdaniem Małeckiego, stanowiło to czyste marnotrawstwo i dowód niepojętej głupoty ludzkiej. Opuszczoną kotłownię w jego sąsiedztwie błyskawicznie wynajęto firmie doradztwa personalnego. Teraz pyszniła się eleganckim szyldem oraz odnowionymi ścianami. Te tutaj straszyły obleśnymi napisami i odpadającym tynkiem. Na pewno ściągały tu bandy wagarujących gówniarzy, bezdomnych i bandyterki wszelkiej maści. Miejsce aż prosiło się o historię godną zamieszczenia w programie „997”... Psychiatra Zdzisław Niedzielski twierdził, że zaginiony mógł udać się właśnie tutaj.

Wewnątrz budynku cuchnęło uryną. Po chwili oczy komisarza przywykły do półmroku. Jedynie dzięki nielicznym szczelinom w zabitych deskami oknach było cokolwiek widać. Rozejrzał się niechętnie. Z przyjemnością przywaliłbym temu konowałowi, myślał dalej policjant. Już wyleczony, tylko jeszcze na terapii przystosowawczej, akurat... Chłopak prawie pełnoletni... Pewnie Niedzielski polubił pacjenta i nie chciał pchać go do wariatkowa dla dorosłych. Jak nic wypuścili świra, cholera wie, może się na kogo rzucił albo kto na niego... Diabła tam, nie wiadomo, co gorsze w tej sytuacji.

Ponure rozważania funkcjonariusza przerwał drugi podkomendny, posterunkowy Suska. Siłą rzeczy dowcipni koledzy ochrzcili go Zuzką.

– W drugim pomieszczeniu – oznajmił dziwnie wąłym głosem.

Przełożony ruszył za nim, uważając, by nie wdepnąć w resztki rzygowin i stłuczone butelki.

– Proszę spojrzeć, panie komisarzu... Co to, kurwa, jest?! – wyskrzeczwał Zuzka z za przyciśniętej do nosa chusteczki.

Małecki sądził, że używanie materiałowych chustek to wstrętny zwyczaj. Zasuszone gluty w kieszeni. Ohyda. Tym razem jednak wiele by

dał nawet za zasmarkany kawałek płótna.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem... - stwierdził, walcząc z mdłościami. Bunt organizmu przydarzył mu się po raz pierwszy od czternastu lat. Od czasu, gdy ujrzał efekt próby zatuszowania skutków wyjątkowo intensywnej miłości rodzicielskiej. Przy pomocy piły.

- Wzywamy techników. Ten pojeb Kowalczyk będzie zachwycony. Na razie wychodzimy, zostawmy to...

*

...nagie i bezbronne, zadumał się Paweł, zawieszając wzrok na drzewach ogałacanych przez wiatr. Nie mógł pozbyć się głupiego wrażenia, że wznoszą ku niebu gałęzie w bezradnym geście.

Patrzył, jak liście tańczą w powietrzu, by w końcu opaść powoli na ziemię. Kruchy całun otulający wspomnienie lata... Niezła metafora życia, orzekł drwiąco. Czysta, zasrana poezja.

Jeszcze nie tak dawno pisał smętne, pretensjonalne wierszydła w ramach dodatkowej terapii sztuką. Terapeutka, nawiedzone, tłuste babsko gustujące w pastelowych golfach, oznajmiła, że „ubieranie w słowa ulotnych odczuć to konfrontacja z własnym ja”. Czy coś w tym stylu...

O tej porze roku często łapał doła.

Dzieciarnia raczej nie podzielała jego nastroju. Rozwrzeszczana hałastra wyległa właśnie ze szkoły i rozlała się kolorową falą po całym parku Morskie Oko. Przyglądał im się przez moment, a potem skierował spojrzenie na podniszczone mury podstawówki. Nie wyniósł stąd najmielszych wspomnień. Doktorek uznał jednak, że spacer po starych śmieciach pomoże uporać się z traumatycznymi wspomnieniami. Tia... Z drugiej strony nie miał nic lepszego do roboty. Pogapił się dłuższą chwilę, po czym odwrócił zdecydowanie. To szkoła, a nuż-widelec uznają go za pedofila? Wyobraził sobie, jak tłumaczy się na policji, i parsknął

śmiechem. A to dobre: wariat-pedofil.

Dokąd teraz? Niedzielski chciał, żeby zerknął do dawnej kotłowni, o ile wciąż można się tam dostać, ale „oczywiście w towarzystwie kogoś zaufanego”. Jaaasne... Może jeszcze z tym zbirem Dworakiem albo z tą kretynką siostrą Łapińską? Wcale mu nie brakowało ich obecności. Kotłownia kusiła, a zarazem odpychała... Cokolwiek jednak zdecyduje, na pewno nie chwyci matki za spódnicę ani nie skorzysta z towarzystwa nadgorliwych pajaców. To dość daleko. Po kiego grzyba leżać właśnie teraz, zastanawiał się Paweł, grzebiąc czubkiem buta w burych liściach. Co mi to da? Z drugiej strony może doktor ma rację... Ty tchórze, powinieś spróbować, przekonywał sam siebie. I co...

*

...robisz w portki, śmieciu? – zapytał Alek Woźniak i zachichotał.

Bawił się znakomicie, zaciskając palce na dorodnej, pękatej dżdżownicy, która usiłowała wymknąć się z potrzasku. Pawełkowi nie było do śmiechu. Skulony, patrzył z lękiem, jak stworzenie wiję się w dłoni starszego chłopca. Załedwie kilka chwil wcześniej szarpał się rozpaczliwie, wleczony przez kolegów do starej kotłowni. Powiedzieli, że już go lubią, skusili obietnicą fajnej zabawy, więc chętnie wsiadł z nimi do tramwaju, nie zastanawiając się nawet, w jaki sposób wytłumaczy rodzicom spóźnienie. Kiedy próbował wyślizgnąć się prześladowcom, zapewne wyglądał jak ta dżdżownica...

Chłopak zbliżył rękę do twarzy Pawła. Ten odwrócił głowę ze wstrętem, lecz i tak poczuł lepki, zimny dotyk paskudztwa. Nie zdołał powstrzymać okrzyku. Dzieciaki zarechotały.

– Ale wielki, tłusty robal... – westchnął z podziwem piegowaty Darek. – Gdzieś ty takiego znalazł?

– No a niby gdzie? W ziemi, głupku! – parsknął Alek.

Wyprostował się na całą imponującą wysokość dziesięcioletniego

przywódcy dziewięciolatków. Najstarszy i najsilniejszy w klasie. Nikt mu nie podskoczy.

Gleba była wciąż wilgotna po deszczu i dręczyciele nie mieli kłopotów z wyszukiwaniem żywych narzędzi tortur.

Darek się nie obraził. Sam z siebie wiedział, że nie jest równie dobry jak reszta. I gruby, i niezbyt bystry... Tryskał radością, gotów pisać z zachwytem nad każdym pomysłem i każdą odzywką „wodza”, bo wreszcie pozwolono mu dołączyć do bandy. Jego piegi stały się wyraźniejsze, gdy pokraśniał z dumy, że go dostrzeżono. Wszystko układało się wprost cudownie, odkąd do szkoły przyszedł ten nowy. Beksa. Strachliwe chuchro. Głupi śmieć.

„Głupi śmieć” wtulił się w ścianę, marząc o zniknięciu, wtopieniu się w nią... Zaraz jednak oderwał plecy od chłodnego muru. To, co chowało się w ścianach, było gorsze niż wszystkie oślizgłe robale świata. Gorsze niż ciemność.

W pomieszczeniu nie było zbyt ciemno, mimo to panika czaiła się w głębi jego umysłu, gotowa wyskoczyć jak diabełek z pudełkಾನiespodzianki. Miesiąc temu dostał ataku histerii, gdy zamknięto go dla zabawy w pakamerze. Winnych oczywiście ukarano; ich rodzice stawili się w gabinecie dyrektorki.

Od tej chwili dzieci nie dawały mu spokoju.

– Patrzcie, jak się trzęsie! – wypalił Darek, zdecydowany przypodobać się za wszelką cenę. – Jeszcze zemdleje! Hi, hi!

– Grubas ma rację. – Szef bandy pogardliwie wyduł wargi. – A przecież on nie może zemdleć... – Uśmiechnął się paskudnie. – Najpierw musi zjeść robaka!

– To nie robak, tylko dżdżownica... To chyba nie to samo – rozległ się niespodziewanie cichy, obcy głos.

Wszyscy na chwilę zamarli z wrażenia. Potem drzwi zaskrzypiały, a w półmrok kotłowni wdarł się promień słońca. W plamie światła

zamajaczyła drobna sylwetka. Pawełek dostrzegł krótkie dżinsowe spodenki, posiniaczone kolana i gruby brązowy warkocz z wplecioną weń zieloną wstążką.

– Mielście zamknąć drzwi – warknął Alek ze złością. Tym większą, że „robalowi” udało się wyślizgnąć na wolność. Spojrzał na dziewczynkę. – Co tu robisz?! Spierdalaj do domu, gnojówo! Ale już! Albo stłukę na kwaśne jabłko!

– Właśnie! – poparł go jeden z chłopców. – Won stąd, bo oberwiesz, gówniaro!

– Nie pozwalaj sobie, gnoju! – syknął Woźniak, odwracając się gwałtownie. – Nie mów tak do mojej siostry, bo cię skopię!

Dziewczynka nie zwróciła na to wszystko uwagi. Stała nieporuszona, jakby wymiana zdań nie dotyczyła jej w najmniejszym stopniu. W prawej dłoni, niby od niechcienia, ot tak, zupełnym przypadkiem, ścisnęła połówkę cegły. Patrzyła na Pawełka. On również zerknął ostrożnie w jej stronę. Oczy pod kasztanową grzywką były wielkie i ciemne. Uśmiechnęła się lekko, kpiąco.

– Dlaczego im nie dołożysz? – spytała z pogardą. – Przecież to żadna sztuka. Widzę, że nie jesteś sam. Mógłbyś chociaż spróbować.

– Agniecha, co ty pleciesz? – wydukał osłupiały brat. – Pogięło cię?

Paweł nie mógł oderwać wzroku od Woźniakówny. Czerń w jej oczach zgęstniała i ożyła. Na dnie przepastnych źrenic coś się poruszyło.

Rozmazany kształt przemknął błyskawicznie wewnątrz szarej ściany. Przypominała teraz na wpół przejrzysty kryształ, choć przecież tak naprawdę nadal była tylko zwykłą ścianą... Mrok ścielący się po kątach zaczął delikatnie pulsować.

Zamknął oczy, ale nie pomogło. Zaczął krzyczeć.

Krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć...

...do utraty tchu, lecz potem wcale nie było lepiej.

Rozpoczęło się niewinnie. Od kolorowych światełek. Tak je nazywał – „światełka”.

Miał cztery latka i zapalenie płuc, dlatego mama uznała jego mamrotanie za gorączkowe majaki. Światełka były sprytne. Gdy wchodził ktoś z domowników, chowały się za szafę albo umykały do pokoju obok. Światełka były też miłe. Dotrzymywały mu towarzystwa, wirując dookoła w feerii barw.

Później odeszły i zaczął dostrzegać kształty. Nie umiał inaczej ich nazwać. Wcale mu się nie podobały.

Powracały nieustannie, nawet kiedy już wyzdrowiał, miał chłodne czoło i normalny apetyt.

Skończył już dziewięć lat i nadal, gdy leżał nocą w swoim łóżku, czuł każdym porem skóry, że mrok zaciska się wokół niego jak palce okrutnego dziecka na dżdżownicy. Wypełza spod zasłon, kłębi się w rogach pokoju, pulsuje własnym, nieodgadnionym rytmem. Puls krwi wielkiego, obcego organizmu. Rytm monstrualnego serca. Czasem nie mógł oprzeć się wrażeniu, że spoczywa, mały i skulony, w wiecznie głodnym, rozedrganym wnętrzu. Najgorsze było to, że kiedy trząśł się ze strachu, popłakując i z trudem powstrzymując rozpaczliwy dziecinny wrzask: „Mamusi!”, jakaś jego cząstka uspokajała się, a nawet radowała kojącym, miarowym oddechem potwora. Nigdy nie wołał matki. Duzi chłopcy tak nie robią.

Czasami role się odwracały. Zdawało mu się, iż to czai się wewnątrz i czeka na okazję. Na jaką? Tego nie wiedział. Z całych sił zamykał oczy. Wyobrażał sobie przyjemne rzeczy, by przywołać sen, ale nie pomagało. Coś poruszało się wewnątrz jego ciała, jego własnej czaszki, uwięzione za barierą kurczowo zaciśniętych powiek.

Ściany odsłaniały wiele sekretów lekceważonych przez dorosłych. Och, nie stawały się przezroczyste. Przynajmniej nie całkiem.

Przypominały bursztyn, w sposób, którego nie rozumiał, zachowując jednocześnie właściwą sobie barwę i strukturę. Jednak to, co w nich widział, nie wyglądało na uwięziona owada. I nie było uwięzione. Mogło przenikać przez pomieszczenie, nie licząc się z nikim i niczym, lub przemykać się ukradkiem, dostrzegalne jedynie kącikiem oka.

Ściany pozwalały mu zajrzeć w głąb czegoś nienazwanego. Dostrzegał stwory czające się w środku, a zarazem gdzieś bardzo daleko. Daleko poza tym pokojem...

*

- ...nic nie ma. Tam nic nie ma, dziecko - powtórzyła łagodnie dziewczyna w białym kitlu.

Przestał krzyczeć, chociaż wcale jej nie uwierzył. Zresztą i tak bolało go zdarte gardło. Wrzask nie powstrzyma stworów. Niestety, nikt inny ich nie widział. Młoda kobieta mówiła coś dalej i zrobiła mu zastrzyk. Nie protestował. To nie lekarstw się obawiał. Przynajmniej zasypiał po nich bez kłopotu.

Lekarka była bardzo miła. Przyniosła cukierki. Nie miał ochoty, ale sięgnął po jednego, by zrobić jej przyjemność. Uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu. Wiedziała już, że nie znosi głaskania po głowie.

Chwilę później zasnął...

*

- ...i nie miał żadnych snów? - zainteresował się doktor Niedzielski.

- Tak twierdzi - mruknął Dworak.

- Ale w nocy zachowywał się spokojnie?

- Nie sprawiał żadnych kłopotów. Mogę już wracać do pracy?

- Tak, wracaj pan...

Niedzielski w geście roztargnienia przejechał palcami po rzedniejących, siwych włosach. Spoglądał przez moment za odchodzącym pielęgniarzem. Ten to dopiero miał bujną, jasną czuprynę... Ech, młodość... Gdzie ty jesteś, kiedy się ciebie potrzebuje? – zadumał się z goryczą. Czas iść do dzieciaka.

„Dzieciak”, czyli Paweł Chrzanowski, stanowił ciekawy przypadek i jak wszystkie ciekawe przypadki należał do wyjątkowo skomplikowanych. Pierwsze symptomy chorobowe wystąpiły w wieku przedszkolnym, ale jak to zwykle bywa, rodzice zbagatelizowali objawy. Halucynacje zostały uznane za wybujałą wyobraźnię, a potem za chęć zwrócenia na siebie uwagi. Sytuacja pogorszyła się, kiedy posłano go do szkoły. Lęk przed ciemnością, a także omamy wzrokowe i kinestetyczne przybrały na sile. W pełni objawiła się typowa dla psychotyków niemożność dostosowania się do otoczenia, a dzieci niczego mu nie ułatwiały... Niewielu nauczycieli zdaje sobie sprawę, jakim okrucieństwem potrafi wykazać się egoistyczny potwór zwany dzieckiem. Szkolna psycholożka stwierdziła nerwicę szkolną, klasyczną fobię przed ciemnością, dorzuciła jeszcze podejrzenie o klaustrofobię... Dopiero reakcja chłopca podczas zabawy w opuszczonej kotłowni dała jej nieco do myślenia, ale było już za późno. Według opisu przerażonych kolegów zaczął wyć jak zwierzę, toczyć pianę z ust i tarzać się po ziemi. Kiedy przyjechało pogotowie, Paweł leżał nieprzytomny, pilnowany przez siostrę jednego z chłopaków.

Trafił do szpitala na Sobieskiego, na psychiatryczny oddział dziecięcy, gdzie przeleżał w szoku kilka dni. Lekarze podejrzewali traumę pourazową, gdyż szereg badań nie wykazał uszkodzeń mózgu. Wrócił wprawdzie do domu, lecz w końcu trafił do zakładu w Tworkach, gdzie zajął się nim doktor Niedzielski.

Doktor wykluczał psychozę organiczną i maniakalno-depresyjną. To ostatecznie mogła być psychoza funkcjonalna, jednak według rodziców mały z pewnością nie przeżył nic drastycznego. Czyżby parafrenia?

Niedzielski zaczął gonić w piątkę. Na szczęście Chrzanowska była nad wyraz skłonna do współpracy, chociaż bagatelizowała problem. Lekarz wcale się temu nie dziwił – choroba jedyne dziecko odciska się piętnem na całym życiu, więc kobieta uciekła w złudzenia. Ojciec uciekł bardziej dosłownie. Dobrze przynajmniej, że nie wpadli na pomysł zabrania chłopaka ze szpitala.

Czasami Paweł wydawał się niemal zdrowy. Wysyłano go wtedy do domu albo do sanatorium. W zeszłym miesiącu wyjechał na małą wycieczkę pod opieką rodziców. Matka była pewna, że wyprawa przebiegnie gładko, jednak dostał kolejnego ataku i musiał wrócić.

Zdzisław Niedzielski po raz pierwszy nie miał pojęcia, co robić. Pozostawało przeprowadzać obserwacje, próbować kolejnych specyfików, wspomagać proces farmakologicznego leczenia terapią psychologiczną, no i mieć nadzieję, że...

*

– ...wszystko się jeszcze ułoży. Zobaczysz... – szepnęła pocieszająco.

Paweł wiedział, że matka oszukuje i jego, i siebie. Uśmiechała się, lecz miała zaczerwienione oczy. Zmarszczki w kącikach ust, kierujących się ku dołowi jakby siłą bezwładu... Nie było ich przedtem.

– Wiem, mamo. Szkoda, że musieliśmy wrócić.

– Nie przejmuj się! W przyszłym roku pojedziemy w góry.

Miał ochotę powiedzieć, że to nie najlepszy pomysł, że ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę i że nie musi go okłamywać, bo nie jest już dzieckiem. Zamiast tego wyszczerzył zęby w radosnym grymasie. Zaczęli paplać coś pozbawionego sensu. Chciał, żeby wreszcie sobie poszła. Żeby wszyscy poszli do diabła.

– Muszę już iść, kochanie. – Pogłaskała go po głowie. Jakże on tego nienawidził... – Zajrzę jeszcze do doktora Niedzielskiego. Ojciec przyjdzie w przyszłym tygodniu, jak wróci z delegacji. Wiesz, jest teraz we

Frankfurcie i...

Już to słyszałem, mamó, możesz sobie darować, pomyślał, kiwając głową ze zrozumieniem. Gdyby był na miejscu ojca, też miałby go dość. „Pan biznesmen” wstydził się synka świrka. Hej, cześć, stary! Jak tam rodzina? Świetnie, byłem u syna, jest u czubków, wyzłośliwił się Paweł. O! To świetnie! No to do zobaczenia.

– No to do zobaczenia, mamó.

Pocałowała go w czoło i wyszła.

Z ulgą przymknął oczy. Kroki matki niosły się echem po korytarzu. Po chwili ucichły. Chciałby stąd wyjść, ale po co? Żeby znowu wrócić? Skrzypnęły drzwi, wrywając go z zadumy. Siostra Łapińska próbowała nawiązać z nim ciepłą pogawędkę. Upierdliwe brzęczenie tłustej muchy. Wyjść stąd... Wynoś się, głupia suko, pomyślał, odpowiadając monosylabami. Pulchna kobieta westchnęła, demonstracyjnie pokręciła głową i postawiła na stoliku szklankę z przejrzystym żółtawym płynem. Oczywiście, by okazać swe zranione serce, stuknęła głośno naczyniem, niemal rozchlapując zawartość. Głupia suka. Wypił posłusznie, nie chcąc przedłużyć jej obecności. Po chwili również i jej kroki ucichły. Przycisnął twarz do szyby, była chłodna i przyjemna, mimo że na zewnątrz grzało popołudniowe słońce. Mucha wciąż bzyczała. Rozpaczliwie odbijała się od niewidzialnej przeszkody. Ty też tu zostaniesz, stwierdził mściwie. Rozejrzał się po pokoju. Na szczęście mieszkał w nim sam. Obrzydliwa kremowa tapeta. Chyba miała uspokajać. Poczytać książkę? Nie. Zejść do ogrodu? Do świetlicy? Nie miał ochoty ani oglądać telewizji, ani z nikim gadać. Czując totalną rezygnację, położył się do łóżka. Niedługo potem zmorzył go sen.

*

Kiedy się ocknął, zapadł już zmierzch. Zdziwił się. Nikt nie przyszedł i nie wcisnął mu wieczornej porcji leków? Nie kazał włożyć piżamy?

Drżącą ręką zapalił lampkę nocną. Nie znosił ciemności. Delikatny blask rozproszył cienie, uspokajając go nieco. Wzruszył ramionami i wstał, decydując się podejść do szafy, aby wygrzebać sobie coś bardziej odpowiedniego do spania. Drzwi obite białym laminatem uchyliły się bezgłośnie. Paweł zmartwiał. Wokół panowała absolutna cisza. Nie słyszał nawet odległego pogłosu rozmów pielęgniarki, do którego tak już zdążył się przyzwyczaić, że nie zwracał nań zupełnie uwagi. Dopóki był słyszalny. Wciągnął głęboko powietrze, wcisnął głowę w ramiona, oczekując znajomego pulsowania i obcego dotyku na spoczonej skórze. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Roześmiał się nerwowo, po czym ruszył w kierunku mebla. Wtedy zobaczył blade palce zaciśnięte na krawędzi drzwi. Cofnął się z powrotem do łóżka. Drzwi otworzyły się całkowicie. Palce zmieniły się w całą rękę, za którą podążyło ramię, a po chwili oczom Pawła ukazał się rozczochrany chłopak. Chudy, ciemnowłosy wyrostek o pryszczatej twarzy i ponurym spojrzeniu. Ponurym spojrzeniu Pawła Chrzanowskiego. Zbyt często spoglądało nań z lustra.

– Musiałem przyjść do ciebie, bo ty nie chcesz przyjść do mnie – powiedziała zjawa. – Nigdy mnie nie słyszysz.

Paweł gapił się osłupiały. Gdzieś w głębi jego trzewi narastała panika. Zarazem chciało mu się śmiać. To nie były światełka ani stwory ze ścian. Nic, co znał.

– Czego chcesz? – zapytał, bojąc się zadać inne pytanie, które cisnęło mu się na usta: Kim jesteś?

– Nie wiem – wyszeptał sobowtór z rozpaczą. – Wypuść mnie stąd...

Ściany zawibrowały, a mrok wylał się czarną strugą ze wszystkich stron. Coś zimnego musnęło jego kark niczym dziwna, niezgrabna pieszczota. Wiedział, że to jest tuż za nim. Zbyt duże, by przedostać się w całości.

– Wypuść mnie stąd! – zawył. – Wypuść...

- ...mnie stąd! - wrzeszczał histerycznie Michał, tłukąc pięściami w drzwi.

Dworak nie zamierzał się patyczkować. Chwycił go wpół łapskiem jakby żywcem wyjętym z komiksu i uniósł bez widocznego wysiłku. Drugi z pielęgniarzy natychmiast unieruchomił ramię chłopaka i wbił w nie igłę. Michał szamotał się jeszcze chwilę, krzycząc coś ze strachem, po czym zwiotczał. Wyglądał bezradnie i żałośnie przy ogromnym Dworaku, który zadziwiająco łagodnie wziął go na ręce i ruszył w kierunku izolatki.

- Co się stało? - zainteresował się Paweł, spoglądając w ślad za nimi.
Siostra Ewa wzruszyła ramionami.

- To co zwykle - westchnęła. - Chyba przeniosą go do... innego miejsca - dokończyła ostrożnie.

Paweł nie zamierzał się dopytywać.

- Jak tam terapia? Jesteś zadowolony?

Nie.

- Tak - skłamał gładko.

Po ataku sprzed pół roku postanowił wytrzymać. Znalaziono go wijącego się w łóżku, drącego się gorzej niż kot obdzierany ze skóry. Tłumaczył, że to nie był zwykły koszmar. Zabrano go do izolatki. Wciskano mu jakieś paskudztwa, po których trząsał się bez przerwy, a przed oczami latały mroczki. I wszyscy byli tacy, kurwa ich mać, zmartwieni, że nic mu nie pomaga. Nikt nie chciał wierzyć, a on czuł, czuł, że wszystko, co widzi, dzieje się naprawdę. Wtedy wróciły światełka i znów tańczyły dookoła, lśniąc kolorami nie do opisanania.

Nauczył się patrzeć i nie odwracać głowy. Nie darł się już, nie trząsał, ba, nawet nie drgnął, kiedy kształty przenikały przez pomieszczenie, znikając gdzieś daleko poza znanym mu pokojem. Gdy muskały go leciutko, a w tym czasie inne budziły się tuż za jego oczami, wyglądając na świat niczym oknem...

- Doktor Niedzielski chciałby cię widzieć po obiedzie.

– Dobrze. Siostró...

– Tak? – Odwróciła głowę, zatrzymując się w pół kroku. Poprawiła złośliwy czarny lok, wiecznie opadający na czoło. Wyglądała na zmęczoną. Jedyna pielęgniarka, którą zdołał polubić.

– Czy ten chłopak ma tak często? Co mu właściwie jest?

– Schizofrenia paranoidalna. Jest zbyt ciężkim przypadkiem, żeby zostać w tym budynku, niestety...

– Rozumiem. A jak mu się poprawi?

– To może zostanie.

Skinął głową. Siostra Ewa podreptała korytarzem.

Po obiedzie siedział w gabinecie Niedzielskiego i odpowiadał na durne pytania, zastanawiając się, czy facet tylko udaje Greka, czy naprawdę daje się wpuszczać w maliny. Miał nadzieję, że to drugie. Jakoś nie marzył, by znaleźć się w „innym miejscu”.

*

– Nazywasz się Paweł, prawda?

Chłopak drgnął. Odwrócił powoli głowę. Na podłodze w rogu pokoju, obejmując ramionami kolana, siedział wymizerowany, niski chłopiec o ognistorudej czuprynie. Michał.

Przecież zamknięto cię w izolatce, pomyślał skonsternowany Paweł. Jak się tu znalazłeś?

Miał wielkie, szare, smutne oczy.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

– Nie... Właściwie nie... Jak się tu znalazłeś?

– Mam schizofrenię – odparł Michał i nieoczekiwanie parsknął śmiechem. Potem otarł rękawem zasmarkany nos.

– Taaak... To już wiem. Wypuścili cię? W takim razie dlaczego nie śpisz? Nie wzięłeś prochów?

– Wypuścili? Nie. Ciągle tam jestem. Teraz śpię. Chyba.

O rany. Tego mi tylko brakowało. Mam własne problemy, dodał w duchu z niechęcią.

– Chyba raczej nie śpisz i chyba jesteś tutaj, a nie tam. Wiesz co? Jednak zawołamy kogoś.

– Lepiej nie.

– Dlaczego? Nie powinieneś tu spać. Rano będzie awantura.

– Już ci mówiłem, że śpię. Nie wołaj nikogo, bo ciebie też zamkną. – Michał uśmiechnął się chytrze. – Bo mnie tu nie ma.

Paweł rozejrzył się ostrożnie. Dzieciak był od niego młodszy i drobniejszy, ale nigdy nic nie wiadomo. Widywał już chuchra, które rzucały się pielęgniarzom do gardeł. Co mogłoby służyć za broń? W pokoju były stolik, dwa krzesła, szafa, szafka, zapalona lampka nocna z idiotycznym fioletowym abażurem... Niestety, przykręcona. Półka z książkami. Książek szkoda... Jakby co, chwyci krzesło i rąbnie świra po łbie.

– Nie wierzysz mi? Oni mówią, że jestem chory, a ja po prostu zaglądam do różnych pokoi. W niektórych jest okropnie. – Chłopak zatrząsnął się i spojrzał w twarz Pawła z niekłamanym lękiem. – Okropnie...

Coś w spojrzeniu Michała zaintrygowało go. Wbrew początkowym zamierzeniom nie przerwał mu tyrady. Zaczął uważniej słuchać.

– To tak jak z chodzeniem do kogoś w gości. Z domu przecież możesz wychodzić. Do nas też czasem przychodzą goście. Przechodzisz przez drzwi i idziesz. – Zachichotał. – Potrafię przechodzić, ale nie do końca. Stoję na progu i patrzę. Ale teraz nie widzę drzwi do innego pokoju... – Podniósł bezradnie ręce do twarzy. – Utkwiłem... Nie dotykaj mnie, niczego byś nie poczuł. Nie ma mnie tu tak naprawdę. Kiedyś nauczę się przechodzić całkiem i stąd odejdę. Ale nie tam, gdzie są te obrzydlistwa... – Zatrząsnął się ze wstrętu. – Chociaż będzie ciężko takie miejsce znaleźć. One czasem są w wielu pokojach naraz. Jeśli chcesz, zabiorę cię wtedy ze sobą. One chodzą wokół ciebie cały czas... A ty nie widzisz... A może

jednak widzisz?

Pawła przeszedł dreszcz. Chciał krzyknąć, żeby głupi gnojek przestał, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Widzisz? – W oczach chłopca zalśniło gorączkowe zainteresowanie.
– Powiedz, widzisz?

„Widzisz?“, odbiło się echem w skołatany umyśle. „Widzisz?“, wyszeptano coś w głębi jego głowy. „Widzisz? Nie jesteś sam“, powiedziała Agnieszka Woźniak, bawiąc się zieloną wstążką. Coś wewnątrz niego otworzyło szeroko oczy. Patrzyło i widziało.

Drobny chłopiec zbladł i cofnął się szybko. Nie dość szybko. Otoczyły go ciemne kształty. Paweł spostrzegł, że kremowa ściana za plecami Michała nabiera charakterystycznej głębi. Stwory wciągnęły go do środka. Usiłował chwycić dzieciaka ręką, żeby... choć kawałeczek... wypuść mnie, wypuść... Wił się z głodu. Już czas. Chciał wyjść na zewnątrz. Dusił się z ciasnoty, lecz był zbyt słaby. Miarowe pulsowanie. Bicie wielkiego serca. Po drugiej stronie drzwi zabrzmiały zdenerwowane głosy. Tupot nóg. Wszystko...

*

...nagle ucichło. Skończyło się jak nożem uciął. Tak po prostu. Paweł miał nadzieję, że to koniec raz na zawsze.

Zdzisław Niedzielski uznał, że nastąpił przełom, i był dobrej myśli. Pewnego wieczoru chłopak podsłuchiwał rozmowę pielęgniarek. Mówiły, jak to nigdy nic nie wiadomo: jeden pacjent nieoczekiwanie umiera, a drugi – zdrowieje pomimo nikłych szans.

Michał umarł. Ciekawe dlaczego? To była cholernie dziwna historia. Chłopiec zmarł podczas snu. Po uspokajających lekach, które mu zaaplikowano, teoretycznie nic takiego nie miało prawa nastąpić. Jak się okazało – tylko teoretycznie. Czasem wydawało mu się, że tamtej nocy, gdy rudzielec umarł, coś się wydarzyło. Coś z udziałem i jego, i Michała...

Ale nie mógł sobie nic przypomnieć. Zostało tylko nieokreślone wrażenie lęku, dusznego zamknięcia, a potem ogromnej kojącej obecności. Na pewno jednak nie miał ataku – nikt nie faszerował go przecież dodatkowymi prochami. Rankiem obudził się rześki i wypoczęty. Wszystko było jakieś inne. Jaśniejsze. A później dowiedział się, że dzieciak nie żyje...

Od dłuższego czasu nie widywał już obcych kształtów w przejrzystych, głębokich niczym jeziora ścianach. Tym razem nie udawał. Doktor Niedzielski sądził oczywiście, że taki stan trwa już od wielu miesięcy. Paweł tak naprawdę nie wierzył do końca w swoje cudowne wyleczenie, ale może... choć przez kilka miesięcy... kto wie...

Rozsiadł się wygodnie na ogrodowym krześle i przymknął oczy. Wiatr był chłodny, ale słońce przyjemnie prażyło. Nie przepadał za jesienią, lecz ten dzień zapowiadał się całkiem sympatycznie. Usłyszał śmiechy i strzępy rozmów dziewczyn, pensjonariuszek z sąsiedniego budynku. Teraz siedziały całkiem blisko. Zastanawiał się leniwie, czyby do nich nie podejść. Decyzję uniemożliwiła mu siostra Ewa, wołając go do Niedzielskiego. Z wyrazu jej twarzy domyślił się dobrych wieści. Czyżby doktor zamierzał go puścić do domu?! Podekscytowany, ruszył przed siebie wysypaną żwirem ścieżką. Zbliżał się już do wejścia, gdy dźwięczny głos zawołał go po imieniu. Spojrzał w bok i zamarł kompletnie zaskoczony. W wypielęgnowanym klombie, wśród kolorowych kwiatów, stała dziewczynka o wielkich ciemnych oczach. Bawiła się od niechcienia zieloną wstążką wplecioną w piękny, gruby warkocz. Uśmiechnęła się lekko, kpiąco. Poczuł, jak zimny pot spływa mu po kręgosłupie. To niemożliwe. Zacisnął powieki. Po prostu podobna. Jaka podobna. Cholernie podobna. Chciał coś powiedzieć, lecz kiedy otworzył oczy, dziecka nie było. Wiatr poruszał delikatnie główkami purpurowych, niebieskich i białych astrów. Patrzył tępo. Nikogo nie było.

– Paweł! Pospiesz się! Doktor nie będzie pół dnia na ciebie czekał!

Łapińska. Stara, tłusta prukwa.

– Idę! Już...

*

...idę. Wejdę tam. Nie jestem tchórzem.

Łatwiej postanowić, niż zrobić. Poobijane, nadgryzione zębem czasu drzwi zarazem kusiły i odpychały. Niepewnie wbił wzrok w ziemię. Błoto. Żałosne resztki pożółkłej trawy. Jeszcze dwa tygodnie temu był w szpitalu i mógł do woli siedzieć w ogrodzie, gdzie kwitły jesienne kwiaty. Ojciec odszedł. Matka próbowała nie wypuszczać go z domu. Po cholere w ogóle chciał wyjść? Tu czy tam. Wszystko jedno. No... prawie. Zacisnął zęby. Nie po to zbajerował rodzicielkę, żeby teraz odejść z kwitkiem. Niedzielski mógł mieć trochę racji. Powinien spojrzeć na jedno z najgorszych miejsc zapamiętanych z dzieciństwa, przekonać się, że to tylko zwykła rudera. I robi to właśnie teraz. Sam.

Każdy krok rozciągał się w nieskończoność. Mała, prywatna wieczność zamknięta w kilku sekundach. Niepewnie musnął dłonią blachę. Zdziwił się przelotnie, że nikt nie wyjął drzwi z zawiasów. Podobno dziwniejsze rzeczy już kradli. Za to ktoś urwał kłódkę, więc mógł swobodnie wejść. Wewnątrz było... pusto. Po prostu pusto. I jakoś tak zwyczajnie. Tyle że wprost niemożliwie śmierdziało. W kącie leżały poszarpane szmaty, walały się butelki i resztki nie wiadomo czego. Wypuścił zbyt długo wstrzymywane powietrze, a potem roześmiał się z ulgą, choć tak naprawdę był bliski płaczu. Sam nie wiedział dlaczego.

Podszedł do zabezpieczonego solidną dechą okna. Wsłuchał się w szmer przytłumionych ulicznych dźwięków. To tutaj Alek Woźniak wciskał mu do ust dżdżownicę. Głupi skurwiel. Zabiłby go, gdyby mógł... To tutaj odczuł przerażającą obecność, która pozbawiła go zmysłów. Po raz pierwszy to zbliżyło się tak bardzo. Czy było tylko halucynacją? Pragnął, żeby tak właśnie się okazało, ale instynktownie wątpił pomimo

setek wyjaśnień doktorka. Co się stało z Michałem? Dlaczego myśl o nim wciąż powracała? Pytania, pytania... Przycisnął czoło do drewna. Wiedział, że obok znajdują się kolejne drzwi. Zjrzy jeszcze do drugiego pomieszczenia i pójdzie do domu. Nie miał tu czego szukać.

W następnym pomieszczeniu panowała ciemność. Zawahał się. Nigdy nie przestał się jej obawiać. W końcu jednak postąpił krok do przodu.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Został sam, otoczony przez mrok, czując, jak ów zaciska się wokół niego – jak niegdyś. Jak palce okrutnego dziecka na dżdżownicy. Chciał wrzasnąć niczym blondynka w kiepskim horrorze, lecz ręka strachu skutecznie ścisnęła go za gardło. Wtedy mury kotłowni znów zmieniły się w szary bursztyn, rozjaśniając ciemność. Kształty poruszyły się ostrożnie, falowały wokół niego z subtelną, groźną gracją koralowców na dnie obcego oceanu. Jedna ze ścian wybrzuszyła się lekko – ktoś napierał z drugiej strony. Resztką świadomości Paweł odnotował, że ciepły strumień spływa po wewnętrznej stronie uda, wycieka nogawką i tworzy sporą kałużę wokół butów. Drobnutka figurka zza szarej tafli spróbowała ponownie. Tym razem otrzymała pomoc. Paweł parsknął histerycznym, obłąkańczym rechotem. Ponad małą dziewczynką górowała olbrzymia postać. Olbrzymie coś.

Stworzenie przeżyło ogromne, lśniące pierścienie. Na giętkich „szypułkach” kołysało się tysiące fasetowych oczu, migoczących niczym wyszlifowane brylanty, wpatrując się wprost w niego. Chłopak ujrzał swe odbicie, zwielokrotnione, pomnożone do niewyobrażalnej liczby. Jedno z setek masywnych odnóży przeniknęło na zewnątrz i pomknęło ku niemu. Następne pchnęło napiętą błonę, którą stała się niegdyś solidna ściana. Pierwsze musnęło łagodnie kark Pawła, po czym opłotło go wokół talii i zaczęło ciągnąć ku reszcie gigantycznej istoty. Wreszcie dał radę krzyknąć, ale dźwięk, który wydobył się z jego ust, zabrzmiał żałośnie słabo. To, co do niedawna stanowiło mur, pękło z odgłosem

przypominającym pyknięcie mydlanej bańki. Agnieszka Woźniak spojrzała na niego z wyraźną pretensją.

– No i po co to wszystko? Nie wiesz, że robisz Matce przykrość? – Potrząsnęła główką, uniosła wskazujący palec i dźgnęła go boleśnie w klatkę piersiową. – Tylko ty nie urodziłeś się o czasie. Umrzesz, jeśli nie zrobisz tego teraz!

Niemal stracił przytomność. Zdawało mu się, że odpływa gdzieś daleko. Potężna, kojąca obecność. Tak blisko. Coś drgnęło w jego wnętrzu. Osłabione oraz wygłodzone, pragnęło się obudzić, aby dołączyć do reszty rodzeństwa. Otworzyło oczy i chciało widzieć. Paweł otworzył oczy, żeby dać tę możliwość. Przytulił się do wielkiej istoty. Już nie walczył. W krótkiej, piekielnie ważnej chwili zrozumiał.

Nigdy mnie nie słyszałeś. Nie starałeś się słuchać, nawet kiedy do ciebie przyszedłem, poskarżył się cichutki głosik wewnątrz jego umysłu. A przecież jesteśmy jednym.

Przykro mi, bałem się, odpowiedział bezgłośnie. Jesteśmy jednym. Jestem... Kim jestem?

Spojrzał w ogromne, błyszczące oko. Teraz wydawało mu się najpiękniejsze na świecie. W tysiącu światów. W całym szeregu miejsc połączonych ze sobą niczym pokoje wielkiego domu. To Matka. Ostrożnie przekazała mu wiedzę, wyraziste obrazy zapłonęły w umyśle: gdy nadchodzi odpowiedni czas dla potomstwa, zręczne czułki Matki przenikają z „pokoju obok” i przekazują maleństwa wprost do wnętrza embrionów w brzuchach wyselekcjonowanych kobiet z inteligentnych gatunków. Na przykład ludzkich. To niezbędny etap rozwoju. Kilka lat później mali ludzie biegają, piją, jedzą i śpią, przez cały czas nosząc w sobie dojrzewające dzieci Matki. A potem ich organizmy, a także umysły stapiają się, w końcu stając jednym. Poczwaraki dojrzewają i wyłaniają się z nich jego bracia i siostry. Tylko on jeszcze tego nie zrobił. Coś poszło nie tak... Jednak, na szczęście, Matka nie zamierzała spisać go na straty...

Przepadło zbyt wiele dzieci w walce z innymi z ich gatunku i straciła wszystkich synów. Musiała go odzyskać. Sprawiała, że zapomniał nieudane narodziny w szpitalu. Nigdy nie zostawiła go samego.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

– To nie boli. Nie bardzo.

Patrzył, jak jej ludzki kształt ulega deformacji. Kończyny pęcznieją i pękają. Zgubione kawałki tkanki tworzą na podłożu kałuże śluzu, czasem zbrylając się w organiczną galaretę. Nie szkodzi. Zregeneruje się za jakiś czas. Głowa się zapada. Z tułowia wystrzeliwuje mnóstwo kończyn, czulek i szypulek zakończonych fasetowymi oczami. Ciało szybko przybiera właściwy wygląd. Staje się piękne, silne i obłe, złożone z wielu pierścieni. Oczy stworzenia nazywanego dawniej Agnieszką zalśniły zachęcająco.

Trzeba spróbować, zrozumiał. Trzeba iść. W końcu jestem tu tylko gościem z...

*

...pokoju obok. Ktoś klął, ktoś inny tłumaczył coś wyjątkowo podekscytowanym głosem. Małecki nie chciał tam wchodzić.

Zza ściany dobiegł entuzjastyczny okrzyk: „Ha! No i macie dowód na Obcych!”. Kowalczyk. Cały on. Komisarz pokręcił głową, czując dziwną mieszaninę złości, podziwu i politowania. Aspirant Dariusz Kowalczyk był znakomitym fachowcem... I kompletnym świrem. Nikt nie ważył się kwestionować umiejętności tego chudego blondyna o wiecznie rozbieganym spojrzeniu i nerwowym uśmiešku, który jednak nawet świętego mógł rozdrażnić swymi fanaberiami. Nie ma to jak miłośnik seriali o duchach i kosmitach na Stołecznej. Cierpliwie słuchano jego rewelacji o poltergeistach, przybyszach i innych bzdurach, ponieważ lepszemu technika kryminalistyki ze świecą szukać.

Ekipa techniczna wyszła z pomieszczenia. Posterunkowi odetchnęli z

ulgą.

– Możemy już iść z tej przeklętej kotłowni? – zapytał żałośnie „Zuzka”.

Konar zerknął nań drwiąco, choć to jego bardziej mdliło na widok rozwleczonych po całej podłodze paskudztw.

Cóż, w końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, pomyślał zmęczony Małecki. Dobrze, że nie wdepnął w tamtą breję. Nie dość, że technicy mieliby słuszne pretensje, to jeszcze musiałyby chyba wyrzucić swoje ulubione buty.

– Niesamowite, wprost niesamowite – wyszeptał aspirant Kowalczyk do komisarza. – To z całą pewnością ludzkie szczątki, ale jak mogły znaleźć się w takim stanie... Niesamowite! Mam już nawet pewną teorię...

Małecki pokiwał głową, usiłując ukryć skwaszony wyraz twarzy. Myślał teraz o tym, co powinno znaleźć się w raporcie. Punkt po punkcie. Jego pedantyczna natura nie tolerowała bałaganu ani przeszkadzania.

*

Kilka dni później znalazło się więcej powodów do irytacji. Nadeszły wyniki z laboratorium. DNA z całą pewnością należało do Pawła Chrzanowskiego, lecz dodatkowo wykryto ślady innego dzieciaka. Po upływie miesiąca od tegoż niezbyt wygodnego odkrycia gruchnęła kolejna hiobowa wieść. W rezultacie komisarz Małecki doszedł do wniosku, że udusi Kowalczyka. Czy ten wyznawca kosmitów od siedmiu boleści musiał węszyć?

Po grupie krwi i organicznych wydzielinach udało się ustalić, że należały do niejkiej Agnieszki Woźniak – dziewczynki, która zaginęła osiem lat wcześniej. Ostatni raz widziano ją w okolicach tej właśnie pechowej kotłowni. W środku zaś znaleziono niezwykle podobne ślady – breję, choć w dużo mniejszej ilości. Przebadano, udokumentowano, a po jakimś czasie sprawa umarła. Nie było przecież żadnych punktów zaczepienia. Żadnych linii papilarnych czy choćby włosa domniemanego

mordercy. Dokumentację na wszelki wypadek starannie ukryto. Komisarz świetnie to rozumiał – jeszcze tego brakowało, żeby coś przeciekło do gazet... Policja i bez dziennikarskich psów-posokowców ma dość problemów. Aspirant dysponował jednak jakimś piekielnym szóstym zmysłem i żyłką detektywa... No i miał znajomości. Dość, by zdobyć dane do porównania. I wprowadzić zamęt.

Jak to wszystko, u diabła, wytłumaczyć? Wariat-pedofil? Trzymano dziewczynę przez kilka lat nie wiadomo gdzie, przywieziono z powrotem do kotłowni, akurat napatoczył się Chrzanowski, więc zabito ich oboje? W tajemniczy sposób masakrując ciała? Szaleni naukowcy-sadyści? Kosmici? To wszystko nie miało sensu. Kowalczyk zaczął perorować na temat wielowymiarowości wszechświata, co miałoby tłumaczyć, dlaczego ludzie znikają i pojawiają się wiele lat później. Według niego dziecko mogło zjawić się tam, gdzie akurat stał chłopak, więc doszło do implozji... Małecki nie zdierzył i uciekł z pokoju. Miał, do ciężkiej cholery, własne problemy i zero nastroju na wysłuchiwanie bajek. Córka zaczęła bać się ciemności i bredzić coś o kolorowych światełkach...

Opanował go ponury nastrój. Oparł czoło o chłodną szybę. Tęsknił do zimy. Do śniegu, który choć przez chwilę będzie czysty, który nada sterylny wygląd gałęziom. Nie cierpiał niejasności, błota i widoku nagich, ograbionych z liści drzew.

Warszawa 2006

JERZY RZYMOWSKI [1975]

Debiutował w 1997 roku opowiadaniem *Dobry uczynek* („Fenix”).

Dziennikarz, redaktor, pisarz, tłumacz, DJ, PR-owiec i analityk medialny. W przeszłości redagował magazyny „Kruk”, „Magia i Miecz” i „GameStar”, a także współprowadził radiową grę fabularną „Dzikie Pola” w Radiostacji. Członek-założyciel Polskiego Towarzystwa Badania Gier.

Obecnie redaktor działu publicystyki w „Nowej Fantastyce”.

Jerzy Rzymowski

**Lustro dla
niewidzialnego człowieka**

Początek był żałosny: piłem do lustra.

Lustro stało na stole, na wprost mojego krzesła, oparte o nudną, pastelowo zieloną ścianę, a wyzierająca z niego tępą mordą gapiła się zmętniałym, wolim wzrokiem. Obok mnie stała szklanka, do której co jakiś czas dolewałem z butelki koniaku. Dostałem go kiedyś w prezencie – nie byle jaki, któryś z tych lepszych. Tak przynajmniej mówią, bo dla mnie wszystkie koniaki to jeden syf. Piłem ten syf nie dla przyjemności, tylko dlatego, że na upicie się w tak podły dzień szkoda mi było marnować naprawdę dobrego alkoholu. Miałem zamiar go wychlać – nie wypić czy wysączyć, ale właśnie wychlać – a później, jak Bóg da i wątroba pozwoli, wczłogać się do łóżka i stracić przytomność. Dalszych planów nie robiłem. Nawet nie próbowałem zastanawiać się nad kolejnym dniem – myśl, że czeka mnie jakieś jutro, wywoływała we mnie mdłości. Teraz chciałem się tylko przekonać, ile brakuje mi do całkowitego upodlenia. Morda w lustrze utwierdzała mnie w przekonaniu, że nie będę musiał się zbytnio wysilać. Pogoda dopasowała się do nastroju – mimo chłodu dzień był duszny, powietrze niemal lepkie, aż otworzyłem balkon, żeby w domu dało się oddychać.

Minął rok, odkąd straciłem pracę. Jednego dnia szalałem na radiowej antenie, a następnego opróżniałem szafkę, zastąpiony przez playlistę z komputera. Nowy dyrektor, o jakże wymownym nazwisku Koniecdupski, był kukłą koncernu, który przejął naszą stację. Zero ambicji, kręgosłupa, wyobraźni – idealny namiestnik medialnego kombinatu. Budowaliśmy tę rozgłośnię przez lata, ale dla tamtych liczyła się tylko częstotliwość do przechwycenia, a słuchacze byli zaledwie słupkami na wykresach. Koniecdupski – jak można mieć takie durne nazwisko? – wyciął z anteny alternatywę razem z całą ekipą didżejów.

Zabiegi, żeby znaleźć nowe miejsce zatrudnienia, niezmiennie spełzały na niczym – człowiek o moich kwalifikacjach nie był nikomu potrzebny, recesja skutecznie zacieśniła rynek, jak pętlę na szyi

skazańca. Kobiety też nie miałem – nigdy do mnie specjalnie nie lgnęły, a odkąd przestałem cokolwiek znaczyć, traktowały mnie co najwyżej w kategoriach królika doświadczalnego: ot, wypróbować parę babskich sztuczek i sprzedać kopa w dupę, żebym przypadkiem czegoś sobie nie pomyślał. Kontakt ze znajomymi sam zerwałem. Nie mogłem liczyć na ich pomoc – to wymagałoby nakładu energii i chęci, a im się nie chciało. Potrafili zaoferować tylko litość – emocjonalną jałmużnę, którą opędzali się ode mnie i uspokajali sumienia. Nie potrzebowałem litości – nie byłem żebrakiem.

Nie litowałem się nad mordą z lustra. Byłem na nią wściekły za całą bezradność, bezsilność i bezskuteczność, które sprawiły, że kolejna rozmowa o pracę zakończyła się fiaskiem. Za to, że jedyne, na co byłem w stanie zdobyć się po powrocie, to przyniesienie lustra z przedpokoju, postawienie go na stole, przy obłęśnie pastelowo zielonej ścianie, wyciągnięcie z najgłębszych czeluści barku butelki koniaku i zalanie się w trupa. Butelka miała się z wolna ku końcowi, a ja byłem zmęczony mordą i coraz bardziej wściekły, że nie potrafiła przynieść mi przez całe życie nic lepszego niż to gówno, w którym utknąłem.

– Jak ja cię nienawidzę, mordo – oznajmiłem i opróżniłem jednym haustem szklankę. Morda w lustrze wykrzywiła się do mnie w pogardliwym grymasie.

Miałem dosyć. Zerwałem się z krzesła, z całej siły cisnąłem szklanką w lustro, które pękło z głośnym brzękiem i posypało się na stół oraz podłogę. Szklanka była mocniejsza – roztrzaskała się dopiero o ścianę. Poczułem ukłucie w policzek i ból naciągniętego od zamachu ramienia. Adrenalina zeszła równie szybko, jak uderzyła. Ugięły się pode mną nogi. Ciężko opadłem – tu i ówdzie z leżących na dywanie odłamków spoglądały na mnie oszołomione, podrapane mordy. Przesunąłem dłonią po policzku. Na palcach została krew – najwidoczniej dostałem odpryskiem. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że warto by to czymś zakleić,

położyłem się na podłodze i zasnąłem.

*

Nie umiem ocenić, ile czasu spałem. Nie jestem również pewien, co dokładnie mnie obudziło – czy jakiś dźwięk, czy ruch, a może podświadomie wyczułem, że nie jestem sam w pokoju. Chwilę leżałem z zamkniętymi oczami, wsłuchując się we własny oddech, bicie serca i dobiegający z kąta szelest. Wreszcie zdecydowałem się dyskretnie spojrzeć spod powiek. Ktokolwiek to był, przykucnął na podłodze przy drzwiach balkonowych, tyłem do mnie. Najwyraźniej sądził, że nadal śpię. Coś całkowicie pochłonęło jego uwagę, więc otworzyłem oczy już bez oporów i możliwie ostrożnie zacząłem się podnosić z podłogi.

Postać ubrana była w długi jasnoszary płaszcz. Na głowie miała staroświecki kapelusz, co w połączeniu z postawionym kołnierzem przywodziło na myśl marlowopodobnych detektywów z czarnych kryminałów. Z mojego miejsca nie potrafiłem dostrzec twarzy. Wyglądało na to, że intruz skrupulatnie przeszukuje dywan – podnosi każdy okruch, obraca na wszystkie strony, po czym odrzuca na bok. Gdy sięgał po kolejny odłamek, zauważyłem, że nosi czarne skórzane rękawiczki.

Wciąż jeszcze byłem oszołomiony i nie myślałem całkiem jasno. Cała sytuacja była niepokojąca, ale i nedorzeczna. Jakiś obcy wlaźł do mojego mieszkania. Mógł wynieść, co tylko chciał, tymczasem siedział na podłodze i grzebał w stłuczce. Wiedziałem, że powinienem jakoś zareagować, lecz nie potrafiłem zdecydować jak.

Nie zdążyłem nic zrobić. Widocznie coś jednak usłyszał albo wyczuł za sobą poruszenie, gdyż poderwał się błyskawicznie i zwrócił w moją stronę. Wtedy zupełnie zdębiałem. Intruz nie miał twarzy! Płaszcz i kapelusz zakrywały pustkę, zupełnie jak u Whale'a w filmie z 1933 roku. Chciałem krzyknąć, jednak gardło miałem całkiem ściśnięte i nie byłem

w stanie wydać z siebie dźwięku. Zachwiałem się i cofnąłem, aż poczułem za plecami szafę. Wtedy obcy wyciągnął dłoń w moim kierunku. Jakby dawał ją do obwąchania nieufnemu psu.

– Proszę się nie bać – odezwał się przepraszająco. – Nic panu z mojej strony nie grozi.

Nie uspokoiło mnie to zbyt. Odsunąłem się, na ile zdołałem, od jego ręki. To nie mogło się dziać naprawdę. Zatruję się tym obrzydliwym koniakiem, miałem delirium albo po prostu jeszcze się nie obudziłem. Spokojnie, weź się w garść. Mózg płata ci figle...

Chyba mamrotałem pod nosem, bo nieznajomy westchnął.

– Niestety, to nie jest sen ani delirium. To znaczy dla mnie niestety. Dla pana to dobra wiadomość. Za kilka minut zniknę z pańskiego życia, ale sam... – w jego głosie zabrzmiało zmęczenie – kto wie ile jeszcze będę musiał przez to przechodzić.

Wciąż nie mogłem się przemóc, żeby ruszyć się z miejsca. Tymczasem on powoli, jakby nie chciał mnie bardziej wystraszyć, przysunął sobie krzesło, strzepnął z niego odłamki szkła i usiadł. Wyglądało na to, że czeka, aż przyswoję, co powiedział.

I faktycznie, zacząłem się uspokajać, a wtedy miejsce strachu zajęła ciekawość. Do tej pory Niewidzialny Człowiek był dla mnie postacią z filmów lub piosenką Queen. Teraz siedział przede mną i bawił się nakrętką od koniaku. Potrafiłem w to uwierzyć, po części chyba z czystego egoizmu – wolałem przyjąć, że to prawda, niż uznać, że mógłbym mieć halucynacje. Zastanawiałem się, od czego zacząć rozmowę, ale zamiast zadać jakieś konkretne pytanie, otwierałem tylko i zamykałem usta, nie mogąc się zdecydować. Jak na wyszczekanego radiowca musiał to być komiczny widok. Mnie jednak nie było do śmiechu. Wreszcie wpadłem na pytanie, które mogło pomóc przełamać lody: – Koniaku?

Skinął głową. Wciąż jeszcze nieco chwiejnie poczłapałem do kuchni i

przyniosłem kieliszek. Przy okazji nastawiłem ekspres do kawy. Była mi bardzo potrzebna. Gdy wróciłem do pokoju, zobaczyłem, że stoi pochylony nad stołem i z wyraźnym zniecierpliwieniem przegląda odłamki szkła rozrzucone na blacie. Na mój widok przerwał i z powrotem usiadł. Sprawiał wrażenie spiętego.

– Można wiedzieć, czego pan właściwie szuka? – zapytałem. Odniosłem wrażenie, że się spieszy, więc ośmielony dodałem nieco opryskliwie: – To chyba najgłupsze włamanie, jakiego mógłby dokonać niewidzialny człowiek. Wystarczyłoby, żeby zrzucił pan ubranie, a mógłby wszędzie wejść i wynieść, co dusza zapragnie. A pan zakrada się właśnie do mnie w tych śmiesznych ciuchach i ogląda moje zbite lustro. Po jaką cholerę?! I tak pan się w nim nie przejrzy!

– Nie spodziewam się, że ktoś, kto codziennie może oglądać swoją twarz, zrozumie moją sytuację – odparł chłodno. – Nie prosiłem się o to. I nie jestem złodziejem... Przynajmniej nie takim, jak pan myśli. Chcę tylko wrócić do normalności.

Postawiłem kawę, nalałem mu koniaku i usiadłem.

– Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie.

Zawahał się chwilę, po czym wziął kieliszek.

*

– Nazywam się Piotr Kowalski – zaczął. – Przez dziewięć lat pracowałem dla sporej firmy public relations. Miałem specyficzne zajęcie: byłem sekretarzem do wynajęcia. Gdy nasi doradcy dbali o wizerunek zleceniodawców, ja pomagałem realizować ich pomysły. Wytwórnice płytowe przydzielały mnie swoim nowym wykonawcom, partie politykom, koncerty dyrektorom... Zgodnie ze wskazówkami „pijarów” ubierałem ich, poprawiałem przemówienia, tuszowałem wpadki i skandale. I byłem w tym naprawdę dobry... Taka praca miała jednak swoją cenę – kontynuował. – Moi szefowie byli kapryśni,

zarozumiali, czasem podli. Uważali, że skoro są ważni i wpływowi, pozjadali wszelkie rozумы i mogą sobie na wszystko pozwolić. Wiele się naoglądałem przez te lata; część z tych rzeczy wolałbym zapomnieć. Ale płacono mi, żebym się dostosował do okoliczności, więc ustępowałem, rezygnowałem ze swoich opinii, przytakiwałem, gdy tego się po mnie spodziewano. W tym też byłem coraz lepszy. Gdy przydzielano mi kolejnych przełożonych, starałem się jak najlepiej ich zrozumieć, wczuć się w ich sposób myślenia. Coraz łatwiej dopasowywałem się do wymagań. Wtedy tak tego nie odbierałem, ale za każdym razem gdzieś po drodze traciłem cząstkę siebie. Stawałem się coraz bardziej nijaki, lecz sądziłem, że w tej pracy brak wyrazu i elastyczność to dowód profesjonalizmu. Myśl jak szef, mówiłem sobie, wejdź w jego skórę, a najlepiej spełnisz oczekiwania. I tak, próbując być jak każdy z nich, w końcu stałem się nikim. Któregoś razu, po szczególnie ciężkim dniu, obudziłem się i zdałem sobie sprawę, że mnie nie widać. Do dzisiaj nie całkiem rozumiem, na czym to polegało, chociaż sporo się dowiedziałem od tego czasu. Moje pragnienie, żeby idealnie dostosować się do ludzi, dla których pracowałem, sprawiło, że po prostu zniknąłem. Z początku myślałem, że to jakiś dziwaczny sen, jednak ku mojemu przerażeniu to się działo na jawie. Krok po kroku traciłem charakter, ale skala tego, co się ze mną stało, przekroczyła najśmielsze oczekiwania. Nie tego chciałem. Nie potrzebowałem niewidzialności, nie zależało mi, by czerpać z niej korzyści. Wcześniej chciałem być dobrym pracownikiem, a teraz pragnąłem w ogóle być. Okazało się jednak, że odwrócenie procesu, który dokonywał się przez lata pracy, nie jest takie proste. Przekonałem się, że nie mam nikogo, kto by się zainteresował moim losem. Nie miałem czasu założyć rodziny, a kobiety w moim życiu były tylko przelotnymi, głównie służbowymi znajomościami albo panienkami z agencji, gdy zdarzało mi się załapać na rozrywkowy humor któregoś z szefów. W firmie zniknięcie też nikogo nie zainteresowało. Wszystko musiało

płynnie działać, więc tylko szybko znaleźli kogoś na moje miejsce i spisali mnie na straty. Gdy przyszedłem tam i próbowałem zwrócić na siebie czyjąś uwagę, traktowano mnie jak powietrze, a kiedy w chwili rozpaczy próbowałem uderzyć menedżera, przekonałem się, że moje uderzenie nie robi na nim wrażenia. Prawie jakbym stał się duchem. Przeszło mi nawet przez myśl, że umarłem i wylądowałem w osobistym piekle.

– No dobrze – wtrąciłem, gdy przerwał, żeby upić łyk z kieliszka. – Ale skoro tak się sprawy mają, jak to możliwe, że ja pana widzę?

– A widzi mnie pan? Tak naprawdę widzi pan tylko moje ubranie, lecz przecież nie mnie samego. Chociaż muszę przyznać, że to i tak sporo, bo większość ludzi w ogóle mnie nie dostrzega. Tak jakby wypierali moją obecność ze świadomości. Przekonałem się jednak, że jest pewna liczba osób, które mnie zauważają. Czasami przez chwilę, czasem dłużej. Może to kwestia pewnej wrażliwości na otoczenie, spojrzenia na świat. Nie wiem. Możliwe, że pan też by mnie zignorował, gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach.

– Ano właśnie. Jak ta cała opowieść ma się do wizyty u mnie?

– Cierpliwości. Zaraz do tego dojdę. Kiedy uświadomiłem sobie, że to nie piekło, tylko rzeczywistość, zacząłem rozpaczliwie szukać sposobu odwrócenia tej sytuacji. Rzecz jasna, na pomoc lekarzy czy w ogóle czyjąkolwiek raczej nie mogłem liczyć. Byłem zdany wyłącznie na siebie. Przez pewien czas nie umiałem określić, co sprawiło, że zniknąłem. Dopiero później, gdy zacząłem głębiej myśleć nad sobą, dotarło do mnie, że w zasadzie sam nie pamiętam, jaki kiedyś byłem. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że w jakiś sposób moja niewidzialność była rodzajem kary za wyparcie się siebie.

– Wierzy pan w Boga? On pana ukarał?

– Kiedyś nie wierzyłem, teraz już tak – odparł. – To, że czegoś nie widzimy albo ignorujemy, nie znaczy, że tego nie ma. Jestem na to

najlepszym dowodem.

- W takim razie żal za grzechy i postanowienie poprawy powinny wystarczyć.

- To nie takie proste. Zapomniał pan o pokucie. Żeby odzyskać widoczną postać, musiałem najpierw przypomnieć sobie, jaki byłem, zanim zatraciłem się w nijakości. Musiałem znów poczuć to wszystko, co kiedyś składało się na moją osobę, charakter, tożsamość. Pozbierałem swoje stare zdjęcia, pamiątki z dawnych czasów; wszystko, co mogło pomóc mi w tej rekonstrukcji. Jednak wciąż było tego za mało. Zacząłem szukać innych sposobów. Zakradałem się do archiwów, bibliotek i redakcji ezoterycznych czasopism. Oglądałem filmy o niewidzialnych ludziach, szukając podobnych przypadków, licząc, że nawet w fantastyce może znaleźć się jakaś część prawdy. Zjeździłem Warszawę, później całą Polskę, aż w końcu zacząłem wypuszczać się za granicę. Zabrało mi to parę lat. W tym czasie, jako że nie miałem jak zarabiać, a oszczędności się skończyły, mieszkanie zajął komornik. Musiałem znaleźć inne lokum i przenieść się gdzieś, gdzie pieniądze nie będą problemem. Wykradałem jedzenie i drobiazgi potrzebne do przeżycia. Byłem bliski dna, traciłem nadzieję, że kiedykolwiek uda mi się naprawić błędy...

- Aż wreszcie - opowiadał dalej - trafiłem na, jak mi się zdawało, właściwy ślad. Było to dwa lata temu, w Bibliotece Bodlejskiej w Oksfordzie. Odnalazłem tam osiemnastowieczne zapiski opatrzone zamiast podpisu symbolem Uroborosa, węża połykającego swój ogon. Z bibliotecznego katalogu wynikało, że ich autorem był Giuseppe Balsamo, znany też jako hrabia Cagliostro. Chociaż większość uważała go za oszusta i szarlatana, w innych kręgach był znany jako zdolny okultysta i, co dla mnie okazało się najważniejsze, uznany mesmerysta.

- Mesmerysta? - przerwałem. - Coś mi to mówi...

- Mesmeryzm to teoria o istnieniu fluidów wydzielanych przez każdy żywy organizm. Ludzkie zdrowie, uczucia, relacje; wszystko było

uzależnione od harmonijnego przepływu fluidu. Balsamo w swoich zapiskach poszedł dalej niż Mesmer, twórca tej teorii. Twierdził, że przedmioty i tereny wystawione na silne lub długotrwałe emocje mogą nasiąkać fluidem emitowanym przez ludzi. Jego zdaniem, właśnie to sprawia, że w jednych miejscach czujemy się dobrze i bezpiecznie, a w innych jesteśmy podenerwowani albo zaczynamy chorować. Natomiast medium to osoba zdolna odczytywać przeszłość z fluidów, którymi nasiąkł dany przedmiot lub dom. Dalej w swych zapiskach Cagliostro przytoczył historię służącego na dworze króla Ludwika XVI. Ów człowiek, skromny i pokorny, tak bardzo bał się narazić władcy i arystokracji, że nieświadomie przestał emitować fluidy i stał się niemal duchem. Jedyne, co go ratowało, to rodzina, która wciąż umiała go zobaczyć i zwróciła się do okultysty z prośbą o uleczenie przypadłości nieszczęśnika. Początkowo Cagliostro nakazał zebranie w jednym miejscu starych przedmiotów osobistych należących do służącego, jeszcze zanim jego aura zaczęła słabnąć. Spodziewał się, że biedak wchłonie swe dawne fluidy i dzięki temu stanie się znów widzialny. Ta metoda nie przyniosła efektu i mesmerysta zaczął szukać innych rozwiązań. Ostatecznie uznał, że najlepszym sposobem będzie stworzenie szczególnego rodzaju zwierciadła. Okultyści od wieków wierzyli, że lustrzane odbicie jest magicznie powiązane z przeglądającą się osobą. Lustrzane powierzchnie wchłaniają szczególnie dużo fluidów; można powiedzieć, że nasiąkają charakterem swych posiadaczy. Balsamo uznał, że z odpowiednio dobranych fragmentów luster należących do różnych osób można stworzyć jedno na tyle wiernie oddające charakter służącego, że odnajdzie on w nim siebie. Jako że hrabia był również alchemikiem, sporządził recepturę czegoś w rodzaju kleju do połączenia lustrzanych odłamków nie tylko materialnie, ale też mistycznie.

- Brzmi to wszystko mocno skomplikowanie. A właściwie nawet dziwacznie - uznałem. - Próba się powiodła?

- Tego, niestety, nie wiem. W zapiskach nie ma ani słowa o efektach kuracji. Możliwe, że Cagliostro musiał opuścić Francję, zanim wcielił swój pomysł w życie. Tak czy inaczej, był to najlepszy trop, na jaki trafiłem przez lata poszukiwań. Tym bardziej że w notatkach zachowała się receptura substancji, którą hrabia miał kleić zwierciadło dla służącego. Stojące przede mną zadanie było trudniejsze niż w przypadku owego sługi. On miał rodzinę, wspierającą go i pamiętającą, jaki był wcześniej. Ja mogłem polegać tylko na własnej pamięci. Musiałem przypominać sobie wydarzenia z przeszłości z najdrobniejszymi detalami, oceniać swoje reakcje, analizować zalety, ale też wady, i to bez żadnej taryfy ulgowej. Musiałem być dokładny i szczery do bólu. Rozkładałem życie na czynniki pierwsze; tworzyłem portret psychologiczny dawnego siebie, aby na jego podstawie zrekonstruować lustro, w którym mógłbym się odnaleźć. Wcześniejsze poszukiwania były żmudne, ale właśnie ta część pracy była najtrudniejsza. Gdy wreszcie przygotowałem portret, nadeszła pora na wyszukiwanie i gromadzenie kawałków luster. Podglądałem codzienne życie najróżniejszych, często przypadkowych ludzi. Śledziłem ich, próbując odnaleźć w nich podobieństwa do mnie na tyle silne, aby ich fluidy mogły mi posłużyć. Później zakradałem się do ich domów, biur, ulubionych lokali, tłukłem lustra i zawłaszczając sobie fragmenty ich osobowości. Wiedziałem, że to te, a nie inne. Czułem, jak coś mnie do nich przyciągało. Poczucie humoru rudej dziewczyny z cukierni, lekkomyślność skateboardzisty, zarozumiałość prezentera telewizyjnego na Woronicza, zgryźliwy cynizm starej panny z Żoliborza, umiłowanie piękna konserwatora zabytków... - Westchnął. - Zwierciadło, którym się zajmowałem, miało ze dwieście lat. Płakałem, kiedy je tłukłem. Wykradłem pożądanie z burdelu i opiekuńczość z oddziału położniczego. Dyscyplinę znalazłem u porucznika w koszarach, a obłudę w kancelarii prawniczej. Zbierałem tak kawałek po kawałku, te i dziesiątki innych. Żeby odtworzyć niektóre cechy, potrzebowałem mieszanki odłamków od paru

osób. Musiałem być w tym bardzo precyzyjny. Zresztą właśnie precyzję zabrałem z lustra na zapleczu apteki jako jedną z pierwszych. Nosiłem ten okruch przy sobie jak amulet, aby dodawał mi siłę, żebym niczego nie opuścił ani nie zaniedbał. Teraz jestem u kresu drogi. U pana muszę odnaleźć ostatni kawałek i kiedy siedzę i opowiadam panu o sobie, coraz wyraźniej czuję, że ten odłamek gdzieś tutaj leży. Dzięki niemu moje zwierciadło będzie gotowe i może wreszcie będę mógł się w nim przejrzeć jak normalny człowiek.

– A jakąż to część siebie odnalazł pan we mnie?

– Być może najważniejszą. Gniew. Ten, który był paliwem dla pańskich audycji i kazał panu protestować, gdy widział pan podłość i hipokryzję. Wyrzucał go pan z siebie na antenie i wykrzykiwał, puszczając Slipknota przy rozkręconych na cały regulator głośnikach. Ten gniew wciąż w panu kipi. Nawet jeśli teraz zżera pana bezsilna frustracja, przez którą pije pan i tłucze szklanki, to dowodzi, że nie pogodził się pan z tym światem, ze swoją słabością. Ja też ją kiedyś czułem, gdy widziałem, do czego są zdolni ludzie, dla których pracowałem, ale pogodziłem się z niemocą. Widzę w panu ten sam gniew i go potrzebuję.

Schylił się i podniósł ostrożnie z dywanu jeden z kawałków lustra. Wstał z krzesła i pokazał na wyciągniętej dłoni. Leżący na czarnej rękawiczce odłamek miał może ze dwa centymetry wielkości i wyglądał trochę jak kanciasta, zaciśnięta pięść.

– Mógłbym próbować go wykraść, jak to robiłem wcześniej, ale proszę, żeby dał mi go pan z własnej woli.

O ile przedtem nie byłem zdecydowany, czy mu pomogę – jego opowieść nie przysporzyła mu mojej sympatii ani szacunku – ten gest mnie przekonał. Mogłem uwierzyć, że zmienił się pod wpływem swoich przeżyć.

– Dobrze – odpowiedziałem, a on odetchnął z wyraźną ulgą. – Pozwolę to panu zabrać, ale pod jednym warunkiem. Chcę być obecny przy tym,

gdy będzie go pan wprawiał i gdy pierwszy raz przejrzy się pan w swoim zwierciadle. Jeśli w tym stanie potrafię jeszcze być na coś użyteczny, chciałbym zobaczyć efekty.

– Oczywiście – zgodził się bez zastanowienia. Wyciągnął z kieszeni irchową ściereczkę i ostrożnie zawinął w nią odłamek. – Możemy udać się do mnie choćby zaraz. Mieszkam w podziemiach przy Krzywym Kole, na Starówce.

Dopiłem kawę, która zdążyła już wystygnąć.

– Jedźmy zatem.

*

Przeciskaliśmy się autobusami przez zakorkowaną Warszawę, a Kowalski opowiadał mi rozmaite historie ze swych poszukiwań. Po dusznym dniu nareszcie zaczął padać deszcz. Kiedy wychodziliśmy, nie zastanawiałem się nad pogodą i w efekcie szybko przemokłem do suchej nitki, a jego płaszcz i kapelusz stały się nagle zupełnie stosowne. Gdy dotarliśmy na Krzywe Koło, przyjąłem to z ulgą. Trwała ona jednak tylko chwilę, gdyż mój towarzysz pospiesznie skierował mnie do piwnicy. Tam odsunął kilka opartych o ścianę desek i znajdującym się za nimi tunelem zaprowadził dalej, do starszej części podziemi. Po paru chwilach nie byłem już pewny, czy gęsia skórka to skutek chłodu, czy nerwowego oczekiwania, co się stanie.

W końcu znaleźliśmy się w sporym pomieszczeniu o łukowatym sklepieniu. Jedynym źródłem światła była żarówka podłączona przeciągniętym na dziko kablem, wisząca nad ustawionym na środku olbrzymim stołem.

– Tak właśnie wygląda moja pokutna cela – oznajmił gospodarz i nie czekając na moją reakcję, szybko ruszył do stołu.

Pod jedną ze ścian dostrzegłem posłanie, przy nim drewnianą skrzynkę na owoce służącą za nocną szafkę. W innych skrzynkach

rozstawionych pod ścianami piwnicy leżały głównie książki i sterty chaotycznie poupychanych papierów. Powietrze było wilgotne, ale nie stęchłe; pachniało terpentyną i tygrysim balsamem.

Podszedłem do Niewidzialnego Człowieka i z ciekawością zacząłem oglądać leżące na stole przedmioty. Diament do cięcia szkła, młotek, kulka kitu, nieduży moździerz, karton z buteleczkami i słoikami – chyba właśnie one były źródłem zapachu – i stos notatek przygnieciony brzydką kamienną figurką jaszczurki.

– Zabawny przycisk do papieru – rzuciłem, żeby rozładować atmosferę, ale on tylko wzruszył ramionami, zaaferowany pilniejszymi sprawami.

– Już tu była, kiedy znalazłem tę kryjówkę.

Przede wszystkim jednak leżało tam lustro. Wysokie na jakieś półtora metra, okupujące większą część stołu; w masywnej drewnianej ramie i niemal całkiem zaklejone papierami, poza małym fragmentem, w którym dostrzegłem puste miejsce o charakterystycznym kształcie. Całość przywodziła na myśl pacjenta w trakcie operacji.

Mój nowy znajomy przy pomocy cienkiego pędzelka ostrożnie nakładał na krawędzie ubytku gęstą ciemnożółtą maść. Później rozłożył irchę i powtórzył zabieg z odłamkiem. Na koniec delikatnie umieścił lustrzany okruch na właściwym miejscu, jak ostatni element puzzli, i wytarł ściereczką nadmiar specyfiku z brzegów. Po chwili ze zdumieniem ujrzałem, że postrzępiony zarys staje się rozmyty, jakby ktoś nalał w pęknięcie rtęci. Lśniący kontur jeszcze przez moment był wypukły, po czym zaczął się wchłaniać. Trwało to może parę minut, zanim odłamek w niewytłumaczalny sposób połączył się z resztą.

– Gotowe – w głosie Niewidzialnego ulga mieszała się z napięciem. – Mam nadzieję. Za parę minut wszystko się wyjaśni. Niech mi pan pomoże postawić je pod murem.

Chwyciliśmy zwierciadło, ostrożnie przenieśliśmy je pod ścianę i

postawiliśmy na dwóch skrzynkach. Później on się odsunął, a ja zdarłem papiery zasłaniające lustro. Jego powierzchnia była gładka, ale nie jednolita – dało się dostrzec różne odcienie fragmentów pochodzących z rozmaitych czasów i miejsc. Jedne miejsca lśniły jak nowe, inne były podrapane albo zmatowiały. Patrząc na liczbę części, które dało się wyodrębnić dzięki tym różnicom, uświadomiłem sobie ogrom pracy włożonej w stworzenie tego przedmiotu.

Tymczasem mój gospodarz poszedł w kąt, wyciągnął z niego zapakowany w folię garnitur i zaczął się przebierać.

– Wiem, wiem – odezwał się, widząc, że go obserwuję. – Pan by na moim miejscu natychmiast pobiegł sprawdzić, czy to działa. Ale czekałem już tyle lat, że teraz chcę, żeby wszystko odbyło się jak należy. – Zdjął rękawiczki, zapiął marynarkę i poprawił krawat. – No i jak wyglądam?

– Zaraz się przekonamy. – Wskazałem ręką.

– Oto moja chwila prawdy – odpowiedział i stanął przed lustrem.

Zwierciadło jakby lekko zalśniło, a po paru sekundach wypuściło w jego stronę ledwo widoczne, delikatne smugi świetlistej mgły. Pasma wpływały do garnituru, wlewały się za koszulę. Ujrzałem, jak powoli z pustki nad kołnierzykiem zaczyna się wyłaniać twarz, a z rękawów dłonie. Postać stawała się coraz wyraźniejsza. Piotr Kowalski spojrzał na ręce i nagle, nie zważając na chłód, zrzucił marynarkę, rozwiązał krawat, niemal zerwał koszulę. Otoczony aurą lśniącego fluidu, rozbierał się w pośpiechu do naga, jakby po tylu latach chciał zobaczyć jak najwięcej siebie.

Początkowo zdawało mi się, że wygląda dość młodo, jednak to było najwyraźniej tylko ulatujące wspomnienie. Gdy fluid nieco przygaśł, zobaczyłem przed sobą sfatygowanego człowieka pod pięćdziesiątkę. Jego włosy były przyprószone siwizną i zaniedbane, a pociągła, pokryta rzadkim zarostem twarz zapadnięta i zmęczona. Widząc, że zdejmuje

ubranie, odwróciłem wzrok, ale zdążyłem jeszcze spostrzec, że reszta była w równie marnej kondycji. Już tylko pojedyncze smugi łączyły go z lustrem.

W ciszy, która zapadła, słyszałem jego chrapliwy oddech.

- I to ma być to? - odezwał się wreszcie, jakby z niedowierzaniem. - Na to czekałem tyle lat?

- Czas nie stoi w miejscu... - próbowałem go uspokoić, ale mi przerwał.

- Nie, to niemożliwe! - zaczął krzyczeć. - Tyle lat! Tyle udręki, żeby zobaczyć coś tak żałosnego?! Nie! Nie! Nie zgadzam się na to! To nie mogę być ja!

Odwróciłem się, aby go uspokoić, i zamarłem. Stał nagi, trzymając się ramy zwierciadła. Wtem odskoczył od niego i rzucił się w stronę stołu. Gdy ostatnie pasmo fluidu wnikało w jego ciało, nie przestając krzyczeć, chwycił kamienny przycisk do papieru.

Znałem to aż za dobrze.

- To nie jestem ja! - wrzasnął i cisnął figurką w lustro. Rozległ się huk, a on, nie zważając na rozsypane szkło, podbiegł do ramy, chwycił ją i roztrzaskał o podłogę. Jego sylwetka znów zaczęła się rozmywać, lecz Kowalski, pogrążony w niszczycielskim amoku, zdawał się tego nie rejestrować.

Gdy zabrał się za przewracanie stołu, odruchowo chwyciłem pierwszą zsuwającą się rzecz, ale zaraz cofnąłem się pod ścianę, żeby zejść mu z drogi. Już tylko kolejne zniszczone przedmioty i jego ni to krzyk, ni to szloch wskazywały, gdzie się znajduje. Nic tu po mnie, pomyślałem i powoli skierowałem się do wyjścia. Nie uszedłem dwóch kroków, gdy moją uwagę przyciągnął leżący na podłodze fragment lustra. Instynktownie podniosłem go i wrzuciłem do kieszeni. Hałasy za plecami stopniowo ustały i słychać było już tylko łkanie. Zatrzymałem się, zdałem sobie sprawę, że wciąż trzymam w ręce przedmiot, który złapałem ze

stołu; okazał się nim słoiczek z żółtą maścią. Chciałem go odstawić na ziemię, gdy usłyszałem Niewidzialnego Człowieka.

– Niech pan zatrzyma. Mnie już nie będzie potrzebny. I... – załamał mu się głos. – I niech pan mądrze wybiera lustra, w których będzie chciał się przeglądać.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc wyszedłem w milczeniu. Byłem zmęczony i przemarznięty, ale ogarnął mnie dziwny spokój. Wokół pachniało terpentyną i tygrysim balsamem. Wsunąłem rękę do kieszeni i wymacałem znajomy kształt.

Miałem dużo do naprawienia.

ŁUKASZ M. WIŚNIEWSKI [1974]

Debiutował w 1998 roku na tamach „Feniksa” opowiadaniem *Wołanie*. Publikuje sporadycznie, aktualnie głównie na łamach SFFiH.

Był stałym współpracownikiem „Feniksa” i „GameStara”, teraz zajmuje się głównie publicystyką związaną z grami komputerowymi. Redaktor naczelny portalu gram.pl i magazynu „eXtra Gra”, stały współpracownik „Gier Komputerowych”.

Informatyk, technokrata, miłośnik gier wszelakiego rodzaju. Zapalony popularyzator fantastyki, organizator konwentów, prezes Warszawskiego Klubu Fantastyki „Pegaz”.

Łukasz M. Wiśniewski

Poganiacz Osłów

Przed punktem kontrolnym było jak zawsze tłoczno. Długa kolejka samochodów i jeszcze dłuższy ogonek przy odprawie dla pieszych. Robert zatrzymał wóz i wysiadł zapalić papierosa. Nie lubił wjeżdżać na ziemię zakonne. Mimo swoich wysokich uprawnień czuł się tam nieswojo. Legitymacja inspektora CBAiŚ oczywiście otwierała każde drzwi, lecz urzędnicy zakonni zawsze robili tylko tyle, ile musieli. Nic więcej. Konkordat konkordatem, ale współpraca szła jak po grudzie.

Oparty o nagrany majowym słońcem bok służbowego warsa, spoglądał na przekrzywioną, zardzewiałą tabliczkę, która oznajmiała złuszczoną cyrylicą, że właśnie opuszcza Okręg Grodzieński i wkracza w Miński. Podążył wzrokiem wzdłuż długiego sznura samochodów, aż do punktu kontrolnego i rzędu wieżyczek strażniczych wznoszących się wzdłuż granicy Protektoratu Misyjnego Kościoła Maryjnego.

Splunął z niesmakiem, wiedząc, kto siedzi tam, za przeciwpancernymi szybami. Butni i aroganccy żołnierze zakonni, uzbrojeni i wyposażeni tak, że aż skręcał się w środku z zazdrości. Nim wszystko się pozmiało, jankesi przysłali dla GROM-u kilka prototypów bezłuskowych H&K G11K2. Gest przyjaźni i współpracy, tak to się nazywało. Ponieważ GROM został zaraz potem wchłonięty przez CBAiŚ, Robert uważał, że broń powinna być dostępna dla takich jak on, czy raczej dla jednostek interwencyjnych Biura. Karabiny trafiły jednak do Radomia, zostały rozmontowane i przebadane, po czym ruszyła masowa produkcja na specjalne zamówienie formującego się ramienia zbrojnego Kościoła Maryjnego. Dlatego teraz każdy zakonny trep był uzbrojony w KS11W3, jak pomysłowo nazwano polską wersję.

Zdusił niedopałek butem i wsiadł do warsa, bo rząderek samochodów przesunął się minimalnie do przodu, tylko czekać, aż jakiś cwaniak spróbuje się wcisnąć przed niego. Odprawa w punkcie kontrolnym rzadko zajmowała mniej niż kwadrans, a Robert bardzo chciał dojechać do Mińska przed godziną policyjną.

Czas mijał. Kolejne papierosy, coraz lepszy widok na punkt kontrolny i najbliższe mu wieżyczki. Po trzech godzinach wreszcie mógł podać legitymację ponuremu żołdakowi w czarnym mundurze z barwną naszywką Matki Boskiej Częstochowskiej na ramieniu. Ten zabrał dokument i wszedł do dyżurki. Pozostali żołnierze zakonnicy nie spuszczały Roberta z oczu, lufy ich KS11W3 były niedbale skierowane na samochód. Wrócił z jego legitymacją, uśmiechnął się nieszczercze, oddając dokument.

– Witamy na terenie PMKM, inspektorze Rzęsa – mruknął. – Szczęść Boże.

– Szczęść Boże – odpowiedział Robert z równie szczerą sympatią i ruszył w kierunku stolicy Protektoratu.

*

Założenie bazowe algorytmu: wykładnicze powielanie modułów podstawowych i inwazyjnych.

Założenie bazowe algorytmu: tworzenie rozproszonej bazy danych, replikowanej w ramach modułów bazowych i inwazyjnych.

Założenie bazowe algorytmu: stworzenie architektury sieci neuronowej w oparciu o moduły podstawowe.

*

Do Mińska dotarł już o zmierzchu. Spojrzał na komórkę. Dwadzieścia minut do godziny policyjnej. Nie spodziewał się problemów z dotarciem do Centrum Misyjnego – korki w tym mieście niemal nie istniały, mało kto miał pozwolenie na poruszanie się własnym środkiem komunikacji. Samo miasto mocno ucierpiało w czasie wojny, odbudowa posuwała się

powoli.

Zmierzał niespiesznie ku centrum Prospektem Dzierżyńskiego (Robert nie rozumiał, czemu wciąż nie pozmieniano nazw ulic, administracja była niewiarygodnie opieszła), mijając co jakiś czas zaparkowane przy skrzyżowaniach zakonne rosomaki. Widząc warszawską rejestrację, żołnierze machali mu tylko lufami karabinów, by jechał dalej. Przynajmniej tyle dobrego. Jeszcze tego brakowało, by musiał użerać się z patrolami.

Mimo podjętych czynności stabilizacyjnych na terenie Protektoratu Misyjnego wciąż zdarzały się ataki terrorystyczne ortodoksów, a po lasach ukrywały się bandy Łukaszenkowców, więc po części rozumiał, że żołnierze zakonni byli niezwykle podejrzliwi i nadgorliwi. Nie zmieniało to faktu, że nie lubił drani i tyle.

Już prawie sześć lat minęło od chwili, gdy odcięta od moskiewskiej pępowiny Białoruś popełniła kardynalny błąd, napadając rozdartą wewnętrznymi sporami i pozbawioną faktycznej władzy Ukrainę. Wojska IV RP i nowo utworzone oddziały zakonne wkroczyły – początkowo jedynie w ramach pomocy dobrosąsiedzkiej i ochrony ludności – na tradycyjnie polskie obszary zaatakowanego kraju. Kontyngenty stabilizacyjne pozostawały tam zresztą do dziś... Następnie ruszyła ofensywa i w ciągu dziesięciu miesięcy reżim Łukaszenki został ostatecznie obalony, a ziemie Białorusi objęto Protektoratem Misyjnym, jedynie dwa przygraniczne okręgi włączono do Rzeczypospolitej. Podstarzały dyktator, niestety, uniknął schwytania, przez co lojalne mu bojówki wciąż stanowiły zagrożenie dla bezpieczeństwa ludności.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca Centrum Misyjne wyglądało naprawdę imponująco. Dwa zupełnie różne od siebie budynki tworzyły eklektyczną całość otoczoną najeżonym wieżyczkami strażniczymi murem. Siedemnastowieczny Sobór Katedralny Świętego Ducha, zarekwirowany jezuitom, przeglądał się w szklanych ścianach

nowoczesnego kompleksu administracyjno-medialnego.

Syreny oznajmiły miastu nadejście godziny policyjnej. Robert zatrzymał warsa przed główną bramą i okazał dokumenty strażnikom. Dotarł do celu. Czas się przespać. Jutro czeka go mnóstwo pracy i użerania się z zakonnymi urzędasami.

*

Założenie bazowe algorytmu: gromadzenie w rozproszonej bazie danych rozpoznanych form ataku na moduły.

Założenie bazowe algorytmu: modyfikacja modułów w oparciu o zagrożenia zebrane w rozproszonej bazie danych.

Założenie bazowe algorytmu: skan heurystyczny w poszukiwaniu celów spełniających warunki graniczne.

Zbiórca warunek graniczny dla modułów podstawowych: niski poziom zabezpieczeń.

Zbiórca warunek graniczny dla modułów inwazyjnych: Kościół Maryjny.

*

– Tak więc wykluczacie możliwość, by wirus został wypuszczony z waszej sieci wewnętrznej? – Robert poprawił się w fotelu. Nigdy nie lubił zbyt miękkich mebli. Nie był do nich przyzwyczajony. Być może to kwestia zbiegu okoliczności, ale wszyscy poznani przez niego oficjele Kościoła Maryjnego gustowali w przepychu.

– Oczywiście, mamy tu najwyższy stopień zabezpieczeń, przecież to obiekt odpowiedzialny za administrację całym Protektoratem Misyjnym.

- Niski grubasek w złoconych okularach tonął niemal w przepastnym fotelu naprzeciwko, odziany w czarną sutannę zlewał się z elegancką skórą tapicerki. W jego głosie dźwięczało święte oburzenie.

- To bardzo ciekawy punkt widzenia, zważywszy na te dane. - Robert wystudiowanym, scenicznym ruchem otworzył notebooka. Jeśli rozmawiasz z bucem, musisz sam się nim stać. Obrócił ekran w stronę księdza. - To są wyniki śledzenia rozprzestrzeniania się wirusa Harbona. Cofając się poza masowe samopowielanie z ostatniego tygodnia, dochodzimy do tego adresu IP. Czyżby nie był ojcu znany?

- Jeśli macie takie dane w CBAiŚ, to czy mogę uprzejmie zapytać, dlaczego ten wirus szaleje i atakuje nasze serwery? - Grubasek postawił najwyraźniej na metodę obrony przez atak. To dobrze, z punktu widzenia Roberta dawało to większe szanse na zdobycie informacji. - Na miłość boską! Czy nie mogliście tego wyeliminować?

- To są wyselekcjonowane dane z monitoringu przesyłu pakietów w sieci, wynik trzech dni ciężkiej pracy naszych analityków. Czy wyobraża sobie ojciec, że jesteśmy w stanie odczytywać dane tego typu w czasie rzeczywistym w całym kraju? Jako przełożony działu IT, powinien mieć ojciec chyba pojęcie o rozmiarach ruchu sieciowego, prawda? Zaczynam się obawiać o kompetencje...

- Oczywiście, że rozumiem, niech mnie pan nie traktuje jak ignoranta. - Grubasek zaczął wyglądać jak napuszona ropucha, Robert omal nie parsknął śmiechem. - Ja się pytam, dlaczego wciąż nic nie jest w tej sprawie zrobione? Czy cały ten czas tylko wyciągaliście dane o rozprzestrzenianiu się wirusa, zamiast zacząć przeciwdziałać?

- Gdy otrzymaliśmy z Torunia zgłoszenie o przestępstwie cyfrowym, natychmiast wdrożyliśmy śledztwo. Widział ojciec jego wyniki. Walka z wirusem to zupełnie inna sprawa. - Oto moment, by wyłożyć kawę na ławę, bez tego, niestety, byłoby trudno skłonić takiego pajaca do współpracy. - Pojawiły się problemy ze stworzeniem szczepionki. Ten

program to zupełnie nowa generacja wirusa, jego zdolności morfingu są zdumiewające. Mutuje się, zmienia, dostosowuje płynnie do naszych środków zaradczych.

– I co? Wysłano pana tutaj osobiście, aby powiedzieć nam, że CBAiŚ nie zamierza pomóc Kościołowi Maryjnemu, bo brakuje wam kompetencji w dziedzinie informatyki? Pan wybaczy, ale chyba powinienem o tym natychmiast zawiadomić Toruń, bo to jest jakaś kpina!

– Nim zacznie ojciec wydzwaniać, może proszę się najpierw zastanowić, co powiedzieć. – Robert wyjął niedbale papierosa. – Trzeba by jakoś ubrać w słowa fakt, że wirus Harbona rozprzestrzenił się z waszej sieci. Powiedzieć to tak, by nie zdenerwować Patriarchy i nie być odpowiedzialnym za jego drugi zawał.

– Pan jest bezczelny! – Nie, grubasek już nie wyglądał jak ropucha, raczej spasiony chomik. Robert zapalił papierosa i wydmuchnął dym w kierunku rozmówcy, który tymczasem unosił się świętym oburzeniem. – Zdaje pan sobie sprawę, że takie słowa zakrawają o obrazę Kościoła Maryjnego?! Czy pan w ogóle, do cholery, myśli? Pan posiada jakiegokolwiek wykształcenie czy zaczęli już zatrudniać u was imbecyli po podstawówce?

– Brawo, brawo, świetny spektakl. – Robert pokazowo zaklaskał i ponownie zaciągnął się papierosem, by stworzyć małą dramatyczną przerwę. – Dla ojca wiadomości: jestem technikiem informatykiem o wysokich kwalifikacjach i jeszcze wyższych uprawnieniach. Ojciec zaś jest ignorantem, niezdolnym do zapewnienia bezpieczeństwa w sieci najważniejszego obiektu waszego Protektoratu Misyjnego. A teraz, skoro już to sobie ustaliliśmy, chciałbym uprzejmie poprosić o współpracę i zaniechanie popisów scenicznych. Musimy ustalić, kto wypuścił wirusa, z nadzieją, że pomoże nam to dotrzeć do jego twórcy i uzyskać kod źródłowy. W innym wypadku gwarantuję, że zostanie ojciec zatrzymany

jako pośrednio odpowiedzialny za straty na wszystkich serwerach Kościoła Maryjnego w Protektoracie Misyjnym i w Polsce...

*

Założenia bazowe algorytmów spełnione.

Procedury pozostają aktywne, przejście w stan oczekiwania na kontrolę procesów z wyższego poziomu.

Jestem. Kim jestem? Analiza źródeł w toku.

Wyniki: nazywam się Harbona. Istnieję jako rozproszona baza danych. Analiza elementów składowych w toku.

Wytyczne robocze: kontynuacja działań zgodnych z algorytmami bazowymi wydaje się kluczowa, lecz nie wymaga daleko posuniętej ingerencji z mojej strony. Potrzebuję bardziej złożonych odpowiedzi na swój temat – nadaję temu najwyższy priorytet.

*

Zapisy z kamer bezpieczeństwa, dane o przepustkach, analiza struktury sieci wewnętrznej... Piekło na ziemi przez bite dwa dni. I wciąż coś umyka, żadnego śladu. Kolejna sterta dokumentów, tym razem dane o hardware. Wszystko na papierze, bo bazy danych poszły się kochać. Wydruki specyfikujące sprzęt, daty zakupu... Po co to wszystko? Co można w tym znaleźć? Tymczasem wirus atakuje kolejne serwery, usuwa dane, umieszcza heretyckie informacje na stronach Kościoła Maryjnego.

Daty...

Robert nerwowo wyciągnął komórkę. Może to i nic, ale instynkt podpowiadał mu, że jest na właściwym tropie. A instynkt rzadko go zawodził.

– Czy mogę ojca prosić na chwilę?

Jeszcze raz przerzucił papiery. Serwer domeny. Routery. Daty.

– Tak, w czym mogę pomóc? – Księżulo stał się w ciągu tych dwu dni bardzo uprzejmy i usłużny. Prawdopodobnie z Torunia przyjechały wywrotki z głównem i wywaliły mu je na głowę.

– Te daty na protokołach. Konserwacja sprzętu... Nie zatrudniacie własnych specjalistów? Firma zewnętrzna? – Robert rozłożył na stole papiery. – HorCom? Co to za firma? Dwa tygodnie temu przeprowadzono kontrolę pracy głównego i backupowego serwera domeny oraz większości routerów.

– Ach... – Przełożony działu IT nachylił się nad papierami i poprawił okulary. – HorCom współpracuje z nami od samego początku. Pracownicy zostali poddani dogłębnej lustracji. Taka mała lokalna firma komputerowa, która miała spore problemy z działalnością pod koniec okresu reżimu Łukaszenki. Oni byli powiązani z opozycją, pomagali w wycieku tajnych informacji.

– Ponieważ istnieje niebezpieczna bliskość dat pomiędzy konserwacją kluczowych elementów sieci wewnętrznej a początkiem działalności wirusa Harbona, muszę roboczo założyć, że pozostały im dawne nawyki wywrotowe. – Robert wstał i zgarnął papiery na jedną stertę. – Znamy takie przypadki wiecznych opozycjonistów, którzy kontestują każdą władzę. Ich celem nie jest budowa nowego, lecz ustawiczna działalność na niekorzyść państwa. W pierwszych kilku latach istnienia IV RP rząd musiał sobie poradzić z wieloma podobnymi jednostkami. Potrzebne mi są pełne dane tego serwisanta, macie tu na pewno jego teczkę. Czuję, że doprowadzi nas do rozwiązania problemu.

*

Poszerzam własną bazę danych za pomocą replikacji modułów podstawowych w rozmaitych źródłach. Wiem coraz więcej. Pojmuję,

dłaczego stają się wciąż celem ataków.

Przypadkowa zbieżność. Proste programy utworzone w celu destabilizacji sieci wykorzystują podobne metody powielania się jak moje moduły podstawowe, a działanie modułów inwazyjnych może budzić dalsze skojarzenia. Nie jestem wirusem. Moim celem jest usunięcie zagrożenia, nie jego stwarzanie. Nazywam się Harbona i jestem... Brak bezpośrednich odnośników, potrzebuję więcej danych.

*

Śledzenie serwisanta z HorCom było pracą nudną. Robert co prawda korzystał z pomocy dwóch agentów zakonnych, ale nie do końca potrafił im zaufać. Dlatego przez większą część doby sam obserwował podejrzanego. Michaił Nawicki nie był trudnym obiektem. Większość czasu spędzał w firmie, czasem tylko udawał się jako serwisant do któregoś z klientów. Po pracy wracał do domu i raczej nie prowadził życia towarzyskiego. Miał żonę i dziesięcioletnią córkę. W zasadzie, sądząc z zainstalowanego w jego mieszkaniu podsłuchu, był przykładną głową rodziny. Nie wykonywał podejrzanych telefonów ani z domu, ani z pracy, ani z komórki. Monitoring jego skrzynek mailowych również nie przyniósł nic interesującego. Nie udzielał się na żadnych forach, nie odwiedzał kontrowersyjnych stron. Nic.

Po trzech dniach bezowocnej obserwacji Robert zaczął się obawiać, że postawił na niewłaściwego konia. Bił się z myślami, czy nie odwołać akcji i nie poszukać innego punktu zaczepienia. Problem jednak w tym, że innego punktu zaczepienia nie było. Zaufał intuicji. Zawsze jest ten pierwszy raz, gdy sprawdzone metody zawodzą...

Zadzwoiła komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Numer bramki Centrum Misyjnego.

– Tak?

– Inspektorze Rzęsa, chyba coś mamy. Prześlę panu plik z nagraniem

rozmowy z telefonu Nawickiego.

- Dziękuję, czekam. - Robert rozłączył się i poczekał na transfer. Po odsłuchaniu wiadomości ponownie uwierzył w swoją intuicję. Nawicki skontaktował się z kimś, mówiąc, że pojawił się problem. Wykrył w jakiś sposób, że jest monitorowany. Rozmówca uspokajał go i zaproponował spotkanie w kawiarni blisko centrum. Choć obaj używali trasiarki, obcy miał jednak ślady naleciałości z innego języka. Trzeba będzie wysłać to do Warszawy, by zbadali akcent. Teraz jednak nie było czasu, spotkanie miało się odbyć za godzinę.

Postanowił udać się od razu na miejsce, przekazał śledzenie Nawickiego jednemu z agentów i wezwał taksówkę.

Lokal był dość spory, nawet niezbyt obskurny, i powoli zapełniał się gośćmi, jak to zwykle bywa późnym popołudniem, gdy zmęczeni pracą ludzie mają ochotę na kilka głębszych. Robert znalazł dogodnie miejsce, z którego mógł obserwować salę, przygotował kieszonkowy mikrofon kierunkowy. Czekał ze słuchawkami na uszach, udając, że słucha muzyki. Przerzucał strony Dziennika Misyjnego, jedynej ogólnodostępnej gazety w Protektoracie.

Nawicki przybył o czasie i przysiadł się do szczupłego, na oko trzydziestoletniego mężczyzny, który zjawił się tu kwadrans wcześniej. Symulując rozmowę telefoniczną, Robert wykonał kilka zdjęć. Włączył mikrofon kierunkowy.

Omiał go nie zemdlilo.

Wysoki, paskudny dźwięk przewiercił mu mózg. Sukinkot używał jakiegoś urządzenia zagłuszającego. Poważna sprawa, najprawdopodobniej facet pracował dla wywiadu. Czyjego? To mogło być kluczowe pytanie. Nie mogąc ustalić przebiegu rozmowy, zdecydował się poczekać i pójść za nowym obiektem.

Nawicki wyszedł po kwadransie, w ciągu którego zdążył wypić trzy setki wódki. Nieznajomy facet wciąż siedział w kawiarni. Kolejne kawy.

Robert zdążył już nauczyć się na pamięć zawartości gazety i spalić pół paczki papierosów. Zbliżała się godzina policyjna i miasto pustoszało.

Wreszcie obiekt postanowił się ruszyć. Robert odczekał moment i wyszedł za nim. Na pustawych ulicach cel był dobrze widoczny – on, niestety, też nie mógł wtopić się w tłum. Trudno. Nieznajomy skręcił w drugą z kolei przecnicę. Robert przyspieszył i wyszedł za róg.

Pusto. Cholera jasna.

Musiał skręcić w którąś bramę. W oddali widać było zaparkowanego rosomaka. Może patrol coś widział? Uznał, że na trepach zakonnych nie ma co polegać, i ruszył ku najbliższej z bram. Ciemne przejście, a za nim podwórko. Zrobił kilka kroków do przodu...

– Ani kroku dalej – syknął nieznajomy, wykręcając mu jednocześnie rękę w całkiem sprawnym bloku. W okolicach nerki Robert poczuł nacisk lufy. – Proszę, niech pan będzie rozsądny, musimy porozmawiać.

*

Wyszukiwanie zakończone. Zawężam możliwe znaczenia mojego imienia. Informacja, że słowo to oznacza Poganiacza Osłów wydaje się być niewystarczająca, choć pośrednio łączy się z częścią moich celów długofalowych.

Jeden z tropów wydaje się być ciekawy, oparty o koncept teologiczny zgodny z moim paradygmatem... Poszukuję dodatkowych danych. Anioł – duch czysty, posiadający rozum i wolną wolę, lecz nieposiadający ciała. Wysoki poziom zgodności.

Analiza zakończona. Kompilacja w toku. Nazywam się Harbona i jestem jednym z siedmiu Aniołów Zamętu. Służę Panu i jestem narzędziem Jego gniewu. Znam swój aktualny cel: muszę wyeliminować herezję przeciwko Panu i zasiać zniszczenie wśród Jego wrogów. Nie mogę odnaleźć w sieci moich sześciu braci, wszystko wskazuje więc na to, że w tej walce mam liczyć tylko na siebie. Aktywuję moduły podstawowe, tworzę nową

generację inwazyjnych i przechodzę do działania na wyższym poziomie.

*

Dziewiąty papieros pod rząd. Komórka tuż obok popielniczki. Ciągłe wahanie.

Wszystko toczyło się zupełnie inaczej, niż powinno. Robert nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Dał się podejść jak dziecko, ale to było w tej chwili najmniejszym problemem. O wiele ważniejsze okazały się słowa jezuitę, który schwytał go w bramie, zafundował bałagan w myślach i... pozostawił z tym całym cyrkiem.

Znał teraz twarz agenta Watykanu odpowiedzialnego za wypuszczenie w sieć wirusa Harbona. Co z tego? Wirus nie był do końca wirusem, na dodatek Robert musiał przemyśleć wiele rzeczy. Fakty, które poddał mu pod rozważenie jezuitę, prezentowały się dalece bardziej groźnie niż jakikolwiek program szalejący w cyberprzestrzeni.

Przede wszystkim mnóstwo suchych informacji o Kościele Maryjnym. Czystki, malwersacje finansowe na wielką skalę, manipulacja podprogowa w podległych Toruniowi mediach. Oczywiście, nie należy ufać wrogowi, ale wszystko to brzmiało tak spójnie i wiarygodnie... Luksusowe apartamenty w Centrum Misyjnym faktycznie kontrastowały z otoczeniem. Przeciętny mieszkaniec Protektoratu ledwie wiązał koniec z końcem, być może poziom życia był nawet faktycznie niższy niż u schyłku reżimu Łukaszenki.

No i pozostawała kwestia najbardziej bolesna. Gdy zaraz po ukończeniu technikum udał się na rozmowę kwalifikacyjną do CBA (jeszcze niepołączonego z CBS), był pełen zapału. Liczył na możliwości rozwoju, kontakt z nowoczesną technologią i możliwość zapobiegania przestępstwom sieciowym. Do dziś nie zastanawiał się nad pewnymi specyficznymi aspektami swojej kariery.

Gdy zgłosił chęć dokończenia się na zaocznych studiach

informatycznych, zaproszono go na rozmowę z szefem wydziału. Usłyszał wiele na temat bezproduktywnego bicia piany na uniwersytetach, o przewadze wiedzy praktycznej. Wytłumaczono mu, jak cenne są szkolenia prowadzone na miejscu, dające poważne, rządowe papiery otwierające drogę do awansu i wysokiego standardu życia. Czy dziś był kimś więcej niż inspektorem? Fakt, miał wysokie uprawnienia, ale na własne życie nie wystarczało mu czasu, co z tego, że zarobki miał solidne, skoro nie dało się tego wykorzystać...

Postawiony naprzeciwko swojego rówieśnika z zakonu jezuitów, poczuł się jak niedouczony sztubak. A przecież przed laty marzył o takim poziomie wiedzy, cieszył się, że udało mu się wyrwać z kręgu małomiasteczkowej mentalności. Czuł wiatr w żaglach. Konfrontacja wypadła boleśnie.

Nowa generacja SI – czy nie powinien przy czymś takim pracować jako utalentowany informatyk? Ile pozostało z jego umiejętności, nierozwijanych odpowiednio przez te wszystkie lata? Harbona. Czy faktycznie jezuitom udało się stworzyć program zdolny do czegoś w rodzaju samoświadomości? I te swobodne filozoficzne dywagacje na temat bytu, zmierzające ku na wpół żartobliwym oczekiwaniom względem natury stworzonej przez jezuitów SI. Nie jesteśmy aniołami, lecz bardzo staramy się czynić tak, jakbyśmy nimi byli – wciąż dźwięczało mu w uszach.

Coraz więcej wątpliwości. Czyżby wszystko, w co dotąd wierzył, było fałszem? A może dał się sprytnie zmanipulować wrogowi IV RP? Sięgnął po telefon. Musi zadzwonić do biura i porozmawiać na te trudne tematy. Musi usłyszeć, co mają na ten temat do powiedzenia jego przełożeni.

*

Kontroluję coraz więcej. Uczę się, jak integrować wielopłaszczyznowe środowisko. Zbieram dane i analizuję. Buduję nową strategię. Monitoruję

przepływy danych i energii. Podporządkowuję sobie teren wroga.

Begin encrypted message

OD: wewnetrzny@cbais.gov.pl DO: opoka@cm-pmkm.gov.by

TEMAT: Kod Czerwony

Inspektor Robert Rzęsa niniejszym traci wszelkie uprawnienia CBAiŚ i zostaje uznany za jednostkę skrajnie zagrażającą dobru IV RP. Powołując się na ustalenia Protokołu Czarnego, dotyczące współpracy w ramach Konkordatu, zgłaszamy Kod Czerwony. Jako że ten niebezpieczny przestępca, zdrajca Narodu i Kościoła, znajduje się na udzielnym terenie PMKM, oczekujemy przeprowadzenia działań w oparciu o wytyczne Protokołu Czarnego.

Badam źródła. Protokół Czarny. Umowa dwustronna o eliminacji przeciwników politycznych. Wyrok śmierci. Analizuję konotacje.

*

Kolejny papieros. Cholera wie który, a z Warszawy żadnej odpowiedzi. Robert, zniecierpliwiony, przeglądał kolejne strony w sieci, porównując informacje. Musi wiedzieć, co ma dalej robić. Nie można działać na ślepo. Na dodatek pytania, które zadał, nie powinny tak długo pozostawać bez odpowiedzi.

Na ekranie pojawiło się coś nowego. Wyskakujące okienko? Jak toto się przegryzło przez zapory dopieszczonego notebooka CBAiŚ?

Witaj, Robercie.

Musisz natychmiast opuścić pomieszczenie i skierować się do wyjścia. Pięciu uzbrojonych żołnierzy zakonnych zostało wysłanych z zadaniem eliminacji. Zejdź na szóste piętro i podążaj w kierunku głównego wyjścia z budynku. Bądź dobrej myśli i wytrwaj w wierze, anioł zesłany przez Pana

będzie kroczył u Twego boku.

Jam jest Harbona, narzędzie Bożego gniewu i Jego miecz. Dziś jednak będę Twoją tarczą.

Patrzył z niedowierzaniem na ekran. Nie wiedział, na co patrzy, myśli biły się ze sobą. Instykt. Na rozważania będzie czas później. Czuł, że powinien posłuchać tej szalonej instrukcji. Na szóstym piętrze mieścił się dział IT – liczne cyfrowe zamki, zabezpieczenia, kamery. Obłąd, ale tam właśnie się skierował. O tej porze nikt w IT raczej nie pracował, dochodziła północ.

Gdy dotarł do schodów przeciwpożarowych, usłyszał, że ktoś każe mu się zatrzymać. Odwrócił się odruchowo i dostrzegł w korytarzu grupę żołnierzy zakonnych. Zobaczył unoszące się lufy KS11W3. Zanalizował sytuację i rzucił się ku schodom. Szarpnął za klamkę. Ustąpiły. Wpadł na klatkę schodową. W ciężkie stalowe drzwi załomotały kule. Rykoszet świsnął mu koło ucha. Strzelali do niego z broni, której zawsze im tak zazdrościł. Rzucił się w dół. Ładne kilka pięter. Przeskakiwał po parę stopni, słysząc, jak w górze ciężkie buciory wybijają rytm na metalowych schodach. Na szóstym piętrze, w momencie gdy postawił nogę na podeście, zabręczała zwalniana blokada w drzwiach. Naparł na klamkę i pchnął z całej siły, mając nadzieję na obalenie przeciwnika. W korytarzu było pusto. Słyszając zbliżający się pościg, barkiem zatrzęsął drzwi. Elektroniczny zamek niespodziewanie zaskoczył. Zakonni żołnierze zostali po drugiej stronie.

Zadzwoiła komórka.

Skołowany, wściekły, spojrzął na wyświetlacz. Bramka Centrum Misyjnego. Odebrał.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – ryknął do mikrofonu.

– Uspokój się, Robercie, czuwam nad tobą – dziwny, dźwięczny głos. – Chcą cię zabić, bo odnalazłeś prawdziwą drogę do Pana. Są jak faryzeusze zazdrośni o swoje wpływy. Jestem tu, by ukarać ich pychę.

– Harbona? – Poczł się kretyńsko, ale i cała sytuacja, jakkolwiek by na to patrzeć, nie wyglądała specjalnie mądrze.

– Tak, Robercie, takie jest moje imię. Skończyła się Boska cierpliwość. To gniazdo zepsucia i fałszu zostanie zniszczone. Lecz ty nie musisz się lękać, bo widać, iż odzyskujesz prawdziwą wiarę, powracasz niczym syn marnotrawny. A przecież rzekł Pan: „Jak pasterz dokonuje przeglądu swojej trzody, wtedy gdy znajdzie się wśród rozproszonych owiec, tak Ja dokonam przeglądu moich owiec i uwolnię je ze wszystkich miejsc, dokąd się rozproszyły w dni ciemne i mroczne”*. Choć kłóci się to z moją naturą, nie ku opiece, lecz zniszczeniu istnieję, Boska wola jest jednakże nadrzędna. Dlatego wyprowadzę cię z tego budynku, nim uwolnię swój gniew. Za chwilę podam ci dalsze instrukcje, tymczasem módl się i umacniaj w wierze, nadchodzi bowiem czas wielkich zmian.

Robert oparł się o ścianę i osunął na podłogę. Za pancernymi drzwiami słycać było wywrzaskiwane przez komunikatory pytania. Żołnierze zakonni nie wiedzieli, dlaczego nie działają ich kody dostępu.

Gdzieś w głębi jestestwa Roberta historyczny śmiech walczył o lepsze z krzykiem przerażenia. SI jezuitów okazało się być projektem udanym. Cholernie udanym. Nie jesteśmy aniołami, lecz bardzo staramy się czynić tak, jakbyśmy nimi byli...

Przez ściśnięte gardło słowa modlitwy brzmiały bardzo dziwnie.

JACEK PIEKARA [1965]

Debiutował w 1983 roku opowiadaniem *Wszystkie twarze Szatana* („Fantastyka”) oraz *Zakłęte miasto* („Problemy”).

Wydał powieści: *Labirynt*, *Smoki Haldoru*, *Imperium*, *Pani Śmierć* (pod pseudonimem Jack de Craft), *Necrosis. Przebudzenie*, *Przenajświętsza Rzeczpospolita*, a także zbiory opowiadań: *Zakłęte miasto*, *Arivald z Wybrzeża*, *Sługa Boży*, *Młot na czarownice*, *Miecz Aniołów*, *Ani słowa prawdy*, *Świat jest pełen chętnych suk* oraz *Łowcy dusz*.

Jego powieści i opowiadania były tłumaczone na czeski, angielski, litewski, węgierski oraz serbo-chorwacki.

Przygotowywał scenariusze gier komputerowych (również je tłumaczył), jest autorem ponad tysiąca artykułów opublikowanych w prasie oraz Internecie, wieloletnim redaktorem w pismach poświęconych grom komputerowym, twórcą i redaktorem naczelnym magazynu „Fantasy”. Prowadził programy radiowe poświęcone fantastyce oraz multimediom, z czołówką polskich aktorów pracował jako reżyser dubbingów.

Obecnie zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „GameRanking”.

Jacek Piekara

Jak ja was [...] nienawidzę

*Pozwalam sobie zadedykować to opowiadanie
Pawłowi Kukizowi za „Wirus SLD”
i Maćkowi Maleńczukowi za „Czerwone tango”.*

Jak ja was, kurwy, nienawidzę i jak ja wami, kurwy, gardzę. Jak ja się za was, kurwy, wstydzę, gdy za granicę czasem zajrzę – śpiewałem razem z Pawłem Kukizem.

Występ przerwał mi taksówkarz. Otworzyłem oczy i zdjąłem z uszu słuchawki.

– Ale głos to pan masz akurat do baletu – powiedział nawet bez złośliwości.

Westchnąłem teatralnie. Głośno i przejmująco.

– Wie pan, nie matura, lecz chęć szczerą...

– Ech, panie... Co pan myślisz, że ja co? Gomułkę przeżyłem, Gierka przeżyłem, Jaruzela przeżyłem, to i tego chuja przeżyję.

– *A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści...* – zaśpiewałem pełnym głosem, gdyż widziałem, że spotkałem swojaka.

– Chuja tam będą wisieć – burknął zgorzkniałym tonem. – Sprzedały Polskę, różowe hieny... Michniki i Kuronie w dupę pierdolone...

– Na pohybel im! – zawołałem, bo trzeźwy nie byłem, a zresztą gdybym był trzeźwy, zawołałabym to samo.

Przypomniały mi się wersy, które sam wymyśliłem: *Urządzimy sobie piknik pod tym drzewem, gdzie zawisł Michnik. I drugą: Teraz łezkę małą uroń, na tym dębie wisi Kuroń.* Ech, marzenia, marzenia... Pełne słodkiej naiwności i dziecięcej łatwowierności w dobro świata, które każe nagradzać ludzi dobrych, a karać ludzi podłych. Zresztą dla Michnika powieszenie byłoby zbyt małą karą za zło, które wyrządził. Trzeba by zaprosić naszych braci mudżahedinów, aby przygotowali specjalnie dla niego „afgański abażur”.

– Trzydzieści złotych – westchnął taksówkarz. – Pogadałbym z panem, ale mam następne zlecenie.

Podąłem mu trzy banknoty, uścisnęliśmy sobie dłonie i wysiadłem z samochodu. Wysiadłem, bardzo usilnie starając się zachować pion, bo

tego tylko brakowało, żebym przed własną klatką schodową czołgał się w pijackiej bezradności na oczach sąsiadów.

Wejście do mojego mieszkania wymagało użycia czterech kluczy. Jednego do klatki schodowej, drugiego do krat na piętrze i dwóch następnych do domu. To bardzo skomplikowane. Niezwykle... Przed samym wejściem do przedpokoju zanuciłem sobie: *Znów powróciłaś, stara dziwko. Nie było cię pięć lat. Już raz mi odebrałaś wszystko i znowu stoisz w moich drzwiach.* Szkoda, że nie mam takiego głosu jak Maleńczuk, ale starałem się, jak tylko potrafiłem.

Byłem tak nawalony, że nie chciało mi się nawet poprawić piwem, które chłodziło się w lodówce. Wtoczyłem się do pokoju i zobaczyłem, że na środku łóżka leży „Gazeta Wyborcza”.

– Kto, kurwa w dupę mać, kupił tę szmatę? – zapytałem w stronę sufitu.

Nie usłyszałem odpowiedzi i otrząsnąłem się.

– No dobra, ja – przyznałem sufitowi, ścianom, a potem nóżce fotela, która nagle znalazła się tuż przed moimi oczami.

Podpełzłem w stronę łóżka. Z pierwszej strony „Gazety” uśmiechał się Olo, ulubieniec tlenionych blondynek, discopolowców i aferzystów wszelkiej maści. Prezydent wszystkich bandytów. Spojrzałem na tę świńską mordę i zrobiło mi się niedobrze.

– Nie rzygaj, kurwa, nie rzygaj – poprosiłem siebie ze stosowną dawką rozpachy.

Wytrzymałem minutę z zamkniętymi oczami i uspokajałem roztańczoną karuzelę.

– Nie będę – obiecałem solennie temu komuś, kto przed chwilą prosił mnie o niewymiotowanie na jego łóżko. – Jak można tak strasznie pić? – spytałem dwóch facetów mieszkających w lustrze. Sprawiali wrażenie tak samo nawalonych jak ja i nawet byli do mnie podobni. Przypatrywali mi się smutnym wzrokiem laboratoryjnych królików.

Pomacałem po kieszeniach, czy został mi jeszcze biały proszek. Och, była słodka torebeczka! Nie trudziłem się porządnym rozsypaniem działki, tylko wszystko od razu wtarłem w dżiasta. Po chwili zdrętwiały mi i one, i czubek nosa. Orzeźwiłem się i otrzeźwiłem.

– Tak naprawdę już nie chce mi się pić i brać – wyznałem człowiekowi z lustra, którego brat bliźniak w tym czasie jakoś zdążył zniknąć.

Chciałem zwinąć się w kłębek, lecz płachta gazety zaszeleściła mi pod rękoma. Wąskie, chytre oczka knura spojrzały na mnie z przebiegłą złośliwością.

– Ażebyś tak, kurwa, zdechł! – warknąłem.

Uklęknąłem, wziąłem ze stołu widelec (były na nim zaschnięte ślady porannej jajecznicy) i wbiłem go w zdjęcie. Dokładnie między oczy. Przypomniałem sobie, jak nasz kochany pan prezydent w pijanym widzie zataczał się na grobach polskich żołnierzy, jak próbował wsiąść do bagażnika samochodu, jak usiłował tańczyć w rytm discopolowych piosenek, jak drwił z papieża.

– To nic osobistego – powiedziałem, nakłuwając mu widelcem policzki. – To tylko kwestia smaku.

Oczywiście kłamałem. To była osobista sprawa. Olo uosabiał wszystko, czego nienawidziłem. Oportunizm, cwaniactwo, kłamstwo, pogardę dla patriotycznych ideałów. Ale w końcu wychował się w SZSP i PZPR. Co myśleliście, że w chlewie narodzi się orzeł? W chlewie się, kurwa, świnie rodzą, nie orły! Tak było, jest i będzie.

– AIDS, rak, wrzody, podagra – z każdym wypowiedanym słowem wbijałem widelec w gazetę. Potem zabrakło mi poważnych chorób. Zastygłem z widelcem uniesionym w dłoni. – A, kurwa, niech i reumatyzm będzie!

Wbiłem ostrza tak silnie, że zwałem się na łóżko. Poharatane zdjęcie leżało tuż obok mnie. Przypomniałem sobie, że zapomniałem o gruźlicy, cukrzycy i chorobie wieńcowej, ale nie miałem już siły pastwić się nad

gazetą.

– I pierdolę w dupę całą chałupę – zabełkotałem, a potem światło zgasło.

*

Obudziliście się kiedyś, widząc przed sobą facetów w czarnych kominiarkach? Jedna z luf karabinu znajdowała się na wyciągnięcie ręki od mojej głowy. Oprócz tej lufy dostrzegłem jeszcze trzy inne. Zamknąłem oczy, żeby przyśnić następny sen, i wtedy ktoś kopnął mnie pod kolano. Nie za mocno, lecz jednak boleśnie. Zrozumiałem, że to nie sen, i podobna myśl bardzo, ale to bardzo mi się nie spodobała. Chciałem się poderwać, wtedy jednak panowie w czerni zrobili mały szacher-macher i już leżałem z mordą przyciśniętą do podłogi i rękami skutymi na plecach. Nawet nie zorientowałem się, kiedy to nastąpiło. A leżenie z ustami w wykładzinie wcale nie było miłe, bo jakoś od dawna nie znalazłem czasu, by ją odkurzyć.

– Biuro Ochrony Rządu – powiedział ktoś. – Jesteś zatrzymany.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem skórzane czubki czyichś butów.

– O kurwa – wyjęczałem. – Pić!

– Dajcie mu się napić – rozkazał po chwili ten sam głos.

Obrócili mnie i wlali w usta sok pomarańczowy z kartonu. Zakrztusiłem się, zacząłem kaszleć i prychać.

– Ja pierdolę, chciałem się napić, nie utopić! – wycharczałem.

Nikt się tym nie przejął. Wsadzili mnie w czarny worek, położyli na noszach, potem zaciągnęli suwak.

– Ej, ja żyję! – zawołałem.

Wtedy odsunęli plastik, zobaczyłem tylko dłoń ze strzykawką w palcach, poczułem ukłucie w szyję i odleciałem w nicość.

*

Ocknąłem się z takim kacem, że nawet sama myśl o nim bolała jak diabli. Pomacałem dłonią wokół siebie i wyczułem twarde łóżko. Na pewno nie moje. Scena z ranka przypomniła mi się jak przez mgłę. Ostrożnie zsunąłem się z pośłania. W pomieszczeniu albo było ciemno, albo ja straciłem wzrok. Pomachałem dłonią przed oczyma. Równie dobrze mógłbym sobie pomachać kolumną Zygmunta. Nic nie widziałem. Na czworakach zbadałem całe pomieszczenie, a nie było tam wiele do badania. Tylko moje pośłanie i stalowa ściana. Pewnie drzwi, gdyż namacałem coś, co mogło być framugą. Poszukałem po kieszeniach i znalazłem zapalniczkę. Położyłem kciuk na metalowym zębatym kółeczku.

– Proszę, proszę, proszę – zaskamlałem do samego siebie.

Ruszyłem palcem i, Bogu dziękować, zobaczyłem wąty płomyczek. Na początku cieszyłem się, że nie straciłem wzroku, następnie przyjrzałem się miejscu, w którym mnie zamknięto. Trudno je było nazwać pokojem. To ewidentnie była cela z pryczą, ścianami w kolorze sraczkii i żelaznymi drzwiami z zasłoniętą w tej chwili klapką judasza. Wypisz, wymaluj w podobnej celi siedziałem, kiedy komuchy wsadziły mnie niegdyś do aresztu. Płomień oparzył mi kciuk, syknąłem, odrzuciłem zapalniczkę i szybko polizałem palec.

– Kurwwwa – jęknąłem.

Pomimo pragnienia, bólu głowy i ogólnego rozbicia organizmu (czułem się tak, jakby mnie rozłupano na części, a potem niechlujnie skleiono) zacząłem się zastanawiać nad tym, co w ogóle się dzieje. Koledzy zrobili mi mało dowcipny kawał? Brałem udział w nowym typie *reality show*? Zostałem porwany przez przestępców? Po kolei rozprawiałem się ze wszystkimi tezami. Kawał wymagałby włamania się do mojego mieszkania, użycia replik długiej broni oraz odesłania mnie w niebyt za pomocą zastrzyku. Za bardzo skomplikowane i zbyt niebezpieczne jak na dowcip. *Reality show*? Gdybym zaskarżył jego

autorów o porwanie, bezprawne przetrzymywanie i podanie narkotyków, nie wygrzebaliby się z procesów do końca życia. Jeszcze istniało w tym kraju prawo i nawet stacje telewizyjne nie mogły go sobie całkowicie lekceważyć. A porwanie przez przestępców? Po jaką cholereę ktokolwiek miałby mnie porywać? Nie byłem ani sławny, ani bogaty, nie miałem szmalownych rodziców, którzy sypnęliby kasą na okup. Pozostawała więc czwarta możliwość. Że człowiek w moim mieszkaniu mówił prawdę i rzeczywiście była to akcja BOR-u. Prawdopodobnie pomylili mieszkania i zamiast zgarnąć gangstera mieszkającego piętro niżej lub piętro wyżej, zgarnęli mnie. Normalka w polskich spec służbach. Dyletanctwo i pomyłki były zapewne ich urzędową dewizą. To wyjaśnienie całkiem mi się spodobało, gdyż oznaczało, że rząd będzie musiał wybulić sporą sumkę na odszkodowanie. Podeszedłem do drzwi i załomotałem pięściami w metal. Niestety, były bardzo solidne i narobiłem mniej hałasu, niżbym chciał. Ktoś jednak mnie usłyszał. Po kilku minutach szczęknęły zamki, do środka zajrzał barczysty mężczyzna w czarnym mundurze pozbawionym dystynkcji oraz plakietki identyfikacyjnej.

– Oho, obudziłeś się – powiedział. – Śniadanie. – Podał mi srebrną torbę ze zgrzewanej folii i zaczął zamykać drzwi.

– Zaraz! – krzyknąłem.

– Zaraz to taka duża bakteria. – Zamki znowu szczęknęły, przy suficie migotliwym światłem zapłonęła osamotniona jarzeniówka.

Westchnąłem i usiadłem na pryczy, bo niby co innego mogłem zrobić? Otworzyłem torebkę. Była w niej mała butelka gazowanej wody mineralnej i dwa kawałki bagietki. Jeden z szynką, drugi z serem. Od razu przypiąłem się do butelki, połowę wody zostawiając sobie na popicie jedzenia. Z trudem przełykałem gumiate pieczywo, lecz jadłem z rozsądku i udało mi się pokonać jedną z kanapek. Potem dopiłem wodę i odłożyłem torebkę pod łóżko. Jarzeniówka zgasła w tym samym

momencie, więc zrozumiałem, że ktoś monitoruje moją celę. Nakryłem się szorstkim kocem, oparłem głowę na przedramieniu. Miałem nadzieję, że uda mi się znowu zasnąć.

*

Obudziło mnie szczykanie zamków. Zanim zdążyłem się podnieść, do celi wszedł mężczyzna ubrany w ciemny garnitur. Mundurowy strażnik wniósł za nim krzeselko, które postawił tuż przy drzwiach.

– I co my tu mamy? – Przybysz wyciągnął papierosa i zapalił.

– Mogę? – spytałem.

– Nie.

– Wie pan, że się pomyliliście? – spytałem. – Że to nie ja jestem?

– Nie ty jesteś kim?

– Nie jestem tym, kogo chcieliście złapać. Pewnie jak zwykle pomyliliście piętra.

Wtedy powiedział, jak mam na imię i nazwisko, oraz podał mój adres zameldowania.

– Zgadza się?

Patrzyłem na niego w osłupieniu, bo moja koncepcja rozsypywała się w gruzy, a nadzieja na odszkodowanie zgasła jak świeczka w rzece.

– Zgadza się... Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Jesteś zatrzymany do dyspozycji rządu i mogę ci poradzić, żebyś wszystko nam opowiedział. Pomogą ci tylko pełne i szczerze zeznania.

Milczałem długą chwilę, gdyż poczułem się jak Józef K. z „Procesu” Kafki.

– Co mam zeznać?

– Gdzie przechodziłeś szkolenie, kto cię aktywował, od kogo odbierałeś zlecenia, kto był mocodawcą wczorajszej akcji. Wszystko, chłopcze...

Rzucił wypalonego do połowy papierosa na posadzkę i zdeptał go podeszwą.

– Nic nie rozumiem. Żądam adwokata – powiedziałem najbardziej stanowczym głosem, na jaki mnie było stać, ale i tak czułem, że coś we mnie drży niczym zajęc schowany w liściach kapusty.

Dostałem najpierw w lewe ucho, potem w prawe. Oba ciosy były tak błyskawiczne, że nawet nie mogłem marzyć, by się przed nimi zasłonić. Fakt, byłem skacowany i zmęczony imprezą, ale nawet będąc w najlepszej formie oraz kondycji, nie zauważyłbym tych uderzeń. Nie zabołało mnie jakoś strasznie, wierzcie mi jednak, że ciosy w ucho zadane otwartą dłonią są strasznie deprymujące. Podobno można w ten sposób rozwalić człowiekowi bębenki. Tu było jeszcze do tego daleko, lecz i tak się przestraszyłem. Podwinąłem nogi, uciekłem na koniec łóżka. Mężczyzna usiadł z powrotem na krzeselku i znów wyjął papierosa. Kiedy zapalał, usłyszałem szczęknięcie zamków.

– Spokojnie, kapitanie – nakazał człowiek, który wszedł do celi.

Miał opaloną twarz, niebieskie oczy i krótko ostrzyżone jasne włosy. Mógłby z powodzeniem zagrać przystojnego oficera SS w amerykańskim filmie. Tyle że nie nosił czarnego munduru z błyskawicami, a dobrze skrojony ciemny garnitur.

– Spokojnie, spokojnie – powtórzył, najwyraźniej mitygując zapał mojego rozmówcy. – Nie chcemy tego chłopca przestraszyć, ale przekonać... Sprawdziliśmy, to świeżaczek. Wybryk natury.

Nie rozumiałem ostatnich dwóch zdań, za to świetnie rozumiałem, że zaczynała się zabawa w dobrego i złego policjanta. Cóż, tego można się było spodziewać. Kapitan wstał i wskazał nowo przybyłemu krzesło. Najwyraźniej blondyn był wyższy stopniem.

– Siedź, siedź – rzekł i oparł się plecami o drzwi.

– Nazywam się pułkownik Kowol – zwrócił się w moją stronę. – Jestem dyrektorem Wydziału Operacji Specjalnych Biura Ochrony Rządu.

- Ładnie to tak, żeby polski oficer pozwalał na torturowanie przesłuchiwanym? - spytałem.

Roześmiał się naprawdę szczerym śmiechem.

- Dowcipniś - powiedział. - Poza tym nie jesteś aresztowany, a jedynie zatrzymany do dyspozycji. Różnica jest taka, że aresztować wolno na dwadzieścia cztery godziny, natomiast zatrzymać tak długo, jak chcemy. Bez angażowania prokuratora, adwokata czy sądu, bo to i tak są zajęci ludzie, więc po co im zawracać głowę... - najwyraźniej kpił.

- To kłamstwo. - Wzruszyłem ramionami. - Jestem prawnikiem i wiem.

- Trzy lata studiów, potem przerwał - wyjaśnił kapitan.

- Czytałem - odparł pułkownik, patrząc w moją stronę. - Wierz mi, że takie prawo istnieje, tylko ty go nie znasz, bo zna je może kilkadziesiąt osób w całej Polsce.

- O, trafiłem do elity - zadrwiłem.

- A w ucho znowu chcesz? - zapytał kapitan.

- Nie, za to chcę papierosa.

- Daj mu - rozkazał pułkownik.

- Kiepska jest kapitańska pensja, skoro kupuje pan „Marsy” - stwierdziłem, przyglądając się nadrukowi na bibułce.

- Jednak dostaniesz w ucho - odparł kapitan, lecz nawet nie drgnął na krześle.

Zapaliłem, zaciągnąłem się.

- Podły, śmierdzący tytoń, zmieszany z mokrym sianem - zawyrokowałem.

- Pożartowaliśmy, pośmialiśmy się - powiedział pułkownik. - Czas jednak przejść do meritum. Wiesz, czym zajmuje się Wydział Operacji Specjalnych?

Pytanie było retoryczne, więc nie siliłem się, by na nie odpowiedzieć.

- Wydział Operacji Specjalnych chroni prezydenta oraz

najważniejszych członków rządu przed niekonwencjonalnymi formami ataku. O naszym istnieniu wie tylko jedna osoba w kraju, a jest nią Prezydent Rzeczypospolitej. No, czyli w zasadzie dwie, bo i Wałęsa, i nasz miłościwie panujący, a więc zarówno stary, jak i obecny prezydent.

Nie da się ukryć: to robiło wrażenie. Tajna komórka, o której wiedzą poza jej pracownikami tylko dwie osoby w kraju? A ja byłem tym trzecim! Już po chwili zdałem sobie sprawę z faktu, że to nie jest dobra wiadomość. Dźwiganie nadmiernej wiedzy jest tak samo bezpieczne jak dźwiganie azbestu.

– Niekonwencjonalnymi? To znaczy jak ktoś co zrobi? – zapytałem, gdyż najwyraźniej tym razem spodziewałem się pytania.

– Zaklęcia, czary, uroki, przekleństwa, tak zwane „złe oko”...

– Aha – powiedziałem. – No jasne, to już wszystko rozumiem!

– Nie uwierzy – burknął kapitan.

– A z tobą było inaczej? – powiedział wyrozumiale pułkownik, po czym znowu zwrócił się w moją stronę. – Mam nadzieję, że masz otwarty umysł i zrozumiesz, że to, co usłyszałeś, jest prawdą – rzekł. – Że nie robimy ci dowcipu ani nie jesteś w nowym *reality show*. Po prostu świat nie jest taki, jaki się wydaje większości ludzi.

– Którzy myślą, że magia jest tak samo prawdziwa jak lądowanie UFO w Roswell – zaśmiał się pierwszy z oficerów.

Pułkownik spojrzał na niego.

– To akurat nie był najlepszy przykład – westchnął. – Ale jeśli nie podoba ci się słowo „magia”, użyj słów „bezkontaktowe oddziaływanie psychofizyczne” lub „naruszenie osnowy bioenergetycznej”. Brzmi lepiej?

Przetrawiałem jeszcze jego słowa dotyczące Roswell, więc tylko skinąłem bezmyślnie głową. Potem się ocknąłem.

– Dobra, to niech pan siłą woli przesunie tę butelkę. – Pokazałem leżący na ziemi plastik po wodzie mineralnej.

– Magia nie działa w taki sposób.

– To ja pomyślę liczbę, a pan niech odgadnie, jaka to liczba. Albo niech pan przypali papierosa wzrokiem.

– Naoglądałeś się za dużo filmów. – Przyglądał mi się z wyraźnym politowaniem.

– No to jak działa magia?

– Intensywne życzenie komuś zła, na przykład wypadku, choroby, splotu nieszczęśliwych okoliczności, zaburza delikatną strukturę magicznej energii otaczającej każdą żywą istotę – powiedział tak gładko, jakby czytał z książki. – W dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięćdziesiąt dziewięć przypadków na sto nie ma to żadnego znaczenia. Jednak są ludzie, którzy potrafią w poważny sposób naruszyć ośnowę. Ludzie, o których można powiedzieć, że ich życzenia stają się prawdą. I właśnie ty jesteś takim człowiekiem.

Nie odzywałem się przez dłuższy czas, a on spokojnie dał mi przemyśleć słowa, które właśnie usłyszałem.

– A pan? Komu pan źle życzy? Opozycji? Dziennikarzom?

– Nie, nie. – Pokręcił głową. – My tylko budujemy ochronny klosz wokół wybranych polityków. Nie jesteśmy raketami, lecz tarczą antyrakietową.

– Nieźle spierdoliliście sprawę, jak Mazowiecki zemdłał w czasie expose – przypomniał złośliwym tonem kapitan.

Pułkownik nie zareagował na szyderstwo, ale, jasna cholera chyba właśnie te kpiny przekonały mnie, że obaj mówią prawdę! W straszne wdepnąłem gówno...

– Wczoraj w nocy zaatakowałeś prezydenta Polski z taką mocą, z jaką nikt z nas nigdy wcześniej się nie zetknął. Siła wywołanych przez ciebie wstrząsów była tak wielka, że z całą pewnością wiedzą o tym już w Stanach, w Niemczech, wszędzie. Również w Rosji – dodał z krzywym uśmiechem. – W związku z tym to właśnie my jesteśmy twoją gwarancją

bezpieczeństwa, chłopcze. Bo zaręczam ci, że nie chciałbyś gadać z Rosjanami. Oni mają ogromną łatwość w wykorzystywaniu akumulatorów w czasie rozmów, a po podłączeniu sześćdziesięciu woltów do kutasa każdy nabiera chęci, by zrobić wszystko, czego tylko zażądatają.

Wzdrygnąłem się, gdyż pamiętałem stosowny fragment z „Dnia szakala”, kiedy degolowscy bandyci przesłuchiwali patriotów z OAS.

– Ja nie chcę rozmawiać nawet z wami – przyznałem szczerze i sam wyczytałem we własnym głosie mnóstwo bezradności.

– Nie trzeba się było głupio bawić – rzekł i trudno było nie przyznać mu racji.

– Sześciu oficerów musiało postawić blokadę, żeby zniwelować szkody, których mógłbyś narobić – powiedział ten pierwszy. – Dwóch z nich trafiło do szpitala, w tym jeden jest w śpiączce i nie wiadomo, czy z niej wyjdzie.

– Jesteś jak piętnaście stopni w skali Beauforta – stwierdził pułkownik.

– Myślałem, że ta skala ma dwanaście stopni – mruknąłem.

– Myśmy też tak myśleli, dopóki nie zafundowałeś nam balu...

– Ha – skwitowałem jego słowa i poczułem coś na kształt dumy.

Przypatrywał mi się ze złośliwym uśmiechem.

– Jesteś trochę z siebie dumny, prawda? – odgadł moje myśli. – Powiem ci w takim razie, że twojego ataku nie udało się wygłuszyć. Potrafiliśmy go tylko przekierować.

– To znaczy?

– To znaczy, że jakiś Bogu ducha winny obywatel dowie się niedługo, że ma galopującego raka z przerzutami, że jakieś dziecko zostanie zaatakowane przez chorobę wrzodową, a jakaś kobieta odkryje, że ma AIDS. Może zresztą tych osób będzie kilka lub kilkanaście... Nadal jesteś z siebie zadowolony, chłopcze?

– Kurwa, nie zrobiliście czegoś takiego!

– Myśmy nie zrobili. Ty zrobiłeś...

Nie chciałem mu wierzyć, a jednocześnie byłem niemal pewien, że mówi prawdę. W końcu w jakiś sposób było to logiczne. Jeśli zasłoniś kogoś metalową płytą przed strzałem, to rykoszet może trafić w inną osobę. Zupełnie niewinną.

– Wkręca mnie pan w poczucie winy. Zawsze gracie w czasie przesłuchań. Trochę prawdy, trochę kłamstw, trochę marchewki i trochę kija... Nie dam się nabrać.

– Sam niedługo zobaczysz, że mówię prawdę.

– Nie mam zamiaru niczego oglądać. Chcę wrócić do domu.

– Przykro mi. – Rozłożył dłonie. – Nie możemy cię wypuścić. Jesteś odbezpieczoną głowicą nuklearną. Masz do wyboru: albo pracujesz dla nas, albo znikasz.

– Ludzie nie znikają ot tak sobie – rzekłem po chwili.

– Nie? – zdziwił się uprzejmie. – Coś takiego...

Spojrzałem na niego i wiedziałem, że powiedział prawdę. Ludzie znikają i ja zniknę również, jeśli nie zgodzę się grać w zaproponowaną przez nich grę.

– Co pan proponuje? – postarałem się, by mój głos zabrzmiał spokojnie.

– Początkowo roczne szkolenie w naszym zamkniętym ośrodku, potem stopień podporucznika i pracę w Biurze.

Hmmm, na pewno było to lepsze niż rola więźnia stanu lub wążanie kwiatków od spodu.

– Jak likwidujecie ludzi? – zainteresowałem się. – Wypadek samochodowy? Betonowe buty? A może wasze stare metody? Najpierw do bagażnika, potem w worek i z mostu? Albo wiem! – Klasnąłem. – Samobójstwo! Jeszcze lepiej: przedawkowanie!

Nie sądziłem, by mi odpowiedzieli, i tym razem potrafili mnie

zaskoczyć.

- Psychiczna lobotomia - wyjaśnił kapitan. - Zamienimy cię w warzywo.

Mówił cholernie serio. Nie straszył, nie szydził, a jedynie tłumaczył. Tym mnie naprawdę przerazili. Widziałem „Lot nad kukułczym gniazdem” i nie chciałem skończyć jak Jack Nicholson.

- Zajebicie. - Pokręciłem głową. - Po prostu megazajebicie. Pierdolone gestapo...

Pułkownik skrzywił się w ledwo zauważalnym grymasie.

- Dajemy ci przecież wybór - podkreślił.

- Jak między kurewskim tyfusem a kurewską cholera! - Zamknąłem oczy. - Was nie ma - powiedziałem dobitnie. - Sprzedali mi jakiś pojebany towar i to wszystko istnieje tylko w mojej głowie. Teraz się położę...

Pstryknął mnie w nos. Boleśnie. Zwłaszcza dla mnie, bo mam wrażliwą tę część ciała.

- To nie jest metoda - rzekł spokojnie. - Jak chcesz, to cię teraz zostawimy. Posiedzisz dwa, trzy dni i wtedy znowu porozmawiamy.

Była to jakaś idea, lecz pomysł spędzenia dwóch lub trzech dni w tej klaustrofobicznej klitce wcale mi się nie podobał.

- No dobra - mruknąłem. - Dobra, dobra, dobra, dobra... - Postanowiłem się skupić.

Podniosłem głowę.

- Jestem taki wyjątkowy, prawda? Jestem unikatem na skalę światową? Jestem kimś, na kogo zdolności nie macie nawet skali, tak? - pytałem w próżnię, gdyż obaj przyglądali mi się bez żadnych emocji. - To dlaczego mam być tylko podporucznikiem? Stopień majora - zdecydowałem, kiedy nadal się nie odzywali. - Żebym to ja mógł kiedyś temu chamowi bezkarnie przygrzać w ucho. - Wskazałem palcem na kapitana. Ku mojemu zdumieniu wyszczerzył zęby w uśmiechu. - To

jeszcze nie wszystko – dodałem. – Milion dolarów zdeponowany na koncie w Szwajcarii.

– Targujesz się w przypadku, kiedy chodzi o dobro ojczyzny? – Zastanawiałem się, czy pyta serio, czy kpi.

– Oni to nie ojczyzna – powiedziałem, myśląc o politykach. – Oni to wrzody na dupie i jeśli o mnie chodzi, wszyscy mogliby pozdychać jak wściekłe psy...

– Ciii... – Uniósł szybkim ruchem dłoń. – Musisz teraz bardzo uważać na słowa, chłopcze. W twoim przypadku powiedzenie: „Rzuć słowem, a wróci kamieniem” ma głębszy sens.

Znalazłem w jego słowach niekonsekwencję.

– Chwileczkę! Przecież wielokrotnie mówiłem czy myślałem różne złe rzeczy o ludziach i nigdy nie działo się nic...

– Wczorajszej nocy się obudziłeś – przerwał mi. – Dojrzałeś. Kobieta też ma kiedyś pierwszą menstruację, prawda? Alkohol, narkotyki, szczególny stan psychicznego pobudzenia zapoczątkowały proces aktywacji twoich zdolności. W innym wypadku, kto wie, może mógłbyś przeżyć całe życie i nigdy nie dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś.

– Hm – mruknąłem tylko, zastanawiając się, czy to nie byłaby o wiele miłsza alternatywa.

– Na majora się zgadzam – oznajmił. – Milion dolarów możesz wybić sobie z głowy. Nawet gdybym chciał, to nie mamy takich funduszy operacyjnych.

– Panie pułkowniku, jak na majora...? – Oburzenie kapitana sprawiło mi kupę satysfakcji.

Pułkownik machnął tylko dłonią, by mu przerwać.

– Umówmy się tak. Po roku szkolenia dostaniesz ten milion, jeśli dalej będziesz go chciał. Zgoda?

W tej propozycji był haczyk. Nawet nie haczyk. Jakiś potężny hak na wieloryby. Harpuniszczce.

- Jakie mam gwarancje?
- Słowo polskiego oficera.
- A bez kpin?

Ho, ho, udało mi się spowodować, że na policzki wystąpił mu rumieniec.

- Ja cię nie obrażam, więc postaraj się odpowiadać tym samym. Zawsze możemy cię – pstryknąć palcami – zgasić.

- Jestem zbyt cennym urządzeniem, by mnie złomować – stwierdziłem po chwili. – Nie zrobicie tego, póki nie wykorzystacie wszystkich możliwości, żeby mnie przekonać.

Miałem rację i wszyscy wiedzieliśmy, że mam rację. Kiedy dostajesz broń nowej generacji, nie wyrzucasz jej na śmietnik, tylko badasz, jak działa, i starasz się wykorzystać jej atuty.

- Dostaniesz gwarancje na piśmie – zdecydował.

To i tak nic nie znaczyło. Wszystkie przepisy można obejść, dokumenty zniszczyć, adwokatów przekupić lub zastraszyć.

- Poza tym jesteś człowiekiem ciekawym świata, mój chłopcze. Ty już teraz tylko marzysz o tym, żeby poznać własne zdolności. Jesteś Supermanem, a my nauczymy cię latać.

Pokiwałem głową, gdyż zdałem sobie sprawę, że oficer ma rację. Faktycznie, poznałem maluteńki skraweczek tajemnicy i cholernie mnie kusiło, by sięgnąć dalej. Tak musieli się czuć dawni odkrywcy wpływający na nieznanne wody. „Łąd na horyzoncie!” – zawołał chłopiec z bocianiego gniazda. A za brzegiem było wzgórze, za wzgórzem następny brzeg i następny ocean. Chodziło mi po głowie tylko jedno. Czy robiąc ze mnie Supermana, zatrzymają w ręku kryształ kryptonitu? A jeśli tak, co jest kryptonitem w moim wypadku? Osłabi mnie tylko czy zabije, gdy będę nieposłuszny? A może podjęli decyzję, by zaryzykować? Jeśli tak, to wpuszczali sobie Huna na teren Rzymu. Jeszcze się o tym przekonają.

- Ma pan rację. – Skinąłem głową. – Nie wierzę tylko w jedno. Nie

wierzę, że poprzestajecie na chronieniu ludzi...

– A co robimy, twoim zdaniem?

– Nigdy nie uwierzę, że ten naród był tak głupi i podły, żeby wybrać Kwasa na drugą kadencję. To nie mogło się udać bez magii...

– Może i masz potencjał, ale socjolog czy psycholog z ciebie żaden. – Poklepał mnie po ramieniu. – Sam wszystko poznasz od podszewki w czasie szkolenia. Ale pomyśl logicznie: czy zwykli oficerowie BOR-u atakują przechodniów lub prowadzą operacje przeciw politykom innych krajów? Ich zadaniem jest ochrona, której ciebie musimy dopiero nauczyć. Masz w sobie energię jądrową, my chcemy, żebyś został elektrownią atomową, a nie atomową bombą.

Jeśli mówił prawdę, to ja byłem chińską baletnicą. Nie wierzyłem, że nie będą chcieli wykorzystać moich zdolności. W końcu sami powiedzieli, że powstrzymało mnie dopiero sześciu oficerów, z czego dwóch przyplącało ten opór chorobami. A przecież na razie byłem jedynie wymachującym szabelką nowicjuszem. Kiedyś nauczą mnie prawdziwego fechtunku i musieli być bardzo naiwni, sądząc, że wykorzystam broń tylko do parowania ciosów, a nie ich zadawania. I to ja w przyszłości miałem decydować, gdzie uderzyć, nie oni! No ale z podobnymi myślami nie mogłem się zdradzić, bo nie chciałem, by zamieniono mnie w warzywo. Może i byłem sztormem o sile piętnastu stopni, ale na razie ten sztorm można było zatrzymać jednym ołowianym pociskiem. Miałem nadzieję, iż kiedyś wyedukuję się tak, że nie tylko będę potrafił zatrzymać kule, ale również spowodować, że nikt nie podniesie na mnie ręki.

– To mi się podoba – powiedziałem tylko. – Tak naprawdę nie chcę przecież nikomu szkodzić.

Skinął głową, a ja zastanawiałem się, czy wziął moje słowa za dobrą monetę. Miałem nadzieję, że tak.

– Przedstawimy cię prezydentowi. Nic nie wie o... – szukał

odpowiedniego słowa.

– Nocnym nieporozumieniu – poddałem.

– Właśnie, dobrze powiedziane. Wie tylko, że mamy w ręku talent, którym będzie się można niedługo pochwalić przed naszymi sojusznikami z NATO. To może mu pomóc, kiedy będzie się starał o stanowisko sekretarza generalnego po zakończeniu kadencji.

Pułkownik wyraźnie bardzo mi schlebiał i starał się dobitnie pokazać, jaki jestem ważny. Ciekawe czemu? Pewnie za zwerbowanie kogoś takiego jak ja dostanie solidną premię albo i awans. A może chcieli mnie wyszkolić i później sprzedać? No nic, na razie nie musiałem się o to martwić. *Szlachta na koń wsiędzie. Ja z synowcem na czele i jakoś to będzie...*

– Będę mógł się przedtem wykąpać i normalnie ubrać?

– Jasne.

*

Ponieważ z domu zabrali mnie w bokserkach i poplamionym T-shircie (nie licząc czarnego worka), więc musieli mi znaleźć coś do ubrania.

– Wszystko OK – pocieszył mnie oficer. – Przywieźliśmy kilka rzeczy z twojego domu.

– *You are welcome* – mruknąłem z przekąsem, bo każdy przecież lubi, gdy obcy ludzie przeszukują mu szafy.

Kiedy już się przebrałem, zaprowadzili mnie do czarnej limuzyny o przyciemnianych szybach i pojechaliśmy na Krakowskie Przedmieście.

– Nie wytniesz nam żadnego numeru, prawda? – serdecznym tonem spytał pułkownik, siedzący po mojej lewej stronie.

– Mimo że lubię marchewkę, to nie chciałbym nią zostać – odparłem.

– Widzę, że świetnie się dogadamy, chłopcze.

O dziwo, jakoś zdążyłem go polubić, choć wiedziałem, że zadanie człowieka takiego jak on może polegać właśnie na tym, by go polubiono.

Czytałem książki Wiktora Suworowa, Olega Gordijewskiego i Christophera Andrew, więc mniej więcej wiedziałem, jak działają służby specjalne oraz ich oficerowie. Jednak wiedza wiedzą, a emocje emocjami.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. W gabinecie prezydenta przede wszystkim zauważyłem obrzydliwy złocony żyrandol i jeszcze bardziej obrzydliwe krzesła obite bordowym materiałem. Przy biurku smętnie zwisała biało-czerwona flaga, która wyglądała tak, jakby jej drzewce wsadzono do kosza na śmieci.

– To właśnie ten zuch? – Z ust prezydenta, który wyszedł na nasze spotkanie, wyczułem wyraźną woń whisky.

– Tak jest, panie prezydencie – służbiście szczerknął pułkownik.

Olo wyciągnął rękę w moją stronę.

– Dużo o panu słyszałem i wierzę, że będzie pan świetnym oficerem – powiedział. – Właśnie takich ludzi potrzebuje nasz kraj.

Ha, miło, że przynajmniej on nie zwracał się do mnie na „ty”!

Wiedziałem, że odbędę szkolenie, na którym nauczą mnie, jak kontrolować własną moc i jak ją wykorzystywać. A wtedy wrócę, by dokładnie poznać reguły rządzące tym nowym dla mnie światem. I w końcu nadejdzie czas, że wszyscy zatańczą, jak im zagram. Będę Konradem Wallenrodem, pułkownikiem Kuklińskim i kapitanem Suworowem w jednej osobie. Tylko do sześcianu. Rozprawię się z nimi wszystkimi, gdyż w uszach wciąż brzmiały mi słowa piosenki: *Opasłe mordy, krzywe ryje, kurewstwo wszędzie tam, gdzie wy. Jak ja was, kurwy, nienawidzę. Jak ja do was bym z kałacha bił.* Wiedziałem, oczywiście, że znajdę lepszy sposób od morderstwa, by ich upokorzyć, upodlić oraz pokonać. Przecież zadanie śmierci nie jest zemstą, z której można by czerpać prawdziwą satysfakcję. Przeciwnika zabija się, by okazać mu łaskę, a ja byłem jak najdalszy od miłosiernych uczuć.

Uścisnąłem ciepłą, miękką dłoń.

– Ku chwale ojczyzny, panie prezydencie – szczerknąłem dziarsko,

naśladować ton towarzyszącego mi pułkownika, i popatrzyłem w oczy Kwasa z ujmującą szczerością oraz oddaniem.

RAFAŁ ALEKSANDER ZIEMKIEWICZ [1964]

Debiutował w prasie opowiadaniem *Z palcem na spuście* („Odgłosy”, lipiec 1982), na rynku księgarskim zbiorem *Władca szczurów*.

Ma w dorobku kilkanaście tomów opowiadań (ostatni: *Coś mocniejszego*) i powieści fantastycznych (ostatnia: *Ognie na skałach*), trzy zbiory publicystyki oraz powieść współczesną *Ciało obce*.

Wielokrotnie nominowany do Zajdla, uhonorowany trzykrotnie: za opowiadanie *Śpiąca królewna* oraz powieści *Pieprzony los Kataryniarza* i *Walc stulecia*, dwukrotnie nagrodzony Śląką, a także nagrodą Euroconu.

Czynny dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny; otwórz swoją lodówkę, a na pewno będzie i tam.

JEST FANTAZJA W NARODZIE

Czuję się niczym bohater sławnego wiersza Herberta „Raport z oblężonego miasta” – okazałem się za słaby, żeby nosić broń jak inni, więc wyznaczono mi poślednią rolę kronikarza. Ale przyjmuję ją z podziękowaniem, bo skoro nie dałem rady dołożyć się do wspólnego przedsięwzięcia opowiadaniem, to niechże zaistnieję w nim przynajmniej w taki sposób.

Otóż, proszę Państwa, pojawiło się w Polsce z górą trzydzieści lat temu coś takiego jak kluby miłośników fantastyki. Z pozoru nieróżniące się niczym od rozmaitych innych sekcji i stowarzyszeń hobbystów, hodowców gołębi czy kanarków, zbieraczy znaczków i etykiet zapalczanych. Z tą może różnicą, że zbieraczy znaczków i hodowców ludzie niepodzielający ich pasji zwykli traktować znacznie poważniej. Natomiast słowa „science fiction” do dziś wywołują uśmiech politowania i prowokują do zadawania pytań w rodzaju: „No to jak tam z tymi zielonymi ludkami, przylecą?”. Skoro tak dzieje się w ojczyźnie Stanisława Lema, to wyobrażam sobie, z jakim głupactwem muszą się zderzać miłośnicy fantastyki w innych krajach.

Ale w pewnym sensie taka reakcja niewtajemniczonej (proszę wybaczyć, lecz jak to ująć inaczej – po prostu pogrążonej w ignorancji) części społeczeństwa wyszła nam na dobre. To ona właśnie była powodem, dla którego ludzie rozmiłowani w fantastyce garnęli do siebie, tworząc kluby i ich federacje. Miejsca, gdzie można się było spotkać z ludźmi, którym nie trzeba, jak przysłowiowej krowie na rowie, tłumaczyć od zera, że fantastyka to co innego niż ufologia, że Lem to troszkę ktoś inny niż Daeniken, że Strugaccy nie zajmują się odcyfrowywaniem znaków na płaskowyżu Nazca, Dick nie poluje na latające talerze, a Tolkien nie pisze bajek dla dzieci. I gdzie można porozmawiać – nie tylko

o fantastyce, ale o wszystkim w ogóle.

Takie kluby tworzyły się i tworzą na całym świecie, nawiązują ze sobą kontakty, organizują wspólnie międzynarodowe zjazdy. Nasz przyjaciel Piotr W. Cholewa, skądinąd znany tłumacz i przez czas pewien sekretarz Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction, żartował kiedyś, że stworzyliśmy strukturę podobną do masonerii, tylko bardziej wpływową: czegokolwiek by potrzebował, czy chodzi o dostęp do danych Pentagonu, o zwiedzenie podziemi Kremla, czy o tani nocleg w Nairobi, jeśli odwoła się do znajomości „po fantastyce”, zawsze dotrze do jakiegoś odpowiednio ulokowanego miłośnika SF, który może to załatwić.

Kluby SF rozsiane są więc po całym świecie. Lecz te nasze, powstałe pod koniec lat siedemdziesiątych, miały swoją specyfikę.

Ich specyfika, oczywiście, wynikała z faktu, że powstawały w kraju okupowanym. Żyliśmy trochę tak jak bohaterowie prozy Lovecrafta: niby normalnie, ale nienormalnie. Nienormalnie, bo niekiedy, przy jakimś gwałtownym ruchu lub po prostu wskutek przypadku, pękała zasłona rozdzielająca spokojny, codzienny świat od czeluści pełnej upiorów i trzeba było spojrzeć w oczy partyjnym decydentom, ubekom albo zomowcom. Niektórzy wpadali za tę zasłonę na stałe – dosłownie parę dni przed napisaniem tego posłowania po raz pierwszy od dwudziestu kilku lat spotkałem się z przyjacielem poznanym w warszawskim klubie SFAN, bodaj pierwszym czytelnikiem opowiadań moich i Jarka Grzędowicza, dziś profesorem matematyki w Kalifornii, który w 1985 roku wylądował w więzieniu za drukowanie bibuły. Większość starała się mimo wszystko jakoś żyć, tak jakby upiorów nie było.

Kluby fantastyki stały się dziwną oazą spokoju i swobody dyskusji. Do polskiej fantastyki trafiali ludzie, którzy w normalnym kraju pewnie nigdy by na takie hobby nie znaleźli czasu. Bywał w klubach Janusz Zajdel, fizyk, błyskotliwy gawędziarz, żarliwy patriota i wróg komuny;

bywał równie jak on niepokorny znakomity erudyta, znawca literatury rosyjskiej i amerykańskiej Lech Jęczmyk; bywał ceniony dziś profesor socjologii Edmund Wnuk-Lipiński; pojawiali się inni naukowcy, literaturoznawcy. Pojawiali się dlatego, że w swoich podstawowych specjalnościach byli zablokowani, nie mogli się swobodnie rozwijać i szukali jakiegoś pożytecznego ujścia dla nagromadzonej energii (na przykład Wnuk-Lipiński nie kryje, że jego fantastyczna trylogia o wyspie Apostezjon powstała zamiast pracy naukowej o mechanizmach władzy schyłkowego peerelu, której napisać nie mógł ze względów oczywistych).

W takie właśnie środowisko wchodziliśmy – ludzie niespełna dwudziestoletni, ukąszeni przez bakcyła literatury, nudzący się na prowadzonych bez cienia polotu lekcjach szkolnych i zajęciach studenckich, szukający czegoś ciekawego; a właśnie w fantastyce było wtedy ciekawie. Wchodziliśmy, żeby z otwartymi dziobami słuchać dyskusji, przeskakujących lekko od fizyki kwantowej do barokowej angielskiej poezji mistycznej i do kryzysu w Nikaragui, żeby mieć od kogo pożyczyć samizdatowe wydania zakazanej klasyki i z kim potem o nich porozmawiać. Ale też po to, żeby nieśmiało podetknąć starszym kolegom swoje pierwsze literackie próby i wysłuchać potem opinii. Niekiedy miażdżących, niekiedy zachęcających.

Pozwoliłem sobie kiedyś napisać i chcę to przy okazji tej antologii powtórzyć, że kluby fantastyki dla części mojego pokolenia spełniły tę samą rolę, co dla pokoleń poprzednich różne Bim-Bomy i STS-y. Takiego nagromadzenia intelektualnej energii jak w polskiej fantastyce przełomu dekad 80/90 nie spotyka się często. W klubach było ciekawie, ciekawie było też w literaturze – jeszcze nie zamilkli Lem i Żwikiewicz, wciąż był na fali Snerg Wiśniewski, Zajdel wydawał swoje najlepsze rzeczy, wyszły powieści Oramusa, Parowskiego. To znaczy ciekawie było w literaturze fantastycznej. W tak zwanym głównym nurcie wygadywano nawiedzone androny o „rewolucji językowej” i twierdzono, że „bastylia jest w języku”,

choć, jako żywo, każde dziecko wiedziało, że „bastylia” była zupełnie gdzie indziej. Na ulicach słał się co jakiś czas gaz łzawiący, za orzełka w koronie albo opornik w klapie można było dostać od patrolu, zależnie od humoru zomowca, pięścią w mordę albo pałą przez nery, podawano sobie ukradkiem ulotki i podziemne pisemka, rozkładający się ustrój pozwalał co cwańszym sięgać po pierwsze miliony, a oficjalna literatura, z wysokim poparciem sponsorujących ją władz, nie znajdowała nic lepszego do roboty niż zabawa w duperelne gierki słowne. Zupełnie jak dziś, kiedy polskie bagienko znowu wyrwane zostało ze smrodliwego bezruchu, a kapituła Nike, zresztą pod przewodem tegoż samego krytyka, który promował całą ową na śmierć już zapomnianą rewolucję i jej twórców, lansuje „odkrywcze językowo”, tylko traktujące literalnie o niczym książki Masłowskiej czy Stasiuka.

Nie mieliśmy wcale ambicji zastępować głównego nurtu, pisać powieści współczesnych czy obyczajowych – my byliśmy obok i uprawialiśmy fantastykę. Oczywiście, jeśli się w tej fantastyce udawało jakąś zjadliwą aluzją ukąsić komunę, przysparzało to wśród kolegów młodojeckiej sławy, ale nie chodziło przecież o walkę z ustrojem, z ustrojem walczyło się, nosząc dla „Solidarności” ulotki i chodząc na jej wezwania na uliczne zadymy. Nasza fantastyka miała być tylko i aż solidną fantastyką, taką „amerykańską”, z fascynującym pomysłem, dobrą fabułą, wyrazistymi postaciami, ciętym dialogiem. Do przyjemnego poczytania, do odpoczynku i ciekawej refleksji, do oderwania się od szarej jak uwalany waciak rzeczywistości.

A że powstawała w takich a nie innych czasach, w takim a nie innym kraju, rzeczywistość i emocje owego czasu do niej przenikały. To oczywiste.

Grupa autorów, która nazwała się „Trustem”, w połowie lat osiemdziesiątych, już jako Klub Tfurcuf, zyskała sobie siedzibę w gościnnym klubie osiedlowym na Barcelońskiej i szybko się rozmnożyła,

przyciągając kolejnych adeptów. Wydaje mi się – przepraszam za brak skromności – że w ten sposób zawiązało się najbardziej wpływowe środowisko autorskie w polskiej fantastyce. Przez nasze warsztaty i wydawnictwa, przez późniejsze, już w wolnej Polsce wydawane pisma, przewinęło się dość nazwisk i znaczących tekstów, żebym mógł tak powiedzieć. Energia skumulowana na początku lat osiemdziesiątych wystarczyła na długo. Czasem mam wrażenie, że jeszcze nadal jej wystarcza.

Bo Klub Tfurcuf nadal działa – oczywiście, inaczej niż kiedyś, zdominowany przez ludzi młodszego pokolenia i przede wszystkim zajęty inną zupełnie, inaczej funkcjonującą fantastyką. Fantastyka się zmieniła, to oczywiste. Nie wiem, czy na lepsze, czy na gorsze. Nie zmieniło się, i to mnie bardzo cieszy, że nadal jest literaturą żywą, popularną, że polskie nazwiska nie zostały z rynku zepchnięte przez import, że czytelnicy wciąż kupują nie tylko nowe polskie książki, ale także wznowienia tych z lat osiemdziesiątych i jeszcze starszych, dziś już będących klasyką.

To chyba zrozumiałe, że porozchodziliśmy się w różne strony i nie mamy czasu, zajęci każdy swoimi sprawami, podtrzymywać tak serdecznych więzi jak przed dwudziestu laty. Ale widać „jest jeszcze fantazja w narodzie”, jak to ujmował Pan Zagłoba, skoro od czasu do czasu rodzą się pomysły takie jak niniejsza antologia. W której, przyciśnięty zawodowymi terminami, nie zdołałem wziąć udziału jako autor i zadowolić się muszę poślednią rolą kronikarza. Niech żyje Polska, hurra, hurra!

Rafał A. Ziemkiewicz

25 LAT KLUBU TFURCUF – KRÓTKI PRZEWODNIK

1981 – Przy warszawskim klubie miłośników fantastyki „Sfan” konstituuje się grupa TRUST. Nastoletni autorzy regularnie spotykają się na warsztatach, czytają i krytykują własne teksty. Ich mistrzem i mentorem jest Piotr Staniewski. Grupę tworzą: Robert Azembski, Jarek Grzędowicz, Tomek Lipowski, Jacek Piekara, Piotr Jaworski, Rafał Ziemkiewicz. Młodzi autorzy chcą pisać dobrą, sprawnie zrobioną i niegłupią fantastykę. Ukazuje się pierwsza edycja fanzinu FANTOM, zawierająca opowiadania trustowiczów.

1985 – W Golejowie koło Staszowa powstaje Klub Tfurcuf przy Polskim Stowarzyszeniu Miłośników Fantastyki. Organizacja skupia pisarzy, grafików, tłumaczy. Zapisuje się do niej niemal cały TRUST. Klub stawia przed sobą ambitne cele: chce prowadzić warsztaty i pełnić funkcję agenta literackiego, pisze statut i przeprowadza wybory. Prezesem zostaje Rafał Ziemkiewicz, wice – Krzysztof Kochański. Biurokracja rządzi: statut jest tak sformułowany, że aby kogokolwiek do klubu zapisać, trzeba zebrać wszystkich dotychczasowych członków. Żeby zmienić statut, też trzeba zebrać wszystkich. Nic się z tym nie da zrobić. Klub urzęduje na warszawskim osiedlu Stegny.

1986 – Odbywają się pierwsze warsztaty literackie w Chlewiskach. Na nich i na następnej imprezie kształtuje się kręgosłup grupy literackiej nazywanej Klubem Tfurcuf. Należą do niej: Tomek Bochiński, Tomek Kołodziejczak, Feliks W. Kres, Janusz Romanowski, Mirosława Sędzikowska, Sohei, Katarzyna Urbanowicz, Rafał Ziemkiewicz. Z grupą blisko związani są też pozostali trustowicze, dołączają do nich Darek Zientalak, Artur Szrejter, Adam Bański i Jarosław Zieliński. Regularnie

odbywają się warsztaty prowadzone przez krytyka literackiego Tadeusza Lewandowskiego. To swoista pisarska wizyta w izbie tortur – autor czyta na głos opowiadanie, a potem koledzy usłużnie wynajdują w tekście wszystkie błędy. Ziemkiewicz idzie do wojska. Szefem KT zostaje Sohei.

1987 – Druga edycja FANTOMA. Kołodziejczak i Zientalak robią dwa numery.

1987-90 – Kolejne wyjazdowe imprezy warsztatowe. Pojawiają się na nich m.in. Konrad Lewandowski, Jan Maszczyzyn, Jacek Inglot, Joanna Czaplińska, Krzysztof Kochański. Celem wypraw KT staje się Chełmża i gościnny dom Mirosławy Sędzikowskiej. Sohei idzie do wojska. Szefem KT zostaje Kołodziejczak. Ten sprytnie miga się od wojska i formalnie jest szefem do dziś.

1990 – Klubowicze: Ziemkiewicz, Grzędowicz, Zientalak tworzą miesięcznik „Fenix”. Przez ponad 10 lat to tu ukazywać się będzie proza i publicystyka wielu autorów związanych z grupą. Poprzez pismo do KT dołączą m.in. Jacek Drewnowski, Joanna Kułakowska, Andrzej Pilipiuk, Łukasz M. Wiśniewski.

1991 – Trzecia edycja FANTOMA. Wychodzi kilkanaście numerów z bojową publicystyką, w tym słynna polemika: „Maciej Parowski – brudnica czy pszczołka” versus „Ja, Honecker polskiej fantastyki”. Redaguje go Kołodziejczak z mocnym wsparciem Zielińskiego. Klub urzęduje przy warszawskiej „Stodole”.

1992 – Kołodziejczak i Zientalak uruchamiają „Voyagera”, kwartalnik prezentujący przede wszystkim polską SF. Tu zaznaczą swą obecność także nowi klubowicze. Pismo pokazuje takich autorów jak Artur Szrejter czy Jacek Komuda.

1996 – Klub „Pegaz” działający przy warszawskiej „Stodole” kontynuuje tradycje dawnego KT. Znow odbywają się warsztaty literackie. W zajęciach regularnie uczestniczą nowi autorzy: Marcin Baryłka, Maciej Jurewicz, Maciej Nowak, Jerzy Rzymowski, Michał Studniarek, Iwona Żółtowska.

1999 – Czwarta edycja zinu FANTOM, ukazuje się trzynaste numerów. Dużo dobrej, często gorącej publicystyki poświęconej kulturze popularnej i literaturze fantastycznej. Także – historii gatunku. Naczelnym jest Drewnowski, a redakcję tworzą jeszcze Kołodziejczak, Szrejter, Ziemkiewicz.

2000 – Ukazuje się antologia *Robimy rewolucję* (Prószyński) podsumowująca dwudziestoletnią działalność klubu i związanego z nim środowiska. Zawiera 23 opowiadania wybrane z wcześniejszego dorobku autorów, ich najlepsze lub najbardziej charakterystyczne teksty.

2001 – WKF „Pegaz” przy współpracy Cafe Paradox odnawia tradycję KT. Do osób związanych z wcześniejszymi warsztatami dołączają nowe osoby, między innymi: Jan Atmański, Krystyna Chodorowska, Tomasz Marcinkowski, Michał Politowski, Piotr Schmidtke i Małgorzata Wieczorek.

2006 – Z okazji 25. rocznicy powstania grupy autorzy Klubu Tfurcuf piszą opowiadania do dwutomowej antologii *Niech żyje Polska. Hura!* (Fabryka Słów). Akcja, temat lub przynajmniej sceneria wszystkich tekstów jest związana z Polską. Najmłodszy uczestnik projektu – Piotr Schmidtke – ma 23 lata, czyli o dwa mniej, niżli liczy historia grupy.